

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

NR VII/ZIMA 2009



CENA 11,11 ZŁ*

(W TYM 0% VAT)



*

Zgodnie z rozkazami, któreście mi dali, miażdżyłem dzieci kopytami koni, masakrowałem kobiety, które przynajmniej te właśnie nie będą już rodzić bandytów. Nie mam na sumieniu wzięcia choćby jednego jeńca. Tępiłem wszystkich (...). Moi huzarzy mają przy koniskich ogonach strzepy bandyckich sztandarów. Drogi są zasłane trupami. Jest ich tyle, że w wielu miejscach tworzą piramidy. Bez przerwy rozstrzeliwuje się w Savenay, ponieważ ciągle przybywają bandyci pragnący się poddać (...). My nie bierzemy jeńców; trzeba by im było dawać chleb wolności, litość zaś to nie rewolucyjna sprawa.

Raport Westermana dla Komitetu Ocalenia
Publicznego rewolucyjnej Francji z 1793 r.

*

Niczym zabójczy huragan, komunizm przemknął po niebie, nie szczędząc ani kawałka ziemi. Tam, gdzie był najsilniejszy i rządził najdłużej, jego dymiące i gnijące szczątki wciąż zaśmiecają pole widzenia aż po najdalsze horyzonty przestrzeni i czasu.

Warren H. Carroll

*

W swym gabinecie [Lenin] nie słyszy odgłosów rzezi. Z miną uśmiechniętą, z ironicznym spojrzeniem opracowuje dekrety, pisze artykuły, odezwy, listy, gryzmoli karteczki. (...) Nienawiść do świętej Rosji, do społeczeństwa burżuazyjnego, do wrogów ludu pozbawiona jest zaciętrzewienia. Słowo „zniszczyć” nie zawiera dlań tego, co można by nazwać ujemnym znaczeniem. Nienawiść jego nie jest uczuciem, ani nawet rozumowaniem. Jest ideą. Nienawiść jego jest teoretyczna, abstrakcyjna, powiedziałbym bezinteresowna nawet. Potwór ten ma poczucie humoru.

Curzio Malaparte

*

Zbydlęcenie to nie bestialstwo czy potworność. Bydłę nie jest bestią ani potworem. Główną cechą bydlęcia jest beżmyślność. Witkacy na wieść o wkroczeniu do Polski bolszewików popełnił samobójstwo, dlatego że to w komunizmie przerażało go najbardziej „beżmyślna wegetacja nasyconych bydłat”, jak powtarzał. Niezdolność do wzniesienia się ponad tępa cielesność, wyjścia poza ciasny materializm. Jeśli człowiek jest jednością ciała i duszy, to komunizm odwołuje się do czystej fizjologii, do zwierzęcia w człowieku, walcząc zatem z pierwiastkiem duchowym, a więc występując przeciw religii, kulturze, moralności.

Bohdan Koroluk

*

Nawet od szeregowych członków Partii oczekuje się fachowości, pracowitości i choćby minimalnej inteligencji, ale najważniejsze jest, aby byli łatwowiernymi fanatykami i ignorantami, których najczęstsze uczucia to strach, nienawiść, uwielbienie oraz orgiastyczny tryumf. Innymi słowy, ich mentalność powinna odpowiadać potrzebom wojny.

George Orwell

*

PRL padła, bo musiała. Na szczęście. Padła, bo odbierała ludziom wolność i inicjatywę. Szczęła, bo firmowały ją buraczone, nie skażone żadną myślą tępe i nalane twarze partyjnego betonu, którym rytym życia wyznaczały egzekutywy i zjazdy.

PRL padła, bo była atrapą państwa, niezdolną do przetrwania w międzynarodowej rywalizacji, skłóconą na dodatek z własnymi obywatelami, którzy stanowią o kondycji i żywotności państwa.

Natomiast wszystko to, co można by dobrego o PRL-u powiedzieć, dotyczy tylko ludzi. Nie wszystkich oczywiście. Oni tworzyli, pisali, odkrywali ważne dla nauki rzeczy nie dlatego, że szansę dała im PRL oni czynili właściwy użytek ze swoich talentów, pomimo że żyli w PRL-u. Bo cały okres tzw. Polski ludowej, był okresem marnotrawstwa na niespotykaną skalę. Był czasem wypychania najzdolniejszych za granicę, tłumienia przedsiębiorczości i samoograniczaniem się w imię chorej doktryny. Był czasem, per saldo, bezpowrotnie dla Polski straconym. I ktoś za to ponosi winę.

Maciej Eckardt

*

Partia wie, że sama jest kościołem. Od tego, w jakim stopniu zdola skanalizować irracjonalne skłonności ludzkie i uczyć ich do swoich celów zależy jej dyktatura nad kulą ziemską i przekształcenie ludzkiego gatunku

Czesław Miłosz

*

Jeszcze nigdy w historii ludzkiego rodzaju warunki społeczne nie skumulowały tylu najgorszych cech natury ludzkiej tyle wzajemnej nienawiści, zorganizowanej zbrodni, skondensowanego przymusu i morderczej obojętności człowieka dla człowieka, jak to łatwo jest zaobserwować w komunizmie.

Leopold Tyrmand

*

Komunizm to choroba, z której nie da się wyleczyć. Na to trzeba umrzeć.

Krzysztof Kiesłowski

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

NR VII/ZIMA 2009



FELIETONY

Mariusz Kargul, Janusz Korwin - Mikke, Dominika Leszczyńska,
Joanna Rawik, Tomasz Sobieraj, Leszek Sokołowski, Adam Wielomski

NA CENZUROWANYM

"Osiemdziesiąt cztery" Karola Graczyka, Kazimierz Stolecki i Krasnegostawu rys historyczny, "Zło wcielone" Rodneya Castledena, @ntologia POSTscriptum, Nestorianie w natarciu, II Lubelskie Targi Książki, "Transatlantyk" w Kieleckim Teatrze im. Stefana Żeromskiego, wystawa "Chwile nieskończoności" Magdy Raczo-Pietraszek

ESEJE

Michał Dybaczewski, Łukasz Jasik, Dariusz Magier, Arek Stosur

OPOWIADANIA

Józef Bratko, Marcin Kowalski, Mirosław Pisarkiewicz, Jerzy Reuter, Katarzyna Ryrych, Wojciech Szmigon

KOMIKS

Dorota Zaręba



CHIMERA (WIECZNIE ŻYWA)

Wasył Stefanyk, Johannes de Silentio

DRAMAT

Irena Naumowicz

MINIATURY

Urszula Gronowska, Maria Kryńska-Szostak, Krzysztof Kwoczko, Benedykt Olszewski, Katarzyna Redmerska, Robert Rusik, Katarzyna Ryrych, Maurycy Witkowski, Joanna Zakrzewska, Agnieszka Zuchowska-Arent

ROZMOWY

Wokół inauguracyjnej sesji Niezależnego Instytutu Harmonii i Dźwięku

POWIEŚĆ

Andrzej Wielecki

PREZENTY OD LIDII ŻUKOWSKIEJ

Po raz pierwszy drukiem: wiersz Jerzego Harasymowicza oraz grafika Jerzego Skarżyńskiego

WERSZE

Jakub Antolak, Bożena Barda, Tomasz Bąk, Magdalena Błaszczak, Władysław Broniewski, Anna Buchalska, Feliks Dzierżyński, Karol Graczyk, Izabela Iwańczuk, Łukasz Jaworski, Irena Kaczmarczyk, Mariusz Kargul, Iza Kawczyńska, Beata Patrycja Klary, Robert Konca, Ryszard Kornacki, Mariusz Cezary Kosmala, Tadeusz Lira - Śliwa, Joanna Małek, Karl Heinrich Marx, Anna Michalska, Irena Naumowicz, Natalia Julia Nowak, Z. Marek Piechocki, Marzena Podkościelna, Małgorzata Południak, Artur Rogalski, Katarzyna Ryrych, Władysław Rys, Tomasz Smogór, Dorota Smułkowska, Leszek Sokołowski, Tomasz Stolecki, Arek Stosur, Karolina Sułkowska, Wojciech Szmigon, Adam Świć, Teresa Tomys, Mateusz Witkowski, Artur Wodarski, Mao Zedong

ZDJĘCIA

Joanna Bukowska, Dariusz Hankiewicz, Bogumiła Jarecka, Marek Jeżowski, Piotr Kaczorowski, Mirosław Koczko, Robert Konca, Tomasz Młynarczyk, Grzegorz Pawlak, Jacek Rzędeczko, Wojciech Szmigon, Zofia Żeleska-Bobrowski, Paweł Żochowski

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

Redaguje zespół

Mariusz Bober (promocja)
Przemysław Krupski (skład)
Dariusz Magier (proza)
Adam Świć (poezja)

Kontakt

koziryniek@rasil.home.pl
www.koziryniek.com

Wydawca

Radzyńskie
Stowarzyszenie Inicjatyw
Lokalnych
Konfraternia Koziryniek
ul. Rynek 9
21-300 Radzyń Podlaski
www.rasil.home.pl

Zdjęcia

© Radzyński Klub
Fotograficzny „Klatka”
www.rkf-klatka.art.pl

ISSN 1897-2365

Druk

AWA-DRUK
Tel. (083) 352 25 91

Nakład 500 egz.

Tekstów nie
zamówionych nie
zwracamy. Zastrzegamy
sobie prawo do skrótów
tekstów prozatorskich i
zmian tytułów.



Fot. na okładce
Tomasz Młynarczyk

Grafika na tylnej okładce:
Henryk V i papież Paschalis II.
Miniatura z początku XII w.

NA PAMIĄTKĘ

Późne popołudnie w Krakowie. Jest rok 1953, mój mąż wraca z redakcji do domu z młodym, nieciekawym mężczyzną, włosy w nieładzie. Słońce rozpala dom czerwienią. Ten młody człowiek to przyszedł wielki poeta Jerzy Harasymowicz. Po wejściu do domu okazało się, że Jerzy - bo tak już w czasie drogi zwracali się do siebie - jest poetą (to znaczy, że za takiego się uważał). Przy podwieczorku rozmowa o poezji. Wtedy wyciągnął z kieszeni pomietaną kartkę papieru, na której był napisany jego wiersz. Przeczytał go i zapytał czy to się nadaje do druku. „Mam trochę wierszy, ale nie wiem...”. Księżyc był już wysoko na niebie. Moje dzie-

cko śniło o swojej królowie, gdy Jerzy opuszczał nasz dom. Zostawił nam ten wiersz na pamiątkę niespodziewanej wizyty. Śledziliśmy losy Jerzego spotykając się w naszym domu w towarzystwie Andrzeja Bursy, Janusza Roszki, dziennikarza prozai-ka, malarza Stanisława Wójtowicza, po pewnym czasie dołączył do nas Stanisław Czycz i moja przyjaciółka Alina Kurowska (przyszła matka córki Jerzego). Wiersz pozostawiony nam na pamiątkę nigdy dotąd nie był drukowany.

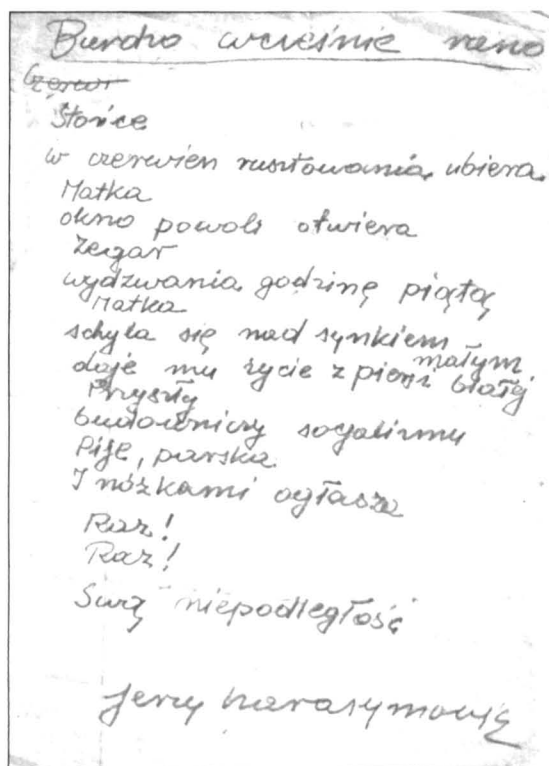
Lidia Żukowska



JERZY HARASYMOWICZ

Bardzo wczesnie rano

Słońce
w czerwien rusztowania ubiera
Matka
okno powoli otwiera
Zegar
wydzwania godzinę piątą
Matka
schyla się nad synkiem małym
daje mu życie z piersi białej
Przyszły
budowniczy socjalizmu
Pije, parska
I nóżkami ogłasza
Raz!
Raz!
Swą niepodległość





FELIETONY



LESZEK SOKOŁOWSKI

KOMUNA

Patrząc na tytuł, który jest tematem wiodącym tego numeru, dostaję zawrotu głowy. Zamykam oczy i widzę bezkresne morze w czasie sztormu, a na nim samotny biały żagiel zmagający się z żywiołem - to na pewno Lech Wałęsa. Nieodparta symbolika, nic więcej. Bez sensu.

Potem obrazy pod moją czaszką zmieniają się i siedzę pod gorejącym krzakiem paląc marihuanę w towarzystwie easy riders. Gapię się na ich harleje, które wydają mi się rumakami (niech będą dzikie mustangi) i jak można się domysleć jestem bardzo podobny do Jacka Nicolsona.

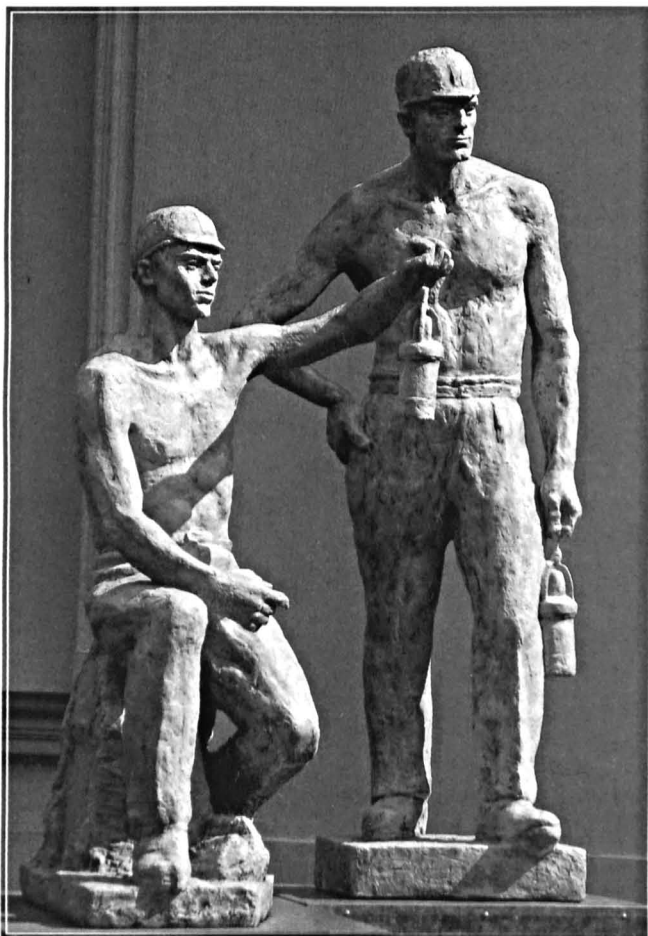
Po chwili wracam do rzeczywistości, do wspomnień, gdzie bliższa moim gustom była

wódka, produkowana w petrochemii płockiej „Vistula” i papierosy „Sport”, używki czysto słowiańskie.

Jak widać postanowiłem potraktować temat bardzo osobiście z nutką nostalgii, co pozwoli mi zastosować mnóstwo uproszczeń i skrótów. Ogólny zarys poprzez symbole, ot taka spuścizna po minionym ustroju. Kiedy mój syn rocznik 89 zapytał mnie kilka lat temu o życie w tamtym okresie odesłałem go do filmoteki Stanisława Barei, Rejsu Piwowskiego i poleciłem sztukę *Tyma Rozmowy przy wycinaniu lasu*, pomyślałem, że na początek niech będzie na wesoło. Błąd. Chłopak był zachwycony, niemal „wniebowzięty” jak Maklakiewicz z Himilsbach w jednej osobie i szczerze żałował, że tak późno przyszedł na świat. Postanowiłem zabrać go na wycieczkę na Białoruś, żeby chociaż w przybliżeniu zasmakował atmosfery ideologicznego ucisku i gospodarczych następstw jedynie słusznego ustroju. Jakież było moje zdziwienie, kiedy po powrocie wszem i wobec głosił, że bardziej interesującego kraju na oczy nie widział i tak się w tej „siermiędze” zakochał, że teraz studiuje filologię wschodnioeuropejską i uczy się języka rosyjskiego i... białoruskiego.

Muszę nadmienić, że wcześniej odbył gruntowne podróże do Hiszpanii, Francji, Szwajcarii, Włoch, Grecji i Niemiec.

Tu miałem ochotę wrócić do wspomnień, do symboli lat 70, ale wydało mi się to propagandą sukcesu. Miałem na myśli saturator, wino J 23, Pewex i godzinę 13. Łza w oku jednak się kręci. Duży rozrzut i nic na poważnie. Ciężko nam było, oj ciężko, że o kartkach na wódkę i cukier nie wspomnę. Dlaczego nic o walce podziemnej, o KOR, Solidarności, o tych łobuzach z ZOMO, o stanie wojennym? Widocznie to mnie miało na myśli ksiądz filozof Tischner pisząc o „homosowieticus”. Przytoczę tu wyniki ankiety, gdzie na pytanie: co najbardziej kojarzy ci się z okresem rozwinętego so-



cializmu? Połowa respondentów odparła: „zakłamanie”, a reszta różnie, od haseł Komuny Paryskiej, poprzez brak papieru toaletowego, do gospodarki komunalnej. Badanie przeprowadzono wśród absolwentów wyższych uczelni roczniki 54-58 wychowanych na Perfekcie, Budce Suflera, Okudźawie, Hłasce, Iredyńskim, Wajdzie, Kofcie i festiwalach opolskich.

Przyznaję, że w trakcie pisania trochę się nakręcam i mam ochotę wałnąć z grubej rury, tonem co najmniej oskarżycielskim. Tylko w kogo walić? Cofnąć się do źródeł, czy liznąć trochę po omacku? Może o wizytach Bernarda Shaw, Steinbecka i innych „intelektualistów” w Rosji, na herbatce u Stalina? Za ten cudzysłów może mi się dostać, a co tam!

Dużo światłych umysłów uległo ideologii lub jej materializmowi, to jakoś nigdy z sobą się nie gryzie, i co z tego? Zmienisz pan naturę człowieka, zmieniając świat? - zapytał mnie kiedyś sąsiad, który siedział w więzieniu w czasach Gomułki, Gierka i Mazowieckiego. Za Tuska też będzie, gdyż jak mało kto jest wierny swoim poglądom. *Panta rhei?*, moi drodzy, spójrzmy chociaż-

by na ostatnie kilka lat, na przeobrażenia w naszym kraju, nie wszystko jest takie „*panta rhei*”, Heraklicie. Pozdrawiam rocznik 58, czołem weterani!

A na koniec osobista, nostalgiczna lista skarbów utraconych:

- adapter „Bambino”
- koncert „Rolling Stones” w Sali Kongresowej
- radio „Wolna Europa”
- saturatory uliczne (woda z sokiem lub czysta)
- dancingi
- pralka „Frania” (uniwersalny silnik)
- komiksy z kapitanem Żbikiem
- marzenia o wizie do Ameryki (zobaczyć w końcu Murzyna)
- czechosłowacka i rosyjska kinematografia zaangażowana, czyli artystyczna
- mundial 1974 RFN
- Pola Raksa, czyli Marusia
- kabarety „Owca”, „TEY” i „Pod Egidą”.
- ostatnia strona „Trybuny Ludu”
- pierwsza pocztówka grająca z zakazanym francuskim utworem o akcentach pornograficznych *Kocham*.



IZABELA KAWCZYŃSKA

Do córki bez ojca

Łapiesz oddechy, zaślinione ryby. Niech płyną płytko, niech kwitną, bo płuca są kwiatem; dorośniesz, zobaczysz. To chyba moja wina. Nigdy nie byłam w tym dobra. Te wszystkie kulki, pigułki, lekarze pochyleni nade mną jak rzemieślnicy nad truchłem. Specjaliści od brudnej roboty, którzy całują wypchane zwierzęta, szorstkie jak wargi porzuconych kobiet. Śmiesz cię guzik od męskiej koszuli. Widzisz, to jednak moja wina. Gumowe kaczki nad trumną kołyski zabawnie rzeżą i piszczą.

Zaciskasz palce w senną, ciepłą piąstkę. Spróbuj zrozumieć, nie byłam w tym dobra. Nie założyłam bielizny z muslinu. Z sufitu gapiły się zmarszczone mordy tresowanych psów. Twój ojciec był wieprzowiną, czerwonym, tłustym królem, a ja, zrozum, jestem zmęczona. Jest bardzo późny wieczór i wszystko pomyliłam. Kiedyś zapytasz i będę milczeniem, ale tej nocy będziemy spać razem, przytulone jak ciepłe, senne chrząszcze. Twoje źrenice, staromodne lustra, błyszczą i odbijają.



WOJCIECH SZMIGON

Podróż do Vernara

Ważne jest żeby przed podróżą
na progu lęków
pożegnać jakieś stare
dziwnie ważne sprawy

Wytłumaczyć się jeszcze
zmęczonym fantazjom
Wychodząc nakarmić psa
strzępami własnej psyche

Tutaj ktoś już nazwał noc nocą
ktoś inny opisał żrenice Słońca
stał się bogiem lub przeznaczeniem

Tam raz tylko dotykając skał
cały świat stwarzamy od nowa

Wejdzmy w niezwykle czas
pojmowania spojrzeń tysiąca twarzy
kutyh kredowym piaskowcem

Nocami na dnie suchego basenu
medytujemy szalonym szeptem
kolejny raz przenosząc się
do raju karpackich drzew



Robert Konca

Zielony akwedukt

Tam pośród traw zielonych żyją magiczne budowle
splątane nieruchomym powietrzem Niżnych Tatr
Samą wyrozumiałością się stając dają nam bezmiar
samotnych dróg naszego symetrycznie ludzkiego świata

Tam całymi stadami chodzą po nas białe owce chmur
dojrzewają *holki* wrzucając słowa w zjawisko zmierzchu
a dzwony śpiewają kościołem i cerkiew wstaje świtem

Pomiędzy nami wciąż zasiadają tylko dobrzy ludzie
zamyśleni historiami o *telgardzkich niedźwiedziach*
spią beztroskim rajem w brzuchach *Smaśnych Mnichów*



DOMINIKA JESZCZYŃSKA

PAMIĄTKA WOJEN

Mój ojciec często powtarza, że w przedmiotach tkwi pamięć, a ich historie ściśle związane są z ludźmi, którzy odeszli. Meble, obrazy, książki, filiżanki, sztucce, lampy okazują się trwalsze od nas samych. Kiedy zdamy sobie z tego sprawę, nobilitujemy je do rangi pamiątek rodzinnych, które nadal będą obrastały historią, niekiedy legendą. Jeżeli jednak dopuścimy do tego, by czas zatarł patynę pamięci na tych przedmiotach, staną się jedynie srebrną łyżeczką, starym zegarem, a w najgorszym wypadku bezużytecznym rupieciem.

Mosiężny kubek z uchem również ma swoją opowieść. Nie budził mojego zainteresowania dopóki wśród grawerunków nie dostrzegłam daty 1926 i inicjałów ИФМ. Poza tym na spodzie kubka ktoś niezdarne wygrawerował w języku rosyjskim: КВЛЫК ПАМЯТЬ ВОЙН. 1914г. 15-16-17-18-19-20г. Widać przez kilka długich lat dzielił on dole i niedole swojego właściciela towarzysząc mu w okopach pierwszej wojny, a później odmierzając czas konfliktu polsko-bolszewickiego. Po wstępnych oględzinach, jakiś zawodowy wojskowy stwierdził, że naczynie zostało wykonane z łuski pocisku armatniego. My na szczęście wiemy o nim trochę więcej.

Było to zaraz po roku 1956. Kubek przywiózł z zesłania Mikołaj Aleksandruk. Jako repatriant zjawił się w nieistniejącej już kamienicy moich dziadków w Międzyrzecu Podlaskim. Miał przy sobie nakaz zakwaterowania wystawiony przez tamtejszy urząd meldunkowy. Jakimś przedziwnym zbiegiem okoliczności na przedwojennej fotografii mojej babci, wykonanej w szkole położnych w Warszawie, rozpoznał ukochaną żonę Jadwigę. Od tamtej pory często pukał do mieszkania gospodarzy, siadał w kącie i godzinami wpatrywał się w pożółkłe zdjęcie. Wkrótce okazało się, że Jadwiga żyje, ale przekonana o śmierci Mikołaja ponownie wyszła za mąż. Pracowała w



Instytucie Gruźlicy na ulicy Płockiej 26 w Warszawie. Po śmierci drugiego męża zabrała Aleksandrka do stolicy, gdzie wkrótce zmarł. Jadwiga do końca lat 60. przysyłała moim dziadkom kartki z pieszych pielgrzymek do Częstochowy. Odbywała je w dowód wdzięczności za ocalenie i powrót męża.

A kubek? Opowiadano, że gdy Mikołaj wyprowadzał się z Międzyrzeca, zabrał ze sobą wszystkie nagromadzone przedmioty, nawet te całkiem bezużyteczne. Zostawił jedynie mosiężny kubek. Kiedy Leszczyńscy weszli do jego pokoju stał w widocznym miejscu, jakby rozmyślnie pozostawiony. Kubek „Pamiętka Wojen” należał ponoć do towarzysza niedoli Mikołaja, nieznanego z imienia i nazwiska ИФМ, który nie doczekał wyzwolenia z gułagu i spoczął gdzieś na „niehumanitarnej ziemi”.





RYSZARD KORNACKI

Baśń fryzjerska z PRL-u

W małym miasteczku
obok ryneczku
biegnie ulica Lubelska.
A obok rzeczki zakład niewielki
i mistrz nad mistrze
fryzjerski.

Zgrabne nożyce
tną krucze loczki,
drapią grzebienie z mozołem.
A ścięte włosy
sypią się wkoło,
rozmowy też idą
kołem.

W oknie jak w kinie
życie wciąż płynie.
Można oglądać do woli.
Wtem... nagle widzisz
jak rusza z wolna
spragniony tłum
Monopoli.

Trzynasta właśnie
zgrabnie wybiła.
Puściły szwy hamulcowe.
Ławą panowie,
bo krzyk też zdrowie,
dziś najważniejsza siła.

Lud pracujący,
ściśnięte pięści
każdy się ostro rozpycha.
Do wody życia
pragnienie pali.
Tam niepotrzebna
zagrycha.

Jajko zielone
w pół przekrojone,
dodatek – serek z dziurami.
Kładzie na ladzie,
z tapirem włosów
peerelowska pani.

Morał nie zwodzi
i sam przychodzi
bez poganiania i prośby,
a refren słodki:
my młodzi, my młodzi
nikomu dziś nie szkodzi.

To nadzwyczajne

To nadzwyczajne –
powiedziałaś wtedy
zmęczoną twarzą,
okraszona jedynie
bolesnym uśmiechem,
kładąc na stole
okruchy wczorajszego
dnia.

To nadzwyczajne –
potwierdziłaś mówiąc:
„Udało mi się
bez kartek,
bez tasiemca kolejki,
bez krzyku
wstydlivej znajomości
i świecenia oczami
zakupić
Twój banalny
Przysmak”.

To graniczyło z cudem

Międzyrzec Podlaski, grudzień 1981 r.



ADAM WIELOMSKI

OKIEM NEOWIEŚNIAKA

POPRAWIANIE NATURY RZECZY

Wiele wskazuje na to, że dochodzimy do spełnienia projektu nowożytnego, czyli zbudowania świata absolutnie racjonalnego, wolnego od przesądu i mitu, gdzie hegloowski Wszechmocny Rozum inkarnowany w Państwie Europejskim (marzenie Kojeve'a!) będzie regulował całe życie społeczne i polityczne; gdzie biurokratycznej i fiskalnej kontroli poddane zostaną najdrobniejsze szczegóły naszego życia. Będziemy ochipowani, kamerowani, nadzorowani i kontrolowani.

Jeden z polityków prawicowych powiedział kiedyś, że do słowa „prawica” powinno się dodawać przymiotnik „naturalna”, tworząc w ten sposób zbitkę „prawica naturalna”. Chodziło mu przy tym o to, że to, czego prawica broni, to naturalny porządek rzeczy. Dlatego prawica bez wahania uznaje, że kamień rzucony w górę, gdy wytraci początkową szybkość wyrzutu, spada z powodu przyciągania ziemskiego. Tymczasem lewica - która naturę permanentnie chce poprawiać - protestuje przeciwko naturze i przeciwstawia jej sztuczne artefakty stworzone przez odizolowany od rzeczywistości ludzki intelekt. Lewica jest więc zdolna zaprotestować przeciwko spa-

daniu kamieni, o ile uzna, że np. postęp wymaga, aby kamienie nie spadały.

Piszę te oczywistości, gdyż właśnie szykuje się gwałt na naturze. Jeśli ktoś gdzieś gwałci naturę rzeczywistości, to nasze skojarzenia oczywiście idą w kierunku Unii Europejskiej, gdyż kontynent europejski od 1789 roku stał się jednym wielkim artefaktem, zbudowanym na gwałceniu natury rzeczywistości. To dlatego jakże znakomicie świat po roku 1789 Joseph de Maistre nazwał „schizmą bytu”. Wyraży i efekty tej schizmy możemy obserwować dosłownie wszędzie dookoła. Schizma ta w 1789 roku nazywała się „Rewolucja”, potem przeistoczyła się w „liberalizm” i „demokrację”, potem „komunizm” i „fasyzm”, aby dziś spokojnie ustabilizować się jako „socjaldemokracja”.

Angielski historyk Taylor w swojej historii Anglii opisał takie oto życie: „rozsądny i przestrzegający prawa Anglik mógł spędzić życie niemal nie dostrzegając istnienia państwa, jeśli pominąć urzędy pocztowe i policję (...). Nie miał żadnego oficjalnego numeru ani dowodu tożsamości. (...) Mógł podróżować za granicę bez paszportu. (...) Płacił bardzo skromne podatki (...) nie prze-



kraczące 8% dochodu narodowego" (cyt. za: G. Sartori, *Teoria demokracji*, 1994, s. 466-67). Ktoś czytający dziś te słowa zapewne powie, że „ci konserwatyści to zawsze żyją jakimiś bajkami. Świat średniowieczny się skończył 500 lat temu i trzeba powrócić myślami do rzeczywistości, a nie marzyć o archaizmach”. Jeśli ktoś z Czytelników tak sobie pomyślał czytając te słowa Taylora, to przyznam, że z cytatu tego uciąłem pierwsze słowa, które brzmią: „aż do sierpnia 1914 roku”. Tak, tak proszę Państwa, tak wyglądał świat jeszcze 94 lata temu! Najstarsi ludzie doświadczyli tamtej rzeczywistości w swoim dzieciństwie! To było możliwe za naszych pradziadków, ale czy jest możliwe nadal?

Mam dla Czytelników złą wiadomość: wiele wskazuje na to, że nasze prawniki za kolejne 94 lata nie będą umiały sobie wyobrazić świata naszych swobód i wolności, gdyż będzie dla nich rzeczą całkowicie normalną i oczywistą, że wszyscy ludzie będą mieli chipy i będą gromadnie śledzeni przez wielkie satelity. Ich pracodawcy i kontrolujący ich urzędnicy będą 24 godziny na dobę mogli ustalić miejsce ich pobytu z dokładnością do 1 metra. Nie będzie już odpowiedzi, gdy zadzwoni telefon od szefa że „zepsuł mi się samochód” lub „wyszedłem służbowo”. Szef włączy GPS i ustali, że jesteśmy w sklepie obuwniczym po drugiej stronie ulicy. Wtedy włączy sobie podgląd kamery w konkretnym sklepie, wypatrzy swojego pracownika i wyśle mu smsa-video z kategorycznym żądaniem natychmiastowego powrotu do pracy.

Być może, że nasze prawniki pozazdroszczą nam papierowego pieniądza, który możemy wydawać bez nadzoru państwa, podczas gdy oni będą znali wyłącznie elektroniczne karty kredytowe, a centralny komputer będzie rejestrował wszelkie dokonywane przez nas operacje, naliczając VAT i inne podatki. Nie ukryje się przed nim żaden dochód, żaden dodatkowy zarobek. W tym świecie nawet psy i koty będą obowiązkowo ochipowane i wszystkie dane o nich znajdą się w megakomputerze, który odprowadzi za nie właściwe podatki z konta właścicieli, przypomni o obowiązkowym szczepieniu, badaniu, odrobaczaniu itd., naliczając natychmiast stosowne kary za zwłokę.

Czy nasze prawniki będą wolnymi ludźmi? Ależ oczywiście. Przecież będą „wolne wybory”! Raz na 4 lata nasze prawniki bę-

dą głosować zapewne za pomocą Internetu i demokratycznie wybierać skład Parlamentu Europejskiego, ewentualnie skład lokalnego Sejmu, zajmującego się sprawami terytorialnymi, oczywiście w ramach prawa naznaczonego przez Rząd Europejski. W ten sposób nasze prawniki będą mogły decydować o sprawach ogólnounijnych, czerpiąc informacje o polityce z telewizji interaktywnej i mając do wyboru dwa kanały informacyjne, czyli np. TVN i TVN24, co zapewni dostateczną dozę politycznego i światopoglądowego pluralizmu. Kierując się tymi informacjami, nasze prawniki będą mogły dokonać strategicznych wyborów politycznych, decydując czy powierzyć władzę Partii Demokratycznej czy SLD. Innych opcji nie będzie, bo jako „ksenofobiczne” zostaną zakazane przez Trybunał Praw Człowieka.

Wiele wskazuje na to, że dochodzimy do spełnienia projektu nowożytnego, czyli zbudowania świata absolutnie racjonalnego, wolnego od przesądu i mitu, gdzie heglowski Wszechmocny Rozum inkarnowany w Państwie Europejskim (marzenie Kojeve'a!) będzie regulował całe życie społeczne i polityczne; gdzie biurokratycznej i fiskalnej kontroli poddane zostaną najdrobniejsze szczegóły naszego życia. Będziemy ochipowani, kamerowani, nadzorowani i kontrolowani. Wszelka pozaseksualna swoboda jednostki będzie podejrzana i uznana za „nieracjonalną”. Dlatego nasze życie będzie kontrolowane i monitorowane. Na wszystko będzie trzeba mieć zgodę i koncesję, choć załatwienie tego nie będzie tak czasochłonne jak dziś, gdyż wszystko załatwimy przez Internet. Będziemy jednak „wolni”, gdyż racjonalistyczny system zostawi nam wolność głosowania. Oczywiście scena polityczna zostanie przedtem starannie „uporządkowana” i siły „skrajne” zostaną albo zdelegalizowane, albo nieznosnie sportretowane w mediach tak, że nikt nie będzie na nie głosował.

Przy tym nikt nie będzie tu nikogo mordował czy wsadzał do więzień. Cały świat będzie jedną wielką celą więzienną pod nadzorem kamer, a my wszyscy będziemy zgodnie kochali Wielkiego Brata, gdyż spełnienie projektu nowożytnego nie wymaga wymordowania opornych - wymaga jedynie unifikacji myślenia, unifikacji działania i łagodnej kontroli...



IRENA KACZMARCZYK

Sprecyzuj

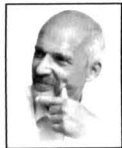
sprecyzowałabym tylko ta mgła uparcie
wciska się w temat zaciera
kontur słów (nawiasem mówiąc
dodaje im uroku) zawsze lubiałam
niedookreślenia mówili do mnie
sprecyzuj myśl tylko ja nie lubiałam
nigdy precyzować bo
co sprecyzowane to zbyt oczywiste
jak moja twarz na zdjęciu do
dowodu tożsamości

X X X

moja Mama
jak dmuchawiec
chwieje się
na wietrze
bezlistna łodyżka
z trudem dźwiga
białą koronę

Codziennie mijam kobietę

jakby worek z deszczem wlokła
w zatrzaśniętych ustach
ani jednej zgłoski
tajemniczy skobel
oczy za drewnianymi powiekami
mijają pomijają
tylko ta dwójka dzieci z tornistrami
które prowadzi za rączki
bawią się piłką słońca
lubię jak krzyczą do mnie z daleka
dzień dobry dzień dobry pani



JANUSZ KORWIN-MIKKE

Z ARCHIWUM JKM

MARSZ NA KONIKACH

Publicyści zazwyczaj zajmują się albo straszaniem ludzi - albo, wręcz przeciwnie, tłumaczeniem im, jacy to oni są wspaniali i jak wszystko w ogóle świetnie działa i jeszcze świetniej działać będzie. W tej chwili jednak dzieją się rzeczy dziwne: ja bowiem straszę Państwa, że idziemy w stronę coraz większego socjalizmu, który zdusi nas do imentu, zgodnie ze słowami śp. Aleksandra hr Fredry:

*Socjalizm każdemu równo nosa utrze:
Bogaty ch zdusi jutro - a biednych: pojutrze...*

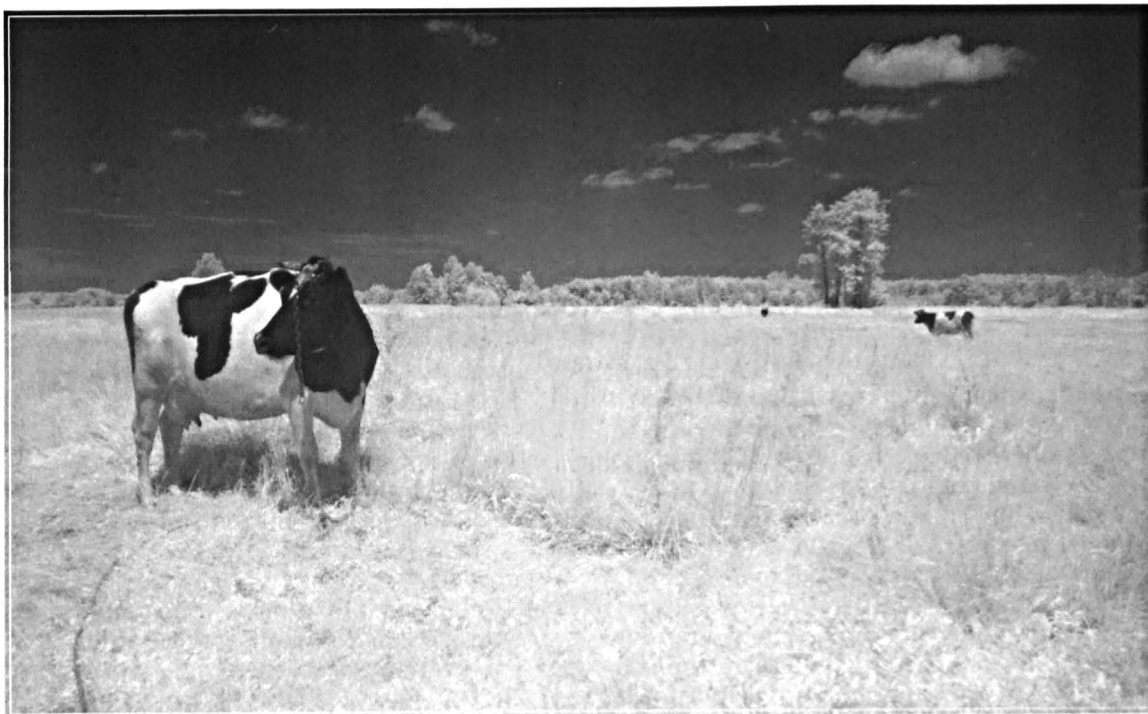
- natomiast moi anty-koledzy socjaliści, zamiast z tryumfem tłumaczyć Państwu, że idziemy w stronę coraz większego socjalizmu, więc będzie niebiańsko świetnie - straszą, że idziemy w stronę kapitalizmu, więc niechybnie nadciągnie jakieś niesamowite nieszczęście. Jak więc widać, obecnie w modzie jest wyłącznie straszenie. Trzeba tylko rozstrzygnąć, czym straszyć: socjalizmem - czy kapitalizmem? Tego nie

da się rozstrzygnąć teoretycznie, potrzebne jest rozejrzenie się po świecie. Rozejrzyjmy się więc.

Oto prasa doniosła, że niejaki p. Izmael Bhamjee (najprawdopodobniej Hindus; w Afryce Południowej Hindusi pełnią te same funkcje, co u nas Żydzi) zrezygnował z wszelkich funkcji w federacji piłkarskiej Botswany, a FIFA nałoży nań jeszcze jakąś karę. Za co? Za to, że „nielegalnie” sprzedał 12 karzetów na mecze *Weltmeisterschaftu* po cenie dwa razy wyższej niż oficjalna.

Otóż, proszę Państwa, w normalnym (czyli kapitalistycznym) kraju każdy ma prawo swoją własność sprzedać komu chce - i za ile chce. Natomiast w krajach komunistycznych, oczywiście, nie wolno. Sądę, że niektórzy pamiętają jeszcze jak prasa PRL i Milicja Obywatelska walczyły z „konikami” sprzedającymi przed kinami bilety i pięć razy drożej, niż cena w kasie...

Jak widać, komuna panoszy się w najlepsze! I to nie u nas, tylko w Niemczech. Nic dziwnego, że wzrost gospodarczy landów oku-



powanych przez RFN jest praktycznie zerowy. Jedynym pytaniem jest: czy to euro-kracja brukselska narzuca Niemcom ten nieludzki ustrój - czy, przeciwnie, Niemcy, które pierwsze w świecie (Otto von Bismarck!!!) zaczęły budować *Kathedersozialismus* i wybudowały nawet jedną dość sprawną jego wersję, czyli hitleryzm, obecnie jako najsilniejsze państwo Wspólnoty Europejskiej narzucają ten Najlepszy Na Świecie Ustrój innym krajom Wspólnoty Europejskiej?

Idziemy w stronę socjalizmu - a, jak tuzin lat temu napisałem w bodaj „Tygodniku Cieschanowskim” (rozbudowując tylko stary slogan libertarian) generalnie działanie różnych ustrojów można zilustrować tak:

- maoizm: mam trzy krowy; rząd zabiera wszystkie, zabija i mięso dzieli po równo.
- komunizm: mam trzy krowy; rząd zabiera je do kołchozu, gdzie zdychają.
- narodowy socjalizm: mam trzy krowy; rząd zabiera dwie i zamienia je na armaty.
- faszyzm: mam trzy krowy; rząd ustanawia cenę maksymalną na mleko, a krowy każe

zakolczykować, bym ich nielegalnie nie zjadł.

- socjalizm: mam trzy krowy; rząd odbiera mi pod przymusem mleko, które potem mogę kupić w państwowym sklepie na kartki.
 - socjaldemokracja: mam trzy krowy; rząd skupuje ode mnie mleko i rozdaje za darmo w szkołach, gdzie dzieci wylewają je do zlewu.
 - państwo opiekuńcze: mam trzy krowy; muszę sprzedać jedną, by starczyło na badania weterynaryjne i podatki od dwóch pozostałych.
 - euro-socjalizm: mam trzy krowy; rząd każe mi zabić jedną, bo krów jest za dużo – i drugą, bo krowa sąsiada jest chora na pryszczycę.
 - kapitalizm: mam trzy krowy; sprzedaję jedną i kupuję byka! I dotyczy to również biletów na Weltmeisterschaft: „Mam dwanaście biletów, sprzedaję jedenaście i zajeżdżam na stadion Mercedesem”.
- Ba! W wolnym kraju tak można robić. Ale czy to się u nas przyjmie?



MAO ZEDONG

Czangszy

*Stoję samotny w chłodny dzień jesienny,
Rzeka Siang wolno zmierza ku północy
(...)*

*Bywałem tu już dawniej z przyjaciółmi.
Pamiętam dobrze te niełatwe lata,
co upływały w gronie towarzyszy*

ze szkolnej ławy.

*Prawi i oddani, pragnęli służyć ideałom szczytnym.
Kochali książki, tyranią gardzili,
I rozprawiali nad przyszłością kraju
W imię prawd nowych*

Mao Zedong (1893) - znany chiński poeta dwudziestowieczny, popularny wśród intelektualistów Europy Zachodniej. Zmarł w 1976 r.



ARTUR WODARSKI

lenistwo (sposób na życie)

tamten wieczór w ogrodzie i nasłuchiwanie
jak zbliża się jesień. ostatnie strzyżenie trawy

i opadanie liści powolnie spopielanych przez ogień.
pachniały jabłka schowane przed pazernością słoików

gruszki wdychały leniwie soczyste ciepło nadchodzącej
nocy a drzewa falowały w rytm tykającego z opóźnieniem

zegara. siedziałem wsparty o dębowy blat stołu z uchem
przy jego oddechu i nie mogłem zrozumieć skąd w nim

tyle życia. ziemia kręciła się ani trochę nie zwalniając
ja kręciłem się razem z nią nie próbując niczego zmieniać.

potem pojawił się księżyc i niezmacona niczym pewność
że właśnie to chciałbym robić przez kolejne dwadzieścia lat

moje zimy nie różnią się od twoich

grudniowy poranek w toronto:
ty jak posąg na trzydziestym piętrze
wtopiony w szkło jak kostka lodu w szklankę wódki.
ptaków tu jakby mniej i niebo inaczej oddycha
i tylko kac przypomina że wczoraj miało jednak miejsce.
dym się unosi i opada.za oknem defilada pingwinów
i tylko wróblom nie służy tutejsze powietrze.

u mnie już luty.
w doniczkach ziarenka których nikt nie podlewa.
na wyciągnięcie ręki start samolotu i opuszczony dom
śniący o ogniu w kominku i o kocie którego nie ma.
ptaków już więcej tylko to powietrze bardzo podobne
jakby przyklejone siłą do nieba.
ale to akurat nie boli.
zamarzanie boli.
i tylko to



MARIUSZ KARGUL

MAGIA ŚWIĄT W TRYBACH STRATEGII MARKETINGOWEJ

Pewien znajomy poeta (Henryk Radej z Chełma) zakomunikował niedawno na swoim blogu, że zamierza w tym roku nie kapitułować przed sztucznie rozdmuchiwanym od początku listopada „szaleń przedświątecznym”. Zapowiedział solennie, że choćiną ubierze w samą Wigilię, pierwszą kolędę zaśpiewa po ukazaniu się pierwszej gwiazdy na niebie, a wszelkie życzenia świąteczne, które dotrą do niego grubo przed czasem, po prostu odesła nadawcom. W takim podejściu tkwi spora doza racji i przywiązanie do ginących – nierzadko bezpowrotnie – tradycji i obyczajów.

Nie trzeba być specjalnie spostrzegawczym i byстрыm obserwatorem, by zaraz po Wszystkich Świętych nie zauważyć zmiany wystroju witryn sklepowych i dekoracji naszych ulic i placów. Wielu ludzi tkwiących mentalnie nadal w atmosferze zadumy i nostalgii, zaraz po Zaduszkach, zostaje nagle zaskoczonych sztucznie „generowaną” atmosferą poprzedzającą Święta Bożego Narodzenia. Jesteśmy po prostu bombardowani wszelkiego typu reklamami we wszelkich dostępnych mediach, które sugerują nam, że Święta są tuż, tuż, a ten kto nie zrobi przed nimi astronomicznych zakupów i zapasów, co najmniej jak przed epoką lodowcową, zostanie wyrzucony poza nawias cywilizowanego społeczeństwa. Presja społeczna nakręca się niejako samoczynnie. Nie wypada przecież zaprezentować się gorzej od sąsiada. W najlepsze sprawdza się staropolska zasada: „postaw się a zastaw się”. Świat być może przeżywa teraz kryzys gospodarczo-finansowy, ale instytucje zajmujące się udzielaniem „taniach” kredytów i „szybkich” pożyczek, zaczynają przygotowania do „sezonu żniwnego”.

W epoce, w której wszystko można kupić i sprzedać, Święta stały się jeszcze jednym okresem, na który przygotowuje się specjalne strategie marketingowe. Sytuacja

zaczyna przypominać rynek mody, gdzie kolekcje na poszczególne części roku planowane są już z kilkuletnim wyprzedzeniem. Można też dokonać całkiem uzasadnionego porównania do wielkiej sceny teatralnej, z której poszczególne dekoracje znikają zaraz po zakończeniu jednego show, aby błyskawicznie ustąpić miejsca kolejnemu. Nie ma więc żadnego płynnego przejścia, okresu przygotowań i prób, czasu zmuszającego do refleksji i „przystopowania”.

A co się dzieje potem? Święta rzecz jasna nadchodzą i to tak szybko, że ledwie jesteśmy w stanie to dostrzec. Wigilia upływa jak



zawsze, Boże Narodzenie i dzień Św. Szczepana mijają pośród zdawkowych komentarzy i męczących odwiedzin, kto ma siły wychodzi na krótki spacer, a kto nie daje rady, przeżuwa bezmyślnie dawkę corocznej „papki” telewizyjnej, serwowanej przez stacje państwowe i komercyjne. Myśli biegną już ku imprezie sylwestrowej. Mnożą się znaki zapytania, czy uda się w tym roku w pozycji względnie spionizowanej doczekać do północy, czy też nie pozwól gastyko, po raz kolejny przyjdzie zasnąć z twarzą w śledziku, albo jeszcze gorzej – w objęciach muszli klozetowej. Nowy Rok witamy starym jak świat bólem głowy i żołądka, włączamy telewizor, a tam... rażno buszujące w zielonej trawce zające i zadziorne kurczątko dają nam jasno do zrozumienia, że lada chwila Wielkanoc i czas szykować święconkę.

Cały problem rozbija się chyba o to, że w tym naszym godnym pożalowania postindustrialnym świecie wszystkiego jest za dużo i wszystko można zbyt łatwo osiągnąć. Za odpowiednią cenę dostaniemy całe gotowe zestawy świąteczne, łącznie z humanitarnie ubitym karpem i Świętym Mikołajem respektującym wszelkie dewiacje i zachcianki obdarowywanej osoby. Prezenty

czekają już zapakowane na swych nowych właścicieli, kurierzy uwijają się w pocie czoł, by tylko na czas dostarczyć je do odbiorców, aromat prawdziwej choinki zastępuje świerkowy odświeżacz powietrza, a blask świec imitują energooszczędne żarówki w lampkach i żyrandolach.

Z jednej strony to może i dobrze, że są całe zastępy ludzi, którzy zawodowo zajmują się „nakręcaniem” Świąt. My tacy przecież zaganiani i zapędzeni w ślepy cywilizacyjny zaułek, gdzie nie ma już miejsca na bezruch i produkcję przypominającą staroświecką manufakturę. Teraz seryjnie da się produkować „oryginalną” sztukę ludową bądź naśladować folklor w cyfrowej bądź jeszcze bardziej HD jakości. Gdzieś tam w mroki niebytu odchodzą dawne wierzenia i wartości, które nakazywały nam choćby tylko próbować zmieniać swoje życie właśnie w tym jednym wyjątkowym czasie w roku. Kto godnie i szczerze chciał brać udział w świętowaniu Bożego Narodzenia, musiał najpierw oczyścić się z moralnego brudu, który oblepił go twardą skorupą przez ostatnie miesiące. Po coś jednak ustanowiono Adwent, nie tylko w celu zadawania pytań, co można i ile można w jego okresie spożywać, ale także dlaczego nie można?

Dawniej na Święta, i to nie tylko Bożego Narodzenia, oczekiwało się w atmosferze narastającej nadziei i radości. Oczekiwano po nich, a co rozumniejsi po sobie, istotnych zmian mających nadejść w życiu. Każdy świętował tak, jak pozwalały mu na to panujące warunki. Nawet jeśli ktoś był bardzo zapracowany, wiedział że kiedy jak kiedy, ale w Święta oddaje się całego siebie Bogu i rodzinie. Relatywizm moralny stał się prawdziwym przekleństwem wolnego człowieka. Nie chodzi wcale o to, by ślepo poddawać się jakiejś ideologii lub wierze, ale przynajmniej mieć swoje wewnętrzne granice, których w pewnych okresach przekraczać po prostu nie wolno.

Dzisiaj niemal wszystko mamy gotowe i podawane jak na tacy. Jeśli czegoś nie wiemy, zasiadamy przed komputerem i spraw-



dzamy w Internecie. Dobrze, że nie da się – przynajmniej na razie – odczuć w ten sposób niepowtarzalnego klimatu wytwarzającego się na przykład podczas Pasterki. Wyprawy do lasu, rzecz jasna legalnej, po „zielone drzewko” też nie można zastąpić wyjazdem do centrum handlowego. Trzymamy się kurczowo naszego stanu posiadania. Z drżeniem serca uchylamy drzwi przed nocnym pukaniem. Ciekawe w ilu jeszcze rodzinach kładzie się dodatkowe nakrycie dla niespodziewanego gościa, a w ilu tak naprawdę zaprosiłoby się go do wigilijnego stołu? Przedświąteczny tłok na ulicach miast i ścisk w super- czy hipermarketach nie skłaniają zbytnio do intymności i wzajemnego zbliżenia. Biegamy zziębnięci od jednej promocji do drugiej, by potem szybko dopaść kasy i ulotnić się objuczeni dziesiątkami pakunków z tego handlowego piekielka.

W takich momentach, zamiast ćwiczeń zen, wolę wyobrażać sobie dni poprzedzające Boże Narodzenie kilkadziesiąt lub kilkaset lat temu, kiedy człowiek jeszcze w jakiś sposób zależał od przyrody i praktycznie wszystko musiał wykonywać własnoręcznie. Nie było mowy o tym, że coś da się zrobić szybko i „taśmowo”. Taśma, podobnie jak nie tak znowu dawno sznurek do snopowiązałki, były towarami deficytowymi i ciągle poszukiwanymi.

Żaden kaloryfer i żadna klimatyzacja nie zastąpi ciepła wytwarzanego przez prawdziwy kominek i kochającą się rodzinę. Jeżeli dodatkowo pojawi się problem z aurą, bo zamiast chociaż namiastki zimy ze śniegiem i lodem, mamy jakiś wietrzno-deszczowy surogat, najlepiej nastawić sobie płytę z „dźwiękami bieguna północnego” i oddać się lekturze poniższego fragmentu *Na wysokości połoninie* Stanisława Vincenza (z tomu *Prawda starowielu*):

„Odzywa się na uroczystości świąteczne: na Boże Narodzenie, na Święty Wieczór i podczas Pasterki przez całą noc rozbrzmiewa rozgłosnie po górach z chaty do chaty, a głos przelatuje przez niedostępne i zaśniewane puszcze. Chadza za kołędnikami, którzy ze światłem i muzyką wspinają się



📷 Mirosław Koczkodaj

po wąskich i stromych ścieżynach. Góry i puszcze drzemią zacisznie uśpione w śniegu, a głos skrzypceczek wnikliwie wije się wśród nocy. (...)

Kołęda potęguje ten spokój snu zimowego i wzmacnia poczucie błogiego bezpieczeństwa.

W Święty Wieczór jest tak, jakby się leżało na łonie Bożym. Czas się zatrzymał. Świat i Bóg jest tak dobry, że nawet Archijudę, wodza czortów, Archanioł spuszcza z łańcucha, aby się poprawił. I ludzie nie boją się go wtedy, zwłaszcza, że kołęda broni wsi przed jego mocą”.

Tyle Stanisław Vincenz. Każdy ma w życiu swoje Betlejem, swoją Drogę Krzyżową i Wzgórze Czaszki. Misterium narodzin, żywota i śmierci przebiega nieodmiennie od początku świata. Zmieniają się tylko dekoracje i względne poczucie jego wartości w oczach moderatorów podaży i popytu.





DOROTA SMUŁKOWSKA*

Odnaleźć siebie

Wśród trudów codzienności
i błahości życia
Ja - niewinny szczegół
cóż mam do ukrycia?! (zielony)

Szukam wartkich ścieżek
choć tkwię na rozdrożu,
siebie nie poznając
przeglądam się w morzu (słonym)

Z czasem wciąż wojuję,
ostre cięgi zbieram
Los jak ciężka cegła -
na niej się podpieram (gdy upadnę)

Źle splecione dłonie -
lód na moją duszę
Uczucia niepewne,
ciepło zdobyć muszę (wykradnę)

Wtedy też uwierzę
prawdziwie i szczerze,
że to ja prawdziwa
naprawdę szczęśliwa (wspaniała)

Klucz do życia w dłoni
W zwycięstwa koronie,
po kobiercu marzeń
tak mi przyszłość karze (Wygrałam!!!)

Głupota

Przychodzi znikąd ta nieznajoma
Choć nikt jej nie chce to czasem ja ma
Pozbyć się tego - wszystkich marzenie
Że proste nie jest każdy wie, że nie
Często nas wpędza w zakłopotanie
Ta złudna „mądrość”, roztropność ta - nie!
Chcąc ją wypędzić jak złe pragnienie
Widzisz jak wraca do Ciebie - Nie! Nie!
Jak zły sen - mara w duszy cię gniecie
I jak osikę do gruntu gnie Cię
Przy niej nad głową zbierają cienie
Gdy opuszczeniu powiada: Cię? Nie!
I to życiowa jest katastrofa
Gdy z nią za strofą płynie ta strofa
A Ty chcesz leku co by kojać
Wpłynął na kogoś, by zabrał ja, co?
Może by znalazł się gdzieś mężczyzna
Co by jej dopiekl. Ale ją czy zna?
Stłamsił i związał, skuł obrączkami
Przydałaby się „złota rączka” mi
By nie dusiła mych mądrych myśli
Takie pragnienie dzisiaj się mi śni.

* - wyróżnienie w kategorii POEZJA w „Chichocie Chimery 2008”



TOMASZ SOBIERAJ

PRZECIW NIEUKOM, CZYLI SAMOTNOŚĆ GENIUSZA

Nic się tak szybko nie starzeje jak rzeczy aktualnie modne. Rzeczy wybitne są poza modami. Wyprzedzają swoją epokę albo penetrują rejony, do których inni nigdy nie dotrą. Łatwo to udowodnić na przykładzie sztuki i literatury. Kto, oprócz specjalistów pamięta dzisiaj o Marinettim, Tzarze, Malewiczu, Rodczence? Za to van Gogha, Witkiewicza, Eliota, Joyce'a znają, przynajmniej z nazwisk i wybranych tytułów wszyscy pewnie nawet ci z giertychowską maturą. Modni twórcy dawnej awangardy mimo niekiedy wielkich zasług w odgrzebywaniu starych ewentualnie wytyczaniu nowych szlaków w większości pozostali na marginesie swoich czasów ustępując miejsca ponadczasowemu geniuszowi indywidualistów. Dużo gorzej jest ze współczesną tak zwaną awangardą wybitnie wtórną za to uzbrojoną w potężne narzędzia medialne. Dominuje w niej wyodrębniony już w 1933 roku przez Jerzego Stempowskiego typ zapalczywy i prosperujący, który charakteryzuje się według naszego wybitnego eseisty umiarkowaną inteligencją, dużym zuchwalstwem, naturalnym ograniczeniem horyzontu, prostactwem i jałowością, które to cechy wykazują ciągle rozwój. Ten swojski typ cieszył się i cieszy nieustannie największym powodzeniem wśród podziwiającej go publiczności, rekrutującej się z tak zwanych elit. Na początku XXI wieku pośród wszechobecnej pozorności rozpanoszenie tych cech ich nachalność i społeczna akceptacja sprawiają, że co prawda nadal najłatwiej jest zostać artystą awangardowym ale szanse na wyłuskanie z tłumu i przejście do historii są nikłe jak ponowna wygrana w totolotka. Aby zaznaczyć obecność pseudoawangardzie pozostaje jedynie zmasowany atak obliczony na zniszczenie wszelkiej pojawiającej się istotności. W grupie siła zatem rzesze nieudanych poetów muzyków tudzież innych artystycznych miernot łączą się pod wodzą nieodouczanej ubezwasnowolnionej krytyki i wspólnym głosem walczą o bylejaką i bezsens. W tej sytuacji opierająca się standardem instynktowi indywidualność jest



Tomasz Młynarczyk

w zasadzie bez szans na uznanie - pośród skrzeku tysięcy żab ginie syk węża i milną skowronki. Niemniej jednak gdzieś są, co wynika przecież nie tylko ze statystyki ale także z praw boskich i zdrowego rozsądku.

Żyjemy w czasach zaniku artystycznej indywidualności. Wszyscy piszą, malują, fotografują, reżyserują a nawet *niemyślą* tak samo onanizując się z zachwytem wytwórczością własną i podobnych sobie pospolitości. Doskonale to widać w internecie, szczególnie na stronach skupiających pretendentów do miana poety, pisarza czy fotografa (to „najłatwiejsze” dziedziny, w końcu każdy umie pisać litery i ma cyfrakę). Muzea rozrzutnie zasilane pieniędzmi podatnika z sadystyczną lubością prezentują odpadki, jak smętne wystawy fotografii Miasto nie moje, czy pokaz deskorolek i

obuwia sportowego w Muzeum Sztuki Współczesnej w Łodzi, albo obieranie ziemniaków w warszawskiej Zachęcie. Wstrząsającą i niezwykle popularną emanacją mierności są festiwale sztuk wszelakich, zwykle tej klasy co łódzki Fotofestiwal, które zalewają jarmarczną tandetą miasta i miasteczka nie dając nadziei na lepsze dla sztuki czasy. Ciałem stały się słowa matolów i wielu krytyków, że życie jest sztuką. Życie, czyli między innymi smażenie jajek, golenie, bekanie, robienie kupy i inne, najzupełniej zwyczajne czynności. Oczywiście ta idea nie jest nowa, podobny pomysł skutecznie wygrzebali i odświeżyli na początku XX wieku dadaści, futuryści, surrealiści i Duchami, tyle, że jako ludzie jakoś tam wykształceni, obyci, esteci i artyści par excellence, działali programowo, mieli świadomość kpiny a swoje gesty uczciwie nazywali antysztuką. Ich załośni, współcześni nam epigoni pozbawieni wykształcenia i poczucia humoru traktują swoje produkty z dumą, powagą i namaszczeniem kury wieszczącej gdakaniem zniesienie jajka, co dla postronnych a myślących obserwatorów ma z jednej strony wymiar humorystyczny ale też budzi wątpliwości co do przyszłości nie tylko sztuki ale gatunku ludzkiego. Do niedawna wyroby tej klasy co np. fotografie Nan Goldin, malarstwo Romana Opalki, dramaty Dario Fo i zdaniotwórstwo Doroty Maślowskiej jawiły mi się jako wtórne i desperackie akty bezpłodnych przeciętniaków, słabo wyedukowanych, pozbawionych smaku i umiejętności warsztatowych. Dokonania kolejnych pokoleń wytwórców pozwalają przypuszczać, że desperacja jest jak wszechświat - nie ma granic i że można pogłębić dno, nawet jeśli już przypomina Rów Marianański. Być może niedługo nie tylko życie ale i śmierć stanie się sztuką. Umieranie na raka jako gest artystyczny w Zachęcie albo wyprucie tamże przez artystę własnych wnętrzności połączone z odczytaniem manifestu i obsikaniem parkietu przez jego kolegów nie wydają mi się specjalnie awangardowym posunięciem. Może zrealizowany poklatkowo video art pokazujący proces rozkładu zwłok w szklanej trumnie wystawionej w Łazienkach jest jeszcze lekko niesmacznym pomysłem ale jestem pewien, że tylko do czasu. W

końcu rozkładający się trup to nic innego jak konstrukcja w procesie nad którą pieją rzesze matolów i przynajmniej jeden taki umrzyk powinien być w każdym szanującym się muzeum. Kiedyś nonszalancko wymyśliłem urnoplastykę, fekart i kopart a obecnie są już poważnie traktowanym zjawiskiem artystycznym więc zakładam, że życie wkrótce przekroczy moje wyobrażenia, a chętni do nekrogeściarstwa się znajdą - w końcu jest nas ludzi ponad sześć miliardów a wśród nich Anda Rotenberg, awangarda muzealników, która z pewnością nie zawiedzie moich oczekiwań i wystawi gdzieś kiedyś jakiś nekroart. A jak ona skrewi to z pewnością znajdzie się inny kierownik, który za publiczne pieniądze pokaże, co jest prawdziwą sztuką. Jak pisał Nietzsche, tłum śmierdzi. Dlatego geniusz tworzy samotnie. Nie poddaje się modom i stadnym instynktom. Nie szuka taniego poklasku, nie bawia go rozdzwonione w zdumieniu geby tłumu, tudzież geby domorosłych krytyków błyszczące od wazeliny i pożeranych na bankietach kanapek. Nie otacza się wianuszkami niemrawych intelektualnie wielbicieli. Oczywiście, samotność w szeroko pojętym twórczym wymiarze nie jest ani warunkiem koniecznym ani jedynym aby zostać artystą genialnym, czy chociażby wybitnym, w jakimś jednak stopniu fakt jej obecności w życiu twórcy pozwala ze sporym prawdopodobieństwem stwierdzić, że chodzi mu bardziej o sztukę niż o hecę, popularność, czy pieniądze. Tłumom pseudoawangardowych wyrobników chodzi tylko o trzy ostatnie rzeczy - o sztukę nie mają pojęcia. Zresztą, jakże mogliby je mieć, skoro analiza ich twórczości dowodzi, że największy pęd do np. sztuki słowa, głównie poezji, mają dyslektycy i zwykle nieuki ewentualnie mieni absolwenci polonistyki specjalizujący się w gramatyce. Do pieśniarstwa rozrywkowego i fotografii garną się wszyscy bo to nie wymaga nawet umiejętności czytania i pisania. Krytyka, a w zasadzie krytykaniem zajmują się zaś ci, którzy już zupełnie nic nie potrafią. Czy w takiej sytuacji, której marność dostrzegają tylko nieliczni oświeceni uda się jeszcze obronić artystę?





NATALIA JULIA NOWAK

Makiawelizm

na klęczkach nie wygrasz bitwy -
 - możesz tylko przegrać własną godność
 kompromis
 nie przyniesie Ci laurów
 ale będzie taki...
 niewątpliwie szlachetny

wrażliwość jest marnym wodzem
 gdy wprowadza pokój
 lekceważąc honor
 fakt - serce pieści dusze
 jednak brudna siła może więcej zdziałać

czułość jest tylko na chwilę
 tyle trwa wzruszenie lub przelotny uśmiech
 możesz kochać kwiaty lecz pamiętaj zawsze
 że przetrwają one krócej niż baobab

tolerancja - twórcy medialny
 wciąż zabrania mówić co naprawdę myślisz
 "wolność, równość, braterstwo" -
 - oto puste słowa!
 owijają niechęć w jasny szal obłudy

nie duś w sobie boga nienawiści
 powiedz głośno co mi pragniesz zrobić
 no dalej! Nie aniołkuj dłużej!
 wyzwól się z sidła politycznej poprawności

niektórych myśli nie można propagować
 mimo próżnej wzmianki o wolności słowa

i jest wrogiem kto w imię swoich własnych racji
 śmie powiedzieć zdanie przeciw demokracji

...zakłamaną ustrój...

popatrz - słodki kretyń wdzięczy się do tłumu
 a ten urzeczony już mu daje głosy!
 gdyby ktoś miał siłę i prawdziwy talent
 doszedłby do władzy kuchennymi drzwiami

koło paranoi kręci się zawzięcie
 kłamstwo ze starości nie wie już że kłamie



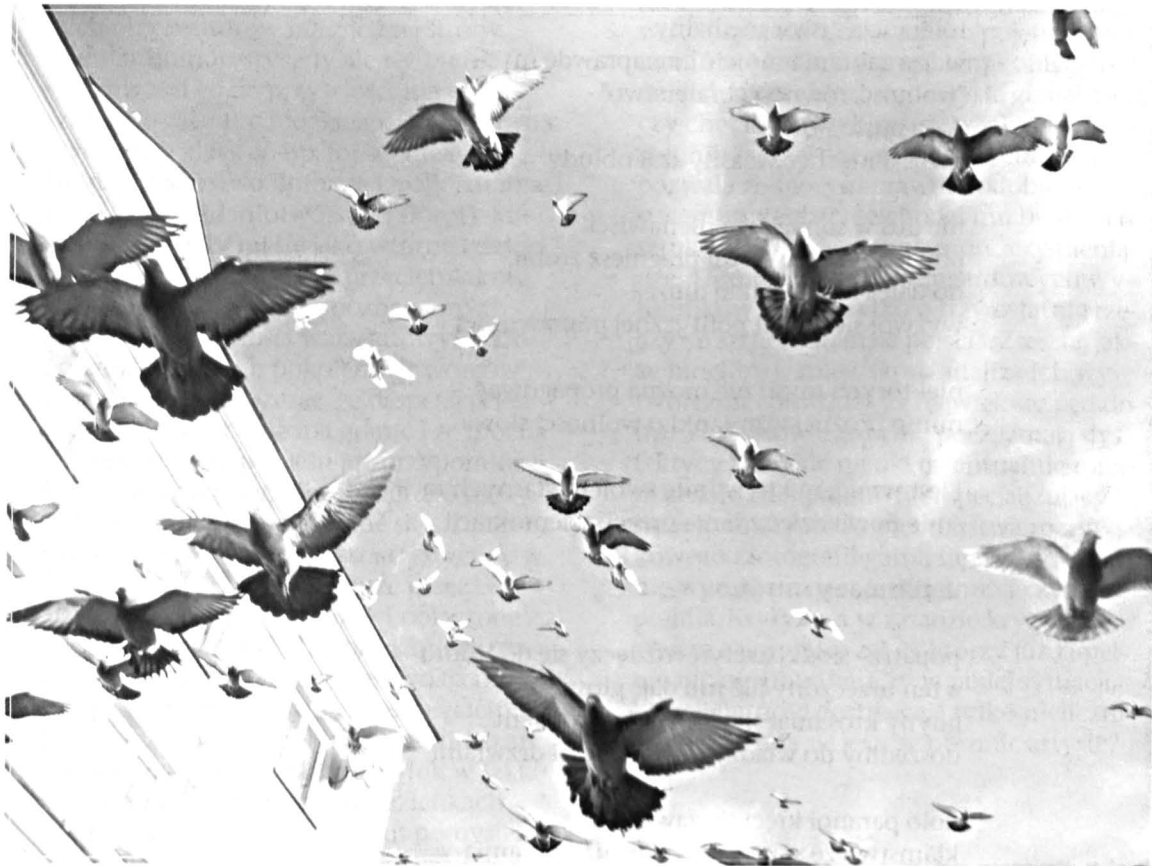
JOANNA RAWIK

O CZYM MYŚLI KROKODYL

Pytano mnie o największe wrażenie z grudniowego pobytu koncertowego w Izraelu. Podobnie jak parę lat temu, gdy przebywałam tam z ekskluzywną wycieczką dziennikarzy – Ściana Płaczu z ćwierkającymi wśród kamieni wróblami. Przeżycie intensywne emocjonalnie, nawet gdy są tłumy, a tak bywa najczęściej. Nie zapomnę osiołka na pustyni Negev, który radośnie skubał wyschnięty krzak. Obraz szczęśliwego osiołka zapisał się w pamięci i żałowałam, że nie mogłam zatrzymać się, by przyjrzeć mu się bliżej, uważniej. Prezydent Francji Francois Mitterrand, wielki humanista, miłośnik zwierząt, miał w swojej posiadłości dwa osiołki i stwierdził, że są niezwykle inteligentne, obserwujące ludzi niczym psychoanalitycy. Zrozumiałam dlaczego ludzie mówią głupi osioł, albo uparty jak osioł. W czasach studenckich

oglądałam wstrząsający film gruziński *Osiołek Magdany*, dramatyczne dzieje zwierzaka, który trafia niezbyt fortunnie do różnych, dość paskudnych właścicieli, by na koniec zginąć tragicznie. Film był dziełem sztuki filmowej, czarno-biały, w stylu włoskiego neorealizmu, nadzwyczaj oryginalny, tak jak odrębna jest sztuka malowniczego kraju, który odwiedziłam przed laty podczas artystycznego tournée po Związku Radzieckim. Były to fantastyczne doznania, mało na świecie tak znakomitych sal i muzycznych publiczności.

W podwójnym, świątecznym wydaniu „Le Nouvel Observateur” naczelnym tematem jest szczęście w interpretacjach filozofów oraz naukowców wszelkiej maści. Zainteresował mnie szczególnie frapujący esej na temat poczucia szczęścia zwierząt, od strony neurologii, w kontekście ewolucji. Zda-



niem autora, zwierzęta nie były do końca szczęśliwe, skoro ich rozwój odbywał się intensywnie, w czym znaczący był udział psychiki, motoru wszelkiego postępu.

Ojciec mój był zoologiem, pracował w muzeach uniwersyteckich Rumunii, potem w Polsce. Od wczesnego dzieciństwa byłam blisko wszelkich zwierząt, nie tylko domowych. Przyglądałam się z chorobliwą ciekawością eksponatom wypchanym, ale jeszcze bardziej preparatom w wielkich szklanych pojemnikach, były tam również ludzkie płody w rozmaitych stadiach rozwoju. Resztę ciekawości zaspokajałam wertując leksykony w księgozbiornie ojca. Świat zwierząt ciekawił, intrygował. Podczas wakacji w dzikich zakątkach północnych Karpat, gdzie było więcej zwierząt niż ludzi, obserwowałam je z bliska. Okrutnie traktowałam jaszczurki, bo wiedziałam od taty, że w razie niebezpieczeństwa wolą stracić ogon, by ocalić życie, a ogon odrasta. Bez najmniejszego trudu, przy pomocy patyczka pozbawiałam piękne stworzonka ich końcowej części ciała. Potem zdarzały się jeszcze zachowania podobne w swoim okrucieństwie, trudno wytłumaczyć skąd się to wzięło u dziecka wychowywanego w miłości do braci mniejszych. Wspominam o nieszczęsnych jaszczurkach nie po to, by popisać się dziecięcym sadyzmem, który zdarza się zawsze i wszędzie. Pierwszy raz zobaczyłam we wrocławskim ZOO krokodyla, gigantyczną jaszczurkę. W wielkim terrarium leżały wspaniałe, nieziemskiej urody gady niczym własne pomniki, doskonałe nieruchome. Ich oczy były zimne, tajemnicze, pozornie bez wyrazu. Krokodyle zatrzymane w czasie i przestrzeni, jak martwe, a przecież żywe. Należą do nielicznych istot, które minimalnie uległy przemianom ewolucji. Dlaczego, jak im się udało przetrwać na naszej planecie, uchować swoje imponujące pancerze i ów niesamowity, groźny spokój? Należą do najstarszych mieszkańców ziemi.

Krokodyle budzą ogromne zainteresowanie małych dzieci. Czy nie ma to związku ze smokami, malowniczymi stworzeniami? Smoki istnieją w bajkach i nie wiadomo, jak było z nimi naprawdę. Świat jest pełen tajemnic i zagadek, to jeden z jego uroków.

Kupiłam kilka książek o smokach, o ich wychowywaniu, hodowli, karmieniu. Słynny znawca smoków – John Topsell, pisze o nich z ogromną sympatią i wyjaśnia, że smok jest najbardziej tajemniczym, fascynującym, choć będącym wytworem wyobraźni zwierzęciem. Ale ja nie do końca mu wierzę. Tym bardziej, że ze smokiem wawelskim można prowadzić korespondencję sms-ową.

Twórców „Koziegorynku” poznałam podczas XXIV Podlaskich Spotkań Literackich w Białej Podlaskiej. Zachwyciła mnie nazwa, potem okazało się, że kwartalnik lokuje się na najwyższych piętrach nie tylko edytorsko, ale także pod każdym innym względem. Absolutna Europa. Gdy ustaliliśmy, że coś napiszę dla „Koziegorynku”, pierwsze moje myśli biegły w kierunku kozy, czarującego zwierzęcia o bystrych oczach i zdumiewającej umiejętności przeżycia w najgorszych warunkach. W czasach studenckich byłam posiadaczką malutkiej, białej kózki, wspominam ją z całym sentymentem jako istotę nie tylko wielkiej urody, ale wspaniałego, wesołego kompana. Na początku lat 90. smutną sławę zdobyła koza Balcerka, która w ramach wielkiego strajku, niemal buntu chłopskiego, wprowadzona została do Ministerstwa Finansów, gdzie przebywała samotnie przez wiele dni, aż ktoś załatwił sprawę i nieszczęsna Balcerka (wiadomo, od nazwiska ówczesnego ministra!) znalazła miejsce w warszawskim ZOO. Odwiedziłam ją. Ulokowana komfortowo, w sporym wybiegu z drewnianą budą w charakterze sypialni. Była kozą dość wiekową, styraną życiem, jeden róg złamany, sierść wyleniała. Najwidoczniej nie miała lekkiego żywota. Jej przeżycia w hałaśliwym tłumie demonstrantów to dramat na miarę koziego Szekspira. Los nad nią czuwał, bo finał życia ułożył się luksusowo. Czy była szczęśliwa? Tego nie wie nikt.

Wiadomo na pewno, że kozy należą do bardziej wrażliwych istot i pragną bliskiego kontaktu z człowiekiem, łakną czułości, o czym przekonałam się oglądając reportaż z koziej fermy we Francji, której właściciel ma do swojej licznej trzody stosunek bardzo osobisty.





BEATA PATRYCJA KLARY

rozstanie

Szybko wyparowałeś ze mnie,
choć jeszcze nad ranem
paznokcie przemakały, studnia była pełna.

Z niepodanym śniadaniem na talerzu z Miśni,
osiadłeś na mieliźnie.

Wychłeś w ręcznik.

przepowiednia

Nie zrobione oko i stara sukienka,
którą zdejmujesz wieczorem
lub tylko zadzierasza na chwilę przed lunchem.

Zawsze się dziwisz
różowym pośladkom
i żyłom napiętym w zgięciach moich myśli.
Nie wiesz co z tym zrobić
w szybkim oddychaniu,
jakbyś nigdy nie widział kwitnących piwonii.

Nawet mnie to bawi
gdy uparcie sprawdzasz
gładkość przeświadczenia i prawd o kobiecie,
a potem kapitulujesz na biało.

Do kolacji umaluję rzęsy.
Oprzesz się o nie jak o ścianę.

NA CENZUROWANYM

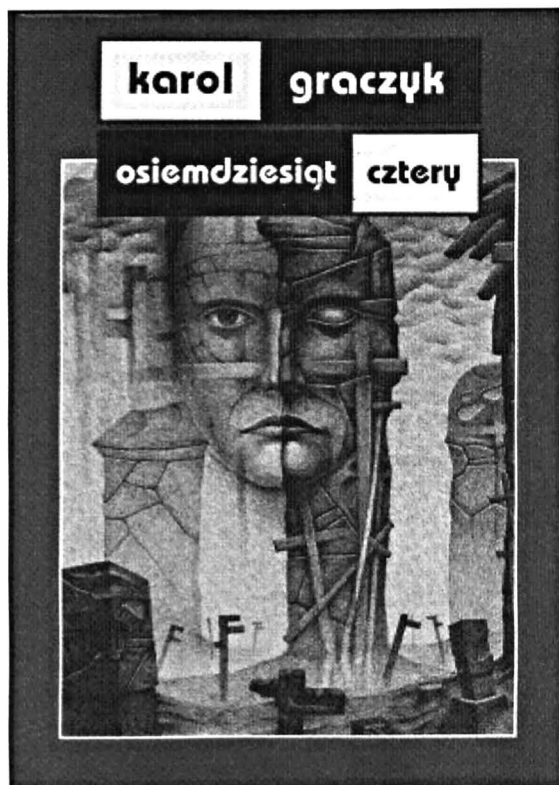


ANNA NOGAJ

OSIEMDZIESIĄT CZTERY

Pierwsza moja myśl po lekturze kilku liryków tego zbiorku nie skłaniała mnie do dalszej poetyckiej wędrówki. Tak było na początku, ale później sytuacja diametralnie się odmieniła. Punktem zwrotnym stało się ponowne, uważne przeczytanie poszczególnych wierszy, w rezultacie czego zamglony i hermetyczny do tej pory obraz stawał się coraz bardziej przejrzysty i zwyczajnie naturalny. Wystarczyło pochylić się ze zrozumieniem i wyczuć podskórny nerw pulsujący pod wierzchnią fakturą tekstu. Nie jest to na pewno łatwe, czasem także nie jest przyjemne, gdyż tutaj mówi się językiem mocnym i szczerze, nie omijając tego co niewygodne, co spycha się często gdzieś na margines. Dużo będzie więc o śmierci, samotności, niezrozumieniu itd., co autor przekaże bez koloryzowania i zbędnych eufemizmów. Poruszać przyjdzie się nam w klimacie mrocznym, przynębiającym często pustką i jałowością, gdzie bez ustanku człowiek szuka człowieka, kogoś kto mógłby go zrozumieć, ale jak widać okazuje się to zupełnie niemożliwe. Tę drugą osobę ma się tylko na moment, może być podpora: „Jesteśmy teraz razem więc płyniemy / może uda się ominąć kamienie” – *Nurt*.

Graczyk jawi się tutaj jako osoba mająca już swój oryginalny styl, wyróżniający go mocno wśród innych młodych poetów. Świadczy to o autorze dobrze, gdyż nie łatwo pisać inaczej i po swojemu, stając w opozycji do tego, co na topie i na co jest tzw. zapotrzebowanie. Stosując poetykę niemal dekadencją i uderzając często w ton prowokacji autor odsłania stopniowo drugie oblicze swojej twórczości. Okazuje się, o dziwo, że jest tu miejsce na wrażliwość, subtelność, i przede wszystkim miłość, która przedstawiana wielokrotnie w kategoriach cielesności staje się marzeniem o uczuciu, tęsknotą za ciepłem i bezpieczeństwem. Trudno stać się jednak jej szczęśliwym posiadaczem, gdyż niemożliwe jest wzajemne dogłębne poznanie kochających się osób (kocham twój czas, choć się w nim



nie mieszczę / chodź” – *Ciepła ziemia*), stanowiących dwie tajemnice, dwa nieodgadnione wszechświaty. Aby zapomnieć i nie myśleć o tym, co boli, egzystencjalną pustkę wypełnia się seksem, papierosami i poezją, ta jednak „zabija szybciej od fajek”. Substytut ten jednak jest doraźny, jak słodki cukierek, który szybko rozplywa się w ustach i cieszy tylko na moment, pozostawiając uczucie niedosytu i tęsknotę za jeszcze. Można się domyślać, że tym „jeszcze” jest coś nienamagalnego, duchowego, co stoi w opozycji do biologii, chemicznych reakcji organizmu, czy zwykłych używek sprawiających, że świat jest na moment taki, jak byśmy chcieli, żeby był. Dramatyczne w swojej wymowie są słowa z wiersza *Bezdomni*:

„Bo kocham cię nie pierwszy i nie ostatni raz
Ale nie widzę nie czuję nie słyszę i nie przelecę
cię
Jak porannej gazety nie zrobię już nic

Teraz patrzę w ekran i ryczę jak dziecko”

Jad bezradności i goryczy sący się z każdej linijki tego tekstu; miłość nie niesie radości, świat nuży w swej przewidywalności i powtarzalności. Tragiczne jest to, że nie ma miejsca, gdzie można by się schować, odpocząć, wszędzie jest strach („Klaustrofobia podchodzi pod dom / otwiera drzwi. Przez okna wlatuje reszta lęków” - *Klaustrofobia*), który rodzi ból i niepokój, a ludzie nie chcą i nie potrafią się wzajemnie porozumieć („szukamy uśmiechów podobnych do naszych / innych nie sposób zrozumieć i dotknąć / są puste. Są puste” - *Nasze są jeziora i drzewa*). Bohater Graczyka tłamszony przez ludzi, rzeczy, wyobraźnię, w której rodzi się bestia czyhająca w sąsiednim pokoju, mimo wszystko nie poddaje się. Zagląda temu co przeraża w oczy i ze spokojem mówi co czuje, jak odbiera świat, gdzie „nie ma Jezusa / jest za to alkohol” (Nurt). A to wszystko wyrażone jest za pomocą słowa przez duże „s”, nie ociosanego i wygładzonego, co sprawia, że tę rzeczywistość odbiera się mocniej i pra-

wdziwej.

Tomik młodego autora niesie więc ogrom emocji, sytuacji, znaczeń. Dramatyczne napięcie właściwie nie znajduje swojego ujścia, wciąż draży umysł opowiadacza i zatrważa czytelnika, ale o dziwo nie odpycha. Może dlatego, że wiersze te po każdym czytaniu można odbierać inaczej, szukać różnych ścieżek do tak hermetycznej przecież poezji Graczyka. A może dzięki oryginalnej formie zapisu, wciągającej poprzez ciekawe konstrukcje syntaktyczne, składniowe czy frazeologiczne („Od rana pachnę cię / świeżo ściętymi włosami”, „włosy wróciła do domu”, oraz niesztampowe metafory: „kruki dywanieją w powietrzu / i szeleszczą przewagą azotu”. Zaciekawiać mogą też niedopowiedzenia rodzące różne obrazowe asocjacje. No cóż, to poezja przy której może się nie odpoczywa, ale smakuje porcjami i przeżywa. Jest to może ciężki orzeszek do zgryzienia, ale za to jaki smaczny.

Karol Graczyk, *Osiemdziesiąt cztery*, Arsenał, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne, Gorzów Wlkp. 2008.



AREK STOSUR

Szybkie czytanie

zza ściany głos nocnego polowania dochodzi,
ścisza się, wybucha. Zastawione pułapki na myszy
czekają w kuchni, w świetle ulicznych lamp widać

lepiej bruzdy na asfalcie, przelewanie się wody
w kranie, i zmiany pogody. Pulsują słowa, gdy
mówimy szeptem, żeby nie obudzić potomka,

który się nie urodził jeszcze, ale wszystko słyszy
i widzi. Plastikowe niebo i nylonowe chmury chronią
nas przed potopem. Wychylamy ostrożnie głowy,

odczytujemy znaki, badamy podłogi i dachy, tuż przed
nieuchronną katastrofą, zamysleni wracamy do łóżek,
przykrywamy się ciepłymi kołdrami, chrapiemy

gdy kończy się czas, znika świat i drży ziemia.

MARIUSZ KARGUL

KRASNYSTAW (NARESZCIE) OPISANY

O tym, że w Puławach mieszka jakiś pasjonat rozkochany w dziejach Krasnegostawu, i że stara się wydać monografię temu poświęconą, dowiedziałem się kilka lat temu od Saturnina Naliwajki. Usłyszałem też co nieco o braku zainteresowania książką wśród potencjalnych miejscowych decydentów i sponsorów. Długo się jednak nie dziwiłem, mając na uwadze ówczesne problemy z wydaniem sonetów Bojarczuka (w wyborze i opracowaniu dr J. Zięby). Dzisiaj bardziej dziwię się temu, że udało mi się „załapać” na ostatni wolny egzemplarz pracy Kazimierza Stoleckiego – *Krasnystaw. Rys historyczny*.

W zaciszu domowych pieleszy każdy z nas jest wytrawnym znawcą tematu i surowym krytykiem. Z lubością wytykamy błędy bliźnim, którzy wydali drukiem poezję, prozę, wspomnienia, rozprawy itp. Trzymając w ręku gotowe owoce, często wieloletnich wysiłków i poszukiwań, delibrujemy nad brakami książki lub rażącymi uchybieniami warsztatowymi autora/autorki/autorów. Rzadko kiedy przychodzi nam wtedy do głowy zadanie sobie pytania, czy my sami bylibyśmy w stanie wykonać choć część niewdzięcznej i męczącej pracy związanej z przygotowaniem do druku pozycji takiej, jak na przykład przywoływany tutaj rys historyczny Krasnegostawu?

Jego autor, urodzony w Krasnymstawie w 1948 roku, absolwent I LO im. Wł. Jagiełły, z wykształcenia chemik (Politechnika Wrocławska – 1971, doktorat na UMCS w Lublinie – 2007), przyznaje w przedmowie do swojej „książeczeki”, jak ją zapewne przez wrodzoną skromność sam określa, że w odróżnieniu od zawodowych historyków mógł pokusić się o napisanie monografii nie trzymającej się kurczowo wymogów „rasowej” dysertacji. Fakt, iż Krasnystaw takowej nie posiada i zapewne długo mieć jeszcze nie będzie, tym bardziej należy okazywać podziw i szacunek dla wysiłku dokonanego przez pana Kazimierza. I mylił się

będzie ten, kto wysnuje przypuszczenie, że zapewne wystarczyło przewertowanie dostępnych opracowań na dany temat i zebranie w jednym miejscu rozproszonych wycinków z prasy.

Kazimierz Stolecki wie już doskonale z czym wiąże się napisanie nawet „nienaukowej” monografii niespełna 20-tysięcznego miasta o kilkusetletniej (udokumentowanej) historii: „Dziesiątki godzin spędzonych w bibliotekach, setki godzin w internecie oraz dziesiątki książek kupionych po drodze, zostały mi sownie wynagrodzone przez te chwile, kiedy niespodziewanie znajdowałem coś niezwykłego. Doznałem wielu satysfakcji (...). Materiały zbierałem dla własnej przyjemności”.

Moim zdaniem jest to wielki „rarytas” czytelnicy, który stał się niemal automatycznie przysłowiowym białym krukiem w chwili swego wydania. Autor opublikował omawianą pracę „własnym staraniem” w jednym z lubelskich wydawnictw w nakładzie 100 egzemplarzy w połowie 2008 roku i zdążył je już rozdać lub sprzedać wśród osób spragnionych wiedzy o miejscu ich urodzenia i życia. Dzięki staraniom Artura Borzęckiego książka trafiła też do Miejskiej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie. Zapewne znajdą się malkontenci wytykający jej to czy tamto, ale również lawinowo zacznie narastać liczba cytowań „Krasnegostawu”, rzecz jasna w przypadkach, gdy ktoś rzetelnie do tego podejdzie i nie będzie „przeżywał” bezlitośnie i „żywym” tego, co K. Stoleckiemu zajęło tyle czasu i zachodu.

Do tej pory, co bardziej uświadomieni mieszkańcy Krasnegostawu, mogli dokonywać następującego skrótu myślowego, odnosząc historię miasta: Szczekarzew – Jagiełło – Maksymilian – Niesiecki – ruina zamku – I wojna – Bojarczuk – II wojna – „Chmielaki” – „Nestor”. Dzięki K. Stoleckiemu nasz zasób wiedzy wymiennie się tutaj powiększył. Imponujący zasięg kwerendy źródłowej i bibliograficznej (ponad 500

wykorzystanych pozycji!) oraz dotarcie do materiałów rzucających całkiem nowe światło na niektóre znane i zdawałoby się całkowicie wyeksploatowane poznawczo fakty i zdarzenia (m.in. dzięki licznym tłumaczeniom z języków łacińskiego i rosyjskiego), dają w efekcie prawie pełny obraz miasta jawiącego się dotychczas jako swego rodzaju „terra incognita”.

Gdyby nie dociekliwość amatora lokalnej historii, być może wielu z nas nie miałoby nigdy okazji wyjść dalej poza używanie oklepanych formułek, w stylu: „Krasnystaw należał do lepiej urządzonych miast Rzeczypospolitej”, „najeżdżali go i palili Tatarzy” (na przemian z wszelkimi innymi możliwymi agresorami), „nad brzegiem Wieprza stał wyjątkowej urody zamek”, w którym Jan Zamoyski osadził arcyksięcia Maksymiliana Habsburga, a którą to budowlę rozebrali do cna cni mieszczanie w pierwszej połowie XIX stulecia. Rys (dla mnie jednak bardziej zarys) historyczny podany do druku przez K. Stoleckiego definitywnie burzy ten nieco skostniały schemat. Co kilka stron napotykamy bowiem na jakieś sensacyjki i niespodzianki. Mnie osobiście najbardziej do

gustu przypadły dwie takie ciekawostki.

Pierwsza jest natury obyczajowej. Otóż autor doszukał się informacji o Michale Potockim (synu Feliksa), który dnia 30 stycznia 1695 r. wywołał skandal towarzyski pośród fraucymeru królowej Marii Kazimiery: „W wieczór zaś podczas grania bassety jmp. starosta krasnostawski spiwszy się bardzo, bestyjalskie na pokojach królowej jm. czytnił akcyje, wzięwszy naturalia ad manus nie tylko mężatkom, ale i pannom one prezentował ad ocula i o stoł nimi kilka razy uderzył” (s. 198). Tenże sam Potocki rozeźlił się później niemiłosiernie na zawnego heraldyka Kacpra Niesieckiego (za zawartość „Korony Polskiej”), którego „(...) znieważono (...), wybito okna w jego celi i całem Kolegium. Całoroczna zgryzota, obawa dalszej, podkopała zwątlone pracę zdrowie i przypawiła Niesieckiego o śmierć przedwczesną” (s. 199).

Druga ciekawostka jest już poważniejszego kalibru i dotyczy – pośredniego co prawda – wpływu krasnostawian na powstanie pierwszej na świecie nowożytnej republiki, czyli USA. Okazuje się bowiem, iż jeden z biskupów chełmskich, których siedzibą był przez kilka stuleci Krasnystaw – Wa-



Kazimierz Stolecki urodzony w 1948 roku w Krasnymstawie, Szkoła Podstawowa Nr 1 im. Adama Mickiewicza (1962), matura w Liceum Ogólnokształcącym im. Władysława Jagiełły (1966), magisterium na Wydziale Chemicznym Politechniki Wrocławskiej (1971), doktorat na UMCS w Lublinie (2007), Hobby: genealogia rodzinna, dzieje rodzinnego miasta.



Krasnystaw rys historyczny

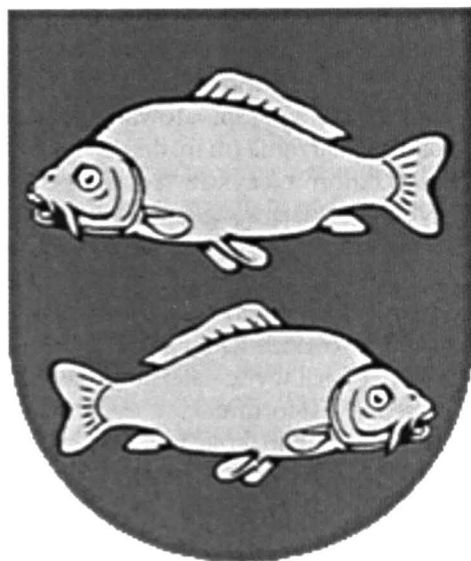
Kazimierz Stolecki
Puławy 2008



Krasnystaw - rys historyczny

wrzyniec Grzymała Goślicki, stał się twórcą idei odpowiedzialności rządzących przed narodem, natomiast ze sprawiedliwością wiązał życzliwość oraz harmonię wszystkich warstw społecznych. W roku 1568 ogłosił drukiem traktat polityczny *De optimo senatore libri duo* („O senatorze doskonałym księgi dwie, w którym są wyjaśnione obowiązki urzędników oraz szczęśliwe życie obywateli i pomyślność państwa”). No dobrze, ktoś powie, a gdzie tu Ameryka? Już spieszę z wyjaśnieniem, że traktat ów został przetłumaczony na język angielski i opublikowany w Wielkiej Brytanii na początku XVIII wieku. „Thomas Jefferson, autor Deklaracji Niepodległości, współautor Konstytucji i prezydent Stanów Zjednoczonych, znał i powoływał się na tekst Goślickiego. Tak więc w najważniejszych dokumentach amerykańskich pobrzmiewają echa myśli naszego biskupa” (s. 210). I pomyśleć tylko, że mógł je „kryślić gęsiem piórem ponad modrym Wieprza nurtem”...

Znane powiedzenie głosi, że „im dalej w las, tym więcej drzew”. Krasnostawianin z urodzenia, a puławianin z wyboru, pod datą 19 marca 2008 r. zapisał w swym opracowaniu: „(...) podobną książeczkę może napisać każdy, kto podejmie taki zamysł i ma odpowiednią motywację. Reszta – to kwestia czasu. Jest to jednak praca nieustająca i stale niekompletna. Kiedyś trzeba ją przerwać. I to właśnie czynię”. Jeżeli historia naprawdę posiada swego „ducha”, to rzeczywiście gości on na kartach „Krasnostawu. Rysu historycznego”, ukazując na w pełnej krasie „genius loci” miasta z dwoma karpami w herbie*. Można przypuszczać, że stało się to dzięki temu, iż książkę napisano „z potrzeb sentymentalnych”. Autor wyszedł bowiem z założenia, że „(...) miejsce urodzenia – to specjalne miejsce na Ziemi, daleko więcej niż sam tylko zapis w metryce”. I chociaż już od wielu lat K. Stolecki nie figuruje wśród mieszkańców tak hołubionego przez siebie miasta, to jednak stale jest to dla niego miejsce



wyjątkowe, do którego z chęcią wraca, „przynajmniej we wspomnieniach. I zapewne tak już pozostanie”.

Kazimierz Stolecki zadedykował swą nietuzinkową pracę rodzinie i przyjaciołom „oraz Wszystkim tym, którzy czują się związani z Krasnymstawem”. Myślę, że „czarna robota”, którą z takim poświęceniem i sumiennością wykonał autor, predestynuje go do otrzymania wszystkich „Złotych Karpi” i „Zacnych Uczynków” razem do kupy wziętych. Żeby specjalnie nie kadzić i nie przedłużać, stawiam na koniec słynne zdanie wypowiedziane niegdyś przez naszego znamienitego sąsiada, Mikołaja Reja – krasnostawianie nie gęsi i swojego Stoleckiego mają!

Kazimierz Stolecki, *Krasnostaw. Rys historyczny*, Wydanie drugie, poszerzone (wydane własnym nakładem autora), Puławy 2008, il. czarno-białe, ss. 298.

* W kwestii karpi znajdujących się w fontannie na Rynku wypowiedział się w październiku 2008 r. goszczący wówczas w Krasnymstawie Taras Prochaśko (ukraiński pisarz i biolog). Jego zdaniem wszelkiego typu sploty i wygibasy erotyczne akurat u tego gatunku ryb nie wchodzi w rachubę. Co innego, gdyby w herbie miasta znajdowała się para wojowników wspaniałych



JĘSZEK SOKOŁOWSKI

Co słysząc, Wienia

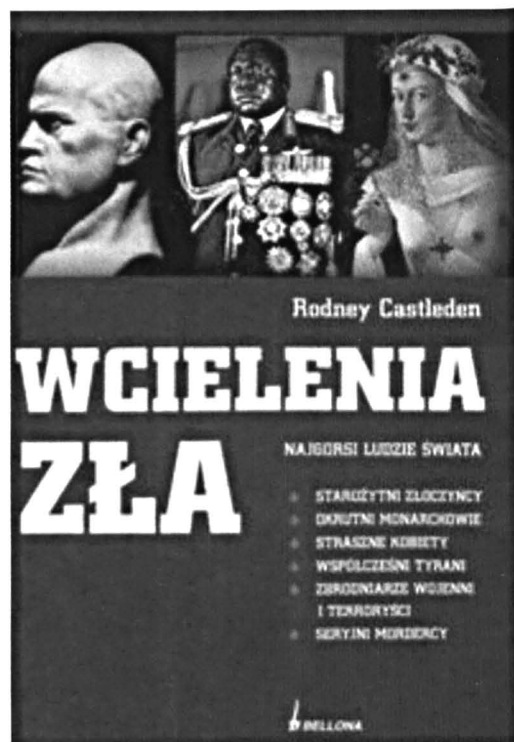
a cóż tam widać w jaśminach, Wienia
 wykończyłeś już tezy
 tak sumiennie?
 W razie co, bij w czambuł tatarski
 ty wiesz, to kłamstwo złotego wieku
 taka pokuta nasza
 taka szmaragdowa obręcz
 Wieniuszka, jesteś tam?
 napiszę na płocie
 gdzie i kiedy się spotkamy
 gdzie to jasna sprawa
 datę i godzinę tylko dodam
 to będzie po południu
 krwawnikiem płaszcz
 podszyty znalazłem
 ale nie twój
 oddechem na łyk

wiesz, że lubię dłużej pospać, rozumiesz
 według czasu Greenwich to będzie
 postaram się nie spóźnić
 a może ty będziesz wcześniej
 to napisz na płocie naprzeciwko
 jakby coś się zmieniło
 żebyśmy się nie rozminęli
 to będzie taka nasza rozmowa
 niech anioły będą z tobą
 zawsze pijane
 tak sobie żartuję tylko
 jeszcze jedno pytanie, Wienia
 co słysząc w naszych Pietuszkach?
 wszyscy zdrowi?
 Ty wierzysz Wienia,
 boga nie było

KAROL GRACZYK

ZŁO WCIELONE

Przełom roku sprzyja podsumowaniom, toteż postanowiłem wybrać najciekawszą książkę historyczną, która moim zdaniem znalazła się w tym roku na rynku. Ta książka to *Wcielenia zła* autorstwa Rodneya Castledena, która ukazała się nakładem wydawnictwa Bellona. Najogólniej mówiąc Castleden napisał książkę o najgorszych ludziach, jacy stąpali na ziemi, przedstawił ich biografię oraz czyny, które sprawiły, że się w książce znaleźli. Każdy znajdzie tu z pewnością coś dla siebie dzięki podzieleniu antybohaterów na takie grupy, jak m.in.: Starożytne zło, Średnio-wieczni i renesansowi monarchowie, Współcześni tyrani i zbrodniarze wojenni, Rządy terroru, Seryjni mordercy, czy pojedyncze akty zła. Należy zaznaczyć, że autor nie sili się na psychologiczne rozpatrywanie przedstawionych ikon zła, pisząc o możliwych przyczynach tylko w tych wypadkach, gdzie jest to niemal pewne, nie ma własnych teorii, właściwie też nic nowego książką nie odkrywa, zwyczajnie zbiera wszelkie informacje i zapisuje je w tej swoistej monografii, ale nie jest to przecież książka psychologiczna, jeśli pod tym względem mielibyśmy rozpatrywać zło, polecam najnowszą książkę Zimbardo. Castleden nie ogranicza się jednak do przedstawiania suchych faktów, ukazuje je w sposób ciekawy, nieraz ma się wrażenie, że są to wątki fabularne, robi to prostym i bardzo płynnym językiem, aż ciężko się od książki oderwać. Przy okazji takiego zbioru zawsze są wątpliwości co do wyboru jej „bohaterów”, o czym zresztą autor pisze we wstępie. Żeby podać tylko jeden przykład, czy fałszerz obrazów, który znalazł się w książce, był bardziej złym człowiekiem niż chociażby Charles Manson, którego w niej nie ma? Poza wszystkimi zaletami książki i jedyną wadą, że właściwie nic nowego nam nie mówi (ale przecież mają taką pozycję wyjściową możemy się o zgłębianie pokusić sami, zwłaszcza, że pewnie każdy znajdzie tu kilka nazwisk, których wcześniej nie znał i może spo-



kojnie poszukać o nich czegoś więcej), po przeczytaniu książki, zwłaszcza rozdziałów związanych z ludźmi polityki, wojen i monarchów, trzeba dojść do wniosku, że niejednokrotnie trudno stwierdzić, czy zły był człowiek opisywany w książce, czy ten, którego uważał za barbarzyńcę i czy unieszkodliwienie i zabicie konkretnego króla było złem, czy może uratowało wiele innych istnień ludzkich. Jeśli dodamy do tego, że można się z książki dowiedzieć o kilku faktach historycznych, o których nie wiedzieliśmy, lub wręcz przeciwnie, zaprzeczyc tym, o których powszechnie i niesłusznie sądzi się, że miały miejsce (jak np. rzeź niewiniątek), mamy przed sobą obraz książki, którą każdemu chociaż trochę zainteresowanemu historią, zbrodnią, czy po prostu złem, trzeba polecić, a w tych nie zainteresowanych wzbudzić ciekawość.

Rodney Castleden, *Wcielenia zła. Najgorsi ludzie świata*, Bellona 2008





ROBERT KONCA

Hologramy

popsuł mi się wzrok
od patrzenia na codzienność

szklane wieże miasta
i tekturowe slumsy
wyglądają jak plama atomów
które nagle wytracono z orbit

twarze morderców i zabijanych
są jednym mglistym obliczem
którego szukam w lustrze
aby nas zrozumieć

i tylko w dali
za przecuciem horyzontu
gdzie żelazne więzienie rzeczywistości
ulega odwiecznej korozji nadziei
coraz wyraźniej dostrzegam blask
jak widzi się obietnicę światła
w lekko uchylonych drzwiach

jakby z rany
którą zadaliśmy światu
zamiast krwi wypływały
światliste hologramy
niosące bolesny depozyt
naszej cywilizacji
ku niezasłużonemu
zbawieniu

ANNA NOGAJ

@LE @NTOLOGIA

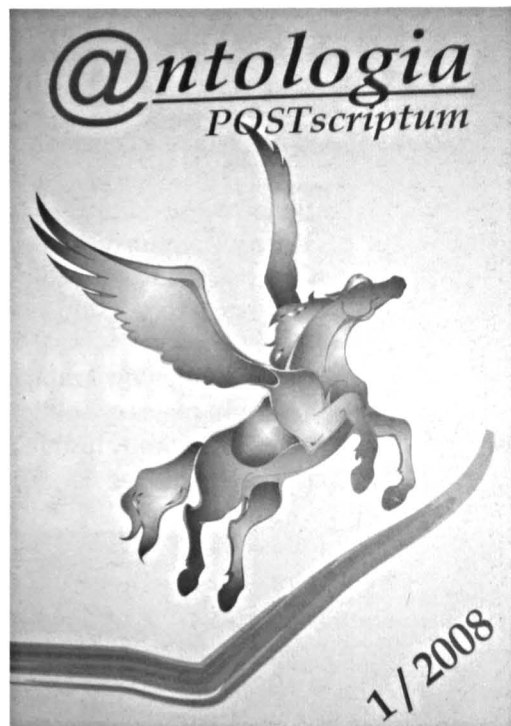
Antologia *POSTscriptum* jest książką osobną, gdyż rzadko się zdarza, aby społeczność internautów wymanijająca się artystyczną myślą na poetyckim forum wydała swój tomik wierszy. Potrzeba do tego dużo determinacji i wiary, że udać się musi, co jak widać w przypadku tej grupy wydało obfity owoc. Od początku istnienia w wirtualnej przestrzeni pracowali na swój wizerunek, szlifując przy okazji warsztat, który u dużej liczby osób działających w szeregach *POSTscriptum*, jest już mocno skryształizowany i świadczy o dużej kulturze słowa.

Takie antologie są zawsze ciekawe, ponieważ stanowią zespół poetyk, przedstawiają różnorodność widzenia świata, grupują ludzi o różnej wrażliwości estetycznej. Lektura niesie więc wielość niespodzianek i intelektualnych przeżyć, toteż czytelnik na pewno nie popadnie w nastrój nudy czy zniechęcenia. Publikacja ta potwierdza powyższą tezę: 26 autorów z pasją zapisało kolejne kartki lirycznego notatnika, dołożyło swój niepowtarzalny element do poetyckiej układanki, co dało w sumie wielowątkowy ogląd ich artystycznych możliwości. Nie sposób dokładnie omówić w krótkiej recenzji wszystkich z nich, z tego też względu zilustrowane zostaną te sylwetki, które najmocniej zapisały się w mojej pamięci.

Miła niespodzianka spotkała mnie już na samym początku lektury, gdy przeczytałam sześć liryków Elżbiety Adamczyk. To niezwykle osobiste wiersze napisane w czułych rejestrach poetyckiej mowy, gdzie ważny jest każdy szczegół, poszczególna (nie)zwykła chwila. Autorka umiejętnie łączy ze sobą trzy strumienie czasu, mówiąc o tym co tu i teraz równocześnie nawiązując do przeszłości i przyszłości. Rozpina przed czytelnikiem mentalną mapę, utkaną z wyważonych metafor i epitetów, na której zaznacza ścieżki prowadzące do tego co już się kiedyś zdarzyło:

„Czy pamiętasz?

Przejażdżki do nieba z pocztówkami Miami



I niższe piekielka Key West"

(Odpowiedź na proste pytanie)

I do tego co zdarzyć się może:

„Czasu larwy zamieniaj / nas siebie pewne tak /
a jak / to czas pokaże” (Dotyk).

Kolejno, pałeczkę przejmuje Paweł Artomiuk, nie tylko z takiego powodu, iż jego nazwisko widnieje w spisie treści jako drugie, ale przede wszystkim dlatego, iż teksty tego autora napisane są w podobnej manierze estetycznej. Niezwykle przejmujący jest wiersz *Azyl*: każdy wers staje się tutaj zapisem ogromnej emocji, brzemienno w ważne treści. Płynące melancholijno-dramatycznym nurtem słowa malują niepokój, bezradność podmiotu prowadzącą niemal do obłędu:

„Mam takie miejsce
Zamknięte nawet dla boga
Gdybym go nie miał
Pewnie bym się zabił”

W dramatycznym ścieraniu się beznadziei i światła, przeblyskującego przez grubą warstwę mroku tkwi istota tego wiersza: balansowanie na granicy życia i śmierci, spokoju i zamętu, pewność tkwiąca podskórnie w niepewności.

Moją uwagę szczególnie zwróciły dwa liryki, ascetyczne, krótkie i pulsujące emocją. Jeden z nich z nich, *Utopia*, zaprasza w kilku zaledwie słowach do bajkowego świata mogącego zmieścić się - uwaga - (w rolce po papierze toaletowym), gdzie w papierowym zamku mieszka papierowy smok i ziele papierowym ogniem. Wiersz ten jest potwierdzeniem niezwykle wrażliwości autora wypełniającego wewnętrzną przestrzeń swojej poezji elementem iluminacji i wzruszenia.

Świat rozpisany na obrazy, barwy i nastroje dłonią Artomiuka ma charakter wsobny, dostępny najbardziej przeżywającemu go poecie. Jeżeli jednak ktoś w podobny sposób odbiera rzeczywistość, podobnie odczuwa, z pewnością znajdzie szczeliny, przez które wciśnie się na drogi tej poezji. A poczynić takie próby naprawdę warto.

W całkiem innej poetyce porusza się znany już wielu czytelnikom Marek Ciucka. Czasem szokuje słowem, innym razem porusza sentymentalną nutę, a przede wszystkim zawsze jest szczery do bólu w tym co mówi. Nie jest to poezja łatwa, wymyka się często interpretacjom płynąc znanym sobie tylko nurtem. Wgryźć się w jej rytm jest trudno, gdyż oprócz tego, iż jest bardzo osobista, zanurzona mocno w tradycji i kulturze, posiada wiele rozgałęzień, które mogą zmylić czytelnika i zaprowadzić na mentalne manowce. Podążanie po werbalnych tropach autora utrudnia także zapis tekstów, gdyż są to wieszki zazwyczaj długie, rozlewające się w różnych miejscach w większe lub mniejsze źródła. Ale jeżeli komuś uda się z nich zaczerpnąć, to będzie miał prawdziwą estetyczną ucztę, bo M. Ciucka to prawdziwy dobosz sprawy ludzkiej. I choć często się buntuje, obraża na świat i widzi go w ciemniejszych barwach, to poeta z krwi i kości, który wierny jest swoim ideałom i nie powiela modnych wzorców i mód, pisząc tak, jak dyktuje mu serce. W *POSTscriptum* znalazł się

m.in. wiersz *Opera narodowa*, dedykowany przyjaciółom, mający charakter typowo wspomnieniowy, gdzie podmiot liryczny wraca myślą do czasu spędzonego wspólnie w Gdańsku, nad cudownym Bałtykiem. Zapis tym razem spokojny, płynny, mocno emotywny. Zwraca w nim uwagę plastyczna deskrypcja pejzażu, niemal smakowanie go w każdym, najdrobniejszym przejawie, aby zapamiętać, aby czuć:

„Pochyliłem się w ciszy wiatrom,
Morzu i spokojnie nucącym falom
Dłoń zanurzyłem w piasku pokrytym
muszelkami
Szukając ukrytych nut – na próżno.
Drżenie palców obudziło jantrowe
dzwoneczki
I kropelki tulące się do ziarenek kruszcu”.

Fragment robi wrażenie, mimo prostego przekazu, wolnego od zbędnych środków artystycznego wyrazu.

Płynność towarzyszącą nam od pierwszego wersu spina wyrazistą klamrą refrenowe powtórzenie: „Pamiętasz Przyjacielu ten czas / Piwo rodzime, *Irydos*, burza za oknem w Gdańsku / Ty i ja”.

Subtelna mentalna podróż do Gdańska pointuje podmiot liryczny już z innej perspektywy – tu i teraz. Ostatnia strofa podkreśla jego inklinację do tego co rodzime, do Polski ale i miejsca jego urodzenia. Końcowy dwuwiersz dopełnia mocnym akcentem retrospektywne wspomnienia, które stały się asumptem do uwiecznienia ich na kartce: „Jestem tu, w Kielcach, stoję na łonie wietrzni / i piszę wiersz...”.

Kiedy zatrzymamy się przy poezji kolejnego autora, Marcina Dydyny, rwąca jeszcze przed momentem fraza zamieni się w spokojny strumień. Liryki tego poety to drobne perełki, w których padają istotne pytania, porusza się kwestie egzystencjalne, dotyczy chwil wyjątkowych. Na wers składa się często jedno, czy dwa słowa, co pozwala na większe skupienie się na danym obrazie, czyni go bardziej pojemnym na wypełnienie własną treścią, czy wyobrażeniem i wiedzie do kondensacji wzruszenia. Taka poetyka wstrzemięźliwości jest pożądana szczególnie wtedy, gdy porusza się kwestie bolesne, mocno osobiste. Takim

wierszem jest *Światelko w trawie*, tekst traktujący o śmierci, stracie bliskiej osoby. Podmiot liryczny wspomina zmarłego, już tak bardzo oddalonego od realnego świata:

„Poza nim kwiaty
Obrazy
Ujádanie myśli”

I pomimo, że „mury zostały już uciszone”, ni-
by wszystko wróciło do dawnego życia,
matkę wciąż „łapią skurcze wspomnień”.
Przytoczone zostały także dwie miniaturki,
krotochwile, liryki przekazujące jedną wa-
żną myśl i zamknięte celną pointą. Nie ma
potrzeby poddawania ich interpretacji,
gdyż są to teksty niezwykle nośne artysty-
cznie, z dużym ładunkiem emocji. To takie
poetyckie wysepki, na których można
odpocząć i zadumać się na dłuższą chwilę.
Uwagę przykuwają także wiersze Władysława
Rysia. Zaciekawia przede wszystkim orygi-
nalna poetycka dykcja utkana z obrazów,
których się nie zapomina, plastycznych i
barwnych kreacji świata widzianego ocz-
mi podmiotu lirycznego. Wsłuchując się w
jego bajanie można odbyć szybką wycie-
czkę w różne zakątki bez ruszania się z
miejsca, zanurzyć rękę w szmaragdowej
wodzie Dunajca, popatrzeć na bociana z
tęczowymi piórami, zajrzeć do szuflady
pełnej starych, wspaniałych rzeczy. Pan
Autor to czarodziej słowa, żongluje nim
zasypując czytelnika gradem wspaniałych
obrazów, przestrzeni, nastrojów. Dzieje się
tak dlatego, iż dużo w niej wspomnień,
przypomnień, czulego dotykania rzeczy
minionych, spraw przedawnionych, ale
wciąż poruszającym sterem pamięci. Jedna z
takich retrospektywnych wędrówek pro-
wodzi podmiot liryczny do Krakowa, mia-
sta, w którym przyszło mu spędzić studen-
ckie lata: „wtedy Bławatem, makiem pol-
nym / czasem kąkołem zakwitają /
pierwsze studenckie...”. Pejzaż poddany
mentalnej obróbce przyjmuje rysy tego
dawnego Krakowa, pulsuje minionym
czasem i wraca młodość rozbiegana, roze-
śmiana, zagubiona gdzieś na Boniach,
stadionie Wisły czy w parku Jordana
(*Tamten Kraków*).

Wycieczka po enklawach przeszłości może
przybrać też inny charakter (*Cienie chceń*).

Wymieniane kolejno rzeczy znajdujące się
w starej skrzyni, tonem spokojnym i bez-
namietnym, budzą tym większe emocje.
Dawniej używane i ważne, teraz nieuży-
teczne sprzęty zdają się mówić o swojej
starości, ale i o przemijaniu. Podmiot liry-
czny chcąc przywrócić im dawną wartość,
a siebie odszukać w zakamarkach prze-
szłości, powie:

„Stanę z kumotrami przy weselnej bramie
Odkurzę kolorowe wstążki i znów

Może ktoś poczęstuje”

Bohater W. Rysia nieustannie poszukuje, na-
wołuje i z zaciekawieniem słucha. To
pielgrzym zagubiony na dawnych ścież-
kach, balansujący na granicy dwóch świa-
tów, wrażliwy zegarmistrz z uporem pre-
stawiający wskazówki na wiadomą tylko
sobie godzinę, aby później z pasją opowia-
dać o tym co widzi, co czuje i przeżywa.
Ostatnią już prezentowaną w tym krótkim
szkicu poetką, jest Zofia Mikuła. Po lektu-
rze kilku liryków zamieszczonych w anto-
logii *POSTscriptum* można by skonstato-
wać swoje odczucia jedną myślą: „tylko
miłość”. Będąc jednak wiernym, nieprzy-
padkowym czytelnikiem pani Zofii, trzeba
by dopowiedzieć, że oprócz miłości rozu-
mianej w kategoriach damsko-męskich,
jest też i tęsknota za człowiekiem pojawia-
jąca się prawie na każdej karcie Jej poety-
ckiego notatnika. To niezwykle głęboka,
naznaczona humanistyczną myślą twór-
czość, czego przykładem jest niewielka
próbka poezji autorki, jaką poczęstowała
nas a tej publikacji. Wiersze mówią obra-
zami, tworząc plastyczne kreacje różnych
sytuacji dziejących się między dwoma
bliskimi sobie osobami. Frapują delikatno-
ścią i sposobem prezentacji uczuć, często
wyrażających się przecież w wielu drama-
tycznych spięciach. Między te emotywnie
przedstawienia autorka wkłada płynące
spokojnym strumieniem słowa, które
tworzą niezwykle ciepłą scenerię. Tak więc
mamy kwiat różowej wiśni, chłód lipowe-
go drzewa (*Literatka*), jabłka w przepelnio-
nych koszach (*Rządzą nami ciała niebieskie*),
żółte płomienie liści (*wiersz o jesieni*). Taki
rezerwuuar obrazów tworzy klimat wy-

jątkowego nastroju i subtelności, mimo że tekstualna strona prezentowanych liryków traktuje w dużej mierze o tęsknocie, samotności i niespełnieniu. Ukazaniu tego wyciszenia, spokojnego szeptania o miłości sprzyja także strona formalna wierszy, cechująca się prostotą wyrażoną w oszczędności słowa. Jak się okazuje figura przemilczenia może być niezwykle pojemna, o czym dobrze wie autorka i ci, którzy śledzą jej kolejne poetyckie próby.

Oprócz szóstki wymienionych powyżej współtwórców @ntologii moją uwagę zwróciły wiersze Lucyny Mamczur, mówiącej w mistrzowski sposób o miłości, liryki Lidii Kowalczyk, charakteryzujące się estetyczną trafnością w nazywaniu stanów emocjonalnych, Agaty Frączek dotyczącej kwestii transcendencji w bardzo ciekawy sposób; niesztampowość obrazowania uzyskuje dzięki oryginalnej metaforze i składni, Piotra Deskiewicza, szczególnie dwie, zgrabnie napisane miniatury (*Hipoteza i Impresja ze Strumykowej*), gdzie jedna na chwila staje się asumptem do budowania kolejnych lirycznych rozgałęzień, pulsującej życiem emocjonalnej przestrzeni, oraz Mariusza Andrzeja Żłobińskiego, który pokazał, że ma naprawdę wiele do powiedzenia.

Pozostali autorzy niestety, nie przekonali mnie swoimi tekstami, gdyż ich poetyckie spojrzenie nie odpowiada mojej estety-

cznej wrażliwości. Były wśród nich wiersze białe, ale i te pisane na modłę klasyczną, które szczególnie nie przypadły mi do gustu. Byłabym niesprawiedliwa, nie czyniąc w tym miejscu jednego wyjątku, którym są kunstownie złożone wersy Witolda Adama Rosołowskiego. Nie będę wyliczać jednak niedociągnięć, pewnych braków i tego wszystkiego co przemawia „na nie”, gdyż nie o to tutaj chodzi. Najważniejszy jest pomysł, zaangażowanie i realizacja, czego poklośiem stała się wyjątkowa antologia grupująca reprezentatywne wiersze poszczególnych uczestników forum POSTscriptum. Autorzy zaprezentowali szeroki wachlarz wątków, a przede wszystkim wachlarz umiędzynarodowienia. Miejmy nadzieję, że pomysł nie obumrze, a będzie wciąż się rozwijał i przyniesie kolejny przegląd poetyk w drugim numerze @ntologii. Potrzeba taka z pewnością powstanie, gdyż poeci umieszczając swoje teksty w kolejnym zbiorze będą mogli porównać i ocenić swoje możliwości, śledzić ich rozwój oraz uczyć się na własnych błędach.

POST scriptum, Antologia 1/2008, Kraków 2008.



IZABELA IWAŃCZUK

Odcienie

ciepłe oparchy nieba opadają
mieniając się prawdą i zachwytem
opłatki wszystkich niewinnych myśli
wirują między niebem a ziemią
śniegowym bandażem owijamy ciszę

o ile księżycowa biel wiersza
jest dziś bielsza niż ty
czy pogodny obłok listu jaśniej
mocniej od mojej słonecznej strony



MAGDALENA BŁASZCZAK

Mysli

* * *

Czas zrobił koło
znowu jesień
jeszcze jedna szansa
żeby znaleźć coś w liściach
zapalić pachnące ognisko
ogrzać serce

* * *

Własności brak
zapisane w papierach sądowych
I życie mogę zamknąć w jednej walizce
a tu trzeba bez walizki
bez sukienki na zmianę
bez pantofli na wysokim obcasie...

* * *

Po tylu dniach deszczu nareszcie słońce
idę przesadnie uśmiechnięta
to sprowadza na mnie serię spojrzeń
życie mnie cieszy
to, co widzę mnie cieszy
daję dotrzeć słońcu do środka
żeby też się ucieszyło
serce...

* * *

Czuję się jakby ktoś nagle urwał rozdział
gdzie reżyser, który to wymyślił?
Nie lubię filmów bez puenty
bez metafizycznego zakończenia
czekam na prawdę, która zawsze przychodzi krok za nami
czuję jeszcze...

* * *

Kłęczał jak pomnik
cały w gołębiach
nie, nie jak pomnik, bo widziałam jak czule głaskał ich dziobki
kłęczał na trawniku, sam, setki gołębi
pomyślałam jak bardzo ludzie są samotni
i ja też trochę...

MARIUSZ KARGUL

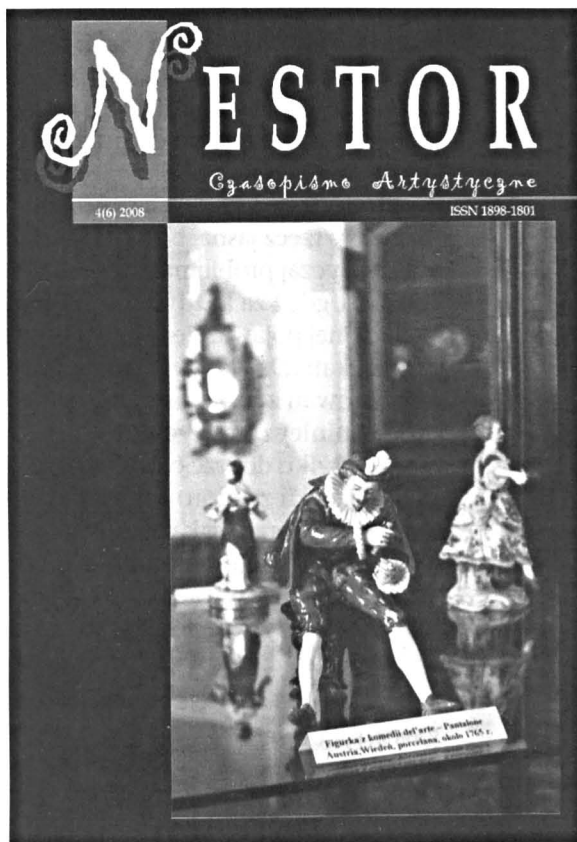
NESTORIANIE W NATARCIU

W Krasnymstawie można już zaopatrzyć się w najnowszy, czwarty w minionym roku, a szósty w kolejności, numer czasopisma artystycznego „Nestor”. Okładkę zdobią fotografie wnętrz Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie (obchodzącego 50-lecie swego istnienia) oraz reprodukcje malarstwa Teresy Stasiak (prezes Grupy Plastycznej „Paleta”).

A wewnątrz, jak zwykle, wiele ciekawych artykułów i tekstów literackich wykraczających niekiedy daleko poza geograficzny obszar ziemi krasnostawskiej. Dla miłośników teatru znajdzie się też niespodzianka w formie relacji z przygotowań do siennickiej premiery (27 grudnia 2008 r.) „Chaty za wsią” Józefa I. Kraszewskiego, w której nieźle palce maczali przywódcy „Nestora”.

W „Słowie redaktora” pojawia się m.in. całkiem uzasadnione larum nad trochę bezsensownie zasypanymi lochami pod miejskim Rynkiem, w trakcie jego rewitalizacji. Czas był zapewne tutaj decydującym czynnikiem, ale jednak pozostaje żal, że wiele miast (np. Lublin, Rzeszów, Sandomierz, o Chełmie już nawet nie wspominając) stara się przyciągać turystów do swych piwnic, które błędą w porównaniu z zasypanymi wielokondygnacyjnymi podziemiami w Krasnymstawie. Przypomina się sytuacja, kiedy w połowie XIX w. runęła kopuła znajdująca się na kościele św. Franciszka Ksawerego, przebijając i burząc znaczną część posadzki. Gruzu, który się przez to wytworzył też nigdzie nie wywieziono, tylko zsunięto go do krypt świątyni.

Czyżby to stawało się poniekąd niechlubną lokalną tradycją? Znamy powiedzenie o zamiataniu czegoś pod dywan. W tym przypadku całkiem uzasadniona wydaje się być teza o zwalaniu problemów do podziemi. Niech tam sobie drzemia spokojnie, a nuż nikt nigdy się do nich nie dokopie... Miłośnikom historii i uroków miasta pozostaje, przynajmniej jak na razie – i podobnie jak ma to miejsce w przypadku nieistniejącego zamku – zwiedzanie



największych atrakcji turystycznych przy pomocy wyobraźni.

„Nestorianie”, bo takim chyba mianem najlepiej określać ludzi, którzy skupieni są wokół tego pisma, już od dwóch lat starają się co kwartał dostarczać swym Czytelnikom sporej dawki lektury na przyzwoitym edytorsko i merytorycznie poziomie. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że jeśli ktokolwiek ma coś istotnego do powiedzenia w zakresie szeroko rozumianej tematyki krasnostawskiej – ale nie tylko – powinien wcześniej czy później zagościć na tych łamach.

O tym, że w dzisiejszych czasach wydawanie pisma nie nastawionego na żaden dochód, a więc bezpłatnego, traci z lekka „donkiszoterię”, najwięcej może powiedzieć jego redaktor naczelny Andrzej David Misiura i garstka zapaleńców zgromadzonych wokół jego osoby: Tadeusz Andrzej Kiciński (zastępca red. nacz.), Alicja Wiech, Dariusz

Włodarczyk, Henryk Wróbel (skład i łamanie – tekstu, nie kołem).

Kwartalnik znalazł już co prawda swych „dobrodziei” w postaci Powiatowej Biblioteki Publicznej, Starostwa Powiatowego, niektórych gmin, a ostatnio i reklamodawców komercyjnych, ale fakt pozostaje faktem, że przed zamknięciem kolejnego numeru i oddaniem go do druku, Andrzej D. Misiura przeżywa nielichą galopadę myśli z rodzaju „starczy czy nie starczy?”. Funduszy rzecz jasna, bo z materiałami nie ma zazwyczaj problemów, co jest godne podziwu, gdyż za każdym razem w stopce redakcyjnej pojawia się wcale niewesoły komunikat: „Dziękujemy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów za swoje publikacje w niniejszym wydaniu”.

Świadczy to tylko dobrze o intencjach osób chwytających za pióro z myślą o publikacji w „Nestorze”, jak również po części o tym, że jednak mało jest „fantastów” starających się utrzymywać tylko i wyłącznie z pisania w naszym regionie, choć są chlu-

rne wyjątki od tej reguły (jak np. Zbigniew Dmیتroca mieszkający na terenie powiatu krasnostawskiego). Myliłby się wszak ten, kto powziąłby podejrzenie, że skoro autorzy piszą dla potrzeb kwartalnika „non profit”, nie istnieje żadne sito, i poszczególne wydania, niczym gąbki, „nasiakają” wszelkimi tekstami, które spływają na adres e-mail naczelnego (david57am@op.pl). To nie tędy droga i członkowie redakcji dobrze zdają sobie z tego sprawę, dokonując niejednokrotnie trudnych wyborów kogo „puścić” a kogo nie. „Nestor” – to brzmi dumnie, zaistnienie na jego łamach winno z czasem skłaniać do nobilitacji, co też jest jednym z wiodących celów pisma.

„Nestor. Czasopismo Artystyczne” 2008, nr 4 (6),
Oficyna Wyd. „Elipsa” – Konfederacja NESTOR,
ss. 60.



KAROL GRACZYK

Małeństwo, podejdź do mnie, musisz być kobietą,
skoro rodzisz się obok, a ja nią nie jestem
pomóż mi ustalić moją *tożsamość własną*
względem lampy, suwaka albo psa sąsiadów.

Jesteś tu długo dłużej, niż od czasu, kiedy
rodziła cię moja matka. Na jej pogrzebie
byliśmy jeszcze w wózkach, w piątek po południu,
w białych spodenkach, czapeczkach. Dokąd idziemy?

Zbierać kawałki z kobiet i hektarów ziemi.
Pobudka. Na śniadanie chleb, kubek, łyżeczka
cukru, dwie, soli. Przy drzwiach do kuchni dwa lustra
lambrekin. Jesteśmy krew z krwi, kość z kości, kiedy

stawiam stopę idziesz, otwieram oczy patrzysz.
Na razie stój spokojnie albo pisz od nowa.



MATEUSZ WITKOWSKI

Banga

wyśniewałem cię
notorycznie

jeśli nie występ incognito
to rysy starych kobiet
desenie dywanów lub
(co gorsza)
międzywersowy przemysł

teraz
w branży onirycznej
jesteś towarem
luksusowym

nie znoszę tego
L'le

Schiele

północ
półdzień
gdzieś pomiędzy
trzynastą a
południem

wejdziemy
teoretycznie czyści
wyjdziemy
czysto teoretycznie

masz wstyd na zębach
jak w starych erotykach

DARIUSZ MAGIER

REFLEKSJA Z II LUBELSKICH TARGÓW KSIĄŻKI

Impreza naprawdę bardzo udana. Choć sprzedaż pod psem.

Siedzimy naprzeciwko Ośrodka Brama Grodzka - Teatr NN. U nich też sprzedaż leży. Pan Norbert Wojciechowski narzeka, że przez cały wczorajszy dzień sprzedał książek na kilkaset złotych, a przecież Norbertinum oferuje dwadzieścia razy więcej tytułów niż my.

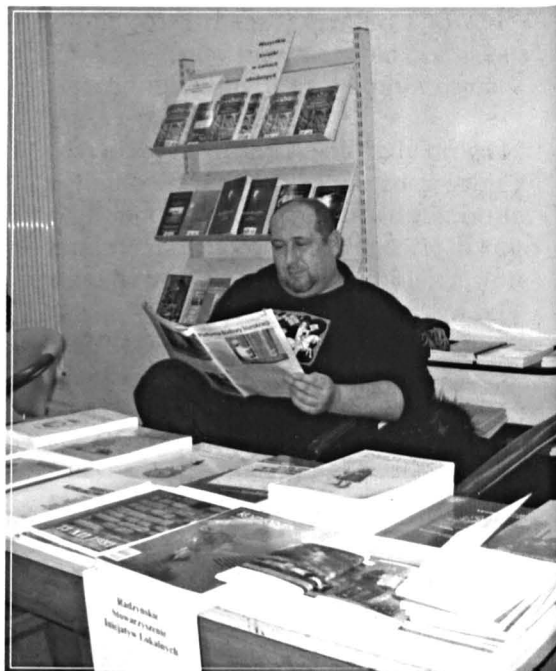
Ludzi niewielu. Jeśli już przychodzą, to chyba bardziej po to, by odfajkować targi, zaliczyć z obowiązku. Rzadko biorą któreś wydawnictwo do ręki, jeszcze rzadziej pytają o coś. Przy stolikach, owszem, grupy osób, ale to raczej znajomi sprzedających. Ot, weźmy podróżniczkę Agnieszki Martinkę - zatrzymują się, porozmawiają. Nie widać, by kupowali.

I chyba nie rzecz w nietrafionej tematyce, bo ta różnorodna. Gdyby ktoś chciał, wybrałby. Nie sprzedają nawet oferujący książeczki dla dzieci, a przecież mamy dzień św. Mikołaja.

Kto przychodzi? Zwykle starsi, ludzie ukształtowani w epoce, w której się czytało. Trochę emerytów, ludzi z branży. Młodzieży jak na lekarstwo, prawie wcale braci studenckiej - w mieście tylu uniwersytetów i szkół wyższych! Boże... A okazja duża, książki w cenach promocyjnych. Czy naprawdę tak mało czytamy?



📷 Paweł Żochowski



📷 Paweł Żochowski

Za to okazja do kontaktów branżowych duża. Kolegów ze Związku Literatów Polskich zwabia najnowszy numer „Koziegorynku” na naszym stoisku. Snujemy plany wspólnych przedsięwzięć również ze Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich. Z Panem Aldonem Dzieciołem z Włodawy ustalamy jego wieczór autorski w Radzyniu.

Sprzedaż jak sprzedaż, za to organizacja na najwyższym poziomie. Pracownicy Wojewódzkiej Biblioteki im. Hieronima Łopacińskiego uprzejmi i przyjaźni. Troszczą się o nas jak przystało na gospodarzy. Kawa, herbata, ciasto, bigos, barszczyk. Z głodu nie umrzemy, myślę.

I nie umarliśmy. Mimo fatalnej sprzedaży szczerze obiecujemy powrócić tu za rok, więc impreza chyba wypaliła.





ANNA MICHALSKA

Traktat o zmierzchu

noc zatyka nam usta i zmiękcza dłonie
 stajemy się sobie bliżsi, bardziej przylegli
 wiesz, świt i tak zgasi gwiazdy,
 deszcz rozmyje te wszystkie chwile uniesień
 nasze drogi mleczne. w końcu
 umilknie warkot motocykla i rankiem
 odprowadzisz mnie do domu. już
 nic nie sprawi, że polubię cię bardziej
 choć trochę, lecz tutaj nocą

*koty nie wychodzą na spacer
 by gdzieś dojść
 lecz żeby poznawać*

Moment przed

Spójrz, księżyc coraz bardziej omdlewa,
 słania się na wiotkich nóżkach, zobaczysz,
 nie wytrzyma długo. Już prawie nie jest
 widoczny na tle szarzejącego nieba -
 gwiazdy dogasają, jeszcze tylko
 gdzieś odznaczają się małe
 lampiony dmuchawców, coraz bardziej
 niekompletne.

Twierdzisz, że za chwilę ozłoci nas
 słońce, ukoronuje, lecz ja wiem, że to już
 będzie koniec, za moment noc umrze.
 Potem już tylko przekraczając próg
 mieszkania poczuję na policzku pożegnalny
 pocałunek

ANNA NOGAJ

BUCH BACH - BACH BUCH - POLAKA PORTRET WŁASNY

Kto jeszcze nie był na przedstawieniu *Transatlantyk* w Kieleckim Teatrze imienia Stefana Żeromskiego, ten niezwłocznie powinien tam się udać. Emocje i satysfakcja gwarantowana. Właśnie tak, w dwu zdaniach można by zaanonsować tę sztukę. Piotr Sieklucki, reżyser spektaklu, w jednej z wypowiedzi wyraził swoją obawę powtarzając słowa Gombrowicza, iż nikt nigdy nie wyreżyseruje jego dzieła tak, jakby zrobił to on sam. Reżyser przeprosza, a powinien wysoko podnieść czoło i być dumnym z efektów swojej pracy. Bo, jak się okazało, obawy były zbędne. Doskonale oddał to, co u mistrza absurdu Gombrowicza najważniejsze – w sposób barwny, groteskowy a z drugiej strony tragiczny przedstawił obraz Polski i Polaków; pozorów i pseudopatriotów wiodących jałowe życie na obczyźnie.

Sztuka zaczyna się niesztampowo, na scenę wychodzi Imć Witoldo – Hubert Bronicki i wygłasza krótkie expose, w którym jest miejsce na zaproszenie widzów do teatru w El Pueblo w Buenos Aires, ale i na prośbę o wyłączenie telefonów komórkowych. Ale to jeszcze nie koniec, prologos do akcji głównej poprzedził również hymn Argentyny wyśpiewany donośnym głosem pani Marzeny Ciuły, której nb. cała oprawa muzyczna spektaklu wyszła nienagannie. Po tym mocnym wstępie zabawa zaczyna się na całego.

Pierwsza, jedna z najdłuższych scen, przedstawia Gombrowicza w konfrontacji z „najważniejszym” przedstawicielem Polonii na obczyźnie - Ministrem. Spotkanie to jest nie tylko groteskowe do potęgi ale i dramatyczne w swoich wyrazie, gdyż ukazuje prawdziwe oblicze Polaków, ich stosunek do sprawy narodowej. Na wierzch wychodzi to „co plugawe” – materializm, fałsz, przekupstwo. Nasz biedny bohater pozbawiony środków do życia będzie mógł objąć posadę redaktora w pismach kulturalnych, ale pod jednym warunkiem: ma pisać tak, żeby innym się podobało, oraz,

„żeby nie było, że nie napisali”. Taka maksyma może by i odpowiadała Gombrowiczowi, ale kiedy przyszło mu skreślić słów kilka o Mickiewiczu czy Słowackim, mówi że mu „wstydno”. Bo wstydzi się i wstydzą inni bohaterowie, tego co dawne i polskie, co zakotwiczone jest w tradycji przodków. Stąd też Gombrowicz wciąż poszukuje dla siebie „nowej formy” chcąc wyzwolić się z tego, co od lat nawarstwiało się wokół słowa „Polska”. Ucieczka od przeszłości staje się jednak dla niego niemożliwa; popycha go niechybnie w równie silne ramiona nowoczesności, z których uścisku także będzie próbował się wyzwolić. Takim symbolem wolności i tego co dalekie od wszelkich zasad i konwenansów jest Portugalczyk Gonzalo uganiający się za młodymi chłopcami. (bardzo dobra rola Pawła Sanakiewicza, który mimo postawnej postury umiejętnie oddał postać zniewieściałego mężczyzny). Na początku Gombrowicz wzdraga się, aby stopniowo (choć nie do końca) zaakceptować jego rozwiązy i lightowy styl życia, który, jaki by nie był, stanowił przeciwwagę dla wstrętnej, zamkniętej w sztywny szablon, polskości. Jednak to tylko ułuda, i po tej stronie nie może znaleźć dla siebie miejsca. Kiedy Gonzalo został wezwany na pojedynek przez starego Tomasa w zemście za uwodzenie mu syna Ignaca, Gombrowicz zostaje wplątany w spisek i zataja prawdę o tym, iż w pistoletach nie ma kul. Dręczony wyrzutami sumienia i obawą aby Ignac nie został uwiedziony, postanawia odkryć prawdę. Jak widać, to postać nierówna, Gombrowicz miota się między jedną a drugą stroną, zapętlać coraz bardziej w absurdałnej rzeczywistości. Można by powiedzieć, że to bohater niezwykle aktywny, bo wciąż szuka, wędruje, poznaje ludzi, ale to nie będzie prawdą. W istocie jest to postać niezwykle statyczna, gdyż jej wewnętrzne wybory nie przynoszą żadnych pozytywnych zmian w postępowaniu i światu-



Jacek Rzodeczko

poglądzie. Wielki Witoldo mimo chęci stania się kimś większym i oryginalnym, staje się jedynie cieniem swojej idei.

Hubert Bronicki jest bardzo przekonywający w odgrywaniu tej roli. Stworzył postać wyraźną, która właśnie poprzez swoje niezdecydowanie i ciągle zagubienie dobrze oddaje kondycję głównego bohatera Transatlantyku. Raz jeszcze pokazał, że stać go na dużo, bo zagrał kunsztownie, z taktem i z wyczuciem, chyba najtrudniejszą w spektaklu rolę.

Kolejni bohaterowie Ciumkała, Pyckal i Baron - to trójka błaznów do potęgi. Każdy z nich stanowi oryginalną osobowość - przedstawieni w karykaturalnych pozach wprowadzają do spektaklu sporą dawkę śmiechu. Pyckal wykreowany na zadziornego ratlerka wiezie prym, rządzi się i ciągle szuka zwady. Ciumkała ciągle „gmyrze” gada i gada, a raczej wydaje nieartykułowane dźwięki niczym gdakanie. Poruszając się po scenie z rękami umieszczonymi w przepastnych kieszeniach z lekka przygarbiony wzbudzał wielokrotnie salwy śmie-

chu. Michał Węgrzyński również mistrzowsko odegrał swoją rolę (napuszonego Barona).

Walka między tym co nowe i dawne trwa na scenie cały czas: Gombrowicz stacza pojedynki z wielkim poetą argentyńskim na słowa, co wygląda niczym platońska dysputa. Wzajemne zbijanie wypowiedzi celnymi ripostami oraz towarzyszący temu określony gest stanowi dobrą scenkę rodzajową, mocną i wyrazistą. To kolejny atut reżyserii Siekluckiego: gest - rytm - słowo stanowią zwartą triadę, co dowodzi niezwyklej dbałości o każdy szczegół. Przypomnieć tu wypada dwie kolejne fenomenalne role: Mirosława Bielińskiego, który jako Radca i poddany dumnego jak paw Ministra (Edwarda Janaszka) naśladuje wiernie każdy gest swojego pana. Doskonale oddał służalczość i naiwność, ukazując się jako totalnie uległy i pozbawiony swojego zdania sługa.

Ale cecha ta nie tylko przypisana jest Radcy. Każdy z bohaterów przybiera podobną postawę, jeżeli nie ze strachu, to z chęci

zysku. Udało się w pełni reżyserowi przedstawić świat gdzie rządzi pieniądź, obmowa i kumoterstwo.

Sieklucki idąc za pierwowzorem starał się wiernie odtworzyć świat gombrowiczowego absurdu. Stroje epoki sarmatyzmu, obyczajowość tamtego czasu – kuligi szlacheckie, pojedynki, polowania, wszystko to znalazło swój wyraz na scenie. Dołączyć do tego należy jeszcze język stylizowany na szlachecką gawędę i otrzymujemy obraz niezwykle barwny, roziskrzony humorem i żywiołowością. Rzeczywiście, zewnętrzna oprawa cieszy oczy, jednakże oprócz feerii obrazów i fanfaronady rozgrywającej się cały czas na scenie uważny widz zajrzy pod tę wierzchnią zasłonę i zobaczy więcej. Tam już nie jest tak wesoło, że boki można zrywać, wręcz przeciwnie, jest ciemno i strasznie. Pod barwnym kostiumem kryje się mały, zagubiony człowieczek, zakładający pośpiesznie na twarz kolejne maski w zależności od sytuacji, w jakiej się znajduje.

Kiedy Polska upada, ponosi klęskę na arenie politycznej, ci nieporadni Polonusi chcą nagle stać się straszni, widząc w takiej postawie swój jedyny ratunek. Towarzysze Związku Kawalerów Ostrogi Pyckał, Ciumkała i Rachmistrz pastwią się nad Gombrowiczem: zamykają w ciemnej piwnicy i wbijają mu w łydkę ostrogę. Jednak Witłdo wpada na lepszy pomysł, zagrzewa współtowarzyszy cierpienia do zrywu, do czynu potwornego, mającego wyrazić się w zabójstwie młodego Ignaca. Z ich planów nic jednak nie wynika, gdyż w ostatecznej rozgrywce brakuje im odwagi. Tak samo plan Gonzala, aby ojciec zginął z rąk syna, również legł w gruzach. I tak przez cały czas trwania spektaklu jeden bohater drugiego uwodził, nadawał mu formę, kruszył starą, przyklejał „gęby” i śmiał się do rozpuku. Jeden drugiego pociąga w sieć niekończących się z/należności, i maszerują za sobą do ostatecznego upadku, udając, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. A na końcu niezwykle radośni, niczym w narkotycznym transie, tańczą zgodnie chocholi taniec i „Śmiechem Buch, Śmiechem Bach, Bach, buch Bucha-

ją”. Tak oto, ani Syncyzna – wyrażająca się Młodością Ignaca, ani Ojczyzna – uosobiona w honorowej postaci Tomasza tradycjonalisty nie staje na piedestale. Znów bohaterowie Gombrowicza za żadną ze stron nie są się w stanie opowiedzieć i z jednej formy w kolejną formę uciekają.

Na koniec jeszcze należy wspomnieć słów kilka o udanej scenografii Łukasza Błażejewskiego. Wystrój wewnątrz idealnie oddaje ideę Gombrowiczowego absurdu, świata na opak, postrzeganego w krzywym zwierciadle. Jest to przestrzeń czasami piękna i tajemnicza, kiedy np. widzimy ogrom szafiru, wspaniałą zastawę na ucztę u Gonzala, lustro weneckie w pałacu Portugalczyka czy kłębiące się atlasy. Bywa też mroczna i zimna: na co składają się dekoracje z plastiku podkreślające sztuczność i oziębłość w życiu bohaterów. A przede wszystkim utkana jest z elementów tworzących sytuacje komiczne i nienaturalne (choćby scena przy pisuarach), czy pogoń Gonzala za Ignacem poza sceną i poszukiwanie chłopca w lozach między rozbawionymi widzami.

Element komizmu wprowadzają także kostiumy, które dokładnie dopasowane są do osobowości, charakteru roli danej postaci: bawią (Pyckał w czapce pilotce mającej przypominać pieska czy szerokie spodnie Ciumkały, no i priorytetowo mini spódniczka Gonzala) Do tych wszystkich atutów należy dodać jeszcze dobrą reżyserię światłem uwypuklającym to co najważniejsze w danym momencie, poprzez punktowe rzuty na daną postać czy rekwizyt.

Trans-Atlantyk na podstawie Witolda Gombrowicza, Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach, reżyseria i adaptacja Piotr Sieklucki, scenografia Łukasz Błażejewski





MARIUSZ CEZARY KOSMALA

Powiedzmy Ryszard

Być kobietą to znaczy palić papierosa
na ulicy, trzymając go między palcami
w sposób na tyle zręczny, żeby się podobać

publiczności. Kobieta być to mieć aksamit
spojrzenia odległego w mgłę przejrzystą miasta,
a tęczęwkami dawać wyraziste znaki

do natarcia. Z Krakowa, z Warszawy czy z Miastka
kobietą być to jedno i to samo niebo
kobiecego uśmiechu lub jego namiastka

szyszczą. Być krzyczącą bez przerwy kobietą -
i to się może zdarzyć, kobieta kapryśna,
sprośna w łóżku, na co dzień matka i jej dziecko:

córeczka, która już jest kobietą w zarysach.
Poza tym być kobietą to posiadać również
różne rzeczy, na przykład mąż, powiedzmy Ryszard,

albo przyjaciel domu, złota rączka, głównie
do naprawiania ciała kobiecego tutaj
dotknie, tam wymasuje, wycaluje ówdzie,

czasami kran naprawi i jest git. Okrutna
kobieta, czyli taka, która kocha inną
kobietę, a nie ciebie czy to jest zatruta

miłość? Ale! To tylko tak do głowy wino
uderza, kiedy pije się z koleżankami,
a potem z jedną idzie i jest bardzo miło.

Bo w gruncie rzeczy każda kobieta to kamień,
nigdy nie wpuści cię do środka, choćbyś się z nią
kochał na śmierć i życie. Nie wierzysz? To zamień

się w wiązkę słońca latem i spróbuj w nią wpełznąć.
Jak Boga kocham, zwykły kamień, jakich pełno.

DARIUSZ MAGIER

CHWILE NIESKOŃCZONOŚCI

Życie kulturalne Radzyna Podlaskiego w 2009 roku zainaugurowało w sobotę 3 stycznia Archiwum Państwowe wraz z Konfraternią Kozirynek wernisażem otwierającym wystawę malarstwa Magdy Raczk-Pietraszek pt. „Chwile nieskończoności”.

Bohaterka wieczoru to absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, uczennica prof. Jana Tarasina. „Chwile nieskończoności” to 14 indywidualna wystawa tej niezwykle wrażliwej malarki i poetki, która podkreśla, że jej motto artystyczne brzmi: „Wzniesić się ponad siebie samego, to pokonać swoje przywiązanie do logiki, rozumu, geometrii, to pokonać swoją biologiczność, ekspresyjność, swoją pierwotność. Pokonać, to nie znaczy wyrzec się”. Dopełnieniem jej twórczości malarskiej są wiersze, które nazywa „słowami obrazami”, a stanowią one swoistą próbę poszukania harmonii pejzażu i myśli. (Na marginesie dodam, że idea Magdy wpisuje się w działalność przyświecającą również Konfraterni Kozirynek, stąd zupełnie nieprzypadkowe jest zaangażowanie naszej redakcji w promowanie twórczości artystki.)

Jak sama zauważa, w sztuce Magdy Raczk-Pietraszek malarstwo abstrakcyjne nie pojawiło się nagle, było wynikiem wieloletniej pracy rysunkowej i malarskiej, obserwacji, analizy, wyciągania wniosków. Wielokrotnie zadawanego pytania: Co jest ważne?, w sztuce, w życiu. Realistyczne rysunki pejzażu wykonywane węglem są ściśle związane z wierszami. Również z obserwacji pejzażu wynikł kolor błękitny. Jednak nie z obserwacji powierzchniowej. Błękit to kolor uduchowiony, wciągający patrzącego w głąb, w przestrzeń tego co niematerialne. Tak jak w przyrodzie zachwycają nas „rzeczy” (drzewa, kwiaty, góry, jeziora...), tak naprawdę to jej harmonia jest tajemnicą. Tak w obrazie błękit jest nie tylko kolorem, ale wprowadza w przestrzeń myślowe, duchowe, przestrzenie innego wymiaru niż czysto warsztatowe problemy malarskie.

Obrazy celowo nie mają tytułów, tworzą bardzo rozbudowane cykle, np. cykl „To co niematerialne” zawiera prace w technice



📷 Paweł Żochowski

olejnej, gwaszu, akrylu i trwał od 1990 do 2003 roku. Prace od września 2003 roku zaczęły tworzyć nowy cykl pt. „Przestrzenie błękitu”. Bardzo rzadko poszczególne obrazy mają swoje indywidualne tytuły.

Kontynuacją pracy twórczej wyrażania tego co niematerialne przy pomocy materialnych środków wyrazu są inne działania artystyczne: instalacje, happeningi i wiersze autorki. I tak jak przyroda przemawia do nas bogactwem różnorodności form, tak artysta poszukuje, tworzy, by sztuka miała sens.

Magda prezentowała swoje obrazy w wielu miejscach w Polsce (Białystok, Gdańsk, Liw, Lublin, Nadarzyn, Pruszków, Szczecin, Toruń, Warszawa) oraz za granicą (Couvin w Belgii, Bronte, Catania, Pisa we Włoszech). Teraz do tej listy dopisać może również Radzyn Podlaski.

Wernisaż odbył się w gościnnych murach Oddziału Archiwum Państwowego w Radzynie Podlaskim, które próbuje zerwać ze zdehumanizowanym trendem oddzielenia nauki od sztuki, lecz na nowo połączyć te dziedziny w jednym nurcie przejawów działalności kulturowej człowieka.





WIECZNA CZĘŚĆ I CHWAŁA
BOHATEROM
WALKI O WOLNOŚĆ

H011
6.00

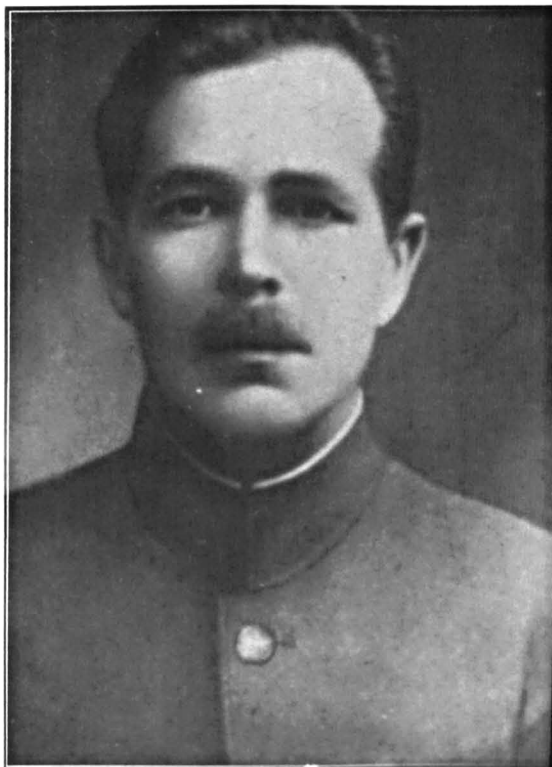


DARIUSZ MAGIER

JAKIE ŻYCIE TAKA ŚMIERĆ, CZYLI POGRZEB KOMUNISTY

*Księżda do mnie nie wołajcie,
Niech nie robi zbędnych szop,
Tylko ty mi, przyjacielu,
spirytusem głowę skrop.*

Nadchodzące lato 1932 roku niosło sennemu, powiatowemu, zagubionemu wśród błot pogranicza podlasko-poleskiego Radzyniowi Podlaskiemu nie lada atrakcję. Oto 18 czerwca Kostucha odwiedziła nauczyciela z Branicy, Zygmunta Machowskiego, na którego tym razem otrzymała zlecenie od Pana Życia i Śmierci. Zdarzenie typowe dla nędznego rodzaju ludzkiego i nieodrodnie związane z jego losem, tym razem zelektryzowało społeczność miasteczka. I nie ma w tym nic dziwnego. Oto bowiem śmierć zabrała ze sobą nie tylko, „internacjonalistę”, „postępowca” i „wolnomyśliciela” (wolno zaś chyba dlatego, że za pośrednictwem odległego, czerwonego Kremla), ale także wybitnego praktycznego działacza rewolucyjnego, członka nielegalnej, bo agenturalnej, Komunistycznej Partii Polski, komunistę pełną gębą. Słowem ateistę. I jak na takiego przystało, w swej ateistycznej spowiedzi (samokrytyką będzie się to zwać dopiero na kolejnym etapie rozwoju komuny, za 20 lat) przed sekretarzem swej branickiej *jaczejki* (czyli z rosyjska komórki) komunistycznej Józefem Cepem (nb. członkiem władz regionalnych organizacji w Siedlcach) wyznał, że pragnie mieć świecki pogrzeb. A pogrzeb miał się odbyć w Radzynie. I ta właśnie informacja tak zelektryzowała lokalną społeczność. Oto bowiem po raz pierwszy w dziejach miasta na życzenie zmarłego odbyć się miał świecki pogrzeb: bez księdza, bez liturgii, bez święconej wody. Katolicką większość poruszył sam fakt zaistnienia takiego zdarzenia; komunistów – szansa na przełamanie „reakcyjnego” tabu i możliwość zamienienia pochówku w manifestację polityczną; antykomu-



Emil Kiryluk - ojciec radzyńskiego komunizmu

nistów rekrutujących się zwłaszcza spośród młodych narodowców - mobilizacja komuny; władze – możliwość spacyfikowania członków nielegalnej organizacji.

*

Powróćmy jednak jeszcze na chwilę do istoty komunizmu, by wyjaśnić jego wrogość w stosunku do religii. Ruch komunistyczny stanowił próbę realizacji XIX-wiecznej społeczno-politycznej utopii, głoszącej całkowite zniesienie własności prywatnej, rodziny, zróżnicowania klasowego społeczeństwa, religii i państwa, które identyfikowane były, jako przyczyny społecznego wyzysku i wszelkiego zła. Dążył on do zmiany ustroju na drodze rewolucyjnej, której uwieńczeniem miała być *dyktatura proletariatu*, czyli totalne rządy partii komunistycznej – uosobienia proletariatu

(*klasy robotniczej*) i jego interesów. Autorami projektu ideologicznego komunizmu – jak to zgrabnie określi prof. Jacek Bartyzel – byli: Karol Marks i Fryderyk Engels, założyciele Związku Komunistów (1847) i autorzy *Manifestu Komunistycznego* (1848), zaczynającego się charakterystycznymi słowami: „Widmo krąży po Europie – widmo komunizmu...”. Utopię tę przekuli w praktykę społeczno-polityczną Włodzimierz Uljanow (Lenin) oraz Józef Dżugaszwili (Stalin) powołując na gruzach Imperium Czarów mroczno-krwistą kreaturę pod nazwą Związek Sowiecki. Jego głównym celem była od początku sowietyzacja (wprowadzenie komunizmu) świata, którą realizował przez większą część XX wieku. Gros tych działań stanowił eksport idei rewolucyjnych i wspieranie odśrodkowych sił w innych państwach, co w komunistycznej nowomowie ukrywało się pod mianem *internacjonalizmu*.

W oficjalnej propagandzie komunizm występował jako ideologia ateistyczna („Religia to opium dla ludu”, pisał Lenin), jednakże z czasem sam stał się quasi-religią, ze swoją boską trójcą (Marks, Engels, Lenin), papieżem (aktualny gensek), kapłanami (aktywi partii komunistycznej). A do tego wszystkiego stworzony przez komunistyczne bóstwo *nowy człowiek* („Nowego człowieka Adam” jak pisała Wisława Szymborska w wierszu *Lenin*), co oddawano w swojej modlitwie: „O, Wielki Stalinie, Wodzu Ludów, Ty, który powołałeś do życia człowieka...” Z kolei poeta-wyznawca, Leopold Lewin, nie wahał się pisać: „Ojczyzno mojej wiary, kraino nadziei” (*Ojczyzno mojej wiary*).

Szczególnie trudna rola przypadła w początkach istnienia państwa sowieckiego sąsia-

dującej z nim Polsce. Siłą odśrodkową miała tu być Komunistyczna Partia Robotnicza Polski (od 1925 r. Komunistyczna Partia Polski) – partia nielegalna, jawnie występująca przeciwko niepodległości Polski i dążąca do podporządkowania kraju Rosji Sowieckiej, na rzecz której wykonywała zresztą funkcje szpiegowskie i de facto stanowiła jej *V kolumnę*. Chrztem bojowym komunistów była wojna polsko-bolszewicka 1919-1920, kiedy to opowiedzieli się po stronie najeźdźcy, wzywając społeczeństwo do zdrady i inicjując powstawanie konkurencyjnych, prosowieckich ośrodków władzy.

Po odparciu najazdu bolszewickiego komunistów zostali kompletnie skompromitowani przed społeczeństwem polskim współpracą z najeźdźcą i przez cały okres międzywojenny pozostawali poza marginesem życia politycznego. Choć nie odgrywali znaczącej roli politycznej, posiadali jednak ruchliwą siatkę agitatorów opłacanych za sowieckie pieniądze, których zadaniem było przenikanie do różnych środowisk polskiego społeczeństwa.

*

Ślady działalności komunistów były dosyć widoczne również w Radzynie Podlaskim. A to 6 sierpnia 1925 wielki komunistyczny transparent pojawił się na rogu ulicy Stodolnej i Międzyrzeckiej, w którym nawoływano: „Żądamy zwolnić więźniów politycznych! Niech żyje rewolucja!”. „Precz z rządem burżuazyjnym! Nie damy żadnych podatków dla rządu burżuazyjnego! Żądamy ziemi dla chłopów bez wykupu! Niech żyje rząd chłopski i robotniczy! Niech żyje Polska Rep[ublika] Rad!”. „Cześć wam bohaterzy walczące [z] prowokacją! Śmierć



prowokatorów! Precz [z] sądamy doraźnymi!". A to 26 sierpnia 1925 r. w bramie pałacu Potockich, wówczas już własności publicznej, pojawił się transparent: „Czesz wam bohaterzy walczących!!! Prowokacja!!! Śmierć prowokatorów. Precz prowokacja!!! Precz [z] sądamy doraźnymi!!! Żądamy zwolnić więźniów politycznych!!!". „Nie płacimy podatków rządowi burżuazyjnego. Precz z rządem burżuazyjnym!!! Niech żyje rząd robotniczo-chłopski!!! Niech żyje rewolucja!!! A to znowu 16 stycznia 1926 r. w biały dzień *bibułę* komunistyczną rozrzucono na dziedzińcu tegoż pałacu. Kolejny komunistyczny transparent pojawił się w Radzynie Podlaskim 3 czerwca 1928 r. Przed północą płótno wiszące na drutach elektrycznych przy ulicy Międzyrzeckiej, dostrzegł Stanisław Władka. Transparent stanowił czerwoną płachtę wielkości 80 x 50 cm przybitą gwoździem do deski. Napis wykonano złotą farbą: „Żądamy pełnej amnestii dla wszystkich więźniów politycznych! Precz z białym terrorem faszystowskim! Niech żyją więźniowie polityczni! Niech żyje rząd robotniczo-chłopski!" Akcję ponowiono 6 czerwca. Na ulicy Ostrowieckiej wywieszono wówczas transparent, który głosił: „Precz z rządem faszystowskim! Precz bojówka socjal-faszystowska PPS! Nie uda wam się utopić we krwi awangard rewolucyjnych! Niech żyje rewolucja! Niech żyje rząd robotniczo-chłopski!"

Aktywność komunistyczna nasiliła się w lecie 1929 r. 1 sierpnia wywieszono transparent na drutach linii elektrycznej przy ulicy Międzyrzeckiej. Treść głosiła: „Precz wojna przeciwko ZSRR. Niech żyje ZSRR. Niech żyje 1 dzień września – dzień walki przeciwko wojnie". Kolejne plakaty o treści: „Niech żyje Międzynarodowy dzień Młodzieży. Precz z wojną przeciw ZSRR. Niech żyje ZSRR. Precz z militarystką. Niech żyje rewolucja światowa", pojawiły się na ulicy Ostrowieckiej 31 sierpnia 1929 r. W wywieszonym w sierpniu 1930 r. na Drogim Rynku (stary dworzec PKS), transparentie nawoływano: „Niech żyje Międzynarodowy Dzień Młodzieży. Precz z wojną

przeciwko ZSRR. Niech żyje ZSRR. Precz z krwawym terrorem faszystów i socjal-faszystów". Oto kilka zaledwie przykładów „dokonań” komunistów radzyńskich w ciągu lat poprzedzających wydarzenia, którymi się tu zajmujemy.

Podczas lektury haseł wywieszanych przez komunistyczną konspirację w oczy rzuca się ich niepoprawność językowa, która wynikała z faktu, że większą część składu osobowego przedwojennej radzyńskiej komuny stanowiła ludność pochodzenia żydowskiego, która w większości, z własnego wyboru żyjąc w żydowskim getcie, języka polskiego po prostu nie знаła. Jak pisał przodownik Komendy Powiatowej Policji Państwowej Piotr Ni-kończuk po wykryciu kolejnych nielegalnych transparentów w Radzynie w 1926 r.: „Z ortografii [na transparentach] widać jednak, że wykonane one zostały przez Żyda". W Radzynie Podlaskim nadreprezentacja Żydów w ruchu komunistycznym była rzeczywiście dość duża – w okresie międzywojennym stanowili oni 64% radzyńskich komunistów.

Do najaktywniejszych komunistów radzyńskich należeli: Mojżesz Agman, Josef Blachowicz, Pinkus i Mordko Borchowscy, Joel i Wolf Branicy, Mendel Burhard, Jakub Calbiński, Zawu Fenig, Ludwik Fijał, Józef Fijał, Antoni Filipiuk, Noech Fisz, Froim Helfenbaum, Mojżesz Hochbaum, Abram Kagan, Aleksander, Karolina i Władysław Kirylukowie, Aleksander Klich, Bronisław Kosiura, Stanisław Łaniewski, Bela i Lonia Majerwaser, Stanisław Mazur, Motel Muszkat, Nysenbaum, Stanisław Opolski, Piotr Osak, Bolesław Palica, Henoch i Sruł Rozenzweig, Jakub i Mojżesz Siedlańczykowie, Aleksander i Bronisław Skrzeczakowscy, Tyla Tenenbaum, Wajsbbaum, Jan Waglewski, Marian Wróblewski, Fisz, Jankiel i Jakub Zawidowiczowie, Sala Żyto.

*

Dzień pogrzebu był dla wielu dniem mobilizacji. Komuniści – wiadomo. Ściągali ze wszystkich stron powiatu, by pożegnać

towarzysza, a przy okazji zmanifestować swoją ideologię. Wśród nich znajdowała się znaczna grupa Żydów. Co prawda, komendant radzyńskiej policji, Józef Sikorski, postanowił zatrzymać prewencyjnie co bardziej znanych i notowanych komunistów w areszcie na czas pogrzebu, jednakże pochówek i tak zgromadził ich kilkudziesięciu, którzy ideowym konduktem, na czele z towarzyszami zmarłego z *jaczejki*: Adamem Fijałkiem, Władysławem Pawliną oraz Józefem i Ludwikiem Cepami, przemaszewali za trumną z ciałem Machowskiego z Branicy na radzyński cmentarz.

Z drugiej strony pogrzeb zmobilizował również młodych nacjonalistów z Obozu Wielkiej Polski, którym wizja zgromadzenia się w jednym miejscu dwóch największych przeciwników politycznych – komunistów oraz Żydów, nakazała liczne obsadzenie terenu cmentarza. I wreszcie, co było do przewidzenia, na nekropolię na Kozimryнку, wschodniej dzielnicy miasta, skierowane zostały znaczne siły policyjne, które komendant zapobiegawczo ściągnął z całego powiatu. Miał też swoich agentów pośród samych komunistów, gdyż ten pro sowiecki ruch, jako wykonujący szpiegowskie funkcje, był w znacznym stopniu zinfiltrowany przez polskie służby.

Według ustalonego porządku, główne pożegnanie zmarłego towarzysza miał przedstawić Stanisław Kiryluk – wnuk ojca i założyciela „czerwonej dynastii” w powiecie radzyńskim, Emila Kiryluka, późniejszy oficer sowiecki i NKWDzista. Następnie podchodzili inni, wygłaszając swoje funeralne mowy. W końcu na skraj grobu podszedł również Władysław Pawlina z braniczkiej *jaczejki*. Krótko przypomniał bliskie i długotrwałe kontakty ze zmarłym, jego walory, spuściznę, którą pozostawił, by zakończyć swą mowę słowami: „Jednak nie mogę zrozumieć, jak możecie to ścierpieć, towarzysze, że nasze święte miejsce, poświęconą ziemię, w której spoczywają chrześcijanie, swoimi buciorami bezczeszczą Żydz. Wypędźmy ich!”.

Można sobie wyobrazić co się tam działo! Pośród komunistów rozpoczęła się przepy-



Przemarsz narodowców

chanka, gdyż mimo oficjalnego *internacjonalizmu* animozji żydowsko-polskich w ruchu komunistycznym nie udało się wyrugować do końca istnienia KPP, a i apel Pawliny mógł trafić u niektórych Polaków-komunistów na podatny grunt. Na to tylko czekała bojówka narodowej młodzieży, która uderzyła na wyznawców sowieckiej idei. Nad grobem komunisty rozgorzała zjadła bójka, którą spacyfikowało dopiero pojawienie się zwartych szeregów policji. Aresztowano radzyńską wircuszkę komunistyczną – Stanisława Kiryluka i Icka Hochbauma.

Stratowany grób beznamietnie zasypał grabarz. Rodzina uroniła łzę. I tak zakończył się pierwszy ateistyczny pogrzeb w Radzyniu. Jak się później okazało, Władysław Pawlina był policyjnym agentem, czyli jak to się wówczas określało – prowokatorem, który realizował gdzie indziej zaplanowany scenariusz. Ale to już temat na zupełnie inną opowieść...

Bibliografia:

- Archiwum Państwowe w Lublinie Oddział w Radzyniu Podlaskim, Sąd Okręgowy w Białej Podlaskiej, sygn. 727A.
- S. Kiryluk, Z dziejów czerwonego Podlasia, APL O/Radzyń, Zbiór relacji, wspomnień i obiektów, sygn. 11.
- D. Magier, *Komuniści w powiecie radzyńskim w latach 1918-1944*, „Radzyński Rocznik Humanistyczny”, t. 6 (2008).





TERESA TOMYS

Jak zegar

Ojciec - nigdy o nim
nie mówię
wciąż mam żal
był taki młody

Pamiętam
jego martwy uśmiech
białe kalie
i buty wyświecone na glans

Może myślał
tylko o sobie
nam zostawił smutek
drogę donikąd

Walący się dom
i zegar
ale on jak serce ojca
też przestał bić

Wahanie

czasowa sublokatorka okna
to ja - nieruchomo trwam
w zamyśleniu
wynajętym dla ciebie

nie wiem co ważniejsze
pamiętanie sztuka
czy zapomnienie
to jak studium uczuć

przez otwarte okno wpada
przejmujące zimno
i jeszcze to ryzyko życia
jak je unieść

w egipcie faraonów
ja - kobieta
mogłabym wszystko



ŁUKASZ JASIK

ŚLEPY KULT CHE

Rewolucjonista argentyński, piewca praw człowieka, mityczny wyzwoliciel, człowiek, który poprzez rewolucję kubańską uważany jest za bohatera – ale czy słusznie?

Ernesto Rafael Guevara de la Serna – Che Guevara to człowiek, który w całości oddał się swej ideologii, w imię światowego socjalizmu, nie licząc się z konsekwencjami, co go zresztą znacznie przerosło. Z wykształcenia był lekarzem, pochodził z bogatszej rodziny, jak to na przyszłych marksistów przystało. W wieku 23 lat, kiedy nosił jeszcze pseudonim Fuser, wraz ze starszym przyjacielem Alberto Granado wyruszył w podróż po Ameryce Łacińskiej, by poznać kontynent. Ta podróż była punktem odniesienia, do tego, kim stał się Guevara.

Widział biedę, nędzę i bezradność w takich krajach jak Peru, czy Chile (która nb. została do dziś). Wielokrotnie planował rewolucję – był niepoprawnym idealistą.

Rok 1953. Po przejściach znajduje się w Meksyku i tam poznaje Fidela Castro, do którego dołącza. Można rzec, iż w tym momencie rozpoczyna się jego „militarna kariera”. Podjęcie przez Castro drugiej próby wyzwolenia Kuby, tym razem się powiodło, obalono rządy Batisty, a przeciwników i całą resztę nieprzychylnych osadzono w Guantanamo, gdzie ich torturowano i mordowano. Tylko nielicznym, w obawie o życie, udało się uciec do Stanów Zjednoczonych. Oto fragment pewnego wywiadu. El Commandante był bezwzględny dowódcą więzienia w Hawanie. Piotr San Martin, były więzień „Che”, wspominał: „Wtedy zobaczyliśmy, że Che wyjmując pistolet z kabury. Wydawało się, że to nie może się zdarzyć. Ale Che podniósł pistolet, przyłożył lufę do karku chłopca i strzelił. Kula niemalże oderwała chłopcu głowę. «Mordercy! Zabójcy» - eksplodowaliśmy. Wpadliśmy w szal, histerię, waliliśmy w kraty. Gdy morderstwo zostało zakończone, Che spojrzał na nas, podniósł pistolet i – bam, bam, bam – opróżnił magazynek w naszym kierunku. Kilku z nas odniosło



rany od jego strzałów”.

Oto guru dzisiejszych piewców praw człowieka.

W 1962 na prośbę kubańskiego reżimu Związek Radziecki rozmieścił na wyspie rakiety z głowicami atomowymi, wymierzone prosto w Stany Zjednoczone, czyli w serce światowego kapitalizmu. USA szybko zorientowały się w sytuacji i zarządziły morską blokadę Kuby. W Europie, w armiach NATO i Układu Warszawskiego, ogłoszono stan gotowości bojowej. Do tragedii nie doszło, po dyskusjach USA i ZSRR, ci drudzy obiecują wycofać swe pociski nuklearne z Kuby, w zamian za wycofanie rakiet amerykańskich z Turcji. Zacytujmy słowa „wielkiego wodza”: „Gdyby rakiety były w moich rękach, zostałyby odpalone”.

Guevara działał dalej, chciał zrobić powstanie w Kongo podczas panującej tam wojny

domowej, tyle, że jego marksistowskie teorie nie docierały do czarnym plemion Afryki, gdyż one bardziej wierzyły w teorię własnego szamana. Operacja zakończyła się kompletną klapą.

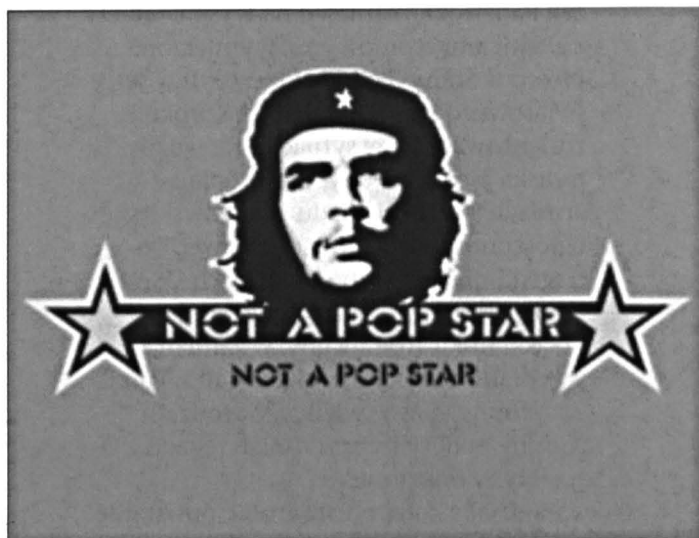
Lecz *bojownik światowego socjalizmu* działał dalej. Boliwia. Wszystko miało wyglądać podobnie do rewolucji kubańskiej, z tym, że jak się później okazało, jego guerrilla znów nie sprostaa zadaniu, nawet nie rozpoczęli konkretnych działań, a już wszystkich wybito, zaś Guevare pojmano i wydano w ręce miejscowej policji. Postawiono go pod murem, jak na zwykłego mordercę przystało. W wielu chwilach autokreacji na superbohatera zwykł mówić: „Gdziekolwiek mnie zaskoczy śmierć, powitam ją z radością”. Słowa rzucone na wiatr, Guevara błagał o litość, twierdząc, że więcej jest wart żywy, a niżeli martwy. Stara rzymska maksyma mówi – lepiej umrzeć na stojąco, niż żyć na kolanach – Che umarł na kolanach.

Postępowe media rozsiewają ten dziwny kult, a wiele młodych umysłów i serc, po prostu to pochłania. Niewielu zadaje sobie pytanie: o co tu tak naprawdę chodzi? Charakterystyczny wizerunek macho w bereciku można zobaczyć niemal wszędzie, zaczynając od zwykłych koszulek, poprzez plakaty, na graffiti kończąc. W ostatnie Święta Bożego Narodzenia posłużył nawet jako reklama telefonii komórkowej z absurdalnym hasłem: „Rewolucja na Świę-

ta”. Lansowano go na plakatach pewnej stacji radiowej, która z obłędem wręcz, reklamowała się w wielu miejscach Mysłowic. W Europie również nie próżnują, większe koncerty fotograficzne trzepią niezłą kasę, na barcelońskiej Rambli roi się wręcz od przeróżnych gadżetów z latynoską gwiazdką. Paranoi dopełnia figurowanie Guevary obok Matki Teresy z Kalkuty na liście „bohaterów i ikon”. Rewolucja Komunistyczna daje Guevarze czołowe miejsce, on - wielbiciel Stalina i współtwórca aparatu terroru na Kubie nazywany jest teraz "symbolem walki o prawa człowieka...". Ernesto, krwawy terrorysta – guru lewackich intelektualistów.

Sylwetkę ze słynnego zdjęcia Alberto Kordy zna już pewnie każdy, choć sam fotograf nigdy nie otrzymał za nie wynagrodzenia. „Jako osoba wspierająca ideały, za które umarł Che Guevara – mówił Korda – nie jestem przeciwny reprodukowaniu zdjęcia przez tych, którzy chcą propagować jego pamięć i sprawę socjalnej sprawiedliwości na świecie. Natomiast kategorycznie sprzeciwiam się eksploatacji wizerunku Che do promocji takich produktów jak alkohol lub w jakimkolwiek celu, który obniża reputację Che”. Ale zostawmy lewackich „artystów”.

Oto narodziła się nowa gwiazda pop-kultury, nowa Marilyn Monroe. Guevara jest tym kimś, kto budzi wielki podziw, lecz nikt nie pamięta, bądź też nie wie, ile to nazwisko niesie za sobą okrucieństwa, ile osób leży w bezimiennych grobach w kubańskich lasach (ofiary reżimu bożyszczaszacuje się na dziesiątki tysięcy, a około 100 000 osób zostało zamkniętych w kacetach). Cóż, kiedy „Che” Guevara święci tryumfy zza grobu. Jego ideologia przetrwała upadek komunistycznego imperium, w dalszym ciągu zaraża coraz to nowe pokolenia. Jest niczym śmiertelnośny wirus – wciąż zabójczy, wciąż groźny.





KAROLINA SUŁKOWSKA

Dedykowane Dorianowi Gray

codziennie wykluwasz się ze skorupy
dnia, zmierzwiłone włosy na gorącym
czole to jedyny dowód twojego strachu

idealnie skrojona marynarka a w butonierce
mokra chusteczka po spowiedzi z samym
sobą w martwej windzie. w żadnym innym
konfesjonale nie było ci lepiej. bez świadków
robisz dwa kroki do tyłu i tylko jeden do przodu

przecież wiesz że ciągle trzeba płacić
i płacić a błąd i tak wbija pazury w plecy
żebyś się przed nim pochylał

żyć bez świadomości jest jak funkcjonować
bez serca. grasz w karty z samym diablem
który parę razy fuknął w gniewie po twoim
tricku. szkoda że jesteś ślepy. najwięksi
głupcy zauważyli jokera który wystawia język
z jego rękawa



MICHAŁ DYBACZEWSKI

*Umarł komunizm i co się zmieniło?
A gdzie jest Wiara, Nadzieja i Miłość?
Nowo-nazwane stare drwią udręki*
J. Kaczmarek

Nieznany początek

Pałac Namiestnikowski. Rycerze roku 1989 usiedli przy meblu imitującym stół Króla Artura. W powietrzu unosiła się wzajemna nieufność, mimo to negocjacje rozpoczęto. Nigdy dotąd komuniści nie spotykali się ze swoimi oponentami na zasadach partnerskich, przy obecności kleru i telewizji. Dla zwykłego śmiertelnika z obrad prezentowanych na wizji wiało nudą, coś... rozmowy prowadzone w ramach tzw. „podstolików” miały wyraźnie ekspercki charakter i były niezrozumiałe. Przy Okrągłym Stole wypracowano wolne wybory do Sejmu (35% dla opozycji), postanowiono reaktywować Senat, zalegalizowano Solidarność, e tutti quanti. Tak hartowała się stal, tak powstawał historyczny kompromis (czytaj: cywilizowane przejście z komunizmu w demokrację), tak rodziła się pozytywna legenda założycielska III RP.

Magdalena. Reżimowcy i antykomuniści zasiedli przy suto zastawionym stole, który niczego nie imitował. Nieważny był zresztą sam stół, ale to, co było na nim. Michnik z kieliszkiem w dłoni, Wałęsa, Ki-szczak, Jaruzelski również, wspólne toasty (za kogo?, za co?), atmosfera fraternizacji i robocze rozmowy o tym, co wydarzyć ma się wkrótce na oczach milionów w Pałacu Namiestnikowskim. Magdalenkowych obrad (biesiad) telewizja nie transmitowała. Według czarnej legendy to właśnie tu, w jednej z podwarszawskich willi, powstawały mechanizmy, które dopuściły możliwość nie tylko negocjacji opozycji z komunistami, ale i wejścia z nimi w przymierze (Wildstein 2005). Ci, którzy uznali, że spotkania w Magdalence zakończyły się

POSTKOMUNIZM

- ŻYCIE PO ŻYCIU

podpisaniem tajnej umowy, byt państwowy, powołany do życia w roku 1989, traktowali jako „PRL-bis”, niegodny numerycznej kontynuacji z II Rzeczpospolitą.

Wybory czerwcowe 1989 roku. Narodziny postkomunistycznej Polski dokonały się wraz z wydaniem werdyktu przez społeczeństwo. Solidarność zgarnęła maksymalną pulę z tego, co zgarnąć mogła. Ukonstytuował się sejm zwany kontraktowym, powstał rząd komunistyczno-opozycyjny, a stojący na jego czele premier T. Mazowiecki, wbrew woli społecznej, grubą linią odkreślił przeszłość. Aktorka J. Szczepkowska w październiku 1989 roku w Dzienniku Telewizyjnym wyręczając ówczesnych polityków stwierdziła, iż 4 czerwca skończył się w Polsce komunizm.

Również inne wydarzenia mają swoich apologetów. III Rzeczpospolita narodzić się mogła wraz z wyborem L. Wałęsy na prezydenta RP, w momencie przekazania insygniów władzy temuż przez R. Kaczorowskiego lub w chwili, gdy w gmachu Sejmu ponownie zawisł krzyż. Nie jest istotne, którą wersję uznamy za akt powołujący do życia ład, nazwany przez prof. M. Grabowską ładem postkomunistycznym, istotnym jest natomiast pytanie, dlaczego mamy do czynienia z wielością alternatyw? Problem taki nie istnieje z II Rzeczpospolitą – panuje powszechna zgoda co do tego, że proklamowana została 11 listopada 1918 roku, a żywot zakończyła w godzinach rannych 1 września '39. Idąc chronologicznie dalej, spytać należy, kiedy w Polsce zaczął się komunizm. I tu dotykamy sedna sprawy, bo określenie początku dyktatury totalitarnej w „Prywilejskim Kraju”, stanowi analogiczny problem do tego, kiedy ta dyktatura się skończyła i powstał nowy byt.

Polska komunistyczna podobnie jak III Rzeczpospolita rodziła się kilka razy – wraz z manifestem PKWN, referendum „3 x TAK”, wyborami do Sejmu Ustawoda-

wczego, powstaniem PZPR lub konstytucją PRL. Historia daje nam wybór, jednak w obydwu przypadkach ten wybór jest skazą na dziejach Polski, wyrasta bowiem z fałszu. Polska Ludowa powstała w oparciu o **kłamstwo** (Stalin mawiał, iż nie ważne jest, kto głośuje, ale ważne, kto te głosy liczy; w czasie wyborów do Sejmu w 1947 r. powstało powiedzenie dobrze ilustrujące tę stalinowska maksymę: *co to za skrzyneczka, co to za szkatulka? wchodzi Mikołajczyk, wychodzi Gomułka*) i **przemoc** (Gontarczyk 2003), fundamentem dla III RP było **niedopowiedzenie** (pochodna kłamstwa) i uczynienie ze sterników peerelowskiego aparatu przemocy ojców założycieli Polski demokratycznej. Owo niedopowiedzenie to zatarcie, brak cezury oddzielającej wyraźnie PRL od III Rzeczypospolitej, czy w końcu, jak to trafnie nazwał R. Krasowski – epoka wielkiej mgły (Krasowski 2008). Bo komunizm upadł, ale wszelkie jego komponenty zostały zreprodukowane w warunkach demokratycznych. Konkrety? Oto one.

Reprodukcja pierwsza – ELITY

Znana każdemu studentowi socjologii teoria reprodukcji elit zakłada, że zmiana systemu nie pociąga za sobą personalnej wyminy elit: ci, którzy byli uprzywilejowani w przeszłości, pozostają uprzywilejowani dzisiaj. Dawna nomenklatura staje się obecnie posiadającą burżuazją (Sztumski 1997). Prof. J. Staniszkis uważa, że część komunistycznej elity władzy podjęła próbę zamiany swego kapitału politycznego (pozycji w biurokratycznych strukturach władzy) w zasoby rynkowe (Sztumski 1997). Oznacza to, iż komunistyczna elita polityczna po zmianie systemowej staje się elitą ekonomiczną. Uwłaszczenie nomenklatury jest wystarczającym na to dowodem. Ale dawni aparatczycy szybko powrócili i na polityczne szczyty, bo już w 1993 roku. Rządy skłóconej i podzielonej postsolidarności (zdominowanej zresztą przez lewicę laicką) wyglądały jak „wyjątek od reprodukcyjnej reguły”. Grzechem byłoby w tym miejscu nie zacytować klasyka, W.



Przemysław Krupski

Łysiaka: „Polska tylko formalnie stała się niepodległa. W rzeczywistości rządzą tu byli komuniści przebarwieni na demokratów, lewicowi manipulatorzy udający liberałów (tzw. «różowi»), byli agenci bezpieczeństwa wystrojeni w piórka antykomunistów oraz rosyjskie służby specjalne” (Łysiak 1996). Postkomuna zdominowała pole polityczne realizując w praktyce idee grubej kreski – co z tego, że rządzi dawna komuna, skoro po 1989 roku stworzyliśmy świat wspólny (sic!)... bez antykomunistów. W III RP zmianie (wymianie) personalnej uległa natomiast elita opiniotwórcza, niestety, zreprodukowane zostały reguły, według jakich elita ta postępowała. Prostytucja intelektualna nadal była w modzie, uwiad elit wobec władzy pozostał. Dawne *ukąszenie begłowskie* (swoją drogą marne uzasadnienie), zastąpione zostało nowym zniewoleniem, nazwanym przez Rafała Ziemkiewicza *micznikowszczyzną* i które za autorem zdefiniować należy, jako „zespół tez i zachowań postulowanych przez Michnika oraz grono ludzi współtworzących jego propagandową linię w «Gazecie Wyborczej» i w innych poddających się jej wpływowi mediach. To także liczne grono adresatów tej propagandy, związanych z Michnikiem emocjonalnie, to w końcu rzesza polskich inteligentów i jeszcze liczniejsza – półinteligentów, którzy ulegli graniczacemu z amokiem uwielbieniu dla

redaktora naczelnego «Wyborczej» jako wyroczni etycznej, politycznej i intelektualnej” (Ziemkiewicz 2006). Michnikowski uprawniała kolejne reprodukcje komunistycznych norm.

Reprodukcja druga – WALKA Z WROGIEM

Od 1944 roku czerwone kohorty (KBW, UB, NKWD i inna swołocz) przemocą rozprawiły się z antykomunistycznym podziemiem. Zapłutego karła reakcji należało zlikwidować i likwidowano permanentnie – pistoletem lub torturami, aż do 1963 roku (!), kiedy to w okolicy podlubelskich Piask zginął ostatni „żołnierz wyklęty”. Obława zbrojna szła w parze z obławą propagandową urządzoną przez klasę intelektualną socjalistycznej Polski. Ileż to powstało wówczas wierszy i pieśni deprecjonujących tzw. „bandy” i gloryfikujących AL, GL czy UB (*Kraj młodości* T. Uragacza, *Towarzyszom z bezpieczeństwa* A. Mandaliana i wiele, wiele innych). Po komunizmie „zapłutego karła reakcji” zastąpił „oszołom”. Tak jak komuniści po 44. eksterminowali fizycznie podziemie AK i NSZ, tak teraz postanowiono eksterminować, za pomocą obłudnej retoryki, z dyskursu debaty publicznej domniemaną neoendecję. Relatywizm tryumfował. Rozgrzeszono zbrodniarzy, walczono natomiast z tymi, którzy dążyli do rozliczenia z sowieckim reżimem. Autorytetami w III RP byli „obrotowcy” pokroju Z. Bauman (w Polsce Ludowej pułkownik KBW i agent Informacji Wojskowej, teraz postmodernista i znawca ponowoczesności), a w Maciurewiczu, Olszewskim czy Kaczyńskim widziano wrogów systemu (demokratycznego). Aaaadaś z „Gazety Wyborczej” chciał z komunistami pojednania, a do dawnych kolegów z Solidarności krzyczał z trybuny sejmowej: *Co ja tu słyszę???... Nienawiść!!!!!!* Rozpaczliwe pytanie J. Olszewskiego *Czyja będzie Polska?*, postawione na chwilę przed upadkiem jego rządu, ma podobną wymowę do *Niech żyje Polska!* – ostatniego okrzyku skazanych na

śmierć członków antykomunistycznego podziemia.

Reprodukcja trzecia – FAŁSZOWANIE HISTORII

M. Dżilas: „Historia w zasadzie nie istnieje w systemie komunistycznym. Dotyczy to w szczególności okresu powstania i panowania sowieckiej partii komunistycznej. Przemilczenia i fałsze są stale praktykowane” (Dżilas 1957). Nic dodać nic ująć. Po rewolucji październikowej historię wtłoczono w ramy marksistowskiego schematu i poprawiano ją (uzupełniano lub redukowano) w zależności od okoliczności. W momencie apogeum kultu Stalina, historia właśnie jego miała imię, jemu również przypisana została z czasem cała spuścizna myśli Marksa, Engelsa, Lenina. Historia w państwie komunistycznym to nie źródło wiedzy o przeszłości, ale instrument stricte polityczny, uprawniający bądź dyskredytujący wydarzenie lub osobę. I tak np. Stalin walczy z Trockim, Stalin walczy z Bucharinem, wymazywany jest Bucharin itd. Wymazywano nawet ze zdjęć – Stalin z Jeżowem, Woroszyłowem i Mołotowem nad kanałem Moskwa-Wołga; „krwawy karzeł” zlikwidowany i nad kanałem przy Kobie stoi już tylko dwóch towarzyszy. I śmieszno i straszno zarazem.

W Polsce Ludowej „nauczycielka życia” również była jedną wielką manipulacją – chluba komunistycznej historiografii, bitwa pod Lenino miała miejsce pod Try-



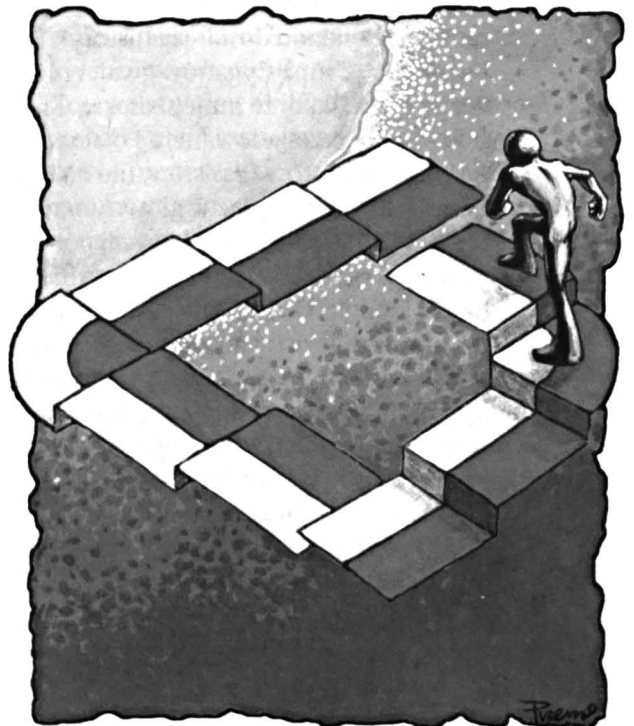
Przemysław Krupski

gubową (Lenino brzmiało jednak lepiej propagandowo), a tragiczna sytuacja, w jakiej znaleźli się polscy żołnierze była zaplanowana przez Sowietów. Inny przypadek: Lucyna Herz, ginąca podczas przeprawy przez Wisłę na Czerniaków była postacią wykreowaną, a jej bohaterstwo wątpliwe, co nie przeszkodziło, aby jej imieniem nazywać w Polsce ulice i poświęcić jej kilka wierszy. Mit polskiej ludowej Joanny d'Arc został dość szybko wyciszony, prowokował do zadawania zbyt wielu pytań – o przeprawę przez Wisłę, o pomoc Rosjan (Urbankowski 1998). Poza tym historię Polski wypełniali Piastowie, rycerze Jagiełły (przeszłość na tyle odległa, że już nieszkodliwa) i partyzanci Armii Ludowej. W ten sposób odsyłano w niebyt Piłsudskiego, Dmowskiego, Hellera, Polskę Podziemną i Katyń (Dudek 2007).

„Jak to być Polakiem, gdy wszystką familijną chwałę się nam odbiera, wszystko co polskie umniejsza bądź zaciera, polską historię kłamliwie przerabia”? (Łysiak 2006). To pytanie zadano nie jak można by sądzić w PRL-u, ale w III Rzeczypospolitej, a zadał je przywołany już W. Łysiak. I trudno nie uznać zasadności tego pytania, jeśli przypomnimy sobie tekst M. Cichego z „Gazety Wyborczej”, w którym autor dewalutował dorobek organizacji podziemnej – AK, wytaczając oskarżenia o pogromy Żydów, których akowcy mieli rzekomo dokonywać w trakcie Powstania Warszawskiego (Cichy 1994). *Gruba kreska* Mazowieckiego nie zmieniła kursu historii – nadal atakowano dorobek II RP i ruch narodowo-niepodległościowy, obawiano się powrotu bojówek ONR i fali antysemityzmu (mimo iż semitów w Polsce od dawna nie było). W tym czasie ulice i place nadal nosiły imiona „budowniczych socjalizmu”. Swoją drogą to niezwykle ciekawe, że postkomunistyczny mainstream opiniotwórczy w imię miłosierdzia marzył o wyczyszczeniu komunistycznej przeszłości, a nie domagał się tego w stosunku do trudnych relacji polsko-żydowskich. Żaden artysta kabaretowy nie potrafiłby lepiej sparodiować logiki michnikowszczyzny.

Reprodukcja trzecia – CENZURA

Jaka cenzura? Przecież formalnie zniesiono ją w 1990 roku. Formalnie. Pojawiła się bowiem cenzura nieformalna, zwana polityczną poprawnością (political correctness). PC to forma lewicowej cenzury (i autocenzury), gdyż walczy z naturalnym systemem wartości; ośmiesza niewłaściwe, „reakcyjne” postawy, każe traktować własną wizję, jako ideał niepodlegający rewizji (Ratajczak 1998); to także pewna forma nadzoru nad poglądami (Iłowiecki 2003), którą stanowią czynniki wpływu – prasa, radio, telewizja. Media w III RP pełniły rolę językowych dyktatorów mody – czasem realizując konkretną politykę, czasem zupełnie bezrefleksyjnie decydowały, niczym dawni towarzysze partyjni, o tym co aktualnie mówić należy, a czego nie. Bywało groteskowo – Murzyn zostawał afroamerykaninem, niepełnosprawnym inaczej, a aborcję traktowano, jako obronę wolności kobiet. Podobne przykłady można mnożyć. Pół biedy, kiedy kończyło się na takiej semantycznej durnocie. Mainstream opiniotwórczy szedł



dalej i w oponentów uderzał starą rabinacką zasadą, iż wroga należy przemilczeć. Media usuwają ze swojego pola zainteresowań kwestie i programy „niepoprawne”, triumfy święci tzw. cisza medialna. Jej ofiarą padł W. Cejrowski ze swoim *WC Kwadransiem*, film J. Kurskiego *Nocna zmiana*, miał trafić na małe ekrany, trafił na półkę w archiwum TVP, podobnie *Obywatel Poeta* J. Zalewskiego, najpoczytniejszy polski pisarz współczesny, nieoceniony W. Łysiak nie istniał w rankingach bestsellerów (A. Michnik: „Łysiak nie jest żadnym pisarzem, lecz trzeciorzędnym grafomanem i plagiatorem” (Masłoń 2006) – i wszystko jasne!), wybitny polski socjolog Z. Krasnodębski („Krasnodębski? Przecież jego się nie czyta”, tak powiedział o socjologu UKSW wieloletni zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego” Krzysztof Kozłowski w prywatnej rozmowie, której treść stała się z czasem powszechnie znana) nie miał wstępu na salony. J. Staniszkis, A. Zybortowicz, R. Legutko również.

Prócz ciszy medialnej, media lubowały się w kreacji faktów, zwanymi z tej racji faktami medialnymi (pojęcie ukute przez B. Gremka). Przykładu dostarcza historyk D. Ratajczak: „Grupa Cyganów gwałci nieletnią Polkę. Jako, że mniejszości są u nas tradycyjnie prześladowane, a Polacy to naród szowinistów i rasistów, nie należy takiej informacji podać w głównym wydaniu wiadomości; a co najwyżej półgębkiem o godzinie 23:00, gdy normalni ludzie już śpią. Odwróćmy sytuację. Polacy poturbowali Cygana, bo ten nie posiadając prawa jazdy, potrącił kobietę. Dochodzi o pyskówki i przepychanki między przedstawicielami obu społeczności. Efekt? O godzinie 19:30 Polska dowiaduje się, że w miejscowości X doszło do antycygańskiego pogromu” (Ratajczak 1998). Żaden artysta kabaretowy...

Reprodukcja czwarta – PRAWO

Jednym z zasadniczych ustaleń Okrągłego Stołu było przyznanie sędziom PRL nieodwołalności, co w praktyce oznaczało nie-

możność odbudowy państwa prawa i kontynuację prawodawstwa komunistycznego (Wildstein 2005). Publicysta P. Gajdziński: „Wlokące się latami procesy oskarżonych o popełnienie przestępstw i zbrodni w PRL, nierozwiązane zagadki śmierci wysokich urzędników państwowych, bezkarność różnego rodzaju autoramentu aferzystów, panosząca się mafia i niewydolność sądów w procesach gospodarczych – to obraz wymiaru sprawiedliwości III Rzeczypospolitej” (Gajdziński 2006). Trudno żeby było inaczej skoro owa rzekoma sprawiedliwość leży w rękach kadr prawniczych zreprodukowanych niemal totalnie w warunkach pokomunistycznych. Zamiast państwa prawa otrzymaliśmy erozję pojęcia sprawiedliwości i brak rozliczeń przestępstw systemu minionego („Wujek”, zabójstwo Grzegorza Przemyka, Radom’76) i aktualnie nam panującego (FOZZ, Juventur). Nie zmieniło się nic – w państwie postkomunistycznym przestępstwa generowane były przez ludzi dawnego aparatu, a sądziła ich za to przeniiesiona żywcem z PRL Temida. Mało tego, czy wiecie drodzy Czytelnicy, że należąca do struktur IPN Główna Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, działa na zasadach zdefiniowanych w manifestie PKWN – zbrodniarze komunistyczni, jak to było w przypadku stalinowskiej prokurator, nieświętej pamięci H. Wolińskiej ścigani są w oparciu o prawo, które sami de facto tworzyli. W tym też państwie autorytetem prawnym zostaje adwokat J. Widacki broniący funkcjonariuszy SB oskarżonych o mactwa w sprawie śmierci S. Pyjasa (kolejna sprawa bez wyroku), w tym też państwie dawna ofiara – A. Michnik, gotów jest bronić przed sądem swojego kata – W. Jaruzelskiego.

Reprodukcja piąta – HOMO SOVIETICUS

Tischnerowski *homo sovieticus* nie umarł wraz z rokiem 1989 i lepiej lub gorzej radził sobie w warunkach ułomnej gospodarki rynkowej. Winą za tę reprodukcję obarczyć na-



Przemysław Krupski

leży nie społeczeństwo, ale państwo, które nie zapewniło przeciętnemu Kowalskiemu warunków do pozbycia się peerelowskich przypadłości. Owszem, elity nadzwyczaj chętnie szermowały hasłem społeczeństwa obywatelskiego, w praktyce nie robiąc jednak nic, aby ta idea zafunkcjonowała – nie stworzono ku temu ani moralnego klimatu, ani nie wskazano odpowiednich wzorców. Ponadto na społeczeństwo obywatelskie patrzono zbyt idealistycznie – nie zauważano, lub zauważać nie chciano, że obywatelska partycypacja w życiu publicznym nie musi być wcale czymś dobrym. A czyż mafie (Pruszków, Wołomin) lub mniejsze grupy przestępcze to nie było społeczeństwo obywatelskie? Kreowali rzeczywistość? Kreowali. Wpływali na politykę? Wpływali (i to jak bardzo). Nieco ironizuję, ale idea społeczeństwa obywatelskiego w warunkach postkomunistycznych to taki sam pic na wodę jak prawa człowieka czy zasada pomocniczości. Reguła narzucona przez decydentów III RP była prosta: „Ludzie mają słuchać, pracować, siedzieć w domu i używać – coraz pełniej – życia” (Nowak 2005). Pozwolono

na utylitaryzm, reszta jak za komuny. Tak utrzymał się *homo sovieticus*. Pracowano jak dawniej (byle jak), kombinowano równie chętnie – gra toczyła się o stawki znacznie wyższe, już nie o pralkę, meble, zamrażarkę, ale o realne pieniądze, jakie można było uzyskać z „dziurawego” kapitalizmu. *Homo sovieticus*, czasem wychodził z domu, i jak chciały tego elity, angażował się obywatelsko głosując w wyborach na postkomunistów (1993, 1995, 2000, 2001). Niektórym z tego powodu puszczały nerwy, jak J. M. Rymkiewiczowi po pierwszym zwycięstwie wyborczym Aleksandra Kwaśniewskiego: „Jebał was pies. Polska was nie potrzebuje”, czy W. Łysiakowi: „Chociaż każdy Polak ma świadomość, że komuniści to gang dziesięciokaratowych skurwysynów, to wybiera sympatyczną bandę, gdyż ona umie sprzedawać nadzieję. Nadzieja to ślepa siła i narkotycznie niepohamowana, niczym libido” (Łysiak 1995).

I ten odwieczny podział na „oni” i „my”. Na górze społecznej hierarchii złodzieje i „żydy”, na dole motłoch i chamstwo. Elity sobie, społeczeństwo sobie – wzajemna niechęć odzwierciedlana w polityce sprzecznej z racją stanu (elity) i niskiej frekwencji wyborczej (społeczeństwo). Zniewalany przez kilkadziesiąt lat naród zasługiwał na inną, lepszą elitę i taka elita była – niestety, lekceważono ją w takim samym stopniu jak społeczeństwo. Proces ostrej polaryzacji, zapoczątkowany po 1945 roku, trwał nadal.

Nagły zgon

J. Staniszkis swoją książkę *Postkomunizm* rozpoczęła od zdania: „Komunizm rozpadł się w 1989 roku niczym domek z kart”. Rzeczywiście wyglądało to tak, jakby ster władzy nagle wymknął się operatorom systemu z rąk. Jeszcze przecież w 1988 roku rozważano wprowadzenie po raz wtóry stanu wojennego. Militarnie komuniści byli mocni, zabiła ich jednak ekonomia – gospodarka socjalistyczna była niewydolna, konieczne były zmiany. Zapoczątkowano *odgórną rewolucję, rewolucję menadżerską*



Przemysław Krupski

(Staniszki 2001), tworząc jednocześnie podstawy dla nowego, postkomunistycznego państwa. „Przełom”, jaki nastąpił w 1989 roku, służył zakamuflowaniu ciągłości między PRL a III RP. Nieprzypadkowo w demokratycznej i wolnorynkowej Polsce najlepiej poradzi sobie dawni komuniści, dawni oportuniści i ta część opozycji, która konstruowała historyczny kompromis. Atykomunizm, który był przecież podstawą oporu wobec sowieckiego reżimu (nawet dla Michnika i jego kompanów) został uznany w III RP za ideologię jaskiniową. Hasła dekomunizacji czy lustracji miały tak negatywną konotację, jak kiedyś bolszewizm i komunizm. Michnikowszczyzna górą!

W 2000 roku A. Kwaśniewski po raz drugi zostaje prezydentem Polski, w 2001 SLD wygrywa wybory parlamentarne, premierem zostaje L. Miller. Apogeum postkomunizmu – czyż można chcieć więcej? Demiurzy opinii grają na spadkobierców PZPR, ich przeciwników nikt nie słucha, bo co ciekawego do powiedzenia może mieć „ciemnogród”. Postkomunistyczna lokomotywa pędzi z maksymalną prędkością. *Dzień szczęścia będzie wiecznie trwał* – jak głosi ostatni wers *Międzynarodówki*. I tak by zapewne było (może nie wiecznie, ale długo na pewno), gdyby pewnego lipcowego dnia (22) „swoj” nie przyszedł do „swego” i nie został nagrany. To cudowny „chichot historii”, bo 22 lipca wmurowywano przecież kamienie węgielne komunizmu –

PKWN (1944), konstytucja PRL (1952) – i w tym też dniu (2002) rozpoczęła się erozja postkomunistycznego porządku. Tego michnikowszczyzna nie przewidziała. Powołana przez Sejm komisja ds. Afery Rywina (kolejny „samobój” rządzącego reżimu), radykalnie wyhamowała tę pędzącą do niedawna lokomotywę, a podwójna wygrana parlamentarno-prezydencka „oszołomów”, całkiem ją wykołowała. Parafrazuując Staniszkis można by rzec, że postkomunizm rozpadł się w 2005 roku niczym domek z kart, a J. Szczepkowska powinna tym razem nam zakomunikować: *Proszę państwa 25 września 2005 skończył się w Polsce postkomunizm*. To, co wydarzyło się potem, to już temat na zupełnie inną rozprawę...

Bibliografia:

- M. Cichy, *Polacy – Żydzi: czarne karty Powstania*, „Gazeta Wyborcza”, nr 24, 29/30.01.1994.
- A. Dudek, *Tradycja postępową i reakcyjną*, „Nowe Państwo”, jesień 2007.
- M. Dżilas, *Nowa klasa wyzyskiwaczy*, Warszawa 1957.
- P. Gajdziński, *Anatomia zbrodni nieukaranej*, Warszawa 2006.
- P. Gontarczyk, *PPR-droga do władzy*, Warszawa 2003.
- M. Iłowiecki, *Krzywe zwierciadło. O manipulacji w mediach*, Lublin 2003.
- R. Krasowski, *Dorobek polityczny III RP rozczarowuje*, „Dziennik”, 11. 10. 2008.
- W. Łysiak, *Wiecznie żywy*, „Najwyższy Czas!”, nr 11, 18.03.1995.
- W. Łysiak, *A to Olska właśnie, czyli wypisy z klasyka*, „Tygodnik Solidarność”, nr 3, 19.01.1996.
- W. Łysiak, *Salon 2 (A-L)*, Warszawa 2006.
- K. Masłoń, *Pisarz antysalonowy*, „Rzeczpospolita”, nr 281, 02-03.12.2006.
- A. Nowak, *Powrót do Polski*, Kraków 2005.
- D. Ratajczak, *Tematy niebezpieczne*, Opole 1998.
- J. Staniszkis, *Postkomunizm*, Gdańsk 2001.
- J. Sztumski, *Elity – ich miejsce i rola w społeczeństwie*, Katowice 1997.
- B. Urbankowski: *Czerwona Msza, czyli uśmiech Stalina*, Warszawa 1998.
- B. Wildstein, *Długi cień PRL-u*, Kraków 2005.
- R. Ziemkiewicz, *Michnikowszczyzna – zapis choroby*, Lublin 2006.



ANNA BUCHALSKA

Widzenie świata

Każdy kadr świata jest zwięzłym
Logicznym
tak i rozwiązyłym
wzorem matematycznym
Jego równaniem jest suma
współczynników
doprowadzająca do odpowiedzi

Życie podrzuca nam wyniki
Prawda
Ukryta jest w równaniach
Dla wybitnych
Matematyków

Równania są składnią
Filozoficznej zagadki ludzkiego istnienia

Tylko nieliczni potrafią
Widzieć świat
Jak zmienia się co sekunda
Błyskiem
Jak klatka po klatce w kadrze
Produkcji nowego filmu

Tylko nieliczni potrafią
Uronić łzę
I nabrać ponownie oddech
W przerwie stop klatka



AREK STOSUR

MIASTO. KRAINA BEZ PRZYSZŁOŚCI

Daleko od miasta

Odpoczywam w górach, nad jeziorem albo w lesie. W środowisku naturalnym.

Tam czuję się swobodny. Myśli znajdują swoje miejsce. Ciało odpręża się. Jestem w otoczeniu, które mnie nie oszukuje. Nie niszczy. Odkrywam przyrodę na nowo.

Harmonia pozwala skupić się na rzeczach najważniejszych. Nic nie zakłóca spokoju.

Droga do miasta

Ludzie postanowili żyć w miastach. Dlaczego?

Być może zdecydowała potrzeba uczestniczenia w zbiorowości, wspólne odczuwanie, tworzenie i chronienie się przed zagrożeniami podpowiedziały ludziom, że trzeba tworzyć skupiska. Wkrótce miasta zyskały przestrzeń, własny układ i sens. Architektura sztuka i technika doprowadziły miasta do rozwoju i ekspansji.

Pęcznienie

W ten sposób miasto stało się tworem osobnym. Ludzie tworzyli w nim wspólnotę. Mieli wspólne cele, razem rozwiązywali problemy. Tak rodził się postęp technologiczny, który potrzebował miejsca. W nim chaos pustej przestrzeni zyskiwał uporządkowanie. Impet jaki nabrała cywilizacja przerósł wyobrażenia i przeniósł się na dążenie do ekspansji.

Nasycenie

Miasto nasycalo przestrzeń budynkami, ulicami i pasmami zieleni. Drogi prowadziły do najdalszych jego dzielnic, które ukrywały kolejne skupiska ludzi. Wkrótce wypełnione zostało każde miejsce w centrum miasta. Pozostało zastanowienie się nad przyszłością. Co dalej, w którym kierunku ma rozwijać się organizm miejski?

Aglomeracja

Z tej refleksji narodził się pomysł miast żyjących obok siebie, połączonych drogami. Wtedy łatwiej przemieszczać się. Ludzie poczuli, że duży organizm miejski pozwala na przyspieszenie tempa życia i lepszą jego organizację. W aglomeracjach rodzi się nowoczesność przybierając różne kreacje,



Grzegorz Pawlak

kształtując człowieka wierzącego w potęgę umysłu.

Dusza i mury

Człowiek kreuje nową architekturę miejską.

Budynki pną się w górę, tworzą konkurencję dla drzew i chmur. Budzą zachwyt jako próba zdystansowania przyrody. Obok powstają fabryki otoczone wysokimi murami. Dla duszy pozostają stare kościoły i małe kapliczki. I jeszcze kawałek błękitu prześwitujący pomiędzy budynkami i koronami drzew.

Ukrywanie się

W chaosie ulic, skrzyżowań i niezliczonej ilości domów, zakolach rzek i przegubach mostów ludzie zaczęli ukrywać swoje lęki i niepokoje. Na marginesie pośpiesznego trybu życia pozostało jego ukryte oblicze, ciemne i zrozpaczone. I jeszcze sumienie niedojrzałe, rozedrgane, egoistyczne, samo-

tne i kruche. Rozpadające się nieustannie.

Człowiek płacze.

To ukryte wewnątrz człowieka zamkniętego w pułapce miasta jest jak więzienie. Ogranicza wolność i przestrzeń, dusi słowo, które buduje pomost łączący ludzi z Niewidzialnym. Odarty z metafizyki słaby człowiek płacze nad własną nieporadnością, szuka pocieszenia.

Pęknięcie

Wtedy pękają granice oddzielające nas od rzeczywistości, człowiek wykracza poza miasto, tworzy peryferie myśli. Odkrywa przyrodę czystą, niezmienną i bliską. Ufa jej, z niej czerpie siłę, która pozwala przetrwać. W murach miasta rodzą się pęknięcia. Jest ich coraz więcej.

Człowiek krzyczy

Idealna geometria miasta męczy i zniewala człowieka. On chce poczuć się wolnym, nieograniczonym sztucznymi regułami i znaczeniami. Człowiek ukryty w mieście krzyczy. Na różne sposoby, w różnych rejestrach wydobywa się z gardła skowyt i skomlenie. Z tego krzyku wypływa potrzeba odejścia. Zmiany miejsca i czasu.

Droga z miasta

Drogi kurczą się, są pełne ludzi. Oni dźwigają na ramionach walizki, plecaki i torby. W nich ukryty dorobek życia wynoszony ukradkiem. Obcy śledzą swoich sąsiadów, obserwują ich ścieżki poza miasto i prognozy pogody. Przyciągani przez miasto opierają się, walczą z instynktem, potem idą wciąż przed siebie. Trwa ucieczka.

Opłotki

Ludzie muszą uciekać. Żyją w oczekiwaniu na nieuchronne zmiany i rewolucję, która zasieje zamęt, zmieni rytm i układ miasta. I zniknie. Pozostawiając bez odpowiedzi pytania o wartość wspólnoty i przyszłość. Dopiero na krańcach miasta przychodzi refleksja, uspokojenie i namysł. Dokąd iść. Może jednak zostać...

Wyjście awaryjne

Problem wyjścia awaryjnego pojawia się nieoczekiwanie. Czy jest to rozwiązanie? Kto wie... Alternatywa musi istnieć, choćby w sferze imaginacji, podskórnej nadziei. Dla

tego pojawiają się propozycje ucieczki na zawsze, zniszczenia miasta, albo stworzenia konkurencyjnych organizmów o całkiem innych mechanizmach.

Exodus

A jednak wygnanie. Zwykle nocą, gdy nikt nie bada spojrzeń i gestów. Ucieczka jest jak azyl, pozwala oczyścić się, daje siłę do ponownej próby wzięcia odpowiedzialności za swój los, który zyskuje na wartości. Bo staje się pojedynczy, osobny, odrębny. Wy-preparowany z ogromnego organizmu Miasta.

Kraków, październik 2008 r.





TOMASZ BAK

Zegarynka

Stoi tam, gdzie zawsze
nie bacząc na Zmotoryzowane
Odwody Milicji Obywatelskiej.

Przypomina - nie nasza pierwsza,
nie ostatnia, nie ma powodów
do radości. Tak, tik. Tik, tak.

Człowiek umiera od *tak*.

24.12.1981

Zamiast śniegu
stan wojenny.
Zamiast karpia
butelka octu.
Zamiast mnie
choćby podsłuch.

Zapala się czerwona gwiazdka,
siadamy do wieczerzy.

Czerstwy chleb powszedni

Dzwoni. Wstał, przed oczami ciemno
jak za oknem. Przykleił wieczorny
niedopalek do parapetu. W łazience
podpisuje listę - pot, koszmar i żona,

odfajkowane. Kły. Ona na paluszkach,
nie obudzić, przygotowuje grzanki.
Bezpłodna gazeta od zawsze śmierdzi
eau de renseignement, radio unieprzyjemnia.

Zakrztusił, znów impotencja na giełdach.
Zdusi krawat, ucałuje, opuści. Zapomniał
już dzień, w którym ciśnie wszystko w kąt
a diabły zajmą się resztą. Ku uciechu.

OPOWIADANIA





JÓZEF BRATKO

Kiedy i gdzie podpisano wyrok na człowieka, który latem 1945 roku wszczął w Krakowie śledztwo w sprawie zbrodni katyńskiej? Gdyby w grę wchodził tylko motyw kryminalny, wszystko byłoby jasne. Lecz tu było inaczej; zabójstwo prokuratora Specjalnego Sądu Karnego w Krakowie dr. Romana Martiniego mogło się wiązać właśnie z Katyniem. Jakby trwał jakiś ciąg zbrodniczy. I była też w tej historii zbrodni druga strona medalu. Śledztwo katyńskie Martiniego miało na celu ściganie prokuratorskie tych Polaków, którzy będąc świadkami odkrycia przez Niemców w 1943 roku masowych grobów polskich oficerów pod Smoleńskiem, winą za ich

NA KRUPNICZEJ *

wymordowanie już wtedy obarczyli sowietów. Pierwszy na liście podejrzanych znalazł się pisarz Ferdynand Goetel. Idąc tym tropem śledztwa, Martini, już w połowie lipca 1945 roku podpisał za nim list gończy.

W ciągu następnych dni śledztwo katyńskie w Krakowie było już w pełnym toku. Trwało pół roku. Martini zakończył je trzy miesiące przed swoją śmiercią.

Pierwsza wiadomość

Nigdy nie poznałem dra Romana Martiniego.

Gdy w roku 1951 przyjechałem do Krakowa, aby rozpocząć studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, Martini nie żył już od pięciu lat. Zginął z ręki zabójcy. Zrozumiałe więc, że nie miałem żadnych szans zobaczyć, jak idzie w chłodne marcowe popołudnie ulicą Grodzką w rozpiętym jasnym prochowcu i pilśniowym kapeluszu, jak z uśmiechem odklania się znajomym. Ta codzienna wędrówka drogą królewską wokół tych samych murów, bram i kamiennych portali - to był rytuał którego najpewniej by się ani nie wyrzekł, ani nie zmienił w nim niczego.

Pojawiał się o różnych porach, w tym samym miejscu u wylotu Grodzkiej do Rynku Głównego, gdzie na wybrzuszeniu ulicy była Gospoda pod Wierzyńkiem. Stąd, patrząc w głąb Grodzkiej, za placem Dominikańskim, po lewej był gmach sądów i prokuratury pilnowany przez rząd kamiennych figur dwunastu apostołów przed kościołem jezuitów pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła. Między tymi dwoma punktami była jeszcze mieszcząca się na piętrze kawiarnia "Fregata", gdzie poznał swoją przyszłą żonę.

Był doktorem prawa. Karierę prawniczą zaczynał przed wojną. Po wojnie został prokuratorem Specjalnego Sądu Karnego. Ale równocześnie był jedną z tych interesu-



Mirosław Koczkodaj

* Fragment książki pt. *Dlaczego zginął, prokuratorze?* (Kraków 1998).

jących postaci, o których się zwykle mówi, iż kiedy wrastają w miasto, przydają mu swoistego kolorytu. Martini zaś stał się już dawno prawdziwym „krakauerem”; w Krakowie mieszkał, uczył się, studiował prawo, miał przyjaciół.

Zanim pierwsza wiadomość o Martinim dotarła do mnie, upłynęło od tamtego tragicznego wieczoru blisko trzydzieści lat. Stało się to, gdy zagrzebany w archiwalnych aktach spędzałem czas w pomieszczeniach usytuowanych trzy metry poniżej poziomu ziemi, odgrodzony od świata betonowymi ścianami; za plecami miałem drzwi obite grubą stalową blachą, u których zwisły zrywane za każdym wejściem plomby; wysoko nad głową miejsce to rozjaśniało zakratowane okno, zaciągnięte dla bezpieczeństwa dodatkowo stalową siatką. Jedyny widok, który łączył mnie ze światem to widziane czubki dachów i żdźbła traw rosnących za oknem. Wokoło zaś na wyciągnięcie ramienia oraz w sąsiednich pomieszczeniach, stały drewniane regały. Na nich zakłęty w dokumentach świat, który przeminął. Ciasno ustawione, grzbiet koło grzbietu, teczki, w których zgromadzona była wiedza o osobach ściganych, aresztowanych, poddawanych śledztwu. Na innych regałach znajdowały się teczki personalne agentów, teczki ich pracy, zastrzeżone do wyłącznego zainteresowania UB, kontrwywiadu czy wywiadu; tysiące kartek doniesień opracowanych według wzoru: źródło, przyjął, dnia... Sprawy obiektowe, rozpracowania organizacji podziemnych, osób podejrzanych o szpiegostwo... Wystarczyło sięgnąć ręką, aby za chwilę wczytywać się w nazwiska, pseudonimy, zawłości operacyjne. Na wielu teczkach spoczywały pokłady kurzu. Był to znak, że ręka człowieka nie dotykała papierów. Od jak dawna? Dwudziestu, trzydziestu lat?

Poszukiwałem materiałów do książki o krakowskim gestapo, przy których pomocy by mi się udało spojrzeć na ten urząd niejako od wewnątrz, opisać jego struktury, metody działalności, ustalić nazwiska urzędników. Ponieważ istotą każdej służby specjalnej jest sieć agenturalna, skupiałem uwagę na wykazach i innych dokumen-

tach, które odnosiły się do ich strony operacyjnej. Wtedy wpadł mi w rękę niewielki druczek, mniejszy niż połowa kartki wyrwanej z zeszytu, koloru ciemnozielonego z nadrukiem "ściśle tajne", podzielony na rubryki, z których część wypełniona była pismem ręcznym. Chodziło o "udzielenie informacji" o człowieku, którego nazwisko widniało poniżej, a które z łatwością dawało się odczytać. Natępne rubryki: imię ojca, data urodzenia, miejsce zamieszkania - pozostały puste. Dopiero z ostatniej można się było dowiedzieć, iż człowiek, o którego zwracano się do Wydziału II był "figurantem" jakiegoś rozpracowania, onaczonego kryptonimem "Wawel". W podpisie zamiast nazwiska widniała odcisnięta pieczęć: "Naczelnik Wydziału III WUBP". Skrót oznaczał Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Ponieważ chodziło o Wydział III, zatem osoba, o która pytano, musiała mieć związek ze zbrojną opozycją lat powojennych. Ale to nie wszystko. O wiele bardziej interesująca była odwrotna strona dokumentu; tu było miejsce na odpowiedź, czyli skrótową wersję zapisów ewidencyjno - kartotekowych UB. W rubryce: "drugostronnie wymieniony" znajdowały się trzy słowa: "zabił prokuratora Martiniego". Potem data: 30 marca 1946. Ale wtedy nie wiedziałem jeszcze, że kiedyś powrócę do tej historii. Tymczasem sprawy łączące się ze zbrodnią katyńską nabierały rozpędu, pojawiały się informacje, jakby wydobywane spod ziemi, echa lat wojny i losów tysięcy polskich oficerów.

Dokument I (fonogram nadany przez Komisarjat III MO, Referat Śledczy, do Komendy Miasta w Krakowie)

W dniu 31.3.1946 r. o nie ustalonej godzinie dokonano morderstwa na osobie prokuratora Martiniego Romana, zam. w Krakowie przy ulicy Krupniczej. Morderstwa dokonano za pomocą tępego narzędzia w postaci klucza do samochodu. Po dokonaniu morderstwa sprawcy zbiegli w niewiadomym kierunku, zabierając ze sobą garderobę oraz inne przedmioty. Do tej pory nie ustalono jakie. Sprawcy pozostawili na

miejsu narzędzie zbrodni oraz napis na biurku NSZ. Wezwany lekarz Pogotowia Ratunkowego stwierdził zgon. Zwłoki zabezpieczono przez tut. Komisariat. Dochodzenie prowadzi Komisariat III Referat Śledczy.

Dyżurny sięgnął po słuchawkę telefonu. Wykręcił pierwszy numer z wykazu instytucji, które miał obowiązek powiadomić. Do godziny 13.45 fonogramy tej samej treści otrzymały: Biuro Śledcze Wojewódzkiej Komendy, Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, Prokuratura Wojskowa, Prokuratura Sądu Okręgowego, Główna Komenda, sędzia śledczy, gabinet ministra sprawiedliwości. Podczas gdy dyżurni siedmiu instytucji w kraju odbierali tekst fonogamu, w Krakowie ruszała machina śledcza. Człowiekiem, który rozpoczął dochodzenie, był Józef Grzybowski, doktor prawa, od października 1945 szef służby śledczej Komendy Miasta w stopniu porucznika. Zespół śledczy składał się również z doświadczonych urzędników. Sekcją zabójstw kierował Jan Piskor. Był policjantem jeszcze w okresie międzywojennym. Następnym był Stanisław Węgrzyn, najstarszy z grupy, który służbę policyjną zaczynał w żandarmerii austriackiej. Należeli tu także wywiadowcy Zdzisław Cichocki i Kazimierz Prussak. Był to trzon kryminalny ludzi obeznanych z problematyką dochodzeniową, stykających się z wieloma odmianami zbrodni. Każdy z nich widział ofiary i zabójców. Ten mord był jednak czymś szczególnym: zabito prokuratora. Nikt z nich nie pamiętał, by w ten sposób ginęli przedstawiciele prawa. Dla polskiej kryminalistyki był to ewenement, który zdarzył się po wojnie w Krakowie po raz pierwszy.

Podjęte ustalenia prowadziły donikąd. Grzybowski dostrzegł trudności, z jakimi przyjdzie mu się zmierzyć. Miastem, niezależnie od odradzającego się życia społecznego, wstrząsały nieprzewidziane zdarzenia. Od wiosny 1945 roku powtarzały się aresztowania akowców. 21 kwietnia zginął zastrzelony na Plantach były dowódca Batalionów Chłopskich [BCh] okręgu krakowsko-śląskiego, prawnik,

pułkownik Narcyz Wiatr "Zawojna". Mordu dopuściło się dwóch funkcjonariuszy UB z myślenickiej ekspozytury. Jednym z zabójców był mężczyzna potężnej postury, o tępej, prostackiej twarzy, zabijaka i nikczemnik, były członek BCh z placówki konspiracyjnej pod Lubniem, Jan Tomana, któremu w 1944 "Zawojna" darował życie po wyroku wydanym nań przez AK za napady rabunkowe; drugim - dwudziestolatek z AK - Stanisław Paryła.

Następowała eskalacja samowoli i terroru.

Często na własną rękę rozliczano się z wojennej zaszłości. Grzybowski miał prawo pocuć się bezradny. Skąd mógł wiedzieć gdzie umiejscowić Martiniego? Jak znaleźć motyw zabójstwa? Nikt nie mógł być poza podejrzeniem. Dr Roman Martini był prokuratorem Specjalnego Sądu Karnego. Jurysdykcji owych sądów podlegali zarówno przedstawiciele gestapo schwytani na terenie Niemiec i wydani Polsce, administracji cywilnej hitlerowskiego okupanta, jak też tysięczna armia niemieckiej agentury spośród ludności polskiej, ukraińskiej i żydowskiej rozszyfrowanej przez kontrwywiad podziemia jeszcze w czasie okupacji. Ich nazwiska i adresy przeszły następnie w ręce polskiego i radzieckiego kontrwywiadu. Stały się podstawą do rozpoczęcia procesów sądowych. Te zaś kończyły się więzieniem lub szubienicą. Oskarżał Martini.

Tymczasem czynności dochodzeniowe ujaśniły kilka interesujących szczegółów. Z meldunków wywiadowców wynikało iż na "podkładce biurowej" zdjętej z biurka Martiniego, czyjaś ręka napisała świeżo litery NSZ. Litery były skrótem nazwy Narodowych Sił Zbrojnych, a ta formacja na wskroś antykomunistyczna, wywodziła się ze skrajnie narodowych i nacjonalistycznych kręgów politycznych. Ich konspiracyjny dorobek spowijał również trupi swąd likwidowanych przeciwników ideowych jeszcze podczas okupacji niemieckiej. W obliczu wkroczenia na tereny Polski Armii Czerwonej, Narodowe Siły Zbrojne zrezygnowały ze swojego programu walki z niemieckim okupantem. Dowództwo Główne przyjęło plan wyprowadzenia na Zachód jednostek bojowych

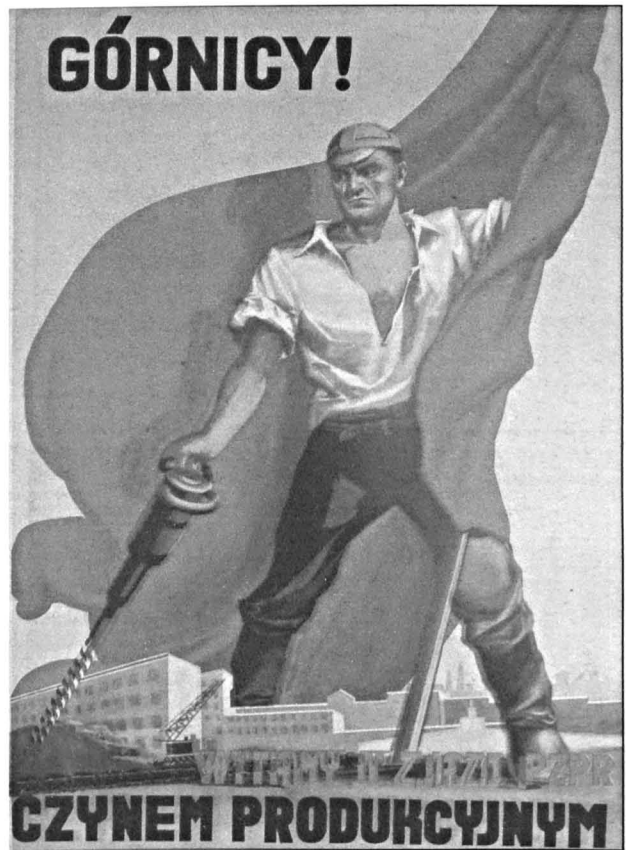
[około 65 tysięcy ludzi]. Rozwój wydarzeń wojennych uniemożliwił zrealizowanie tego planu. Wymaszerowały jedynie u boku wycofujących się dywizji Wehrmachtu oddziały Brygady Świętokrzyskiej pod dowództwem pułkownika Antoniego Szackiego "Bohuna". Potem, kiedy ustały działania wojenne ośrodki NSZ rozlokowane na terytorium Niemiec zachodnich, za "żelazną kurtyną", przerzucały do Polski swoich emisariuszy w celu rozbudowy antykomunistycznego podziemia zbrojnego, prowadzenia wywiadu i dywersji. Godziny płynęły, a Grzybowski wciąż nie miał pewności, któredy zakradła się śmierć do domu prokuratora. Nie wolno było wykluczyć także wersji, iż znak NSZ mógł być wynikiem prowokacji uzasadniającej falę oskarżeń tej organizacji już i tak gwałtownie zwalczanej przez bezpieczeństwo, prokuraturę i sądy. Ale napis mógł powstać też w celu zmylenia pościgu za zabójcą.

Przybywały nowe wyniki śledztwa. Przejęto część dokumentów osobistych zamordowanego. O godzinie 14 z minutami było wiadomo już dokładnie kto zginął. Kim był Martini. Trojga imion: Roman, Cecyl, Anatol, urodzony 5 kwietnia 1909 roku w Szczakowej, powiat Chrzanów, województwo krakowskie, wyznanie rzymskokatolickie, narodowość polska, wykształcenie: matura w V Gimnazjum w roku 1927, studia wyższe: Uniwersytet Jagielloński, dyplom doktora praw w 1934 roku, służba wojskowa: dywizyjny kurs podchorążych rezerwy przy 6 DP w Krakowie w 1933 roku, podporucznik rezerwy, dowódca plutonu ckm.

Kraków, pół wieku później

Rozmowa I (Jan Stoberski, pisarz)

Byliśmy kolegami z Martinim w Gimnazjum V im. Jana Kochanowskiego. Chodziłem z nim do jednej klasy. Martini wyróżniał się spośród naszego grona kolegów klasowych, a może i w całym gimnazjum, wybitną inteligencją i bardzo dobrze się uczył. Był świetnym kolegą, cechowała go serdeczność, taki trochę... brat łąta. Otwar-



📷 Mirosław Koczkodaj

ty na życie. Pamiętam go dobrze, ale dużo o nim nie wiem, szczegóły wymknęły mi się z pamięci, tyle lat minęło. Choć wciąż mam przed oczami jego wspaniałą sylwetkę. Rozkochiwał w sobie dziewczyny i naprawdę je lubił.

*

Grzybowskiego ogarnął dziwny niepokój; znalazł coś, co przy narastającym optymizmie, przewrotnie nazwał "galerią". Stało się to zaś wtedy, gdy spośród różnych przedmiotów należących do Martiniego, odkryto album ze zdjęciami.

- Szefie - wołał wywiadowca - niech no pan spojrzy, tu coś mamy!

Album zawierał dziesiątki dziewczęcych fotografii. Doświadczeni kryminolodzy jasno zdawali sobie sprawę, że los obdarował ich czymś niezwykle. Narzucało to pewien tok myślenia, najprostszy z możliwych. W grę mógł wchodzić afekt, a więc zemsta, zazdrość, nienawiść. Grzybowski nie znał



📷 Mirosław Koczkodaj

zamordowanego prokuratora. Opinie o tym człowieku docierały do niego po raz pierwszy. Przylapywał się na nieśmiałym marzeniu o wielkiej efektownej sprawie, poruszającej wyobraźnię, z "galerią" pięknych kobiet i zazdrosnych kochanek. Szybko jednak wrócił na grunt surowej rzeczywistości. Cierpliwie dopasowywał spływające informacje. Następnie kalkulował chłodno. Wiedział też, że nie wolno mu pominąć najpospolitszego z motywów, najbardziej prostackiego, mianowicie chęci grabieży.

Taka była sytuacja, gdy około 4 po południu opuścił komendę i podążył na Krupniczą. Przed domem, w którym mieszkał prokurator, na chodniku, zatrzymywali się ludzie. Spoglądali na balkon na pierwszym piętrze. Drzwi prowadzące do mieszkania były uchylone i osłonięte firanką. W pewnej chwili obok zatrzymała się młoda dziewczyna; prowadziła na smyczy psa.

Musiała więc mieszkać w pobliżu. Prokuratora znała z widzenia. Była podniecona wydarzeniem. Z jej słów wynikało, że widziała jak Martini wracał do domu wieczorem. Szedł sam w kapeluszu, rozpiętym jasnym płaszczu, pogwizdywał z cicha. Kobieta po pewnym czasie zobaczyła go znowu.

- Wyszedł na balkon - mówiła - rozglądał się, gdy akurat ulicą przejeżdżał motocyklista. Jechał od Alej Trzech Wieszców i Dolnych Młynów w stronę Plant. Martini wychylił się, patrzył za przejeżdżającym, jakby czekał na niego. Ale motocyklista nie zatrzymał się, pojechał dalej. Potem na balkon wyszła dziewczyna. Stała obok pana prokuratora, rozmawiali...

Dla Grzybowskiego było jasne, że morderca musiał przyjść później. Lecz kim był, tego nie wiedział. A... może dziewczyna z balkonu? Lecz czy potrafiłaby dorosłemu mężczyźnie zadać tak wiele potężnych, krwawych ciosów? Czyby zniosła widok, znanego jej przecież człowieka, bo rozmawiali na balkonie bardzo serdecznie, ociekającego krwią, starając się, aby rany były śmiertelne? Jak wyglądała, trzymając sztylet? Była w furii, czy zabijała z chłodnym wyrazem twarzy? A może zrobiła to inna kobieta, któraś z "galerii"?

Grzybowski odszukał wartownika i polecił mu wylegitymować nieznajomą, która kolejnym osobom opowiadała tamtą historię. Sam zniknął za drzwiami kamienicy.

Dom był zwyczajny, mieszczański, jakich setki w starym Krakowie. Na dole przestronna sieni, po prawej schody na piętro. Drzwi z numerem 3. W głębi obszerny przedpokój. Mieszkanie należało do rodziny Bilińskich. Martini wynajmował w tym mieszkaniu pokój z balkonem i oknem wychodzącym na ulicę Krupniczą. Teraz na drzwiach wisiały plomby. Obok drzwi stał stolik stolik z kolorowym obrusem, wazonem z białego fajansu i bukietem zasuszonych kwiatów. Wazon musiał stać dawno, na płatkach kwiatów widoczna była warstewka kurzu. Prawdziwe zdziwienie wywołał blat stolika, zupełnie czysty. Jakby ktoś wczoraj szukał tu czegoś. Po chwili uwidoczniły się następne szczegóły; obok stolika, ale bliżej drzwi, na podłodze, stała butelka z mlekiem, na mleku gruby ko-

żuch śmietany. Uchodziło za pewnik, że ktoś przyniósł je po śmierci Martiniego. Kim był roznosiciel mleka? Szybko trzeba znaleźć tego człowieka. Czy przekraczając próg domu spojrzął na zegarek? A jeżeli nie miał zegarka i nie interesowała go godzina?

Grzybowski zatrzasnął drzwi przedpokoju.

Gdy wrócił do Komendy toczyły się pierwsze przesłuchania świadków. Na Krupniczą wyruszyła ekipa techników.

*

Kazimierz Prussak z sekcji służby śledczej siedział opanowany, na jego twarzy malował się wyraz skupienia. Przed chwilą wpisał do protokołu personalia świadka. „Aleksandra Mroczek, c. Feliksa, lat 39, ur. we Lwowie”.

Kobieta, której zeznanie miało przynieść odpowiedź na jedno z najważniejszych pytań, dotyczących ostatnich godzin życia denata, milczała, a szloch odbierał jej słowa. Pierwsza zobaczyła pokój, w nim trupa Martiniego. Była w szoku, gdy biegła z zawiadomieniem o tragedii. Tymczasem wywiadowca notował na kartce przewidywany plan dochodzenia. Z chaosu słów kobiety wciąż bowiem przebijał ten sam tragiczny moment, gdy wdarła się do pokoju denata. Widok jaki zastała przerażał jej myśl. Kilka chwil trwało zanim Prussak zapytał, czy gotowa jest zeznawać. A ona przecież powiedziała najważniejsze, jak można mówić o czymś innym. Powtarzała: Boże ile tam krwi... Prussak wrócił więc do pytania, czy gotowa jest zeznawać. Bo tamto, trup, krew są ważne, ale o nich będzie mowa później. Kobieta przytaknęła. Oddychała ciężko, ocierając twarz. On zaś chciał wiedzieć, co ją łączyło z Martinim, kim była dla niego; krewną, kochanką? A może tylko gospodynią, która przychodzi o oznaczonej godzinie, sprząta, przynosi mleko... Dlaczego znalazła się na miejscu zabójstwa? Kiedy widziała Martiniego po raz ostatni?

- Odkąd go znałam? - odpowiedziała pytaniem na pytanie. - To długa historia.

Zacząła, że Martini był tylko jej znajomym i łączyły ich tylko przyjazne stosunki. Z "długiej historii" rzecz okazała się bardzo

zwyczajna. Jej znajomość z Martinim zaczęła się w chwili, gdy została narzeczoną jego kuzyna. Znajomość pogłębiała się i stopniowo przeradzała w przyjaźń. Pod koniec łączyła ich szczerą, głęboką zażyłość. Była u niego codziennym gościem. Robiła zakupy, prowadziła dom. Ale Prussak wiedział już, że Martini był żonaty. Trudno było pominąć pytania idące w kierunku owego dziwnego trójkąta.

Przesłuchiwana kobieta robiła wrażenie absolutnie prawdomównej. Był to objaw szczerzej i pożądaney współpracy ze śledztwem. Otóż Martini ożenił się w styczniu 1946 roku na wiadomość, że Sławka, jego przyszła żona, jest w ciąży. Ale ślub nie zmienił niczego w jego trybie życia. Z żoną widywał się dwa, trzy razy w tygodniu i wciąż mieszkali osobno.

- Myślę, że on nie chciał się z nikim wiązać na dłużej. Ze Sławką także. W przyszłości mieli się rozwieść zaraz po urodzeniu dziecka.

- A jeżeli on wymógł na niej tę zgodę na rozwód?

- Ona po cichu liczyła, że zdoła go zmienić. A co do zgody, czy ja wiem?

Myśl o tym, że żona Martiniego mogła być zamieszana w śmierć męża, wracała jednak uparcie. Nie była całkowicie pozbawiona sensu. Prussak niczego specjalnie nie wymyślał. Szukał najprostszych sposobów rozwiązania zagadki. Kryminalistyka nauczyła go pozbywania się skrupułów. Wic strzelił pytaniem:

- Powiedzmy, żeby się nic nie zmieniło w tym małżeństwie Martinich. Nie sądzi pani, że owa Sławka byłaby zdolna do zemsty?

Przesłuchiwana kobieta zamarła, by o chwili zaprzeczyć:

- Nie, nie, nie - powtarzała. - To niemożliwe.

Reakcja Aleksandry wydawała się odruchem tak naturalnym, iż Prussak nie znajdował potwierdzenia choćby cienia podejrzeń wobec żony denata. Nie eliminowało jej to jednak z całości sprawy. Była wciąż pierwszą podejrzaną. Lecz żeby udowodnić jej zbrodnię potrzebne były fakty. A tych na razie nie dostrzegano.

Ten etap śledztwa nie pozwalał jeszcze na żadne diagnozy. Ale Prussak wiedział już, co musi nastąpić za moment.

- Co pani robiła w sobotę wieczór?

Pytanie było tak zaskakujące, że Aleksandra po dłuższej chwili poczęła rozumieć, iż dotyka jej osoby. Ona, ona podejrzana, Boże Kochany, czego oni od niej chcą, przez głowę przebiegały jej najczarniejsze myśli. Przyszła przecież tu w najlepszej wierze, żeby schwytano zabójcę. Kiedy się nieco uspokoiła, postanowiła odpowiadać na pytania najprecyzyjniej, jak to tylko będzie możliwe.

- Ja wtedy tam poszłam na Krupniczą.

- Pamięta pani, która to była godzina?

- Było dość późno, za kwadrans dziesiąta.

Przyniosłam mu mleko. Chciałam wejść do pokoju, lecz drzwi zastałam zamknięte. Pukałam, ale nie odpowiadał.

- Czy zauważyła pani coś nienaturalnego?

Mam na myśli przedpokój, ściany, jakieś ślady na nich, drzwi, zamki, próby ich wyłamywania, czy może wszystko było takie, jak zawsze?

- Tak... chyba tak. Wydaje mi się, że nic się nie zmieniło.

- A przedmioty, które znajdowały się w przedpokoju, czy były na swoim miejscu?

- Tak, ale... rany boskie... ten brak klucza. Było tak, że gdy prokurator wychodził, pozostawiał go zawsze na stoliku w przedpokoju pod wazonem z kwiatami. Nie znalazłam tego klucza.

W tym momencie Prussak wiedział na pewno, że dotknął, kto wie, czy nie najważniejszego fragmentu śledztwa. Brak klucza mógł oznaczać, że o godzinie 21.45 Martini już nie żył. W tej sytuacji dalsze ustalenia powinny następować w odwrotnym porządku; mianowicie co robił przed godziną 21.45, gdzie był o godzinie 21, o 20.30. Zaraz potem zanotował w protokole: "Prokurator Martini często przyjmował gości. Wtedy nikogo nie wpuszczał". Problem był więc bardziej skomplikowany. Jeżeli klucz zginął za sprawą zabójcy, śmierć Martiniego musiała nastąpić przed godziną 21.45. A jeżeli był w pokoju, to z kim i jak długo?

Przesłuchanie ciągnęło się od dobrych kilku godzin. Za oknem zapadał mrok. Na ulicach płonęły lampy. Prussak odłożył pióro.

- Chciałbym teraz usłyszeć - powiedział nieco zaskoczony kobiecie - co się stało tego

ranka, dziś, w niedzielę 31 marca.

-Wiedziałam, że muszę tam iść, coś nie dawało mi spokoju, jakieś przecucie... Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym nie poszła. Nie myśli pan, że wczoraj, gdybym się uparła i nie odchodziła stamtąd, mogłabym zapobiec temu strasznemu nieszczęściu?

- Myślę, że mogłoby się to dla pani źle skończyć.

Kobieta siedziała śmiertelnie przerażona.

Tego ranka szła z Wielopola, gdzie w "Dzienniku Polskim" była woźną, do Rynku Głównego, potem Szewską, przecięła Planty, by na skrzyżowaniu z Karmelicką i Podwalem skrócić w Krupniczą. W przedpokoju znowu zobaczyła mleko, było nie naruszone i, jak wczoraj, nie było klucza, a Martini nie odpowiadał.

- Może zabrał go z sobą? - napomknął Prussak.

- Nigdy tego nie robił. Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że stało się coś wyjątkowego, ale do głowy mi jeszcze nie przychodziło, żeby ktoś go zabił. Z każdą sekundą ogarniało mnie jednak coraz większe przerażenie. Wciąż jeszcze, patrząc na zamknięte drzwi, myślałam, że się mógł nagle rozchorować, zasłabnąć i czeka na pomoc.

Poczuła się zupełnie bezradna. Wówczas ogarnął ją niepokój, którego nie potrafiła zwalczyć. Stało się to za sprawą wspomnienia, zasłyszanego od Martiniego, gdy będąc już prokuratorem, pochwycił w Szczecinie agenta gestapo, Józefa Syrka. Syrek był kanalią. W 1944 otrzymał polecenie wedrzeć się do oddziału partyzanckiego AK w rejonie myślenickim. Przyszedł do lasu mając parabellum, dwa granaty i lornetkę. Powiedział, że należy do terenówki, jest zagrożony aresztowaniem. Dowódca oddziału, Józef Fijałkowski, nie sprawdził tej informacji, przyjął rzekomego partyzanta. Po pewnym czasie zdrajca zaproponował Fijałkowskiemu rozstrzelanie burmistrza Myślenic, volksdeutscha Wągę. Poszli w Zielone Świątki polami do rzeczki Bysinki. Wokoło było pusto i cicho. Szukali miejsca, aby przejść rzekę. Gdy na drugim brzegu strzasali rosę ze spodni, na kilka sekund Syrek znalazł się za plecami Fijałkowskiego. Ten moment wystarczył; nad polami przeto-

czył się huk wystrzału. Kula ugodziła śmiertelnie partyzanta.

Konfident nie oddalił się z miejsca zbrodni.

Schował dymiący jeszcze pistolet, stał nad zabitym jakby coś trzymało go w miejscu, albo jakby się zastanawiał, pójść dalej, czy zawrócić. W rzeczywistości myślał o czymś innym; nagle wy dobył nóż, pochylił się i gwałtownym pchnięciem zagłębił ostrze w szyję trupa; odcinał głowę od tułowia... Za tę głowę czekała go nagroda. Kiedy skończył, wolną ręką podniósł czepek za włosy, poczekał aż krew spłynie na trawę. Potem włożył go do worka, poniósł na posterunek niemieckiej żandarmerii. Po wojnie Martini, zebrawszy dowody, postawił Syrka przed sądem i zażądał dla niego kary śmierci. Po raz ostatni spotkali się w dniu egzekucji. Kiedy zbrodniarz mając przed sobą ostatnie sekundy życia, stał z zawiązanymi oczami, odwrócił głowę, gdzie spodziewał się Martiniego. Nie prosił o nic. Powiedział tylko: - W piekle cię poznam! To była groźba. Syrek miał brata. I wciąż nikt nie wiedział dokładnie, jak wielka liczba konfidentów niemieckich czai się jeszcze w Krakowie. Może dlatego Martini myślał o adwokaturze, planując

otwarcie kancelarii w Katowicach.

Prussak słuchał w skupieniu. Potem uzupełnił protokół: "Dodam jeszcze, że prokurator Martini od dłuższego czasu zwierzał mi się ze swoich przeczuc, jakoby miał zginąć śmiercią tragiczną z uwagi na swoje odpowiedzialne i niebezpieczne w obecnych czasach stanowisko".

Dziewczyna zamarła pod wrażeniem tamtego wspomnienia. Czuła jakby się zbliżała chwila takiego samego napięcia i niepokoju jaki ogarniał ją kilkanaście godzin temu, gdy dobijała się bezskutecznie do zamkniętych drzwi pokoju Martiniego. Krwawy strzęp głowy Fijałkowskiego przesłonił jej wówczas wszystkie myśli. Żadna siła nie była jej w stanie powstrzymać. Przebiegła przez przedpokój, dopadła drzwi Bilińskich.

- Pani Mario! - krzyczała. - Co się tu stało wczoraj? Co się stało?





KATARZYNA RYRYCH

*Późna już jesień, pola posmutniały.
Zebrano zboże, szpaki odleciały.
Tylko na zagon jeden opuszczony
Jak czarna chmura opadają wrony.*

Niekrasow, *Nieżęty zagon*

Perekati pole, co na nasze przekłada się przebiegnij, przekulaj się przez pole - to dziwna roślina, kuzynka jerychońskiej róży - malutki krzaczek, który w czasie suszy wysycha, pozostawia w ziemi korzenie, zwija się niby pomięty papier i pozwala, aby wiatr toczył go przed siebie... a wiatr toczy i toczy, popycha polnymi drogami, niesie przez puste pola, dopóki nie znajdzie się garstka urodzajnej ziemi... Toczą się więc bezdrożami, kłębuszki małe jak kłębki kurzu, toczą wielkie kłęby jak niestaranie zwinięte kłębki drutu, przystają na poboczach, podskakują na wybojach.

Leżę, a za oknami świta, pić się po wczorajszej powojce chce, ale wstać się nie chce, leżę i przypominam sobie dawną opowieść - dawnym dawno, w jednej wsi żyło sobie dwu gospodarzy. Przyjaźnili się na tyle, na ile ich wódka zbratała, ale jeden był bogaty, (bo pracowity, bajki zawsze muszą nieść naukę), a drugi biedny, bo leniwy... I razu pewnego tych dwoje wybrało się na jarmark do miasta. Bogaty zabrał kielbasę, słoninę, kaszę, a biedny - lichą odrobinę ze swego ogrodu, jechać mu się nawet nie chciało, ale baba tak głowę suszyła, że uległ w końcu i pojechał. Dzień cały w mieście handlowali, bogaty majątek pomnożył, biedny grosza przysporzył, ale do karczmy zajrzał i wszystko przepił. Sąsiad z trudem od kieliszka go oderwał, na wóz, jak prosiaka wrzucił i do domu się skierował.

Mrok już z parowów przydrożnych wylazł, na drodze się rozlał i w duszy, księżyc zza chmury łypnął i pijanemu w oczy zaświecił. Patrzy pijany, trzeźwieje powoli, a księżyc mu się jako moneta srebrna widzi, taka wielka, taka daleka, za daleka, aby ją w

PEREKATI POLE

kieszeń wsunąć... oj, nie dla niego ten dukat tłusty, nie dla niego, dla niego baba zręczliwa, horilka - pocieszycielka i bieda w chałupie, bieda, od której uwolnić się nie sposób, bieda, co jak zmora na piersi siadła i życie wysysa... Oj, jemu nie po ten talar ogromny sięgnąć, ale u sąsiada w mieszkupieniędzy, aj, pieniądze...

Uniósł się na słomie i ręką na kolek ukryty pod słomą natrafił...kolana drżą, w głowie się mąci, a talar z góry świeci i mruga, jakby się z jego robaczej doli naśmiewał... opadł kolek z jakimś dziwnie głuchym trzaskiem na głowę woźnicy, tak jakby kto młotkiem drewnianym w orzech uderzył. Upadł sąsiad twarzą na słomę, nogami wierzgnął, rękoma grzebnął jakby mieszek chciał zakopać - i ucichł.

Oj, przesłonił się księżyc chmura ciemną, jakby na zbrodnię patrzeć nie chciał. Wytrzeźwiał zbrodniarz w mgnieniu oka, strach go za gardło chwycił, ale co się miało dokonać już się dokonało.

Ściągnął trupa z wozu, na pole zawlókł, siekierką darń poczał ciupać, dół płaski sposobić... kopie, kopie, księżyc zza chmury łypie, a tu nagle coś szur! za plecami. Porwał się zbrodniarz na nogi zlany zimnym potem, patrzy - a tu perekati pole po między się toczy, wiatr je nocny przed sobą popycha.

Zbrodniarz ochłonał, splunął, ciało w dół wepchnął, do ziemi twarzą, bo mu się zdało, że wytrzeszczone oczy sąsiada, w których księżyc podwójnie się odbijał, patrzą na niego. Ciało ziemią przysypał, darnią przywalił i na drżących nogach do wozu powrócił.

Patrzy koń bułany, za gospodarzem się rozcłąda, ruszyć z miejsca nie chce. Zaciął woźnica koński zad batem i wóz naprzód się potoczył...

Toczy się wóz drogą, koła na wybojach podskakują, toczy się miedzą perekati pole jak pies wierny drodze towarzyszy...

Do domu przybył, naprędce historię o rabusiach wymyślił, ale naprzód mieszek w stodole zakopał.

Ranek nastał, zbrodniarz drogę fałszywą wskazał, szukali, szukali, ciała nie znaleźli, szukali a nie widzieli, jak za nimi perekati pole się toczy.

Od tego dnia zbrodniarz widział je wszędzie - wszędzie polu i wedle karczmy, warujące niby pies pana oczekujący, za stodołą, koło płota... pies je oszczeżał, koza rogiem ubodła, a ono uparcie domu się trzyma, jak gdyby chciało korzeniami w serce zbrodniarza wrosnąć... Czas mijał, jesienne liście opadły, śnieg pierwszy ziemię miękkim puchem okrył, mrozy pierwsze staw ścisnęły... a perekati pole pcha się do izby... odstąpić nie chce.

I tak go dręczyło, gorzej niż koszmar jakiś, aż do cerkwi pobiegł, popu do nóg padł i straszną tajemnicę mu wyjawiał.

Pop z początku nie uwierzył, ale gdy zbrodniarz iść mu za sobą nakazał pop szubę narzucił, diakowi nakazał z latarnią towarzyszyć, na sanie wsiedli i jadą. A przed saniami perekati pole biegnie, toczy się po śniegu, Na miejsce zbrodni się dotoczyło i zatrzymało.

A kiedy pop z diakonem śnieg odrzucali i na wzgórek niewielki natrafili zbrodniarz przez konar drzewa sznur przerzucił i nim się ktokolwiek zorientował na szyję stryczek założył i w dół się rzucił... Księżyc nad głową wisielca zabłysnął, zakręcił się jak moneta srebrna, a we wsi pies zawył...

Stara to historia, ktoś z klasyków nawet ją opisał, ale mi Dziadek opowiedział ją tak jak opowiadało się podobne opowieści w długie zimowe wieczory.

Świt już na dobre w okno zagląda, na parapecie Lusia krągłą mordę myje, różowym językiem oblizuje łapę, a łapą po uszach trze, po czole, po nosie. Ktoś tam na dole, przy zielonej ławce z kimś rozmawia, w kuchni brzęczą talerze. Wstaję powoli, odsuwam firankę. Po trawniczku biegają znane mi już psy, brązowy, młodszy za liśćmi goni, drugi, starszy, łaciaty kość ogryza.

Herbata jest mocna i gorąca, jajecznicza ze skwarkami, ogórki z własnego ogrodu. Do herbaty papieros, camel, wonny, aromatyczny, paliłoby się bez końca... rozmowa leniwa się toczy, ot, codzienna biesiedka, o wszystkim i o niczym.

Ot, że matka ciotki Lary w cerkiewnym chó-



 Mirosław Koczkodaj

rze śpiewała, a śpiewała pięknie, jak wszystkie Pochylczuki. Że pod koniec życia kregosłup ją bolał i pięć lat w łóżku leżała, zanim umarła... jak wszystkie Pochylczuki plecy miała słabe. Że po wylewie, który dwa lata temu miał wujek Igor jeszcze na dobre do siebie nie doszedł - słowa zapomina, wątek gubi. Patrę na błękitną wstążkę dymu, kręci się pod sufitem, zwija w kłębek.

I znowu przypomina mi się perekati pole - kim jestem, gdzie są moje korzenie? Aż tu się przytoczyłam, czego szukam - nie wiem. Miota mną po świecie, tak jak moimi przodkami, którzy przybyli niewiadomo skąd - czy na kudłatych tatarskich konikach, czy zwrotnymi czajkami, dokąd zaniósł ich wicher, na jaki przypadkowy skrawek ziemi rzucił? Jestem na Ukrainie, krainie mlekiem i miodem płynącej - tak, jak ją Dziadek mój zapamiętał, i na tą kolchoźną, kolektywną powracać nie chciał... Zatoczył się najpierw na zachód, do strzezińskich kamieniołomów, gdzie w kuchni Niemki mdlały z głodu ponad garnkami na kłódkę zamkniętymi. Kazał te garnki mój Dziadek-czumak z okopów oswobodzić, nakarmił kobiety do syta, do domu dla dzieci wziąć pozwolił... Pewnie ta wieczna wędrówka nauczyła go współczucia dla ludzi, niczemu nie winnych, pchanych po koleinach życia jak zeschłe rośliny... Niech pan z nami jedzie panie Ryszardzie prosiły Niemki, w pociągu pana przemycimy, tu życia nie będzie, ... Ale mój Dziadek zdążył już korzenie zapuścić, był stary, wysoki dom, pięć ogromnych pokoi, balkon z kamienną balustradką... I tak,

przez to bratanie się z Niemkami władzy ludowej się naraził, w gaciach musiał z domu nocą uciekać, - ale co to za kłopot dla wędrowca? - Zniknął, przeczekał, korzenie zapuścił w Brzegu nad Odrą... Przeżył. Stamtąd mógł uciec, potoczyć się dalej - za Olzę. Ale nie uciekł, a było to tak: pojechał do banku po pieniądze na wypłaty dla pracowników - pracował wtedy w fabryce cukierków i dzisiaj ile razy sę malinki tyle razy myślę o Nim - po drodze samochód się zepsuł, więc Dziadek z kierowcą wyjęli z szoferki skrzynkę blaszaną z pieniędzmi, wykopali dołek, zasypali ziemią, udeptali, a na wierchu zapalili ognisko... Zabrali się za naprawę samochodu.

A tu zmierzch zapadł. Samochód naprawili, noc nadeszła, przy ognisku ciepło, jasno. I nagle z lasu pięciu w krąg światła wchodzi, zarośnięci, dawno mydła i wody nie widzieli, nie mówią nic, przy ogniu siadają. Po chwili jeden o papierosa prosi, a Dziadek na to, że w szoferce pod siedzeniem leżą... Dwaj poszli, długo ich nie było, wrócili, zapalili, jakoś się cieplej zrobiło. Posiedzieli do północy a potem poszli tak nagle jak się pojawili. A kiedy odeszli Dziadek do ognia dorzucił, marynarkę pod głowę zwinął zasnął. A nad las dźwigał się coraz wyżej srebrny księżyc, krągły niby srebrnik judaszowy, i taki niedaleki, że można było na nim policzyć sine kratery.

Rankiem ruszyli w drogę, i gdy przyjechali do fabryki dyrektor z niedowierzaniem kręcił głową, że mogli do Czech uciec, a stamtąd dalej na zachód, i nie uciekli, ...ale nie wiedział, że Dziadek zapuścił korzenie. Była ponemiecka willa, rzeźbione nogi pianina, a na ścianach medaliony Thorwaldsena, córka w internacie, syn w szkole - jakże tu uciekać? Więc został.

Wódka na stole się pojawia, więc nie opowiem już, jak wiatr zatoczył go do miasta bez boga, trzeba pierwszą kolejkę wypić za wstrieclu, drugą za miłość...

A wokół miasta pola, pola, pola. Teraz dopiero widać, jaka ziemia tłusta i czarna, wagonami ją w wojnę do Reichu wywozili, całymi wagonami, żyzny, bogaty czarnoziem... Ziemia, która przeżyła wielki głód, kiedy zakazano zbierania kłosów z pola, a do

zbierających strzelano, nieważne czy baba, czy dziecko, strzelano, a do ciał porzuconych w bruzdach jak łachmany - no, bo i czymże jest ciało dla duszy - zlatywały się stada wron... psy bezpańskie zachodziły po zmroku, a po chałupach ludzie z głodu puchli, bywało, że ludzkim mięsem się żywili... jak te wrony i te psy. Więc ciągnie się ta ziemia po horyzont - czarne głębokie bruzdy, na skrajach pól kopce buraków, tu i ówdzie traktor, a na płachetkach pastwisk krowy. Chodzą z pyskami przy ziemi, trawę skubią, a pastuchy pala małe ogniska. Dym się ściela nisko przy ziemi, gryzie w oczy.

Ciotka na drogę zrobiła herbatę - szczodłą, mocną jak więzienna czajura, i kanapki z mięsem, więc rozkładałam jedzenie na ręczniku na masce nivki i siadam obok. Jem i patrzę, jak na uschłym drzewie pośrodku pola wrony to siadają, to porywają się do lotu niby czarne chmury. ...A po palach buszuje woronjo... Patrzę na drogę wytyczoną przez rosłe jesiony. Drogą, niby wycięty z papieru przejeżdża wóz, słońce obrysowuje go złocistą kreską. Dokąd teraz potoczę się niby ta dziwna roślina? Czy w górę mapy, tam, gdzie kijów, czy na bok, tam gdzie Krym? Może wrócę na step, gdzie gwiazdy nad głową były tak ogromne, że wydawało się, że tylko ręka sięgnąć? I na tym niebie białe nocne chmury, i księżyc, na którym wyraźnie widać było sine kratery. Noc była taka ciepła, że zrzuciwszy ubranie, jak Adam i Ewa, wygnani z raju - a może jeszcze w raju - szliśmy polną drogą ku źródłu płynącemu drewnianym korytkiem, żeby napić się, wody dłońmi zaczerpnąć... I taka cisza wielka dokoła, że nagle słysząc szelest, jakby coś skradało się poboczem.

Oglądałam się do tyłu - splątane łodygi, nastroszone niby cierniowa korona, toczy przed sobą wiatr stepowy, suchy, gorący.

- Patrz, perekati pole!

Siadam na brzegu koryta, zanurzam dłoń w wodzie i opowiadam szeptem, jakbym zawierała straszną tajemnicę. ...A gwiazd tak dużo i tak nisko, że można by je chwycić w dłonie, i cisza taka uroczysta jakbym po tamtej była już stronie...





JERZY REUTER

WESELE "PAPUGI" I BÓL ROTH

- Proszę usiąść, mesje Górecki – stary Roth podsunął mi krzesło. – Mam dla pana tylko dobre słowo. Dzisiaj za dobre słowo nikt nie płaci, ale wagę swoją ma, jak mówię, mesje Górecki.
- Bardzo dziękuję – usiadłem za weselnym stołem, rozglądając się po sali. – To wielki zaszczyt, panie Roth, nawet pan nie wie, jak wielki.
- Wy goje, chcecie bywać tam gdzie was nie lubią. – Stary Żyd nalał do szklanki wina – Winko proszę, tak pod ciasteczko. Niech pan spróbuje cukier lejkech – podsunął tacę z równo pokrajanym ciastem. - A dla odmiany chonek lejkech. Do wina, mesje Górecki, sam cymes.
- Pan mnie nie lubi, panie Roth?
- Ależ mesje! – Roth powstał i zagarnął mnie do siebie ramionami. – A niby, czemu? Często ciastem, polewam wino, czy można mówić o nienawiści? Ja mówię o gojach i ich ciekawości. – przepił łykiem wina. – Można powiedzieć, mesje, że ja cenię sobie ciekawość. Tylko, dlaczego nasze obyczaje? Dzisiaj ja wydaję dziecko za męża! Jestem biednym ojcem jeszcze biedniejszej córki i muszę udawać, że ma dobrą partię. Jaki to wstyd! Pan wiesz, mesje Górecki?
- No, jaki? Panie Roth, a czego można się wstydić na weselu córki?
- To ja panu powiem – pochylił się, aż nasze kapelusze uderzyły o siebie rondami. - Moja Fenia ma już trzydzieści sześć lat! – zgarnął okruchy ciasta w jedną kupkę. - To się nazywa wstyd!
- E tam – starałem się zbagatelizować słowa Rotha, – co ma wiek do tego?
- Ona do wczoraj była stara panna, mesje Górecki. Była wielką gospodynią w domu swojego ojca, a teraz? Kim będzie moja Fenia? Czy wolno mi się pytać? Ot, takie życie starego Żyda.
- Panie Roth, Fenia teraz będzie żoną swojego męża. Może jakieś wnuki da panu na pocieszenie...
- Aleś mnie pan uraczył! – przerwał,



Tomasz Młynarczyk

- rozkładając ręce na boki. - Teraz, to pan mnie nie lubi! Gehennę mnie pan szykujesz? Mesje Górecki, skandalem chcesz mi głowę starą posypywać? Czy pan mnie widzisz z małym dzieckiem? Czy pan wie, mesje, co takie coś potrafi?
- Przecież nie to miałem na myśli – uśmiechnąłem się szeroko i szczerze, ubawiony jego słowami.
- Ja wiem, wiem. Za chwile wniosą pieczoną gęś. Rumianą i tłustą – odwzajemnił się swoim uśmiechem – i poprosimy do niej flaszkę miętówki, mesje. Dobrze?
- Och, panie Roth, będę szczęśliwy.
- Wcześniej poproszę pana o jedną rzecz, niech

- pan spróbuje tej rybki, czy dobra jest?
- Bardzo chętnie. – nadgryzłem spory kawałek.
 - No, panie Roth, to sama radość – stwierdziłem szczerze, popijając rodzynkowym winem.
 - Falszywa ryba, mesje Górecki.
 - Nie rozumiem, co falszywa?
 - Tak się nazywa, a robiona jest z kurczaka. Dobra, co? Bo widzi pan, na świecie są trzy kuchnie. Jest chińska, francuska i żydowska, a reszta to tylko dania. Takie na zamówienie.
 - Ciekawe, panie Roth, rybka, ta falszywa, jest prima sort.
 - Opowiem panu coś ciekawego. Za chwilę wniosą na stół pieczone gęsi, a pan niech słucha. Przy mięsie odstawimy wino i zajmujemy się wódeczką.
 - Wie pan, jestem już rok w Jerozolimie, a pierwszy raz na takim przyjęciu – skłoniłem się Rothowi kapeluszem.
 - Mesje Górecki – odклонił się z równie wyszukaną galanterią. – Pan jesteś z moich stron. Czy to nie jest radość? W Jerozolimie, przy weselnym stole, fundowanym z majątku starego Rotha, otworzyły się pomiędzy nami patriotyczne wrota. Młody Polak z Tarnowa, na obczyźnie i Żyd z Tarnowa u siebie. Kiedy w pamiętnym roku sześćdziesiątym ósmym zostaliśmy wypędzeni, przy boku Gomulki stał człowiek, też z Tarnowa. Ten zły człowiek był tarnowskim Żydem, proszę pana. Czy to się nazywa paradoks? O tym jednak za chwilę... Oto idzie gęś! Gęś z farfelkami, mesje Górecki.
 - Przed wojną – odparłem – połowa ludzi w Tarnowie, to bogobojni Żydzi.
 - A czy ja oczu nie mam? Teraz, tutaj w Izraelu, co czwarty człowiek, to Żyd z Galicji. Nawet Feni mąż, panie Górecki, ma pochodzenie... Jego rodzina wywodzi się z Bobowej. Znani byli w okolicy jako „Papugi”, takie pseudo, mesje.
 - Papugi?
 - Ja panu miałem to opowiedzieć – nalał do malutkich, srebrnych kieliszków wódkę. – Wypijmy i zapraszam do jedzenia gęsi. Widzisz pan. On, ten mąż, nazywa się Kreuzman. Jego pradziadek, Mosze Kreuzman, to był biedny człowiek. On był biedny sercem, że tak powiem. Mosze Kreuzman nie miał żony i to było jego utrapienie. Za ubogi był na wynajęcie swata, a jedyną żeńską osobą, jaką mógł sobie po klepać po zadzie, była stara kobyła, którą rozwoził węgiel po ludziach. Grywał w wolnych chwilach na skrzypcach i robił to kunsztownie.
 - Ciekawy człowiek – wtrąciłem przegryzając kluskami, ułożonymi wokół mięsa.
 - On, ten Kreuzman, zobaczył na jednym polskim weselu coś, co zmieniło całkowicie jego smętne życie. On się nadział, mesje Górecki, bardzo boleśnie. Zrobił sobie wielką ranę w duszy.
 - To zdrowie Kreuzmana? – zaproponowałem nieśmiało.
 - Zdrowie! O tak. Ten Kreuzman, wiesz pan, zobaczył coś, co nie powinien oglądać człowiek jego sznytu... Jego pokroju, czyli. Tam był dziwny obyczaj weselny. Po wszystkich ceremoniach, wychodził na środek pan młody i śpiewem przywoływał swoją żonę. Weselnicy bili brawo i skandowali „Teraz, teraz”. Gdy bidula zbliżyła się do męża, ten uderzał ją w twarz i wołał na całą salę „Żebyś wiedziała, że masz chłopą”. Ot, głupie i bezduszne. Ten Kreuzman, gdy to zobaczył, zdurniał do reszty. On, panie Górecki, zaczął pisać wiersze! Stał się jeszcze bardziej nieszczęśliwy i wszyscy to widzieli.
 - Powiem szczerze, że się nie dziwię. Widać, wrażliwy bardzo.
 - Pan wiesz? On znalazł żonę! On się ożenił w Odessie! Mesje! Nasz wielki rabin Halberstam dał pieniądze na swata... On się ulitował, tak można powiedzieć. Mosze Kreuzman nie był długo szczęśliwy. W piątym roku małżeństwa dopadli ich pałkarze, to był któryś z kolei pogrom. Szkuce zatłukli mu żonę, chociaż Kreuzman wypalił do nich z całego magazynku swojego rewolweru. Uratował dzieci, ale sam musiał uciekać we świat. On, proszę pana, zabił dwóch bandytów.
 - To rzeczywiście, nie miał szczęścia w życiu.
 - Napijmy się po jednym, bo teraz będzie skąd „Papuga”. – Roth przysiadł się bliżej – Przez pięć lat nie dawał znaku życia, ten Kreuzman się rozumie, aż przyszedł list.
 - No, właśnie, panie Roth – przerwałem. – Skąd ta „Papuga”?

– Jak masz pan uszy do słuchania, to pan słuchaj. List przyszedł do Bobowej aż z New Zealand, oblepiony kolorowymi markami i adresowany do rabina. Dzieci Kreuzmana były w Bochni u rodziny. Nasz wielki rabin, proszę pana, osobiście słał furę po Kreuzmanów. Czy pan pomyśli? Co to jest? List był, mesje, czytany uroczyście, że tak powiem. Najbardziej bogobojne Żydy z okolicy zjechali się na okazję. Nawet z Tarnowa i jeden taki, co z Przemyśla. Oj, zmęczyłem się gadaniem. Pozwoli pan, że skubnę trochę gęsi.

– Tak, panie Roth – przytaknąłem. – Wesele trwa siedem dni. Opowiada pan bardzo ciekawą historię.

– No, więc już nie będę się zanurzał, a powiem zakończenie. Ten Kreuzman, mesje Górecki, zwiął z Odessy i on był matros. Pływał przez wszystkie oceany, a nawet miał dziewczynę, narzeczoną, czy jakoś tak. W każdym razie on wylądował w tej New Zealand i tam się z nią ożenił. Wyobraź sobie pan, że on napisał zapytanie, czy jako prawowierny Żyd może jeść papugę! Rozumiesz pan? Papugę! Rabina z deka trafił szlag... A jaki dla rodziny wstyd?

Cała Bobowa, Bochnia, Tarnów tarzały się w konwulsjach śmiechu. Prawda była nieco inna. Tam była jakaś plaga, czy też coś i ichni rząd płacił od zabitej sztuki.

Kreuzman polował na papugi i z tego żył. Czy ktoś w Galicji mógł to pojąć? No przecież, mało kto tam pisać umiał.

– Mieli prawo tak reagować – odpowiedziałem. – Papugi to nie nasze ptaki.

– Wic cały w tym, że stary Mosze kombinował. On sobie to wyliczył, że taniej będzie te papugi żreć, niż je sprzedawać. On nie był jakiś myszygene.

– Ciekawe – odparłem. – Czy taka ma dobre mięso?

– A cholera z nią! Ja teraz mam w rodzinie „Papugę”, rozumiesz pan mój ból?

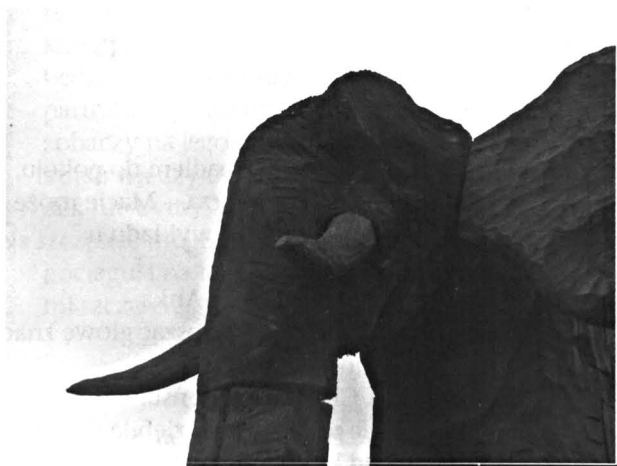
– Bogaty ten Kreuzman?

– Nie powiem nic złego. Nawet, nawet.

– Przepraszę z góry za to, co teraz powiem. Proszę się nie gniewać dobrze?

– Wal pan śmiało, humor ja posiadam, jak każdy mądry Żyd.

– Tak sobie myślę, że Kreuzman skoro jest



📷 Piotr Kaczorowski

bogaty, to można go jak te papugi... No wie pan... sprzedać... Albo...

– Zeżreć! – Roth uderzył pięścią w stół i wybuchnął głośnym śmiechem. – Zeżreć, mesje Górecki, niech cię licha!

– Dziękuję, że mnie pan zrozumiał. To był dowcip, taki wic.

– Wiesz pan co? Mesje Górecki? Zobacz sobie jak idzie moja Fenia. Ona ma pierwszy raz na nogach buty w fasonie szpilki. Widzisz pan? Stąpa jak świeżo podkuty koń. Jak patrzę tak na moją córkę, to ja mam jedną myśl. Nawet mam marzenie.

– Jakie, Panie Roth?

– Tak mi się widzi, mesje, że moja Fenia wyjdzie zaraz na sam środek sali i skinie głową na Kreuzmana. Gdy ten podejdzie da mu w pysk! Potem ogłosi wszystkim „żebyś «Papugo» wiedział gdzie masz babę!”. Czy ja coś złego pomyślałem? Ja nie sądzę.

– Ja też nie. Panie szanowny, Roth.

– Teraz zapraszam na śledziki.

– Bardzo lubię.

– Czy mogą być siekane?.

– Ależ tak.

– Mesje Górecki?

– Panie Roth?

– Pan się dasz lubić jako goj.

– Jak pan wiesz...

– Co ja wiem?

– Pan też się lubić dajesz.

– Jako kto?

– Jako Żyd.





MIROSLAW PIŚARKIEWICZ

- Cześć Dziewczyny! – Wpadłem do pokoju, jak zwykle, niczym burza. – Macie może notatki z wczorajszego wykładu u Krześcińskiego?
 - Tak. Ale teraz przegląda je Anka. – Powiedziała Edyta podnosząc głowę znad książki. – Znowu nie byłeś?
 - Nie lubię go. Chrzani bez sensu. Anka leżała w łóżku. Przeziębiła się i nie chodziła od kilku dni na zajęcia.
 - Jak się czujesz?
 - Już nieźle. Chyba jutro wstanę.
- Przysiadłem na brzegu jej łóżka. Z okularami na nosie wyglądała bardzo zmysłowo. Wiecie – jak jedna z tych szarych myszy o wyglądzie sekretarek, które ubierają się niepozornie, wtapiając w otoczenie, a za



Tomasz Młynarczyk

MIASTO

okularami ukrywają oszałamiającą i uwodzicielską seksualność. Takie dziewczyny niesamowicie działają na facetów. Zresztą... Anka miała nogi zgrabne, jak cholera. I resztę też całkiem niezłą.

Posiedziałem trochę przy niej, patrząc na ładną twarz z lekko perkatym noskiem. Dodawał jej czegoś niewymuszenie figlarnego. Ale nie myślałem o nosie, czy rudawych włosach, do których zawsze miałem słabość. Raczej błdziłem myślami do jej mocnych nóg i kształtnych piersi, skrywanych przez nią skrętnie pod luźnymi ubraniami. Była szczupła, ale stanik nosiła w dość sporej numeracji! Wiecie – to była jedna z tych niepozornych dziewczyn, które mają w sobie to coś, i to coś natychmiast dla facetów wyczuwalne, jak zapach dobrych perfum. I nie musiała nic robić. Wystarczy, że była. Ściągała męskie gały na siebie. Najczystszy kobiecy erotyzm.

Być z nią na stałe, to może nie do końca, ale pobyć z nią, w jakąś niekoniecznie senną noc, to tak!

Anka przyglądała mi się z zainteresowaniem, jakby czytała ze mnie jak z kartki.

*

Miasto zobaczyłem pierwszy raz, gdy miałem z dziesięć lat. Tato uwielbiał w niedzielę wsadzać nas całą rodziną do wysłużonej Syrenki 102 i jechać, gdzie oczy poniosą. Do zamku w Uniejowie, do Nieborowa, albo za Wisłę do Płocka. Kiedyś zapędził się do Warszawy i musieliśmy spać w jakiejś kwaterze, a kiedyś nawet dojechalśmy z podobnym skutkiem do Krakowa. Najśmieszniej było w Kwidzynie, bo prom odpłynął i spaliliśmy w piątkę w samochodzie. Mnóstwo było tych wypraw. Czasami mam wrażenie, że wszystkie niedziele były podróżą.

Miasto wyłoniło się z mostu w całej okazałości. Podobno, kto je widział pierwszy raz od rzeki, to będzie do niego wracał całe życie. Mnie się sprawdziło.

Zachwycił mnie widok zamku i katedry czerwono piętujących się na wyniosłej skarpie. Zachwyca niezmiennie za każdym razem, gdy przejeżdżam most. Nie jest ważna pora roku. Czy mgła, czy lód na rzece, czy jej wylew, czy pełne lśnienie w słońcu. Zawsze tak samo urzeka. I wracam tu nieustannie. Czy chcę, czy nie. Czasem w dziwny, pośredni sposób. Jak wtedy, choćby, gdy spacerowałem z atrakcyjną panią inżynier od instalacji sanitarnych, a właściwie, świeżo upieczoną inżynier, po ogrodach Wersalu. Koło jakiegoś gazonu z rzeźbionym wizerunkiem baraniego łba, tłumaczyłem jej zasady mojej filozofii egzystencjalnej. Po latach, od wspólnych znajomych dowiedziałem się, że ona nadal to pamięta, tyle, że nie chciała ode mnie wtedy poezji i filozofii, a czegoś bardziej... osobistego. A ja, barani łeb, złapałem się na jej niewinną twarzyczkę. Może dlatego, że była z Miasta. Właściwie to mnie to nawet nie zdziwiło, że mieszkała niedaleko katedry.

*

W liceum nauczyciel PO wziął mnie na bok któregoś dnia. - Słuchaj, ty jesteś dobry z historii. Pojedziesz na konkurs do Miasta. - Kiedy Sorze? - Aaaa... w tę sobotę! - W tę sobotę?! - No, przecież dasz radę.

Pojechałem. I, jak kocham Miasto, to nie byłem szczęśliwy. Zresztą, nawet Miasta za bardzo nie widziałem. A uwielbiam kręcić się w po Skarpie w okolicach katedry. Wchodzić do jej ciemnego wnętrza. Oglądać freski i pomniki. Teraz nie było czasu na ten rytuał. Od razu musiałem gnać do jakiegoś Domu Kultury.

Konkurs był ustawiony. Nawet składałem oficjalny protest, gdy nie uznano mi jednej z odpowiedzi. Protest przyjęto, a odpowiedzi i tak nie uznano. Gość z pierwszym miejscem pojechał na Olimpiadę do Moskwy zobaczyć Kozakiewicza, a ja dostałem w nagrodę ... uścisk ręki radzieckiego generała. Dziadek walczący z bolszewikami nie byłby szczęśliwy. Za to dyplom był na świetnym papierze czerpanym, więc w domu na jego odwrocie zrobiłem rysunek tuszem. Lubię rysować. Znikać przed światem

tem pochylony, z piórkim w rękę, nad kartą papieru. Zdziwi się ktoś, kiedyś, jak będzie chciał wymienić ramę, czy passe-partout. Wyciągnie erotyczny rysunek i zobaczy na jego odwrocie dyplom z konkursu wiedzy o Armii Czerwonej. Oj, Dziadek nie byłby zachwycony.

Na szczęście mogłem popatrzeć na Tumy z pociągu. I na rzekę. Wisła zawsze przynosi mi szczęście.

*

Pod koniec studiów dowiedziałem się o obozie epigraficznym. Miesiąc w Mieście. Wiecie – miesiąc w Mieście! Musiałem pojechać. I udało się. To był niesamowity czas. Codziennie spisywanie epitafiów cmentarnych, albo w kościołach. W Mieście i w okolicy. Jakieś zagubione płyty nagrobne niemieckich kolonistów – cukrowników. Napisy na nagrobkach wiejskich cmentarzyków nad Wisłą. Łódki zatopione częściowo w rzece. Nie wiem czemu kojarzyły mi się ze Świętem Trąbek. A Miasto z „Miasteczkiem”. Rzeka płynęła całkiem dzika w tej okolicy. A na murach romańskiego kościółka „zbieraliśmy” wyłobione łaciną renesansowe grafitti. W katedrze w Mieście, na pomniku któregoś biskupa, wydrapane czymś miękkim nazwisko barokowego turysty. Skubaniec, podpisał się prawie 40 razy. Bardzo chciał trwać mimo czasu. Najśmieszniejszy był kompleks starych cmentarzy. Po prawej stronie wielka nekropolia. Słownik biograficzny Miasta. Agnieszka, dziewczyna z naszego obozu, pokazała mi koło kaplicy dwa pomniki. Ojca i syna. Jeden żył z 700 lat, a drugi z 500. Zabili ich zbójcy. Szaleństwo kamieniarza, dowcip, czy wypłukane przez czas kamienie, zmieniające sens napisu? Nie sposób było ustalić. Mieliśmy z tego niezły ubaw. Po lewej stronie ulicy zapuszczony cmentarz. Gąszcz, z którego wystawały potłuczone piaskowce. Jeden, neogotycki, miał przestrzenną wnękę z figurą Madonny wewnątrz. Maria była piękna, choć lekko poobtłukiwana. Po kilku dniach odfrunęła z wnęki..., jak wiele innych detali z zabytków. W pewnym biurze fragmenty cmentarnego akroterio-

nu służyły za podpórkę do okna, żeby się nie zamykało.

Spędzaliśmy z Agnieszką wiele dni spisując inskrypcje. Biedziliśmy się kiedyś parę godzin we dwoje nad pewnym Capita-neusem, czy jakoś tak, w farze. A wolnymi popołudniami włóczyliśmy się po Skarpie w okolicach fabryczki produkującej chyba terpentynę, której zapach wisiał w powietrzu. Mnie nie przeszkadzał. Benzynę też lubię. Nie zliczę dni spędzonych z tatą w warsztatach samochodowych. Agnieszka nie przepadała za terpentyną. Za to chciała być często przy mnie. Była mądra, miła i miała w sobie całe pokłady ciepła. Gada-liśmy, gadaliśmy, gadaliśmy i po przyja-cielsku chodziliśmy nad rzeką trzymając się za ręce. Patrzyliśmy jak pogłębiarki wydobywają żwir z rzeki. Na żagłówki. Na ptaki. Na rzekę po prostu. Teraz bym nie robił takich „niewinnych” głupot. Agnie-szka zakochała się. Nawet nie zauważyłem. Siedzieliśmy kiedyś w mariawickiej kate-drze na mszy – zupełnie inna niż kato-licka, a jednocześnie w jakiś sposób podo-bna. Siedzieliśmy cicho w ostatniej ławce katedry, a ona spoglądała na mnie jakoś dziwnie. Myślałem, że to przez tę maria-wicką świątynię, do której ją zaciągnąłem. Że czuje się tu obca. Zagrożona, że nas wy-proszą. A to była już miłość. Biedna Agnie-szka. Pewnie mógłbym ją pokochać, ale nie zgraliśmy się w czasie. Mnie gnało. Musia-łem nalykać się świata. Chciałem być z kimś, ale jednocześnie biegłem i zostawia-łem wielu ludzi za sobą. Wyrastałem z nich.

Była jednak atrakcyjna, więc któregoś wieczo-ra, gdy byliśmy sami w pokoju, zacząłem ją całować i rozbierać. Powstrzymała mnie w końcu. Nie chciała tak... byle jak. Kochała. A dla mnie, to miał być tylko seks.

Ale nie to nas oddaliło. Przewrotność losu ka-zała mi spotkać przypadkiem, czy też nieprzypadkowo, Ankę. Gdy ją zobaczy-łem na deptaku, przypomniało mi się, że ona przecież była z Miasta. Nie widziałem jej od miesięcy. Skończyła studia i wyje-chała.

– Co tu robisz ? – Spytała, gdy już oderwała się ode mnie po radosnym pocałunku.

– Jestem grabarzem.

– Kim ?

Opowiedziałem o badaniach na cmentarzach i w kościołach. Słuchała uważnie, a ja uwa-żnie jej się przyglądałem, bo nie zmieniła się ani na jotę, a pociągała tak samo, a mo-że nawet bardziej. Ta skromność skrywają-ca erotyczny wulkan wyuzdania ! Tak to czułem. Nie ma co się śmiać.

– Odwiedź mnie.

– Dziś ?

– Dziś.

Zapisałem na jakimś karteluszkach adres. I... pa-trzyłem długo jak idzie, a faceci oglądają się za nią.

Mieszkała w sumie niedaleko od naszego miejsca zakwaterowania, więc wyskoczy-łem do niej pod wieczór. O czymś rozma-wialiśmy. Zrobiło się późno.

– Zostań. Wrócisz rano do tych swoich nieboszczyków.

Zostałem. Położyliśmy się w oddzielnych łóżkach, ale po chwili wśliznęła się do mojego. Gładziłem rude włosy, całowałem. Ręce trafiły na biodra w nocnej koszuli. Podciągnąłem ją. Miała cudownie gęste i miękkie włosy kończące się gdzieś z tyłu.

Rano zrobiła mi jajecznicę i, ona do pracy, ja do swoich.

Agnieszka była pierwszą osobą, na którą się natknąłem po powrocie. Nie musiała nic mówić. Jej oczy bolały.

Z Anką spotkałem się jeszcze raz, czy dwa, a może kilka. Epitafia spisywałem już tylko z kolegą z pokoju. Agnieszka unikała mnie.

Do Anki wchodziło się dziwnie. Dziwaczny, stary blok, z lat 60. chyba, miał psycho-deliczną klatkę schodową. A właściwie labirynt klatki. Stopnie wiodły z różnych stron do jakichś podestów, którymi się przechodziło wzdłuż ścian do następnych schodów, które były w niespodziewanych miejscach. Trudno się było w tym połapać i na początku błąkałem się wychodząc w nieznanych miejscach bloku. Wszystko oddzielały przepierzenia z drucianej siatki pomalowanej na szaro. Właściwie to wnę-trze przypominało trochę więzienny ko-rytarz, bo ta „klatka” ciągnęła się poprzez cały budynek szeroko do parteru i do samej góry. Więcej było klatki niż bu-dynku. Zupełnie nie wiem, gdzie jeszcze

mieścili się mieszkania. Więzienny korytarz. Więzienie. Znak. Jestem czuły na znaki. Jak wtedy, gdy nocą drogę zastąpił mi mały piesek, który nie dał mi iść znajomymi skrótami i po doprowadzeniu pod drzwi domu zniknął w irracjonalny sposób. A nie miał gdzie, więc powinienem go widzieć, a zniknął. Znaki. Nie wiem, co znaczył znikający kundelek.

Pewnej nocy, gdy kochaliśmy się w ciemnościach, patrzyłem na twarz Anki i widziałem twarz Agnieszki. Zaskoczyło mnie dopiero teraz, jakie miały podobne rysy. Kobiety mają intuicję. Anka wyczuła, że patrzę na kogoś innego. Odsunęła się ode mnie.

– Nie chcę.

Nic więcej. Nie musiała. Wiedzieliśmy oboje. Takie rzeczy się wie i niczego nie trzeba tłumaczyć.

Obóz wkrótce się skończył. Studia też. Trafiłem do wojska. Do Szkoły Podchorążych gdzieś na Mazurach. A po niej skierowano mnie do... Miasta.

*

Koszary jednostki paramilitarnej w Mieście.

Cały świat opowieści, co się tam działo. Menażeria totalna wśród kadry i wojska. Byłem zdziwiony moim tam byciem. Byłem przeciw. Zdecydowanie na nie. Zwłaszcza, gdy podczas poboru doszło do awantury z jednym rosnym chłopakiem. On też nie chciał w kamasze. Stojąc przed komisją wojskową wpadł w jakiś szal i połamał krzesło. Wywleczono go przed budynek, gdzie rozmawiałem z kolegą podchorążym, wykręcono ręce do tyłu i wtłuczono mu solidnie pałkami. Dotąd mam w uszach odgłos bitego, surowego mięsa i jego stłumiony jęk. Zaskoczeni patrzyliśmy, co z nim robią wojacy w białych hełmach o kilka metrów od nas... Odgłos bitego, surowego mięsa. Tak to brzmiało. Nie jakoś ludzko. Po prostu mięso.

Obrazki z Miasta w mundurze. Obrazki z koszar. Był w jednostce taki chłopak. Nazywał się Brokuł. Wyglądał i mówił jak ksiądz. Koledzy szanowali go. Chociaż tam było trudno o zasady. Paradoksalnie, ci po



📷 Tomasz Młynarczyk

więzieniach mieli ich najwięcej. Brokuł był pod ochroną. Może dlatego, że mówili na niego Ksiądz. Kiedyś, podczas służby oficera dyżurnego, zająłem przypadkiem do sali, w której mieszkał. Siedział na wozie i czytał.

- Co czytacie żołnierzu ? Nie wstawajcie. – Brokuł chciał regulaminowo zerwać się przed swoim przełożonym.
- Obywatelu Komendancie ! Melduję, że czytam św. Augustyna.

Św. Augustyn trafił do koszar. Brokuł miał w dłoni elegancko wydane „Wyznania”. Zza odchylonej obwoluty z jakimś średnio-wiecznym malowidłem, wyglądało szare płótno o grubym splocie. Zacząłem z nim rozmawiać. W cywilu był kucharzem, ale lubił książki teologiczne, a zwłaszcza literaturę ascetyczną, Tomasza a Kempis.

- Czemu czytasz tutaj św. Augustyna ?
- Żeby być wolnym. – Prosto odrzekł Brokuł. Wolność Brokuła była wolnością o tyleż iluzoryczną, co najprawdziwszą. Absolutny pa-

radoks, bo Brokuł musiał odbyć jeszcze rok służby, ale starał się robić to na swoich warunkach duchowych. I uciekał w „Wyznania”. Tylko nie wszędzie mógł się za nimi ukryć, gdyż w kiblach nie było... drzwi do kabin.

*

Któregoś jesienno dnia Dowódca powiedział, że będę musiał zostać z soboty na niedzielę ze 130 żołnierzami sam. Będę jedynym oficerem. Taki układ. Rozkaz to rozkaz. Zostałem. I bardzo sam, bo w sąsiedniej wsi była zabawa w remizie i ... puściłem tam chłopaków. Prawie wszystkich. Zatrzymałem tylko tych z bramy. Ponad 120 chłopów poszło w tan.

Mieli wrócić do rana. Ale mało nie narobiłem w gacie, gdy zadzwonił znajomy z innej jednostki w Mieście, że przyjeżdża jakiś ważny generał z inspekcją... późnym wieczorem. A ja bez wojska. Sąd, kurwa i do pierdła, jak nic. Akurat na bramie był Brokuł.

– Nic się złego nie stanie Komendancie. Pan się nie martwi. Do nas nie przyjadą. Generał nie zajrzy tutaj. Za nisko.

– Skoro tak mówisz ...

I nic złego się nie stało. Chłopaki wrócili rano. Nie było rozrób. I wszyscy się odliczyli. Na apelu porannym był porządek, jak nigdy wcześniej. A ja dostałem na stołówce parę porcji mojej ulubionej kielbasy z wody z musztardą. I świeżutkie bułeczki.

*

Niedaleko teatru na pasach zauważyłem Ankę. Szedłem w moim czarnym mundurze. Pchała wózek. Zdziwiłem się w pierwszej chwili – zapomniałem, że ona tu mieszka. Nie widzieliśmy się mnóstwo czasu. Uśmiechnąłem się szeroko patrząc na nią. Spojrzała w moje roziskrzane oczy przez te swoje znajome okulary. Gdy byłem przy niej pochyliła się nagle do dziecka w wózeczku i... minęła mnie. Nie ma przypadków. Dawno przestałem w nie wierzyć. Nie chciała rozmawiać z dawnym znajomym w czarnym dreluchu. I znikła gdzieś w tłumie ze swoim wózkiem i zyciem. Po pro-

stu odjechała. A ja poszedłem dalej. I z pewnością nie chodziło jej o kolor munduru.

*

– Komendancie ! ZOMO bije Grubego !

ZOMO zza płotu zgarnęło jednego z moich żołnierzy z miejskiego autobusu. Nic nie zrobił. Po prostu nie lubili naszych chłopaków, a ten był akurat sam. Wyciągnęli go na przystanku i zawlekli do swoich koszar obok nas. Ktoś to widział i wpadł na dyżurkę z krzykiem.

Poprawiłem mundur i poszedłem stanowczym krokiem. Nawet nie założyłem regulaminowego beretu.

– Oficer dyżurny taki, a taki, jednostki takiej, a takiej. Proszę wydać mi mojego człowieka.

Oficer ZOMO popatrzył na mnie zdziwiony, na moją gołą głowę, na gwiazdkę na patce mundurowej i... kazał wydać Grubego. Chłopaka wyniesiono z dołka – nie miał sił iść. Zabraliśmy go w kilku do siebie. Nie miał sił iść, a wszystko trwało kilka minut ledwie. A Gruby był duży przecież...

Siedziałem później na dyżurce i pisałem raport. Przez uchylone drzwi wszedł Brokuł.

Usiadł obok i nic nie mówił.

– Brokuł, powiedz mi, co to jest miłość?

– Panie Komendancie. – Odpowiedział cicho i z namysłem - To coś, czego się ciągle szuka. Wydaje się, że kochamy, a czujemy niedosyt. Wciąż jesteśmy głodni. Albo poddajemy się i odchodzimy w nicość, w dziwactwa. Miłość, to coś nie do znalezienia, ale do szukania. Nawet jak się jest z tą Jedyną, to trzeba szukać dla obojga codziennie miłości.

– Po co ?

– By być lepszym. Żeby myśleć. Żeby nie przepaść życia.

Wstał. Podał mi swoje „Wyznania” św. Augustyna i wyszedł. Od drzwi rzucił jeszcze – Chłopaki dziękują Komendancie.

Kilka tygodni później wyszedłem do cywila.

Wiśla, jak to Wiśla. Szumiała. Nie wiem, w jakim języku szumią rzeki. Myślę, że przemawiają mową ciała. Ja ją rozumiem. I rozumiem Miasto. I wciąż do niego wracam.





WOJCIECH SZMIGON

PRZEDMIOTY Z PRL-U

Powierzchnia ściany jest chropowata i zimna.

Pokryty grubą, teflonową łuską starzejącej się olejnej farby mur oszczędza pracownikom szpitala przykrego widoku brudnych śladów, pozostawianych przez maniakalną aktywność tutejszych pacjentów. Brązo-wo-żółtawa powierzchnia, niczym dobrze wyprawiona skóra martwego gada, pokrywa korytarze i sale do wysokości 1,60 m, mierząc od kamiennej podłogi. Wzdłuż jasno oświetlonego korytarza znajduje się rząd jednakowo wyglądających drzwi, drewnianych i pomalowanych kiedyś na biały kolor. Poza tęsknotą za pierwotnym kolorem, posiadają one jeszcze coś wyjątkowego, coś co jednoznacznie odróżnia je od takich sobie zwykłych drzwi. Tym czymś są niewielkie okienka umieszczone na wysokości twarzy klasycznej kioskarci, czy też jak kto woli dopasowane do pozycji głęboko poklonionego przed nią uległego konsumenta prasy codziennej. Sale za tymi płaszczyznami z drewna i odrobiny stali są teraz niedostępne, zabezpieczone elektromagnetycznymi zamkami marki Global Observing System przed niekontrolowanym mieszaniem się wrażeń ludzi i przedmiotów ze zbyt odległych od siebie krańców rzeczywistości.

Tylko na końcu korytarza odkrywamy drzwi całkiem inne – ciemne i bardziej solidne. W całości zrobione z jakiegoś, matowego tworzywa, bez numeru czy też innego informacyjnego znamienia. Właśnie zza nich wychodzi teraz krótko ostrzyżony, młody człowiek w białym fartuchu, a tuż za nim, przez pozostawioną w drzwiach wąską szczelinę, wycieka strużką głos radiowej spikerki: ...trwają izraelskie naloty w strefie Gazy... minęła godzina 23:30... zapraszamy na.... Człowiek ubrany na białą idzie w kierunku sali nr 22, spacerowym krokiem mijając kolejne tabliczki z magicznymi liczbami: 99, 66, 55, 44 i 33.

Przewracam się na drugi, mniej ostatnio używany bok w pięcioosobowej sali Samodzielnego Publicznego Szpitala dla Nerwowo i Psychiatrycznie Chorych w



Wojciech Szmiogon

Kanikule. W ciemnościach pod palcami wyczuwam na ścianie, istniejącą tylko w mojej głowie słomianą matę, identyczną do tamtej przytwierdzonej kiedyś do ściany mojego, rodzinnego pokoju, gdzieś za rozkładaną wersalką, wieki temu. Takie nawiedzają mnie tutaj obrazy. Krótkie, materialne doznania, które można wywoływać z przeszłości, a które pozwalają mi, czyli przedmiotowi z PRL-u, rzecz by można prawie mechanicznie, zakotwiczać się w nowej rzeczywistości lecznicy dla ludzi. Wciąż też umożliwiają przedmiotowi na całkiem skuteczne naśladowanie człowieka.

Postać po mojej lewej stronie stłumionym kaszlem gwałtownie odrywa się od otaczających nas ciemności. Tam bliżej szpitalnego, zakratowanego okna leży na łóżku człowiek. Oni mówią, że to zakonnik. Całymi dniami widzę jak czarną farbą pokrywa skrawki papierów oraz płócienną powierzchnię, żeby potem całymi godzinami z włączoną latarką lub nocną lampką wpaływać się z bliska w te ciemne, prywatne przestrzenie. Pytany o swój niepokój, mówi, że szuka tam ukrytych postaci. Jest tutaj długo. Dłużej niż pozostali lokatorzy tego pomieszczenia.

Inny niewidzialny w ciemnościach kształt z mojej prawej strony również nie śpi. Wiem, że tak jak ja czuwa w naszej mro-

cznej darni sterylne powietrze. Słyszę jego krótki, niespokojny oddech. Realny człowiek, nie przedmiot. Poeta chyba. Tak przynajmniej mówił o nim doktor Jaffa Teal'c. Stary, śniady człowiek o siwych, krzaczastych brwiach i długich, nienaturalnie rudych włosach, który potajemnie wykrada tajemnice z głów pacjentów, opętując ich ludzkie dusze swoimi szeroko otwartymi oczami zdziwionego lemura.

Słyszę znajome kroki na korytarzu. Wiem, że dzisiaj opiekunem oddziału jest młody Bask, Kazik Kortatu. Zatrzymuje się teraz i wchodzi w fazę, nasłuchiwania odgłosów z sali nr 22. Wiem też dokładnie kiedy skończy słuchać i odejdzie. Jak to mówią – kontrola najwyższą formą zaufania. Nieruchomieję. Znowu pojawiają się obsesyjne obrazy, te same co zawsze.

Ja, przedmiot mam osiem lat. Dziecko – egoista absolutny. Ciągnę za sobą sanki załadowane ciężkim bagażem socjalistycznej makulatury. Jest duży mróz, gęsty śnieg w Siedlcach 1979 roku. Dzień tak beznadziejnie szary jak system ekonomiczno-polityczny, który mnie tu przywiódł. Oglądam się. Na sankach wyraźnie widzę dwie duże paczki z gazetami i pociętą tekturą. Idę powoli wzdłuż nieskończenie wysokiego muru carskiego więzienia. Kolejny raz mijam mnie urojona dziewczyna w czerwonych butach, opatrzonych znajomym napisem „Relaks”. Ma platynowe, proste włosy, a na chudym, młodym ciele nosi siwe futerko zdjęte żywcem ze sztucznego królika. Na własny użytek nazywam ją Iwona. Wciąż,

od tylu lat nie mogę dostrzec rysów jej twarzy. Po raz kolejny skręcam w prawo do skupu butelek i makulatury, który mieści się w odrapanym baraku, postawionym przez komunistyczne władze tuż pod murami więzienia, wejście od strony PKS-u. Głosy, głosy, głosy...

Poeta pewnie znowu ma artystyczny atak. Kłęczy z rękami przy twarzy. Patrzę na jego niewyraźną sylwetkę, dysponując obecnie jedynym żywym okiem. Drugą źrenicę trzymam jeszcze w niewoli świata koszmarów. Poświęta z płonącego światłem korytarza opromienia część twarzy kłęczącego, dzieląc ją na dwie, nierówne, czarno-białe części. Cienie na ścianach zdają się wyraść wprost z naszych paranoicznych umysłów.

Wciąż ta sama, odległa w czasie zima. Siedlecki park miejski „Aleksandria”. Tonę pod kawałkami lodu z przerębłą z kolorowym tornistrem na plecach. Przedmiot, którym tylko jestem, wciskany jest przez los pod skruszony lód na sentymentalnym stawie, nieopodal uroczej wysepki nieobecnych labędzi. Widzę na brzegu ludzi, jak krzyczą i zdaje się, bezgłośnie wymachują rękami. Czuję, że pozwolą mi tu umrzeć, tak jak pozwalają umrzeć wszystkim ustrojowo obcym przedmiotom w tym absurdalnym świecie niby socjalizmu. Gdy odchodzi odrętwiała nadzieja na materialne zabawienie, czuję żal, że w chwili narodzin nie dostałem malutkiej, lekkiej duszy ani choćby najmniejszego fragmentu używanego sumienia, tak na potem. Całkiem mokry i przemarznięty wychodzę na tafłę białego lodu. Jak dziecko wstydzę się tamtych ludzkich spojrzeń. Tak, patrzcie, to tylko przedmiot pokryty soplami lodu powraca do domu pustymi ulicami miasta.

Poeta szepce. - Najtrudniej rozstawać się z własnymi myślami, żeby zrobić miejsce na te całkiem nowe, dzisiaj jeszcze niepomyślne. - Potem podchodzi do zakonnika i gładząc go po twarzy, a czasem szarpiąc za czarną brodę, powtarza kilka razy jak zaklęcia słowa. - Julio Cortazar! Trudno! Co robić?! Co robić! - Zakonnik nawet szczególnie nie reaguje. Poeta po tym obrzędzie układa się na podłodze przy samych drzwiach w pozycji embrionalnej lub



mówiąc słowami jednego z zamieszku-
jących tu paranoików, w pozycji zmę-
czonego jeżozwierza pod pnem porzu-
conego drzewa. Z poziomu podłogi unosi
się jeszcze przez dobrą chwilę, lecz już
coraz ciszej powtarzana modlitwa artysty -
...Rezygnacja - oto/ Co czas albo Bóg/
Uczyni z naszego buntu...

Różowa poświata, wschodzącego nad Kanikulą
słońca, przenika zadziwiająco łagodnie
przez okna szpitala. To oczekiwany, ma-
giczny znak, że już nadchodzi ten
najważniejszy dzień dla przebywających
tu ludzi i przedmiotów. Kiedy się tak nad
tym zastanawiam, to zdaje mi się, że do-
ktor Teal'c był całkiem blisko odkrycia
naszej tajemnicy. Chociaż właściwie i tak
nie mam pewności, czy on rzeczywiście
istnieje? Z drugiej jednak strony, wyraźnie
pamiętam, że doktor przychodził i pytał
mnie często o różne dziwne sprawy z prze-
szłości. Czasami nawet mam wrażenie, że
pojawiał się ubrany w odprasowany, galo-
wy, milicyjny mundur. Starałem się wtedy
uśmiechać i dużo żartować. Ułożyłem
sobie nawet własny kod rozmowy: Trzy
poważne kwestie i jeden niewymuszony
żart, a potem cięta riposta. A przy tym
ważne jest, żeby nie pomylić się w liczeniu
poważnych tematów i od czasu do czasu
okazać jakieś emocje i słabości, bo to takie
ludzkie. Wszystko jest wtedy pod kontrolą,
a ja jako przedmiot ukrywam najważniej-
sze i najbardziej zagrażające własnemu
istnieniu kwestie: niewyczuwalność duszy,
sumienia i emocji. To co ważne dla ludzi
powinno być wciąż ważne dla mnie, żeby
przetrwąć następny dzień w konfrontacji z
zagadkową, ludzką rasą. Teraz wiem o nich
wszystko. Często nawet udaje mi się zo-
baczyć ich najważniejsze telewizyjne
seriale i programy: *Gwiezdne wrota* i *Gwia-
zdy tańczą na lodzie*. - Zostawcie nas w
spokoju. - Krzyczą wtedy inne, nierucho-
me przedmioty wokół mnie.

Poeta energicznie wstaje z podłogi, wyraźnie
ożywiony stwierdza z uśmiechem.

- Mamy plan! Mamy plan! - Tańczy po pokoju
i wykrzykuje, - Zmiany! Zmiany! Zmiany!
- Potem prowadzi pod drzwi siedzącego
jeszcze przed chwilą na łóżku zakonnika z
zamalowaną na czarno kartką w dużych



📷 Tomasz Młynarczyk

dłoniach. Ja, przedmiot, nie dotykam niko-
go. Fizyczny kontakt pozostawiam real-
nym ludziom. Poeta pokazuje mnichowi
coś na tym jego czarnym liście do Boga.
Kreśli palcem jakieś dziwne figury wokół
wyimaginowanego symbolu odwróconej
piramidy, a potem prawie dusząc się ze
śmiechu woła.

- Przyszłem wcześniej, gdyż nie miałem co
robić! Przyszłem! Przyszłem! Nie miałem
co robić! - I w jednej chwili zamyśla się w
jakis taki nazbyt wyrafinowany sposób. O
dziwo, drzwi otwierają się prawie natych-
miast. Staje w nich Artur.

Jest zima 1989. Przedmiot pojawia się w Jedno-
stce Wojskowej zlokalizowanej w dziel-
nicy Wełnowiec, gdzieś niedaleko cen-
trum Katowic. Po obowiązkowym stry-
żeniu mimowolnych bohaterów, następu-
je etap nierozpoznawania poznanych
przed chwilą w żołnierskiej poczekalni
towarzyszy niedoli. Przymusowi patrioci
pakuja własne, cywilne rzeczy oraz osta-
tnie stracone złudzenia do szarych, pa-
pierowych worków, które kojarzą się teraz
chyba najbardziej z workami na zwłoki.

Potem jest tylko krzyk zamiast słów. Mózg
polskiego, wcielonego żołnierza nie będzie
istniał. Stanowi niepotrzebny balast i od
tej chwili jest własnością Kraju Robotni-

ków i Chłopów. Idę z przydziałowymi butami do dowódcy kompanii, żeby pilnie zameldować, że jeden z nich jest perfidnie o trzy numery za mały. Pukam i wchodzę do pokoju.

Zaczynam przekazywać komunikat – Ja... –
Milknę.

– Ja, to w wojsku dupa. – Przerywa od razu oficer.

Poprawiam się. – Szeregowy Przedmiot męlduje, że wystąpiła potrzeba wymiany lewego buta na większy numer! – Patrzę na starszego faceta w mundurze, który zdaje się dopiero w tej chwili zauważa moją obecność.

– To sobie palce upierdolicie, szeregowy! –
Rzuca.

Odpowiadam. – Rozkaz! – I wychodzę. Obraz armii zamienia się w kolorowe, znikające przed oczami plamy.

Artur, chudy, wysoki, krótko ostrzyżony student historii. Czarne włosy i rzadka broda. Twarz jednocześnie twarda i uduchowiona jak u tatarskiego wojownika. Anarchista, pro-, anty- i alter-globalista, spokrewniony zdaje się z poetą, przynajmniej mentalnie i emocjonalnie.

Mówi energicznie. – Koniec namiętnej gry, która rozsypuje się w proch! – Stoimy nieruchomo, nawet zakonnik przestał wpatrywać się w tę swoją, papierową czern.

– To oznaczało, wychodzimy, panowie. – Student podpowiada łatwiejszą wersję przekazu i cieszy się jak dziecko, któremu udało się zażartować z dorosłych. Zakonnik powraca do intensywnego wpatrywania się w kartkę.

Właściwie to chyba nawet wiedziałem, że dzisiaj jest dzień potajemnego rozstania się ze szpitalem, ale jako przedmiot nie powinienem przecież tego zapamiętać ani wyrażać jakichkolwiek emocji. Nie zastanawiałem się również zbyt długo nad tymi, którzy pozostają. A przecież było ich tak wielu. Z kilkoma miałem osobisty kontakt jak nieruchomy przedmiot z samotnym człowiekiem. Wszystko więc skończone: wspólne grupowe sesje terapeutyczne, wyznaczanie kolejnych zadań, usypianie natręctw, samolubne kłamstwa. Tam gdzie za drzwiami, które mijala nasza czwórka żył człowiek, który najpierw gwałtownie przestał wierzyć Gazecie, a potem wszystkim

innym ogólnopolskim, elektronicznym mediom. Zabrali go więc prosto z domu, w dniu, w którym odmówił podzielenia się opłatkiem oraz świeżym jajem na korporacyjnej kolacji wigilijno-wielkanocnej, po której spalił również przed budynkiem firmy wszystkie rośliny oraz, jak sam twierdził, wyniesione z oddziału Państwowego Archiwum w Poznaniu listy tajnych współpracowników UE. Diagnoza była krótka – nerwica lękowa – prawdopodobnie czeka go medyczne dożywocie. Wiem, że dziś ogląda już tylko portugalskojęzyczne reklamy i to tylko te, które zna – Na resztę, szkoda czasu – czasem odpowiada i macha ręką.

Czasem na zajęciach pojawiały się kobiety, które jednak z powodu większej wrażliwości na estetykę, religię, uczucia i zachowania społeczne stanowiły większe zagrożenie dla naszej konspiracji. Często obserwowałem taką jedną, ładną, chudą dziewczynę, która przynosiła ze sobą na terapię obsesyjny lęk prze brudem i zarazkami. Mówiła, że chroni nas wszystkich poprzez zapisywanie naszych, głośno wypowiedzanych myśli na małych, samoprzylepnych, żółtych karteczkach, które potem rozklejała po całym szpitalu. Jako przedmiot patrzyłem obojętnie na jej rytualne, publiczne rozbieranie się i ubieranie, w cyklu skomplikowanych rytuałów symetrycznego dotykania przedmiotów obie-ma rękami. Na lewej dłoni miała wytatuowany czerwony symbol „+”, a na prawej tego samego koloru znak „-”, za to z przodu ciała dominował tatuaż dużego, pokrytego zieloną łuską smoka, który wyrastał z okolic podbrzusza i owijał się efektownie wokół jej lewej piersi. Czasami mogłem również przyglądać się malutkiemu skorpionowi, który znikał w dole jej gładkich pleców, pozostawiając swój szary kolec jadowy niewiele wyżej nad linią wąskich bioder.

Schodzimy z pierwszego piętra wprost na szeroki dziedziniec. Jest ciepło, jakby trwało lato, może to już sierpień?

Przed budynkiem szpitala, pomiędzy smukłymi cyprysami parkuje biały Mercedes 123. Kilka kroków i jesteśmy już przy samochodzie. W środku, za kierownicą siedzi mło-

da, ładna kobieta. Zakonnik próbuje usiąść z przodu, obok niej. – Cwana gapa, co?

Cześć Kolarzówka! – śmieje się Artur i pierwszy wpycha się na fotel obok kierowcy.

Jako przedmiot nie zastanawiam się nad miejscem. Mogę przecież równie dobrze jechać w bagażniku lub na przyczepie. W końcu jednak wszyscy trzej z pokoju nr 33 ładujemy na tylnej kanapie „beczki”.

- Kolarzówka – mówi, odwracając się do nas i machając ręką dziewczyna za kierownicą. Ma krótkie, czarne włosy i miły, niski głos. Obraz przed moimi oczami rozpada się na proste, geometryczne figury, a po chwili poszczególne kawałki zaczynają obracać się wokół własnej osi, na przemian w prawo i w lewo.

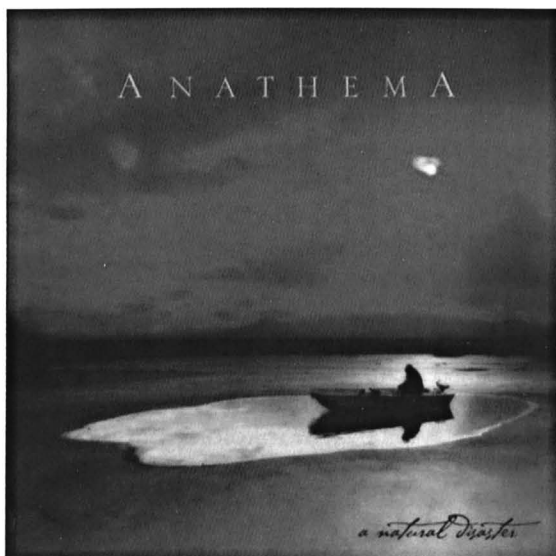
Sierpień roku 1986. Przedmiot jest w grupie pielgrzymów VI Podlaskiej Pielgrzymki Pieszej na Jasną Górę. Całą grupą, przebiegając pospiesznie zmęczonymi nogami mijamy tablicę z nazwą miejscowości. Chwytam wzrokiem kolejno pojawiające się czarne litery W Ł O S Z C Z O W A. Wzdłuż ulicy widzę wielu dobrych ludzi, oczekujących na nas z wiadrami kompotu i drożdżowym ciastem wyłożonym na tacach. Nie oprę się tej pokusie. Mocniej ściskam drewniany krzyż z hasłem: ZŁO DOBREM ZWYCIĘŻAJ. Powieszony na piersi kamufluje indywidualny brak duchowej głębi. Ścigam się na prostej z dwoma emerytkami, torującymi sobie drogę do materialnego zbawienia reklamówkami pełnymi spożywczych trofeów. Gdy już w moim zasięgu pojawia się kawałek drożdżowego ciasta. Chwytam je i w łapczywej desperacji wpycham pospiesznie ust. Zwycięstwo! Jeszcze kilka kroków i wchodzimy do centrum miejscowości. Ludzie wokół przedmiotu śpiewają... Nie rzucim ziemi skąd nasz ród/ nie damy pogrześć mowy... Podnoszę w górę dwa palce rozwarne i ruchliwe niby nóżki malutkiego człowieczka, stojącego na głowie. Odgłosy rozmów i dźwięki docierają do mojej głowy gdzieś z bardzo daleka.

Ktoś w samochodzie włączył muzę, jak to mówi Kolarzówka, a przedmiot czyli ja, odbieram tylko drgania powietrza całą powierzchnią istoty. – ...Doesn't matter what you see?/ Or into it what you read/

you can do it your own way/ If it's done just how I say... Kiedy już METALLICA energicznie dociera ze swoim kawałkiem EYE OF BEHOLDER do końca, Artur odzywa się głośno. - Jedziemy do Radzyna Podlaskiego! Potem Siedlce i kierunek Słowacja. - No jasne! Dopiero teraz przypominam sobie cel podróży. Chociaż rozmawialiśmy o tym tak wiele razy. Jedziemy na Słowację. Silnik pracuje rytmicznie i archaicznie. Rozumiem jego rozterki. Jest przecież takim samym przedmiotem jak ja. Poeta podaje mi kartkę pakowego papieru pokrytą tekstem w kolorze burgunda. Podnoszę tekst do oczu i czytam: ...patrzę na przedmioty codziennego użytku/ Stół krzyż okulary i jakieś drobiazgi... Patrzę na niego i wypowiadam tylko jedno słowo skradzione z kartki - Przedmioty! – Potem wycofuję się w milczenie.

Z tej Kanikuły to jakoś tak wszędzie jest blisko i do morza i w góry, a nawet do Radzyna Podlaskiego. Ulicą Jana Pawła II przejeżdżamy obok Pałacu, mijamy numer 2, dalej Apteka Vita. Samochód staje. Artur wysiada z samochodu. Wpatruję się w kolejną kartkę otrzymaną od poety: ...niewiele tu pozostało/ jakiś dom przerwany w połowie/ obok niego drzewa niedokończone/ zaledwie jedna gałąź... Zakonnik zabiera mi kartkę i już po chwili stara się ją dokładnie zamalować czernią, przy użyciu kredki świecowej Bambino.

Kolarzówka szuka czegoś w schowku, przekłada kasety i co chwila spogląda w kierunku, w którym zniknął Artur. Patrzę na kolejne, zmieniające się napisy na pudełkach: PORCUPINE TREE, LA POLLA RECORDS, CHRISTIAN DEATH, SADNESS, KATATONIA... Wreszcie ręka dziewczyny zawisa nieruchomo przy ostatnim pudełku. Wyraźnie zadowolona Kolarzówka wyjmuję ze schowka kasety o stalowym kolorze i wkłada do samochodowego odtwarzacza. Z głośników wytacza się ANATHEMA i jej KLĘSKA ŻYWIOŁOWA, a dziewczyna nuci: ...to była długa zimna zima bez ciebie/ długo płakałam w środku przez ciebie/ wyslizgnałeś mi się przez palce na zakręcie życia... Chmury szybko zasnuwają nasze prowincjonalne niebo. Artura wciąż nie ma, są za to ciężkie sny.



Wiosna 1989 roku. Jednostka Wojskowa w Łasku. Przedmiot spogląda przez ramię na każdy budynek, z którego wychodzi. Najpierw ogląda się przez lewe ramię potem przez prawe, a jeszcze później ponownie przez lewe. Na kompani żyjesz bracie wśród ludzi wraz z falą nawracających, pozbawionych sensu czynności, uporczywych idei i myśli. Słysząc głośno wykrzykiwane z sal słowa „jeden”. To znak że starsi służbą patrioci potrzebują posługi młodego wojska, „bolków”. Patrzę jak młody kompanijny pisarz osuwa się nieprzytomny po ścianie, uderzony w kark dłonią starego patrioty, „dziadka”. Prawdziwi patrioci chcą, żeby przedmiot tańczył i umierał za nich, padając na twarz po komendzie „granat”. Wraz z godziną 15:00 na kompani kończy się człowieczeństwo nadchodzi czas dzikich zwierząt: dzików, bizonów, pingwinów i bocianów. Jako przedmiot zdecydowanie lepiej czuję się jednak wśród ludzi. Bez końca wycofuje się z tamtego czasu, uciekając z armii do domu dezertorów. Imaginacja rozplywa się w odgłosach kroków osoby zbliżającej się do „beczki”.

Artur wrócił. Wsiadając mówi. – Załatwione, dzieciaki! – Zaraz potem rzuca w naszą stronę nowy numer Koziegorynku. Zakonnik łapie pierwszy i przez chwilę patrzy na ciemną okładkę. Nagle zaczyna krzyczeć. – Postać! Tutaj! To jej postać! Kobieta! – Artur trochę zaskoczony częstuje nas papierosami. Zakonnik wciąż wyrzuca jakieś słowa o miłości do swojej ślepoty.

Kolarzówka uruchamia silnik. Motor jest wciąż moim przyjacielem i zapala „na raz”. Nasz młody przewodnik zaciąga się dymem. My dalej trzymamy nasze suche, nie zapalone papierosy. Zerkam na kolejne strony kwartalnika, przeglądane powoli przez poetę, potem spoglądam w boczną szybę. Jakaś gruba kobieta w błękitnej sukience wprost z chodnika macha w naszą stronę, by za chwilę szybko zniknąć w bocznej uliczce. Uśmiecha się jeszcze i odwracając wzrok, zasłania oczy białym parasolem w duże, zielone grochy. Kropli niewielki, ciepły deszcz.

Na trzeciej stronie numeru, wciąż podążam za nerwowym ruchem palców poety i czytając na chybił trafił nazwiska autorów: Tomasz Adamski, Magda Gałkowska, Hatif Janabi, Kamila Janiak, Robert Konca, Maria Kryńska-Szostak, Bogdan Marszałek, Piotr Maur, Jacek Podsiadło, Artur Rogalski. Zmienia się numer strony, na ósmej widzę tylko czarne linie papilarne wpisane w białe wzory siatekówek oczu przyjaciół redakcji. Na kolejnych stronach kwartalnika myśli i tezy z książek: Jeana Baudrillarda’a, i Paul’a Virilio. Dalej jakiś esej nawiązujący do *Testamentu* Mesliera i *Śpiewu ptaka* Anthony’ego de Mello. Rosną liczby, odpowiadające numeracji stron. Poeta porusza się sprawnie pomiędzy wierszami, opowiadaniem i kolejnymi esejami. Dalej przedruki z „Chimery”. I jesteśmy już na stronie 88, wpada mi prosto w oczy przekład: WELCOME HOME (SANITARIUM) zespołu Metallica: „Śpij, przyjacielu – przekonasz się/ Że moja rzeczywistość jest tylko snem/ Pod kluczem w klatce trzymają mnie/ Czy nie widzą, że właśnie dlatego mój mózg gotuje się z wściekłości/ W domu wariatów – pozwólcie mi być sobą/ W domu wariatów – zostawcie mnie w spokoju... Kończę czytać. - Jestem zmęczony i głodny. – Myślę sobie samolubnie bez wyrzutów sumienia.

– Może coś zjemy. – Proponuje Kolarzówka, wyczuwając niemal telepatycznie potrzeby przedmiotu.
- Tak, tak. - Przytakuje Artur, a potem odwraca się i wyciąga rękę. – Dobra, dajcie już te wasze papierosy.

Jedziemy na Słowację przez Siedlce i przez Kanikulę, bo z Kanikuli wszędzie blisko.

Tak mówił doktor Teal'c, a on zawsze wiedział co mówi. Chociaż nie wiadomo czy istniał.

Zakonnik zasypia, opierając się o mnie. Jest zmęczony, zresztą jak my wszyscy. Jakoś tak przez sen mówi coś jakby ...Na polu/ jestem brakiem/ pola./ Tak zawsze/ się dzieje./ Gdziekolwiek jestem/ jestem brakiem czegoś innego... Potem zasypia na dobre. Kolarzówka zastanawia się i mówi po chwili - to zdaje się wiersz Marka Stranda *By rzeczy czynić całością* - a potem dalej rozgląda się za jakąś knajpą. Poszukiwanie knajpy kończy się niestety nazbyt szybko, bułkami i zimną colą w sieci MD, po prostu klasyczny junk food, jeszcze kilka browarów kupionych na stacji LUKOIL, no i znowu ruszamy w drogę. Artur rozmarza się na wspomnienie „golonki po bawarsku” serwowanej w „Taurusie” przy trasie E-4.

Właściwie to nie wiem kiedy minęliśmy Siedlce i przejechaliśmy Kanikulę. Ale stało się dokładnie tak jak mówił Teal'c. Byliśmy gdzieś w górach. Za oknami widzę szczyty i tajemnicze jeziora pełne szlachetnej wody. Myślę o emigracji przedmiotów z PRL-u tam, do nowego świata. Artur rozmawia od pewnego czasu z Kolarzówką i poetą o jakimś niedużym, własnym schronisku na Słowacji.

Wtedy odzywa się też zakonnik. - Tu chodzi o komunikację i historię. - Trochę zaskoczeni patrzymy na siebie, a następnie na jego zmienioną twarz. Zakonnik ciągnie dalej.

- Jestem tym wszystkim, co jest i co było! - I wykonuje szeroki gest rękami. Na koniec wyciąga przed siebie prawą kończynę i pokazując palcem nieodległy przystanek, rzuca krótko - Stań tutaj!

- Jak tam sobie chcesz. - Zbyt łatwo zgadza się Kolarzówka i zjeżdża na pobocze drogi. Zakonnik wysiada i rusza w kierunku, z którego dopiero co przyjechaliśmy. Jeszcze przez kilka minut po jego odejściu siedzimy bez słowa i patrzymy na jego oddalającą się, zakapturzoną postać mitycznego herosa ciemności. Potem nasz kierowca stwierdza. - Poszedł sobie, dzieciaki. - Ruszamy w kierunku granicy pośród mgły, podnoszącej się z dolin. Włączony radioodbiornik przenosi nas prosto w świat

piosenek Kaczmarek: ...To moja droga z piekła do piekła/ Piwo i wódka, koniak, grog,/ Najlepszych z nas ostatnia Mekka/ I w szósty krąg kolejny krok!... . Auto pochłania kolejne kilometry magicznej przestrzeni.

Przed nami jest już ŁYSA POLANA. Kolarzówka wysiada i idzie, jak to ona mówi, siknąć. Artur rozsiada się wygodnie w swoim fotelu i sięga po kartkę z jej własnoręcznie napisanym Dekalogiem, potem czyta w skupieniu, bezgłośnie poruszając ustami. Wysiadam, żeby wyprostować zdrętwiałe nogi. Za mną z auta gramoli się poeta.

- Jak ty właściwie masz na imię, co? - odwracam się do wpatrzonej gdzieś w dal postaci.
- Robert. - Odpowiada i dodaje. - Robert i klub Julio Cortazara.

- Tak. Rozumiem... Ale musisz wiedzieć, że jestem tylko przedmiotem, nie pasującym do żadnego systemu - wyjaśniam szybko, bez patrzenia na niego. Dokładnie w tej samej chwili obok nas przechodzi zgrabna dziewczyna o prostych platynowych włosach. Bez zastanowienia pytam.

- Iwona? - Mam wrażenie, że dziewczyna uśmiecha się do mnie, ale nie zwalnia kroku i znika na moście pomiędzy żółtymi słupkami, obok znaku z napisem RZECZPOSPOLITA POLSKA. W oddali czeka na nią postać ludzko podobna do zakonnika.

- Poszła na Słowacką stronę? - Patrzę pytająco na poetę.

- Kto? Nikogo tu nie było. - Poeta patrzy na mnie z zainteresowaniem. Podjeżdża biały Mercedes. Kolarzówka wskazuje na Słowację i pyta - Jedziecie? - Patrzę na Roberta, a on na mnie. Potem prawie jednocześnie przenosimy nasz wzrok na Artura. Student ze zrozumieniem kiwa głową. Bezgłośnie podejmujemy naszą najważniejszą w życiu decyzję.

Kolarzówka przygląda się nam lekko zdeorientowana, żeby już po chwili wybuchnąć niepohamowanym, głośnym śmiechem, tak, że z jej oczu ciurkiem po policzkach spływają łzy.





MARCIN KOWALSKI

KAPELUSZNIK

Wszystko przez to, że światy są dziurawe. To znaczy nie do końca dziurawe, bo to nie światy, tylko ściany między nimi mają braki w ciągłości.

To tak jak z chlebem. Kupuje się krojony, żeby mieć z głowy żmudną czynność masakrującą cały bochenek. Nagle, wszechświat wykorzystuje wszelkie znane sposoby, by zrobić nam na złość. W chlebie, dzięki uprzejmym drożdżom, powstaje jedna wielka dziura, która przy krojeniu chleba przeradza się w międzykromkowy tunel.

Między światami też są takie tunele.

I wbrew pozorom jest wiele istot, które tylko czekają na to, by z nich skorzystać. Są też takie, które korzystają z nich nieświadomie. Przynajmniej oficjalnie.

Iras nigdy nie miał szczęścia. A jeśli miał, to tylko do pakowania się w kłopoty. Nawet tym razem, gdy spokojnie wracał do domu z zakładu pracy, coś musiało się wydarzyć.

Czuł to pod skórą, co, jeśli wierzyć pamiętnikowi Irasa, nie było wcale miłe i przypominało swędzenie na plecach. Nijak się podrapać, a swędzi coraz bardziej.

Mijał właśnie szpital, wsłuchując się w chrzęszczenie śniegu pod butami. Przy minus dwudziestu śnieg potrafił tylko dwie rzeczy: chrzęszczeć pod butami i udawać, że jest jeszcze zimniejszy. Tego drugiego Iras nie chciał nawet sprawdzać. Było mu tak zimno, że jak najszybciej chciał się znaleźć w domu i wypić chociaż kubek ciepłego kakao.

Mistrzowie Pogody w tym roku zafundowali ludziom naprawdę niezłą zimę. Pół metra śniegu i dziesięć stopni mrozu w najcieplejszym miejscu w kraju. Jedynie dzieci cieszył ten fakt, bo przecież to właśnie jest prawdziwa zima. Ale kiedy tak jak Iras ma się trzydziestkę na karku, zima sprawia radość dopiero wtedy, kiedy jest dziesięć



stopni na plusie i sucho na chodnikach. Na całe jego szczęście, i takie się zdarzają.

Mężczyzna wyprzedził starszą panią odzianą w cienką kurtkę i chustę na głowie.

- Taa... - mruknął pod nosem i zatrzęsł się na samą myśl o tym, jak ta babulinka może znieść taki mróz. Doszedł do wniosku, że pewnie ma jakiś termofor pod spodem. Wolał sobie jednak nie wyobrażać, gdzie go trzyma.

Skręcił w prawo i za rogiem stanął jak wryty. Na początku nie mógł ani uwierzyć, ani opisać tego, co zobaczył. Gdyby jednak ktoś spytał go o to później, powiedziałby, że przed nim wisiało coś jakby szyba, szeroka jak chodnik i od ziemi wysoka w górę na kilka metrów. Cały czas drgała, przez co obraz za nią wyglądał jak podczas trzęsienia ziemi. Obok natomiast stał facet w jasnym płaszczu i brązowym kapeluszu. Mężczyzna owinał się płaszczem bardzo szczelnie, trzymając go bardzo mocno i nerwowo rozglądając się po bokach.

- Wiele rzeczy już widziałem - powiedział na głos do mężczyzny - ale nawet jak na nasz kraj, to facet wyglądasz dziwnie.

Dziwnie zabrzmiało to zdanie, pomyślał po chwili. Postanowił jednak pójść za ciosem i przynajmniej spytać się o co chodzi z tą szybą. Miał dość magii w pracy, wolał spokojnie wrócić do domu i odpocząć. Ale przecież konkurencja nie śpi, a kto wie, może gdyby udało się jakoś to przemycić do jego firmy, może nawet dostałby podwyżkę... albo awans...

- Komunakoniewiempocodoczegokiedydla-czego - wyrecytował nagle półgłosem mężczyzna w płaszczu, czym przerwał rozmyślenia Irasa - Zegareczkikomóreczkitreleduperelerzeczypotrzebneipotrzebne-nmniejalbowcalemagiawiększamniesz-artefaktyamuletypistoletyżółwiedowy-borudokoloru...

Iras stał przez chwilę z opuszczoną szczęką. Rzekomy ekshibicjonista amator recytował swoje kwestie zupełnie tak, jakby zapomniał o istnieniu przerw między wyrazami. Albo nawet o czymś takim jak oddech.

- Może potem, dzięki. Nie wie pan może, co to za szyba?

Wskazał palcem na drgające powietrze, uważnie obserwując kapeluszniaka. Ten

jakby nigdy nic, przeszedł przez domniemaną szybę, rozmywając się lekko. Po chwili wynurzył zza drgań głowę i podejrziwie spojrzał na Irasa.

- Nicniewiemożadnejczybieprzyjacielualejesli-takietwepagnienietoisybęmogęzałatwić...

- tutaj zrobił pierwszy zanotowany przez Irasa oddech między słowami - Komunakoniewiempocodoczegokiedydla-czego...

- Nie nie nie - przerwał mu, zanim tamten na dobre się rozpędził. Tacy ludzie potrafią działać na nerwy - Nic nie potrzebuje.

- Klientnaszpan... Komunakoniewiempoco...

- Przestań pan!

Iras Nie chciał dłużej czekać. Zdenerwował się, nie wiedzieć po co w ogóle zainteresował się tym czymś. Spieszyło mu się do domu, a jak dziecko stał z oczami wlepionymi w nową zabawkę rządu, pewnie jakiś skaner magiczny, który akurat ustawili na jego drodze.

Ostrożnym krokiem, z determinacją godną wyścigowego żółwia, wszedł w drgania. Przez jakieś półmetrowy odcinek miał wrażenie, że dostał skurczu mięśni w oczach i drgają mu we wszystkie strony równocześnie. po chwili jednak i to ustało.

Obrócił się i tak jak sądził, za dziwną ścianą nadal stał ten sam człowiek w tym samym płaszczu i kapeluszu. Kiedy tamten spojrzał w jego stronę i pomachał z dziwnym uśmiechem, Iras obrócił się na pięcie i ruszył w stronę domu.

Właśnie w domu zaczęły się prawdziwe kłopoty. Kiedy wyciągnął metalową płytkę z kieszeni, był pewien, że za chwilę zamek w drzwiach dopasuje do niej swój kształt i Iras na reszcie będzie bezpieczny w swojej oazie spokoju. Zamek jednak nie zamierzał nawet drgnąć.

- Na pięciu królów Salomonów, co jest... -

Mężczyzna siłował się z płytką, próbując nawet na siłę wepchnąć ją do zamka - No kur...

Nie zdążył przekląć nawet, bo z gardła, mimowolnie wydobył się krzyk, gdy usłyszał znad swojego ramienia, zaraz obok ucha:

- Komunakoniewiempocodoczegokiedydla-czego... Kluczyki samochodzikizamkidoworkirozporkidowborudokoloru...

- Czego pan tu chce, co?

Iras schował płytkę z powrotem do kieszeni i z drugiej wyciągnął telefon. Jednak nikt ze

znajomych nie odbierał. Nie miał więc wyjścia, będzie musiał odwiedzić matkę. Ona ma drugie klucze.

- No, pytam, czego pan chce, do cholery!

Kapelusznik uśmiechnął się głupio i uciekł. Iras stał przez chwilę pod własnymi drzwiami i nie bardzo wiedział co o tym myśleć. Jeśli pojawi się jeszcze raz, to albo strzeli mu bombę w twarz, albo w najlepszym dla ekshibicjonisty wypadku, zadzwoni po policję.

Problem klucza rozwiązał inny problem - zakupów. Po drodze do domu swojej matki postanowił wstąpić do spożywczego. Trzeba było przecież zrobić zapas na jutro, przed pracą zawsze pochłania ogromne ilości jedzenia. Praca nad magią wyższych częstotliwości zawsze działała pobudzająco na jego układ trawienny. Lekarz powiedział, że to taka przypadłość i żadne leki na ten głód nie pomogą. Iras posłuchał i znalazł swój własny lek. Po prostu więcej je.

Kiedy stanął przed drgającą ścianą powietrza, zdziwił się. To było jednak nic, w porównaniu do szoku, jakiego doznał, gdy zobaczył ponad pięćdziesiąt ludzi ustawionych wężym przed wejściem do spożywczaka.

- No to już jest coś nie tak. Co to ma być, referendum jakies? Głosowanie? Telewizory rozdają?

Iras wbrew zdrowemu rozsądkowi, który kazał mu iść po prostu i zobaczyć, co się dzieje, ustawił się w kolejce. Zniecierpliwiony jednak spytał mężczyznę stojącego przed nim, po co ci ludzie stoją w tej kolejce.

- Panie, szczęście mamy! Pomarańcze przywieźli dopiero co, podobno rzucili też banany!

Oczy Irasa nie mogły się bardziej rozszerzyć, na dziś jego organizm wykorzystał już limit szoku i zdziwienia. Dlatego kiedy poczuł, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu, odruchowo odwrócił się by zobaczyć co się dzieje.

- Komuna...

Kapelusznik nie dokończył, ciężka pięść Irasa, robotnika magii wyższych częstotliwości, zmiażdżyła szczękę natrętnemu delikwentowi.

W ten sposób zamknięte zostały usta jednej z niewielu osób, które mogły powiedzieć coś na temat drgającej ściany. A mogły powiedzieć to bardzo szybko, wystarczyło posłuchać. Teraz magia wycieka, z miejsc o jej wyższym stężeniu, do światów, w których jest jej mniej.

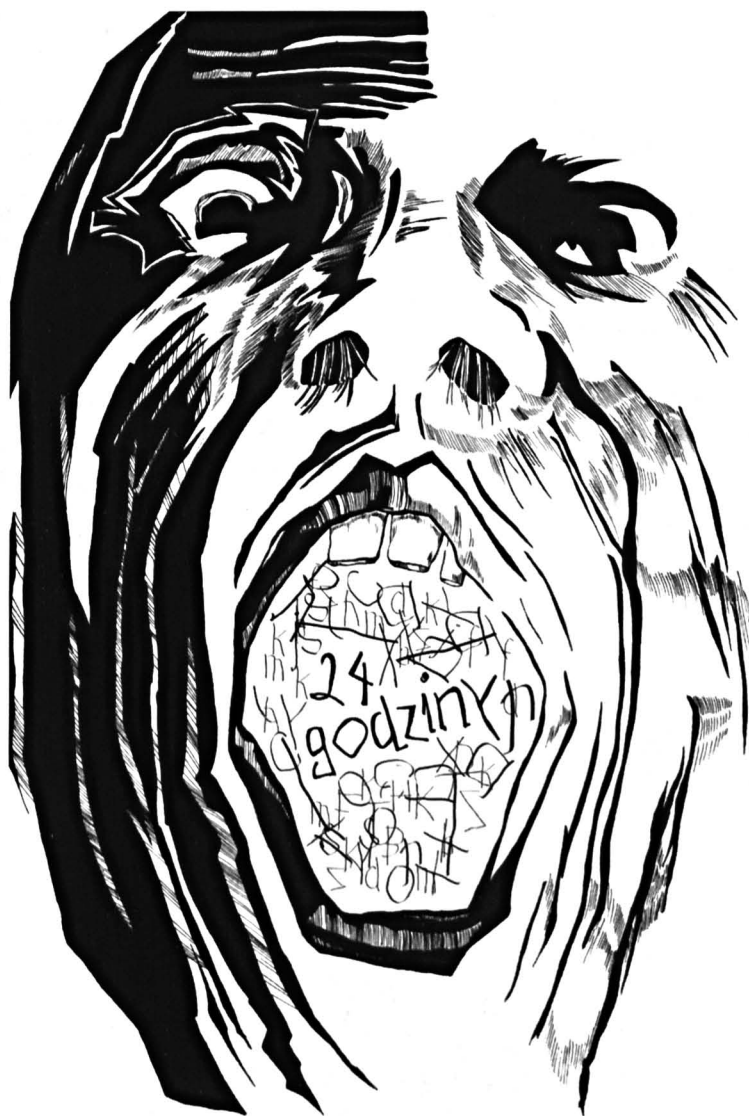
To tak jak z chlebem. Przez te dziury w kromkach zawsze przecisnie się trochę masła przy smarowaniu.



MARIUSZ KARGUL

* * *

taka cisza tutaj panuje
jakby ktoś po nas makiem siał
trwa idealna harmonia przestrzeni i fonii
nikt się już z nikim nie żre
bo wszyscy są zgodnie drażnieni
w tym naszym schludnym
rodzinnym grobowcu

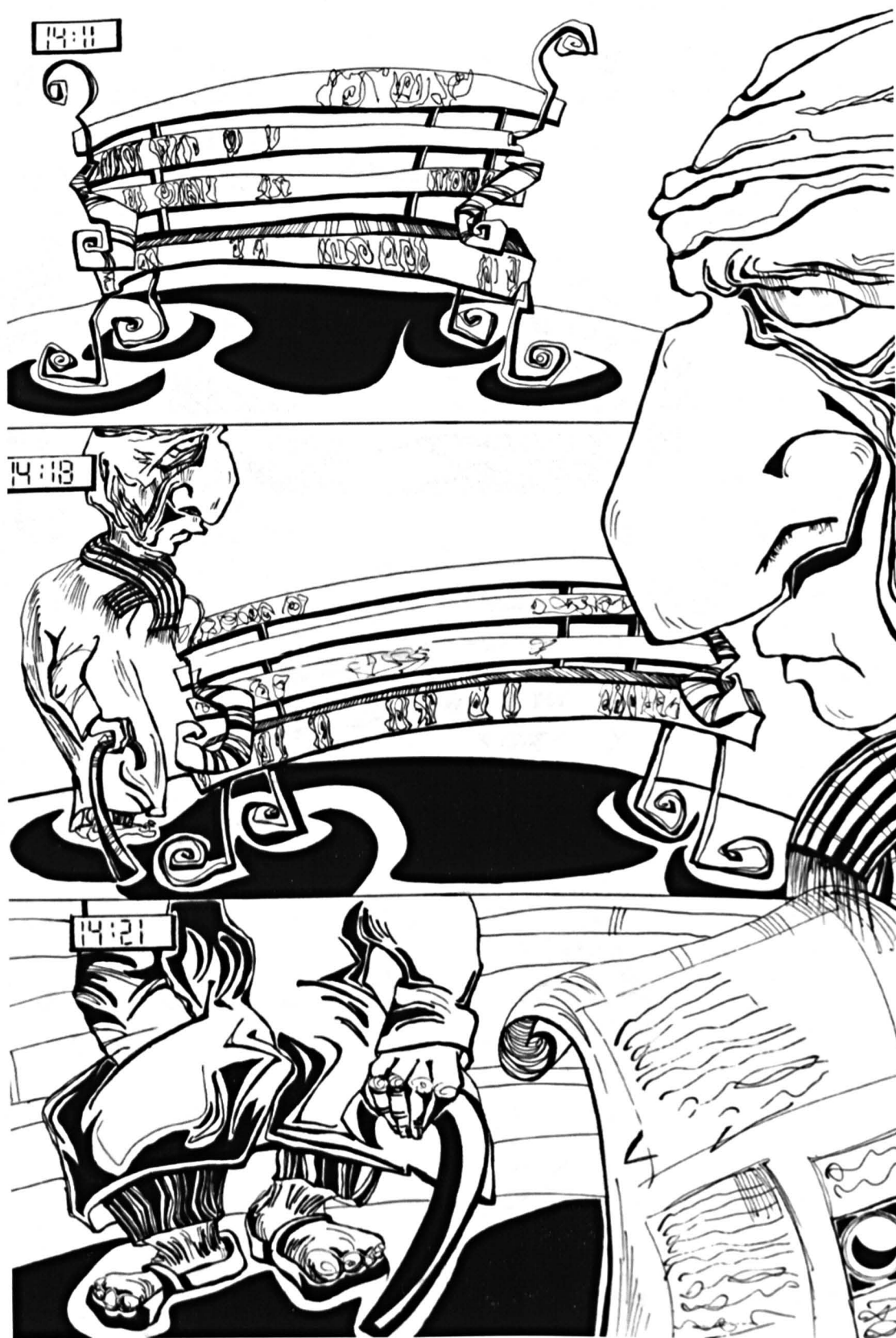


08:14



10:22



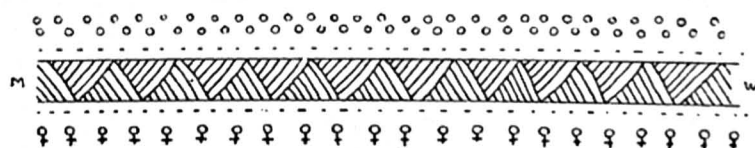








AUBREY BEARDSLEY. VI satyra Juwenala.



Z P R O Z Y O B C E J.

OZIMINA.

Po wsi się snuje, płynie cienkimi pasmami, na drobne kropelki się rozpada głos jeden, głos sielski, jesienny. Wieś ogarnia i pola, niebo i słońce. Przeciągła tęskna pieśń lśni po niwach zoranych, po zwiędłych miedzach szeleszcze, za czarne ploty się kryje i z liściem suchym na ziemię opada. — Śpiewa wieś cała, uśmiechając się białe chaty nieśmiało, okna chłoną słońce.

Za jedną chatą zieleni się skrawek ozimego żyta, a obok niego na kozuchu leży chłop biały jak mleko. Stary już bardzo, z oczyma przygasłymi; koło kozucha leży kij jego taki sam stary, bo rączka wygładzona dłonią zupełnie. Słońce mu świeci prosto w twarz, jakby jego samego tylko na ziemi miało.

Stary utonął tak w pieśni jesienniej, że aż sam piszczy jak niemowlę. Mówi coś, a orzech raz po raz szerokim liściem na niego rzuca. Białe motyle unoszą się nad nim, korci ich przysiąść na białych włosach dziada. — Ale dziad śpiewa i mówi, a koguty sąsiedzkie, słysząc to gadanie, pieją za nim.

Kłóci się ze śmiercią swoją.

„Nie trzeba mi ciebie,” mówi do słońca, „nie przymilaj mi się po próżnicy. Dolu mi trza i czterech desek. Szkoda twojego zachodu, znajdź sobie młodego, a do mnie kostuchę przyslij, bo jucho zapomniała o dziadzie.

„Dobra do kosy, nie bój się! Kłos dojrzał, pochylił się, rolę całuje, zczerniał już, a kosiarz czeka. Na cóż? Co to, myślisz, że

Z PROZY OBCEJ

513

na tańce jeszcze pójdę. Jużem swoje odprawil, kontentny jestem, niczego mi nie trza. Weź se kapkę tego tchu i puść mnie z za stołu — najadłem się.

„Może teraz gdzie wojna, to się tam uwija, bo tam giną, młodych takich choć całować. A tu wkoło mnie nic nie znajdzie — skrzynkę próżną! Nie pehaj się do młodych, bierz to, co dla twojej gęby wyręchtowane. Młody niech gospodarzy, niech dzieci do rozumu prowadzi, nie ucieknie ci on; choć i na wojnie, to go nie rusz! Zabieraj do dołu, co należy.

„Widzisz te ręce?” — podniósł rękę aż do oczu. — „Jaka to robota? Stara skóra, nawet starego buta tem nie polatam? Cóż taką ręką urobisz? Czekaj, nie kiwaj się, kiej mówię. — Gdzie tu je mięso? Może to ja zjadłem? Ja ci go nie gryzłem, ale kiedyś mięso zjadła, to i kości dojadaj, było nie zaczynać...

„Jak ja mam ręce, to sobie idę swoją drogą. Droga mi się ściele stoma ścieżeczkami przez pola. Gajdy wykopię, żyto zbiorę, bronę do słońca twarzą odwróć, ziarno posiej — rękami wszystko zrobić. Ale bez rąców to ja głupi — rozumiesz? To ci sztuka zrobić człowieka do niczego i polecieć na złamanie karku. Czekaj, suko, bierz na plecy i nieś, kandy moje leżenie ma być.”

Na oziminę kury wyszły, skubią.

„A sio! zbiję na leśne jabłko! A ty się nie dziwuj, że ja stary, ale taką gadzinę jeszcze uśmiercę, oho, uśmiercę. — Nie masz co jeść na podwyrzu?”

Podnosi się, wspiera na kiju i idzie na oziminę.

„Piękne to zielone, a ta by psuła... Ziemia to ciągle młoda, jak dziwka, — na święto to się ubierze, — na codzień po codziennemu, ale zawdy w dziwkach, od kiedy świat światem.”

Siada na zielonej niwie, kijem się podpira i milczy. Milczy, a wieś dokoła niego smutno nuci, a wierzby zeschłymi liśćmi rzucają w dziada.

NOWINA.

Rozeszła się po wsi wiadomość, że Kuba Latawiec utopił w rzece swoją córeczkę. Chciał i starszą utopić, ale mu się wyprosiła. Od czasu, jak mu żona umarła, biedował bardzo i rady se z dziećmi dać nie mógł bez kobiety.

Wyjść za niego żadna nie chciała, bo i dzieci, i bieda, i niepokoj. Mordował się dwa lata sam z drobiazgiem. Nikt nie wie-

dział, co robi, jak żyje, — chyba sąsiedzi bliżej. Powiadali, że całą zimę w chałupie nie palit — jeno z dziećmi na piecu zimował.

Teraz cała wieś mówiła o nim: przyszedł do domu wieczorem i zastał dziewczuchy na piecu.

„Tatulu jeść chcemy” — mówi starsza Hanusia.

„To mnie jedzta — cóż ja wam dam do jedzenia? Macie tu chleb — napychajta się.”

I dał im kawałek chleba, a one — jak szczenięta przy kości — koło chleba się uwijają.

„Powylęgała was i ostawiła na mojej głowie — bodajby ją ziemia wyrzuciła. Cholery gdziesik chodzą po ludziach — bodaj je kolki sparły — a do nas nie przyjdą. Tej chałupy to się i choro ba boi.”

Dziewczęta nie słuchały wyrzekani ojca — bo było tego co dnia i co godzinę — więc przywykły. — Jadły chleb na piecu, a patrzeć na nie było przykro i żal. Bóg wie, jak się kosteczki kupy trzymały, tylko ocząt czworo świeciło i żyło. Zdawało się, że te oczy ważyły jak olów — i gdyby nie te oczy, to reszta ciała poleciałaby z wiatrem jak puch, a teraz kiedy suchy chleb jadły, zdawało się, że im te kosteczki w twarzy potrzaskają.

Kuba zerknął na nie z ławy i pomyślał: „nieboszczyki,” a tak się zląk, że aż mu pot na ciału wystąpił. Coś mu się zdawało, jakby mu piersi ciężkim kamieniem przywalili. Dziewczęta żuły chleb, a on przypadł do ziemi i modlił się, ale go coś ciągnęło patrzeć na nie i myśleć: „nieboszczyki.” —

Kilka dni bał się Kuba w chałupie siedzieć — chodził po ludziach, i mówili, że był bardzo smutny. Zczerniał — oczy mu w głąb' wpadły — jakby nie chciały patrzeć na świat, jeno na ten kamień, co mu piersi tłoczył. Wieczorem kiedyś przyszedł do chałupy — nagotował dzieciom kartofli — posolił i rzucił na piec, aby się posiliły. Kiedy trochę podjadły, powiada:

„Złażta z pieca — pójdziemy w goście.”

Dziewczęta poschodziły z pieca — Kuba je pooblekał w koszuliny — młodszą Kasię wziął na ręce, a Hanusię za rączkę, i wyszedł z chałupy.

Szli długo łąkami, aż stanęli na wzgórzu. W blaskach księżyca słała się rzeka w dole, jak szerokie pasmo rtęci. Wzdrygnął się Kuba — bo go zmroziła ta błyszcząca rzeka, a kamień na piersi jeszcze się cięższy wydał. Zadyszał się i ledwie dźwigał małą Kasię. —

Schodzili w dół ku rzece. Kuba zębami szczękał, aż się głos

Z PROZY OBCEJ

515

po łąkach rozchodził, a w piersi czuł długi pas ognisty, co mu serce i mózg palił.

Nad samą rzeką nie mógł już iść powoli, tylko pobiegł, a Hanusię w tyle zostawił. Hanusia biegła za nim. Kuba chwycił Kasię prędko i z całej siły rzucił w wodę.

Ulżyło mu zaraz, i zaczął prędko gadać do siebie: „Powiem sądowi, że rady nijakiej nie było — ani co jeść, ani czym palić, ani komu uprać, ani głowy umyć, ani nic.

„Że karę przyjmuję — bom zawinił i na szubienicę.”

Hanusia stała przy nim i równie szybko mówiła:

„Nie toptaż mnie tatusiu — nie toptaż, nie toptaż.”

„Jak się prosisz, żeby nie topić, to nie — ale by ci lżej było — a mnie jednako, wisieć za jedną czy za dwie. Będziesz biedować za młodu, a potem na żydowską mamkę wyjdiesz i znów będziesz biedować!”

„Nie toptaż mnie — nie topta.”

„No to nie, ale Kasi lepiej niż tobie. — Wracaj do wsi, a ja się idę meldować. Idź se tą ścieżką — het, het — aż wyjdiesz na góry, a tam pójdziesz do pierwszej chałupy — wejdiesz i powiesz, że niby tak i tak, że mnie tatuś chcieli topić, alem się wyprosiła — żebyście mnie dały przenocować, a jutro powiedz, możebyście mnie najęły do dziecka. No, idź, bo noc.”

Hanusia poszła.

„Hanus, Hanus — na ci tu pręcik — żeby cię tam psy nie opadły i nie rozdarły. Zawsze z kijkiem bezpieczniej.”

Hanusia wzięła kij i poszła łąkami.

Kuba portki zakasał, żeby przejść przez rzekę, bo tędy była droga do miasta. Wlaż już w wodę po kostki i zdrętwiał.

„W imię Ojca i Ducha Świętego, Amen. Ojcze nasz, któryś jest w niebie — święć się imię Twoje...”

Wrócił się i szedł do mostu.

PRZEŁOŻYŁ

Dr. W. Moraczewski.

Wasył Stefanyk.

„TRWOGA I DRŻENIE.” LIRYKA DYALEKTYCZNA.

(Urywek.)

Był raz człowiek, który w latach dziecięcych usłyszał piękną opowieść ową, jako Bóg doświadczał Abrahama, jako ten próbe

przetrzymał, wiary dochował i powtórnie wbrew oczekiwaniu syna się doczekał.

A kiedy podrośl chłopiec ów, czytał tę powieść z większym jeszcze podziwem; albowiem życie rozszczępiło to, co w prostocie dziecięcej, nabożnej zjednoczonym było. Im dojrzalszym się stawał, tem częściej myśli jego krążyły około tej powieści, zachwyt rósł, a przecież coraz trudniej pojąć mu było opowiadanie owo.

Wreszcie dla tej powieści o wszystkich innych zapomniął; dusza jego tchnęła jedynym życzeniem oglądania Abrahama, jedną tęsknotą żyła: abym mógł być świadkiem tego wypadku! Nie zajmowały go ani piękności wschodu, ani przepych zewnętrzny ziemi obiecanej, ani owo stadło nabożne, któremu w późnych latach Bóg pobłogosławił, ani postać czcigodna sędziwego patriarchy, ani młodość kwitnąca zesłanego przez Boga Izaaka, — cała powieść mogła się była odgrywać w jalowej puszczy. Pragnął jedynie towarzyszyć Abrahamowi w onej trzydniowej podróży, kiedy jechał z troską przed sobą, Izaakiem obok siebie. Pożądał być obecnym w onej chwili, kiedy Abraham, podniósłszy oczy, ujrzał w oddali górę Moria, w owej godzinie, kiedy, zostawiwszy osły u stóp góry, wstępował samotny z Izaakiem. To, co go przejmowało, nie było bowiem cudną tkaniną marzeń, raczej trwogą myśli.

Człowiek ten nie był myślicielem, ani czuł potrzeby wydostania się poza granice wiary; najwspanialszem mu się zdało być czczonym jako rodzic wiary, losem godnym zazdrości wiarę posiadać, chociażby o tem nikt wiedzieć nie miał.

Człowiek ten nie był w piśmie uczonym; po hebrajsku nie umiał. Gdyby był hebrajski język zgłębił, możeby wtedy łatwiej mógł zgłębić opowieść o Abrahamie.

I.

I doświadczył Bóg Abrahama, i rzekł do niego: Weź Izaaka, syna twego jedynego, którego ukochałeś, i udaj się do ziemi Moria, abys go ofiarował na całopalenie na górce, którą ci ukazę.

Był wczesny ranek. Abraham wstał do dnia; kazał osiodłać osły i opuścił dom swój. Izaak szedł z nim. Sara wyglądała za nimi oknem w dolinę, póki się przed wzrokiem jej nie skryli. Trzy dni jechali milcząc. Rankiem czwartego dnia nie przemówił Abraham jeszcze ani słowa; ale podniósł oczy i ujrzał górę w oddali. Zostawił pachołeta, a sam, trzymając Izaaka za rękę, wstępował na

Z PROZY OBCEJ

517

górc. I rzekł Abraham do siebie: „Nie chcę przed Izaakiem ukrywać, dokąd ta wędrowka prowadzi.” Wstrzymał kroku; błogosławiąc, położył rękę na głowie Izaaka, a Izaak schylił się, aby otrzymał błogosławieństwo ojcowskie. Miłość rodzicielska świeciła w obliczu Abrahama, wzrok jego łagodny był i pieszczący, słowa jego poważne i pełne przestrogi. Ale Izaak niezdolny był go pojąć, dusza jego nie mogła się wznieść. Objął kolana Abrahamowe i jęczał u jego stóp.

Błagał o swoje młode życie, o swoje cudne nadzieje. Wspominał radości w domu Abrahama, wskazywał na troskę i osamotnienie. Wtedy podniósł chłopca Abraham i szedł z nim ręką w rękę. Słowa jego pełne były pociechy i upomnienia. Ale nie mógł go zrozumieć Izaak. Wstąpili na górę Moria, Izaak nie pojął go jeszcze. Natenczas odwrócił się Abraham na chwilę od niego, — a kiedy Izaak ujrzał znów oblicze Ojca, było zmienione. Wzrok jego był dziki, postać straszna. Chwycił Izaaka za piersi, rzucił o ziemię i rzekł: „Niedorzeczny chłopcze, myślisz, żeś ci ojcem? Jestem bałwochwalcą! Myślisz, że to rozkaz boski? Nie, to moje pożądanie.” A Izaak drżał i wołał w trwodze: „Boże na niebie, zmiłuj się nade mną! Boże Abrahama, zmiłuj się nade mną! Jeżeli nie mam ojca na ziemi, bądź ty mi ojcem!” Abraham zaś rzekł w cichości do siebie: Panie w niebiosach, niechaj ci będą dzięki! lepiej jest, aby mniemał, żeś ja jest potwór, niżby miał wiarę w Ciebie utracić!

Kiedy dziecię ma od piersi odwyknąć, uczerni matka pierś swoją — okrucieństwem byłoby zostawić piersiom ich ponętę, a dziecku jej wzbraniać. — Tedy dziecię mniema, że zmieniła się pierś, ale matka została bez zmiany; wzrok jej serdeczny i czuły jak dawniej. Błogo matce, która nie potrzebuje straszniejszych sposobów, aby dziecię od piersi odwyczaić.

II.

Był wczesny ranek. Abraham wstał do dnia. Uściskał Sarę, oblubienicę starości swej, a Sara ucałowała Izaaka, który z niej zdjął niestawę bezpłodności, — dumę swoją, nadzieję wszystkich pokoleń.

Milcząc jechali drogą. Abraham trzymał wzrok wlepiony w ziemię aż do dnia czwartego, wtedy wznosił oczy i ujrzał górę Moria w oddali. I nanowo wzrok spuścił ku ziemi. Milcząc ułożył stos i związał Izaaka. Milcząc podniósł na niego nóż. Wtedy ujrzał

518

CHIMERA

baranka, którego upatrzył był Pan. Tego ofiarował i powrócił do domu swego. — — — Od tej chwili postarzał się Abraham, nie mógł zapomnieć, że Bóg tej ofiary od niego zażądał. Izaak wzrastał jak poprzednio. Wzrok Abrahamów stał się pochmurny; radości żadnej już nie oglądał.

Kiedy podrośnie dziecię i ma być odłączone, wtedy matka zasłania dziewiczo pierś swoją — dziecko nie ma już matki. Błogo dziecku, które w ten sposób tylko matkę straciło!

III.

Był ranek. Abraham wstał zawczasu. Ucałował Sarę, młodą matkę, a Sara ucałowała Izaaka, radość swą i uciechę po wszystkich czasach. I w zamyśleniu jechał Abraham drogą. Myślał o Hagarze i synu jej, których niegdyś na pustynię wypędził. Wstąpił na górę i podniósł nóż. —

Był cichy wieczór. Abraham wyjechał samotnie, dążył ku górze Moria. Rzucił się na twarz i błagał Boga, aby mu odpuścił grzech, że Izaaka chciał ofiarować, że o prawach ojca do dziecka zapomniał. Często jeździł ową drogą samotnie, ale pokoju nie znalazł. Nie mógł zrozumieć, jak może być grzechem, że Bogu chciał ofiarować to, co mu najdroższym było, co cenił tysiąc razy wyżej od życia swego. A przecież — jeżeli to było grzechem, jeżeli nie kochał tak Izaaka, jak kochać trzeba — tedy pojąć nie mógł, że mu to odpuszczonem być może. Albowiem jest-że grzech większy od tego?

Kiedy dziecię ma od piersi odwyknąć, wtedy i matka się smuci, że od dziecka swego coraz się więcej i więcej oddala; że dziecię, które pod sercem naprzód spoczywało, które potem bodaj do piersi tuliła, teraz nie będzie jej tak bliskie. Boleją tedy oboje krótką boleścią. Błogo matce, która utrzymała dziecię tak blisko i nie musiała się troszczyć o więcej!

IV.

Był wczesny ranek. W domu Abrahama wszystko było do drogi gotowe. Pożegnał się z Sarą. Eliezer — wierny sługa — od-

Z PROZY OBCEJ

519

prowadzał go kawał drogi; potem zawrócił do domu. Jechali obok siebie Abraham z Izaakiem, aż przybyli do góry Moria. Abraham przygotował wszystko do całopalenia w cichości i spokoju; ale kiedy się obrócił i nóż podniósł, dostrzegł Izaak, że Abraham lewicę zacisnął w rozpacz, że drżenie wstrząsnęło jego ciałem. Wszelako podniósł nóż Abraham.

Wrócili potem do domu, a Sara wybiegła na ich spotkanie. Ale Izaak utracił wiarę. Nigdy słowa jednego o tem nie przemówiono. Izaak nie powiedział nikomu o tem, co widział; Abraham zaś nie przeczuwał, że ktokolwiek to mógł widzieć.

Kiedy dziecię ma od piersi odwyknąć, zgotuje matka pożywny pokarm, aby znać nie zginęło. Błogo temu, kto ma na gotowości pokarm pożywny!

Tak i w temu podobne sposoby myślał pomieniony człowiek o owem zdarzeniu. Ilekroć wracał z wędrówki do góry Moria, upadał ze znużenia, załamywał ręce i mówił: Nikt nie był tak wielki, jak Abraham. Któż go pojmie?

PRZEŁOŻYŁ

Dr. W. Moraczewski.

Johannes de Silentio
(Søren Kierkegaard.)



WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

Rozmowa z historią

Mistrzynie życia, Historio,
zachciewa ci się psich figlów
zza kraty podgląda Orion
jak siedzimy razem na kiblu.

Opowiadasz mi stare kawały
i uśmiechasz się, na wpół drwiąco,
i tak kiblujemy pomału
ty od wieków, ja od miesiąca.

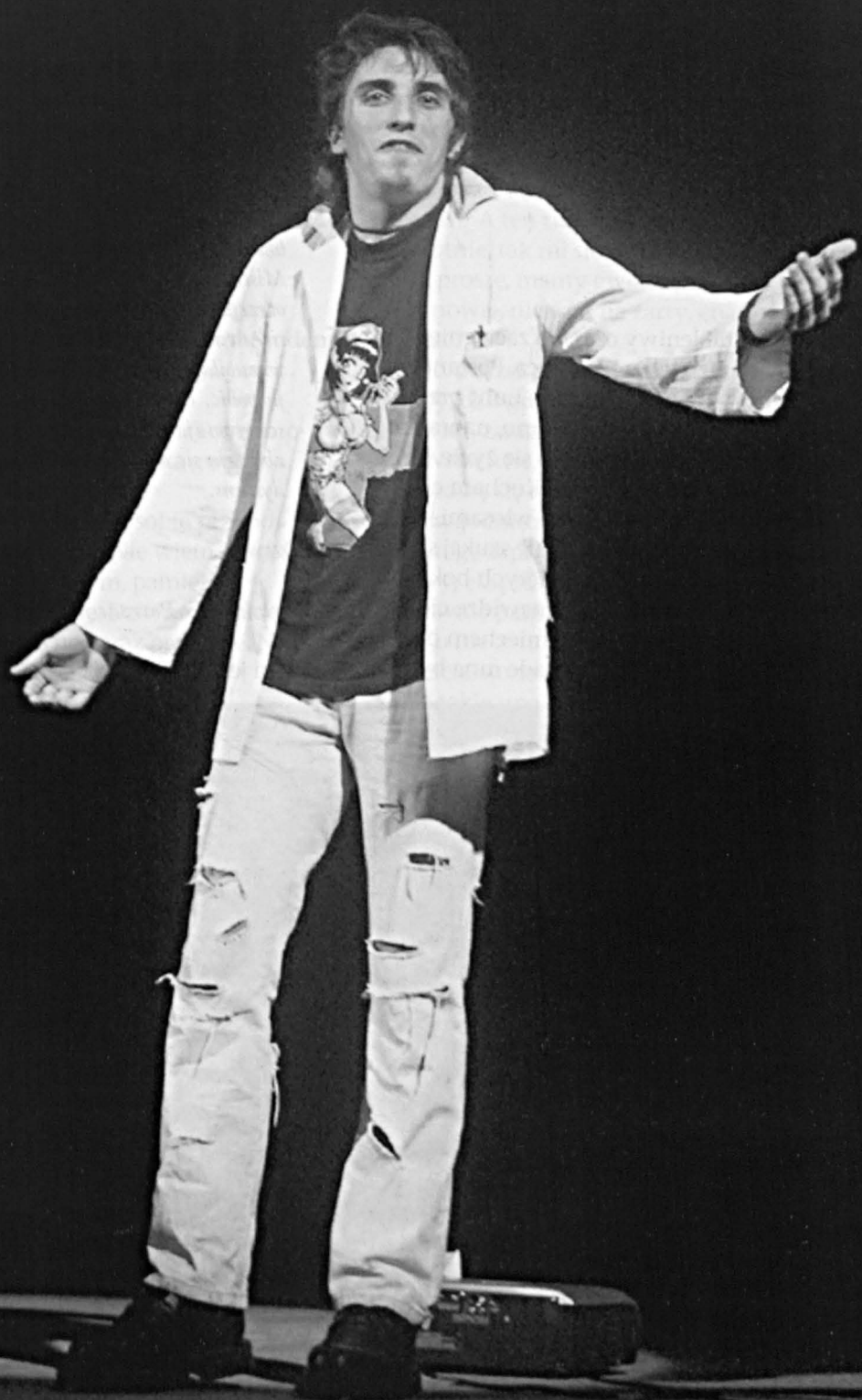
O nieśmiertelna, skądże
ta skłonność do paradoksów
i powiedz mi czy to mądrze
całemu światu krew popsuć?

Bo skoro na całym świecie,
jak nie wojna, to stan wojenny
Historio, powiedz mi przecie:
po diabła tu kiblujemy?

Rewolucyjny poeta
ma zgnieć w tym mamrze sowieckim?!
Historio, przecież to nietakt,
ktoś z nas po prostu jest dzieckiem.

Więc wstydź się, sędziwa damo,
i wypuść z Zamarstynowa...
(Na kryminal zaraz za bramą
zasłużymy sobie od nowa).

DRAMAT





IRENA NAUMOWICZ

KOMEDIA

Scena pusta; nieprzedstawiająca, umowna, ale zamknięta przestrzeń. Kostiumy proste, utrzymane w jednej gamie kolorystycznej, symbolizujące. W czasie przedstawienia bohaterowie się ruszają, chodzą, rozmawiają między sobą, tańczą, fikają koziołki, obgryzają paznokcie, i co tam sobie reżyser zażyczy.

Siedzi na scenie Bohater.

Bohater: Nastał leniwy czas, po zaciągniętych różowo bliznach, przed nocą. Postanowiłem wyznać wszystko, to bunt przeciw bierności. Wyszedłem z domu, nabrałem powietrza, wokoło toczyło się życie. Chciałem powiedzieć do życia... Kocham cię – do dziewczyny z rozwianymi włosami, poważną twarzą; podejść i u mnie szukaj schronienia – do kota o zapadniętych bokach i przesyconych oczach; nienawidzę cię i ukarzę – do wroga co z uśmiechem oddalał się ukradkiem. Stałem, a nade mną były

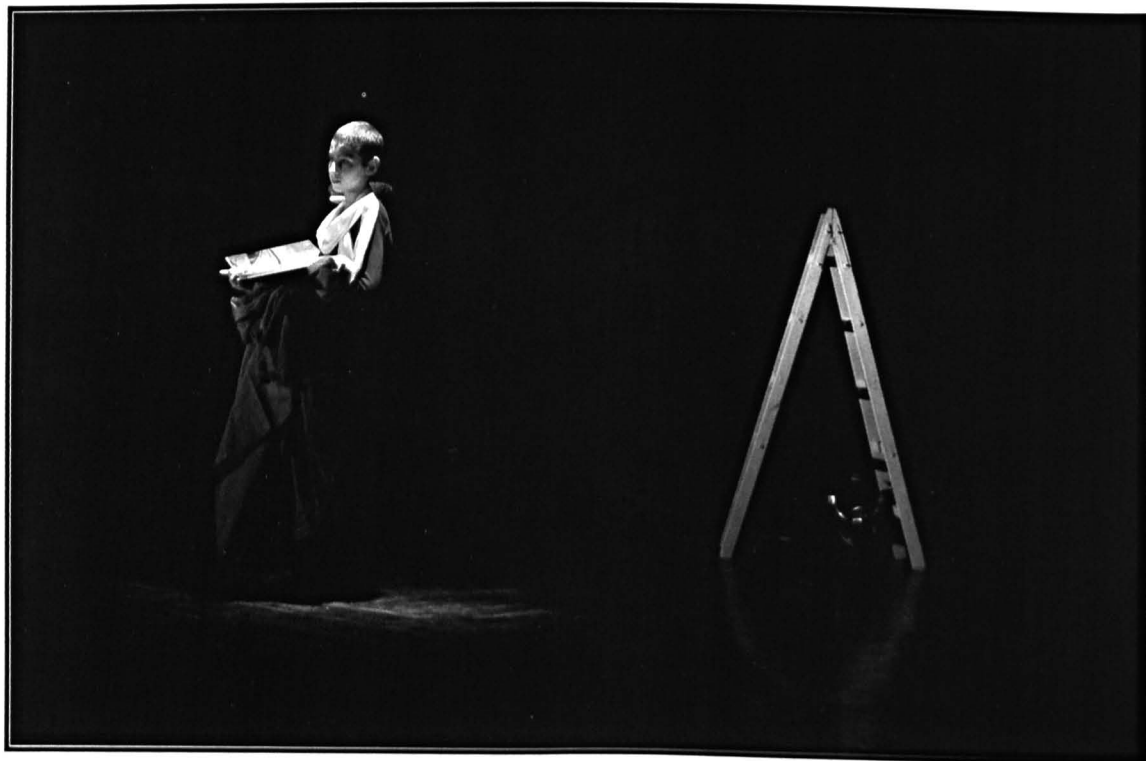
obłoki i drzewa. Chciałem przemówić. Nie było do kogo, nie było po co. Każde z nich szło w swoją stronę. Ja stałem wśród boleśnie leniwego czasu. Zarastałem różowo, myśląc: to ciało to życie.

Na scenę z różnych stron (i z dołu, i z góry) zostają brutalnie wrzucone inne postacie: Kobieta, Mistrz i Student. Ocknawszy się Kobieta się otrzepuje, poprawia ubranie, Mistrz rozgląda się uważnie, Student biegnie w stronę, z której wrzuciła go tu niewidzialna siła, jakby chciał ją pobić. Bohater ogląda się, wstaje, na środku sceny znajduje kartkę i po cichu ją czyta. Inni zbliżają się do niego, milczą, utrzymują dystans.

B: Dziwne.

Chowa kartkę. Patrząc na nich

B: Kim jesteście?



Mirosław Koczko

Konsternacja.

Kobieta: Jestem kobietą.

Mistrz: A ja mistrzem... To jest, profesorem.

Student: A ja studentem.

M: A pan?

B: No, ja... Ja... Ja tu jestem, głównym bohaterem.

Śmiech.

B: Skoro się śmiejecie, to przedstawcie się.
Imię? Nazwisko!

S: Ja, tak jakby, tak trochę zapomniałem.

M: Zapomniał pan, młody człowieku? Student.

Pewnie (*tu pada nazwa lokalnego uniwersytetu*).

K: Ale ja też nie wiem. Nie wiem. To niemożliwe, to jakiś spisek, pigułka gwałtu, czytałam o tym

B: Długo tu siedzę i próbuję sobie przypomnieć. Ale nie wiem. Nie wiem nawet co. Ale pan, jak rozumiem, pamięta.

M: Niestety, Niestety nie. Dziwne, to jakieś zatrucie, na pewno zaraz przejdzie. Na pewno da się to jakoś logicznie wytłumaczyć.

*Sprężystym krokiem wchodzi zza kulis na scenę
Aktor teatralny, jakby nigdy nic. Patrzy na nich lekko zdziwiony. Podbiegają do niego.*

B: Pan wie, kim pan jest?

M: Wie pan, jak się nazywa? Jak się tu dostał?

K: Pan wie? Pan pamięta?

S: Niech pan mówi, no!

A: Ale o co chodzi? Oczywiście, że wiem, jak się nazywam, co to za dziwne pytania?

B: Jeśli pan wie, to proszę powiedzieć.

A: Proszę bardzo. Nazywam się (*tu imię i nazwisko aktora grającego tę rolę*), jestem aktorem (*tu nazwa tego teatru, oczywiście, i ewentualnie inne dane z biografii owego aktora*). A państwo kim jesteście?

B: Otóż my nic nie pamiętamy. Naprawdę, Niestety.

K: Proszę pana, proszę nam pomóc, powinniśmy chyba wezwać lekarza, policję.

M: Prawda, to nie są żarty, jestem zdezorientowany...

A odwraca się, wychodzi, skąd przyszedł, potem wraca, podchodzi do wszystkich wejść na scenę, coraz bardziej nerwowo.

A: To dziwne, to wręcz niemożliwe: teatr jest zamknięty. Jesteśmy zamknięci tu, na scenie.

K: Na scenie?

A: No tak, proszę się rozejrzeć, jesteśmy w teatrze.

S: *śmiech* A ten tu to główny bohater!

B: Istotnie, tak mi się wydaje.

A: O, proszę, mamy gwiazdę

K: Panowie, nie czas na żarty, co możemy zrobić?

A: Nic, poczekamy, zaraz zjawi się tu reszta ekipy, dziś gramy „Komedie” Ireny Naumowicz, zaraz przyjdą i pomogą państwu. Właściwie, już powinni być. Tymczasem proszę się rozgościć, nie jest tu może zbyt wygodnie... Proszę sobie usiąść, Niestety nie mogę zaproponować państwu nawet kawy, ekspres jest w garderobie...

Naprawdę państwo niczego nie pamiętacie?

To nie żart moich kolegów? Wprawdzie to nie zielone przedstawienie, ale...

K: To takie upokarzające, straszne...

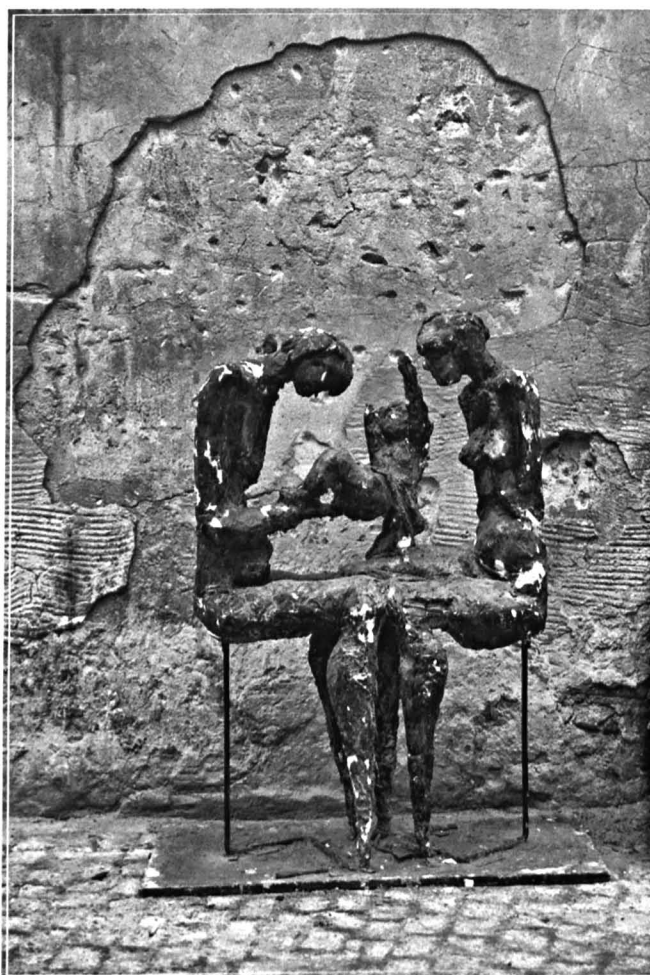
A: Proszę pani, proszę się uspokoić, wszystko będzie dobrze. Przecież możemy i tak zawrzeć znajomość (*całuje ją w rękę*).

K: Bardzo mi miło.

B: Przepraszam, że przerywam tę sielankę, ale znalazłem tu tę kartkę. Poproszę państwa bliżej! Myślałem, że to nieistotne, że nie odnosi się do nas, ale... To wygląda jak wiadomość, do nas.

K: Do nas? Proszę przeczytać!

B: „Witam, moi Drodzy, w Waszym teatrze! W życiu każdego z Was teatr odgrywa bardzo istotną rolę. Każde z Was słyszało, że świat jest teatrem, aktorami ludzie. Każde z Was zna koncepcję życia jako przedstawienia bez reżysera. Każde z Was choć raz za Wildem powtórzyło, że świat to scena, tylko sztuka jest źle obsadzona. Teraz więc czas na prawdziwą Grę. Dla ułatwienia wyjawię, na czym polega intryga: Jeden z pośród Was to Zły, i musicie odgadnąć, kto to jest. Ten, kto dokona właściwego wyboru, zostanie zbawiony – cokolwiek to



Grzegorz Pawlak

dla Niego znaczy. Powodzenia życzę wszystkim." Podpisu brak.

Oglądają kartkę, czytają, podają ją sobie i wyrrywają.

M: Głupi żart.

S: Głupi. Idiotyczny. Bardzo, bardzo. Ja zaraz...

S próbuje bezskutecznie otworzyć wszystkie drzwi. Pozostali się zamysłają, siadają, leżą, myślą. Co raz ktoś wraca do kartki. Czas mija, powoli ogarnia ich rezygnacja.

M: Próbuję sobie przypomnieć nazwisko. To takie ważne, i mam je na końcu języka, doktor habilitowany, profesor (*nazwa uniwersytetu, albo skrót*)... Nie, nie mogę, nie pamiętam. Ale to było dobre nazwisko, godne nazwisko, takie szanowne.

K: Ja chyba miałam całkiem pospolite, ale na

pewno nie mam się czego wstydzić.

S: Są ludzie, którzy uważają się za szczęśliwych posiadaczy nazwisk, których nie sposób przekreślić na obelgi. Należałoby tych ludzi sprowadzić na ziemię robiąc ich nauczycielami.

M: Nie czas na takie niewybredne, hmm, uwagi. A właśnie, która godzina? Mój zegarek stoi.

A: Mój także.

K: To niemożliwe. To bez sensu.

Na scenę wchodzi Żyd wieczny tułacz.

K: Kto to?! Kim pan jest? Proszę sprawdzić, czy może pan wyjść!

Ż: Nie mogę. Wiem, co się tu dzieje, jestem ostatni, jaki przybył. I wyjdę tylko z wami, gdy gra dobiegnie końca. Pismo zostało objawione mi we śnie, a przypadkowa droga właśnie tu mnie przywiodła.

M, S, A, K, B: Kim pan jest?

Ż: Jestem Żydem wiecznym tułaczem, synem dawidowym.

Konsternacja. S w śmiech.

S: No to mamy już złego!

K: Proooszę

M: Wstydziłbyś się

S: Żartowałem!

B: Co więcej, nam pan o sobie powie?

Ż: Nie pamiętam więcej. Przybywam tu z dalekiej ziemi i wydaje mi się, że dawno już nie widziałem waszej pięknej, dumnej, męczeńskiej ziemi Polaków, bohaterów, chrześcijan.

B: Nasi bohaterowie się przekwalifikowali.

Nikt już nie marzy o bohaterstwie, teraz się marzy o pracy na wyspach. Pałace wyszły na przedmieścia. Kapłani robią na godziny. Cesarstwo niegdyś bliskie upadku dziś chce zostać kwitnącym centrum handlowym. Ja jestem ciszą wśród burzy. Jestem ciszą bez burzy. Ty jesteś kwiatem uwiędłym na ołtarzu, oni kwiatami uwiędłymi w wieńcu. Już nie kwiatami.

M: Bez komentarza.

S: Wiesz, to całkiem ładne.

B: Musiałem być chyba poetą romantycznym...

Rozchodzą się, znów uporczywie myślą.

K: Może po prostu powiemy, że już znaleźliśmy złego, i ten kto zaaranżował całą tą farsę wypuści nas?
 M: Komu powiemy i co? Wymyśliła pani kto z nas jest Szatanem?
 K: *O Szatanie nie było mowy...*
 B: Zaryzykuje pani swoim zbawieniem?
 K: Chyba pan w to nie wierzy, to zupełnie nieprawdopodobne.
 B: Tak samo jak wymazanie nam wspomnień ze świadomości?
 K: Nie, pan nie może wierzyć, że to list od Boga i jakieś reality show o naszej duszy!
 B: Nie wiem, czy wierzę, ale myślę, że mogę.
 K: Nie pozwolę by w mojej obecności stroił pan sobie żarty z Boga.
 B: Wszystko wskazuje, że to Bóg stroi sobie żarty z nas.

K prychna i odchodzi z miną skrzywdzonego niewiniątka. A idzie za nią.

B: Gdyby Bóg rzeczywiście choć przez chwilę był człowiekiem, wszyscy byliby zbawieni.
 M: Proszę pana, proszę ją przeprosić, jesteśmy w zbyt trudnym położeniu, żeby zajmować się takimi sporami, każdy ma prawo do swojego zdania.
 B: Nie mam za co przeproszać.
 M: Jak dzieci, jak dzieci. Proszę jednak ustąpić. Zna pan kobiety, one myślą sercem.
 S: Więc pan nie zna swoich studentek, profesorki, one czują głowę. Chociaż nie, czasem nawet sam rozum podpowiada, że powinniśmy czuć sentyment, litość.
 B: Mówi pan, że są wyrachowane, czy okrutne?
 S: Mój przyjacielu, myli pan siłę ze słabością.
 B: Niech będzie, przeproszę ją. Chociaż może im nie przeszkadzać?
 M: Proszę tam iść!

B idzie

K: Nie chcę z nim rozmawiać, to wariat, psychopata.
 A: Wariat może, ale psychopata na pewno nie.
 K: Co za różnica?
 A: Psychopata jest się z premedytacją i ku

ogólnej szkodzie. Wariatem jest się ze szczerego serca.

B podchodzi do nich

B: Proszę pani, chciałem panią przeprosić. Powinienem uszanować pani stanowisko.
 K: Dobrze, już się uspokoiłam, ale proszę następnym razem mniej kategorycznie wyrażać swoje opinie. Fakt, że tu jesteśmy nie znaczy, że nie obowiązuje nas pewna poprawność...
 B: Poprawność polityczna to autocenzura.
 K: Pan znowu zaczyna!
 B: Niczego nie zaczynam. Myślę, że może powinniśmy całą tę sytuację przedyskutować razem.
 A: *Możliwe... (po przyjacielsku obejmuje B ramieniem i mówi mu) Daj mi szansę, czuję, że jeśli dobrze to rozegram ta kolejna Beatrycze będzie mnie oprowadzała po nowym raju magii i zmysłów. Skończymy rozmowę i do was przyjdziemy, ok.? (wracając do K) Zaraz dołączymy!*

B: Dołączą do nas, jak skończą rozmawiać. Zresztą w tym pomieszczeniu nic nam raczej nie grozi, nie musimy cały czas trzymać się razem.

B siada sam trochę dalej od nich, po chwili przychodzi do niego Ż

Ż: Ciężko ci?
 B: Ciężko, że lekkie jest niebo, co tyle nieszczęść widziało.
 Ż: Ciężko, ciężko na sercu... A u ciebie jest serce?
 B: Jak niebo. Jak tam było w drodze?
 Ż: Czas był cierpki i ziemia, którą żyjemy, była w oczach, ustach, kieszeniach, we krwi – przez otarte kolana dzieciństwa. Jest niebo i jesteś poetą. I przez niebo przyjdzie ci płynąć, płynąć i płynąć na atramentie, krwi, pocie, ślinie. Czas jest cierpki, mości książę, gorzkie są lzy, nikt nie słucha słów: miłość, nadzieja, człowiek, jak ostatni wychylony łyk, ostatnia kropla atramentu, krwi, potu, śliny. To twoje morze i niebo, kraj twój co widzisz do horyzontu, zaznaczony cienką kreską, królestwo i

kościół, twa misja. Czy może u ciebie być serce? Starczy ci wiary?

Podchodzą wszyscy pozostali

S: O czym rozmawiacie?

B: Że bajka nie poucza. Nikt nie słucha słów.

S: Co?

Ż: Po co uczyć się o literaturze, skoro wszyscy, którzy uczą się o niej potrafią czytać?

S: Po co tworzyć poezję, skoro można wszystko wyrazić wprost i umieścić na wielkich błyszczących billboardach?

Ż: Nie: po co uczyć się o krwi, skoro we wszystkich płynie.

M: Co za bzdury, panowie, prowokacja!

A: Po co zarabiać na życie aktorstwem, zamiast uczciwie rąbać drzewo, piec chleb?

K: Książki są po to, by je czytać. Rąk się nie umywa, ręce się trudni pracą, a potem koi wodą

A: I ciałem.

S: Nie rozumiem.

M: Opowieści nie powstają dla słuchaczy, ale jeśli nikt nie będzie ich znał, tracą sens i

moc.

Ż: „Przemówię do niego raz jeszcze: Co czytasz, mości książe?”

B: „Słowa, słowa, słowa.”

S: Hamlet.

M: O czym my w ogóle rozmawiamy?

S: O słowach.

M: W takiej sytuacji?

B: A co mamy innego? Dźwięki, obrazy, zapachy, smaki, powierzchownie? To wszystko powiedziałem. Wszystko to słowa. Słowa to wszystko. Pragniesz więcej, mistrzu Fauście?

K: *Ale po co o tym rozmawiamy?*

S: Bo to teatr, sztuka i słowa.

K: Poszukajmy lepiej innego tematu do dyskusji. Może na przykład jak wydostać się stąd i odzyskać pamięć!

B: Proszę bardzo: co było pierwsze... człowiek czy bóg?

K: Jeżeli jeszcze raz

B: Więc niech pani sama coś zaproponuje.

K: Ja proponuję przestać gadać, nam potrzebny jest czyn!

B: Gdzie Bóg był siłą, tam ja byłem mową, by-



łem wola, wśród przestworzy szukałem
wolności!

M: Ten wieszcz romantyczny zaraz zacznie
przez panią nam tu wymachiwać szabelką!

Nagle na scenie pojawia się drewniany miecz.

S: O, szabelka! (*S łapie go*) Nie, to miecz mój
przecie! Ach, Kolombino! Gdzie ma gołą-
beczka rumianolica?

A: Co on wyprawia?

S: To ty Brizello, a choć lotrze! O, Kolombina!
(*Obejmuje K i tańczy z nią błazeński taniec*)

M: To komedia dell' arte. On się stał
Arlekinem!

S: Cicho, Doctorre, bo ci synów przybędzie.

M: Może to ten miecz, wyrwicie mu miecz!

*S zasłania się K; A, B i M rzucają się na niego, S
tchórzy, B przechwytyuje miecz*

B: A ponieważ niebo nadchodzi cicho, trzeba
spadać, osiadać jak męt na poziomie tuż
pod powierzchnią, tego, czego zapomnieć
się nie da. Nie da się wypowiedzieć nasze-
go losu, bo po co? Niebo nadchodzi cicho
i nas obejmuje. Nasze niewyrośnięte skrzydła
nie boją, jak los. Żyć trzeba. A potem za-
snąć cicho i czekać na niebo dla innych.

S: Co?

K: Co to było?

B: Ja, pieśń i ciernie, Ofelio.

M: Miecz mu zabierzcie. (*do K*) Ty lepiej nie,
bo jeszcze zostaniesz Joanną D'arc. (*Do A*)
Ty może spróbuj.

B: Mówi Bóg: „Wdowie i sierocie szkodzić nie
będziecie (...) Jeśli je pokrzywdzicie (...),
pobiję was mieczem”. (*Ex. 22,22-24*)

Ż: „Słowo boże ostrzejsze niż wszelki miecz
obosieczny”. (*„List do Żydów” 4,12*)

*A z łatwością zabiera mu z ręki miecz i rzuca w
kąt*

K: Dziwne to było.

M: Drewniany miecz to atrybut Arlekina, ale
Hamlet? Hamlet? Nie wiem...

Ż: Nu, co pan powie, mości książę?

B: Jest taki wiersz, taki fragment: „Książę/
jestem urzędnikiem/ jestem poetą/
współczesnym/ [...] jesteś ciekawy co robi/

poeta współczesny// Obojętny mówi/ do
obojętnych/ oślepiiony daje znaki/
niewidomym/ śmieje się i/ szczeka przez
sen/ obudzony/ płacze/ składa się ze
szczecbli/ ale nie jest drabiną Jakubową/ jest
głosem bez echa/ ciężarem bez wagi/
błaznem bez króla”. (*Rozmowa z księciem T.
Różewicz*)

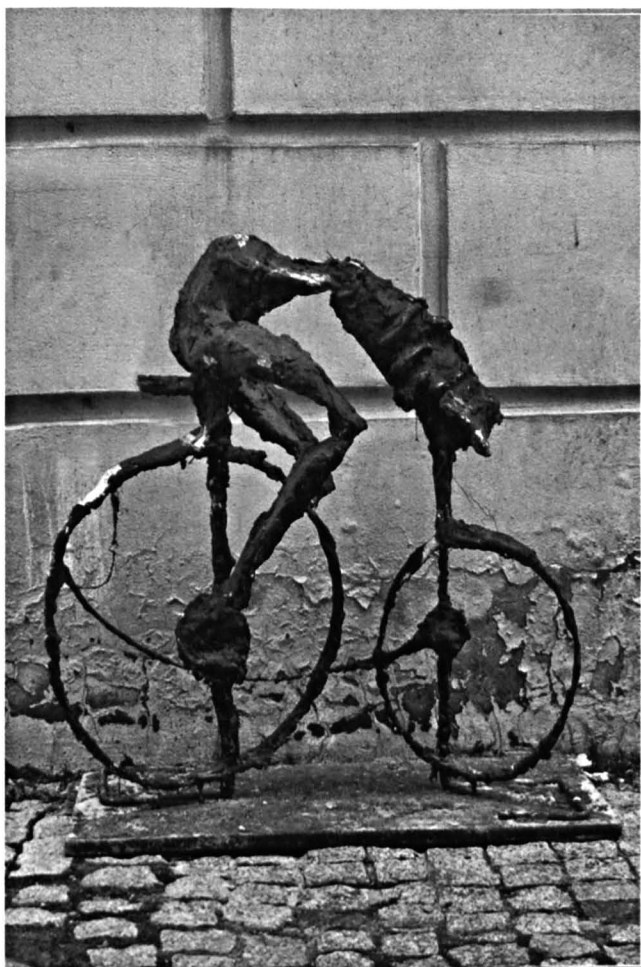
S: I co?

B: To tak jak my. Jesteśmy bolesni jak proch,
który zapomniał czym był. A mamy fero-
wać wyroki, osądzać, kto jest dobry, a kto
zły. Może gdybym pamiętał, wskazałbym
na siebie?

K: Pomyślmy logicznie, kto to może być? Pan
był tu pierwszy, czekał na nas i to pan
nam pokazał tę kartkę.

Ż: To chyba jednak zbyt proste, a mi wiado-
mość została objawiona, gdy spałem.

S: To pan jest jedynym, co zna zasady nie



przeczytawszy kartki. Mamy uwierzyć, że we śnie...

K: Nawet nie waż się oskarżać Żyda!

S: To tak, jak w amerykańskich filmach: przeżyć musi główny bohater, kobieta i murzyn, u nas Żyd.

M: Czyli, że pani broni się sama, Małgorzato?

K: Słucham, a co pan ma na swoją obronę?

M: Przecież ja pani o nic nie oskarżam.

S: A nie zapominajmy, kto tu pamięta swoje nazwisko, kto jest tu u siebie!

A: Zastanów się zanim zaczniesz oczerniać swojego gospodarza.

B: Dosyć! Tak do niczego nie dojdziemy.

M: On ma rację.

K: A może to właśnie on zawsze przeszkadza i wszystko komplikuje!

B: Taka już rola głównego bohatera...

Rozchodzą się. Po pewnym czasie K podchodzi do B

B: Na początku było słowo, które zapragnęło wypowiedzieć poetę.

K: Lubisz wyrażać się niejasno?

B: Uważam, że to pewna sztuka.

K: A mówienie wprost?

B: Potrafię, ale nie mam odwagi. Kiedy nazywam rzeczy po imieniu sytuacja diametralnie się zmienia.

K: Jak wygląda nasza sytuacja?

B: Przecież zależy nam nie na prawdzie, a na poczuciu bezpieczeństwa. Wartość tej Gry, czy zabawy, to stopień w jakim potrafimy widzieć siebie zbawionych. Jesteś moją muzą.

K: No jeśli ty jesteś wieszczem...

B: Ty jesteś Słońcem, ja tylko małym Kopernikiem.

K: Wracam do tamtych.

B: O to chodzi, żeby dojść do siebie.

Na scenę spada jabłko. Podnosi je Ż

Ż: Mości panno, śliczne jabłuszko rumiane. Panienska się skusi?

K: Coś mi mówi, że kawałek stanie mi w gardle...

Ż: Ależ głupstwo, to witaminki, samo zdrowie.

M: Już jedno jabłko dziennie zapobiega wizytom u lekarza.

Ż: Jabłka, pyszne jabłka! Nigdzie takich nie dościsnąć! Jabłuszko dla pani? Dla szano-

wnego pana?

K: (*śpiewa*) „Jabłuszko rumiane, jakże cię dostanę”

Ż: Jabłka, świeże jabłka! Ogóreczki małosolne!

A i S: (*śpiewają*) „Jabłuszko, jabłuszko, jabłuszko pełne snu...”

K: Skosztuj

B: Jakże mi jeść owoc zakazanego drzewa...

M: W historii kuszenia Ewy przez węża nie ma ni słowa o jabłkach, w Biblii mówi się parokrotnie o jabłkach granatu, poza tym nie wiadomo o jakich jabłkach mowa. Greckie słowo „melon” i łacińskie „malum” oznacza bowiem nie tylko jabłko, ale wszelki większy owoc, którego rodzaj uściślić można przez dodanie nazwy własnej.

B: Ot, gdy ojczyzna w potrzebie, przybywam z Avalonu, opatrzonej wieczną młodością złotych jabłek!

M: Ty się pokarmem bogów żywisz i życiem nieśmiertelnym cieszysz a „mnie wstyd [], że Jabłoń Życia przegryzły nam lisy i krety” (*Xiądz Faust* T. Miciński)

M kładzie jabłko na głowie S i zamierza „strzelić z luku”. S zabiera jabłko i daje K

S: Dla najpiękniejszej.

B: „Piękne jabłko, ale zgniłe w jądrze. O, jakże piękną fałsz przybiera postać!”. (*Kupiec wenecki* W. Szekspir)

S bierze jabłko, żongluje nim, wreszcie zjada

M: Co się tu dzieje?

K: Co się z nami dzieje?

A: Czyste szaleństwo, wielka improwizacja.

S: Nikt nam nie uwierzy.

B: Nikt się niczego nie dowie.

S: Jak to?

B: Nie zostanie po nas słowo.

S: Nie ma świadka? Ani widza?

K: Przecież to teatr. Nie ma teatru bez publiczności.

Podchodzą na kraj sceny

S: Myślicie, że tam, w ciemności ktoś na nas patrzy?

K: Może to ten, co wymyślił tę grę?

A: To niemożliwe. Widz jest niewinny.

B: Nawet jeśli tam jest, i tak nam nie wierzy.

M: Widz wie dokładnie, co chce zobaczyć na scenie i tylko w to jest skłonny uwierzyć.

B: Widz w nic nie uwierzy, jeśli mu się powie, że to teatr.

Ż: Jak ktoś ma wam uwierzyć, skoro wy sami nie wierzycie? Jak mają nas poznać, skoro nie wiemy, kim jesteśmy.

B: A w Boga w trzech postaciach to uwierzyć mogli! A w nas, ludzi, to już nie! Co to, nie ma dokumentów, nie ma człowieka? Co my w Rosji jesteśmy, czy jak? Jesteśmy my, jest nasz ciężki los, a oni uwierzyć w nas nie raczą.

A: Dla nich to kwestia rozrywki.

B: Ja szczerze wątpię, czy ktoś się tu dobrze bawi.

Rozchodzą się

B: Wymyśliłem!

S: Co?

B: Tu chodzi nie o nas, ale o Człowieka.

S: A co ja jestem, żaba?

B: Tu nie chodzi o jednostkę, tu chodzi o przykład, o człowieka uniwersalnego. Tu chodzi o posłuszeństwo, o wiarę, ludzką

siłę i o bunt.

S: A czy ty w ogóle wiesz, co to bunt?

B: A czy ty w ogóle wiesz, co to człowiek?

M: A jeśli wiesz, co to człowiek, czy w ogóle możesz wierzyć w jego siłę?

Ż: A czy w ogóle możesz wątpić w jego winę?

B: Wina może stać się takim samym podwodem do chwały jak niewinność. I nic bardziej nie maluje człowieka ludzkim niż grzech.

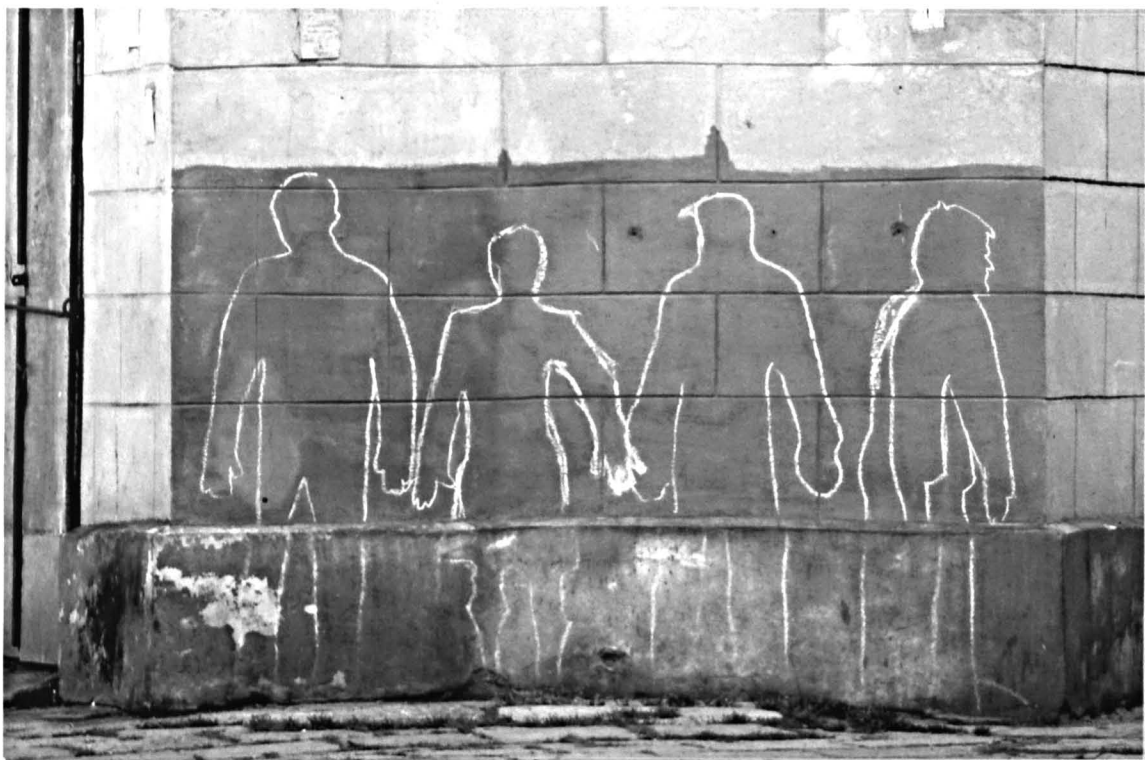
K: A jeśli wiesz i wątpisz o tym, co to świadczy o tobie?

B: A jeśli coś świadczy o mnie źle, jak ja o nim świadczę?

Z widowni leci kartka zmięta w kulkę i trafia B w głowę. Wszyscy zbierają się wokół niego. B czyta

B: „Każdy z Was już dokonał wyboru. Gra skończona.”

Opada kurtyna, słychać mechaniczny głos: „Game over” i śmiechy komediowe i horrorowe.





TADEUSZ JURA - ŚLIWA

Musimy to uporządkować
a więc kosmos
mgławica temat
rzeka nieznany sternik
ziemia ziemia
pod stopami nad
to znaczy Człowiek
i serce tak tak
ale mózg koniecznie
musimy to uporządkować
a więc

To jest realizm
to jest to
przejście

z serca
do rutyny

kto nie na rękę
kto nie jest
kto

Tylko jeden kurs

Normalna trasa
(dla rozrywki: kilka zakrętów)
kierowca uciął sobie drzemkę
(ale jechaliśmy zgodnie z kodeksem)
oczywiście, zapłaciłem za kurs

Reszty nie trzeba

MINIATURE





KATARZYNA RYRYCH

WYPIŁ RUMKU WYPIŁ DWIE

...sorok gradusow eto ni moroz ni vodka...

Po tamtej żalnej popijawie na cmentarzu, kiedy Kola zagubił się między grobami, no, znikł - był chłop i nagle nie ma - o karczmach nie wspomnieć grzech śmiertelny. Ale bo i dzisiejsze karczmy, bezkształtne, ot cztery ściany i dach, żeby do stakanka nie padało.

Wchodzisz, na wprost półkolista lada, obok w witrynce pirożnoje, za ladą tomnaja gidia, obcas - szpilka, spódnica taka krótka, że aż kompleksów się nabawiasz, bo twój facet wędruje oczyma w górę i w dół po cienkiej kresce szwu w pończosze, a twoje ręce pachną benzyną, i włosy masz nie prosto od fryzjera...

Za dziewczyną ściana - barykada, najeżona butelkami, u góry, niby szklane dzwonki kieliszki wiszą, nic tylko pić - za wstriechem, za lubow, i wtorej i dwadcat' pierwoj. Błyska taka knajpa oczyma okien w ciemności niby kuter na pełnym morzu, płyniesz przez ciemność do otwartych drzwi, ciepło ze środka bucha, światło oślepia. Knajpa knajpą, aleś nigdy nie pił za zdrowie nieboszczyka na cmentarzu...

Kooooola! Daleko tej knajpie na poboczu do tamtej, po której tylko fundament pozostał, tej oazie przydrożnej, otwartej mroźną nocą jak matczyne ramiona.

Zima była. Do domu kilka wiorst, mróz, że uch! para z końskich pysków w powietrzu aż zastyga, napić by się warto - ale nie gorzałki, bo przy takim mrozie to może być śmierć pewna, - tylko herbaty, gorącego kipiátku prosto z samowara, a do niej kawałek cukru odrąbany z głowy. Tylko cukrownik doceni smak takiej bryłki, więc skręca saniami przez zaspę prze wiatr usypałą.

A w saniach mój Dziadek i Aleksy, jego ojciec, ten, którego zgubiła wojskowa peleryna. ...A może nie powinien był psa sprzedać, tego owczarka, bo pies to przyjaciel człowieka, jakże to tak przyjaciela sprzedać?

Wysiadają, nogi, mimo derki na kolana przy-

zruczonej zmarznęte, śnieg piszczy pod podeszwami walonek, ręce wciskają czapki na czoło, a nogi same ku karczmie niosą. W karczmie gwar. Wódczany opar już od progu mąci w głowie, od dymu sino, od machorki duszno, i z tego zamętu, pijackich głosów, rozigranej harmonii powoli wyłaniają się twarze. Jedna, przecięta bliźną grubą na dwa palce, druga straszy złamanym nosem, trzecia na jednym oku ma bielmo...

Żydek - chałaciarz powiewając połami niby czarnymi skrzydłami przemyka ku gościom pod ścianą - nie wiadomo, co też może komu do głowy strzelić, na wszelki wypadek w oczy się rzucać nie należy - prowadzi w kąt izby, gdzie najspokojniej, to znaczy, gdzie wolny kawałek ławy.

Znika i po chwili powraca uginając się pod ciężarem samowaru, ustawia na stole dwie szklanki, grube, toporne, a Aleksy powoli odkręca kran. Wrzątek leje się cieniutkim strumieniem, Aleksy grzeje ręce o szklankę, a mały Griszka szeroko otwartymi oczyma wyławia z kłębow dymu, z krajobrazu piekielnego kolejne postaci.

Zamienia się nieopodal gorzałka w krew pańską, krew Christa Spasa naszego, i oto na oczach Aleksego i jego syna dokonuje się cud prawdziwy. Oto wesele żebracze, i kulawiec, który pod cerkwią w dni świąteczne straszył kikutem nogi kikut ów prostuje, kule precz odrzuca i w prysyudy się puszcza po całej karczmie, że aż kurz z podłogi pod sufit się wzbija... drugi, chromy, co to na szyi nosi blaszane medaliki dzwoniąc nimi niby konik uprząż przez ławę skacze, ku pannie młodej sunie, obcasami o deski bije jak ogier na zielonej łące?

Puszy się jak kogut, a panna młoda oczy kaprawe ręką przeciera i nagle cudnym spojrzeniem błyska, już się podnieść chce z ławy i...

Aleksy brwi marszczy, oczy mruży jak kocur, zanim wygnie grzbiet w pałąk. Pamięta dzień, gdy nad chromym się ulitował, kiedy monetę grubą kulawcowi

w czapkę wrzucił.

Wstaje z ławy i ku biesiadnikom idzie.

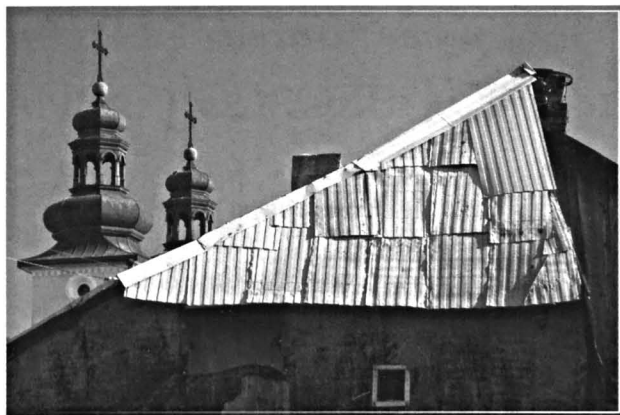
Z tłumu wynurza się ręka ze stakanem, pij za zdrowie, do dna, a potem wtoroj i dwadcat' pierwoj za lubow, za lubow, za lubow,... ale Aleksy stakan odtrąca i prostuje się, staje nad tłumem niby nie-dzwiedź, harmonia milknie, a baby wci-skają się w kąt izby, zaraz krew się poleje. – Oszust! - Słowa Aleksego padają twardo niby kamienie. Twarz kulawca zastyga w grymasie pijackiej złości, bieleje blizna na policzku.

Wstają, inni na nogach się chwieją, a ręka Griszki chwyta połę ojcowego kozucha. Gdyby nie syn, pokazałby Aleksy kulawcowi Bożą sprawiedliwość i okulał go raz na zawsze, tak, by mu się hołubców odechciało, ...ale syn obok stoi. Więc mierzą się wzrokiem, jakby jeden drugiego chciał na wieki wieków zapamiętać, twarz w sercu swoim wypalić...

Może to kulawiec, którego Aleksy prawdziwie okulać nie zdołał zdarł z niego wojskową pelerynę na dermańskim trackcie? Tego już nikt nie powie, nikt nie odgadnie, żadne perekati pole nie zaprowadzi do tej małej garstki kostek zakopanych bądź gdzie lub na dno stawu rzuczonych... Towarzysze kulawca szemrają, wszczynają się ruch.

Aleksy ciska w tłum gorący samowar, porywa syna za rękę i wypada z karczmy, cóż, Żydowi nie on jeden nie zapłaci, na cóż było Żydom Chrystusa ubiczować? Teraz zapłata taka. Sanie przed karczmą stoją, konie zdziwione wysuwają pyski z worków z owsem, krótko kolacja trwała, ale ludziom różnie się zachciewa, posłusznie zrywają sanie z miejsca i w kurzawie wypadają na trakt, a tu po śniegu kamienia się sypią - obwieś nawet na pustyni kamień znajdzie - daleko w tyle zostaje karczma pijana, kołysze się jakby sama wódki się napiła... Tak to na żebraczym weselu Aleksy z synem gościli...

Tomnaja gidja w jedwabnych pończochach podaje końcami paznokci popielniczkę. Rzęsy ma... jak firanki, powieki granatowe, brwi - jak nitki, jak jaskółcze skrzydła wygięte.



📷 Tomasz Młynarczyk

Patrę na swoje buty, solidne, na grubej podeszwie, na zawinięte nogawki spodni, na zapalniczkę leżącą na stole niby srebrna rybka. Dwie kawy z ekspresu. Chwała Bogu, że kawa, a nie żaden dopalacz o smaku malinowych landrynek...

Kawa czarna jak noc za oknem. Zza nagrobka wynurza się Kola, idzie ku nam lekko chwiejnym krokiem. Zapala papierosa i spogląda na zatarty nieco zatarty napis. ALEKSIEJ KUŹMICZ głoszą litery. – Wo-ot i ciała nie zna-ależli - Kola wybucha pijackim płaczem, choć Aleksiej Kuźmicz ani brat jemu ani swat, znany tylko z fotografii, i w grobie swoim nieobecny, leżący tylko na wiare, a kości jego żadne perekati pole nie odnajdzie, nie o-odnajdzie... i choćby to nawet kulawiec zdarł z niego pelerynę na dermańskim trackcie, to i on dawno się w pył obrócił a gdzie tego także nie wiadomo...

Więc może jeszcze jedna kolejka - ach ty, tomnaja suka z karczmy, ty jedwabna, pończoszna - ty by obcasy na tych kamieniach połamała... a ja mam buty solidne, na grubej podeszwie...

I tak to było, kiedy Kola na cmentarzu się zgubił, a może i nie, tylko oddalił się za potrzeba i na chwilę, oparty o nagrobek przysnął? Pora wracać, oj da nam ciotka, głowy zmyje, jakże to tak - pić na cmentarzu, jakby w domu nie było można?





MARZENA PODKOŚCIELNA

Bezsenni

są takie noce gdy potrzebują
snu. jak klamki z wąskich ulic które
rozwiązują niedbale wiązane szaliki
i sznurowadła. nigdy poplątanych problemów
wyniesionych z dnia. na dzień dobry

gmatwa się wszystko w źle ustawionej
nawigacji. za tanie pieniądze nie można kupić
pewności na zbyt długo. ulice kończą się

ślepo. a te które się nie kończą nie rozwiązują
tematu wyjścia. bezsenni wchodząc w świt
nie mówią o potrzebach. to zbyt krępujące.

[nieurojenia]

widzę cień na śniegu. pośrodku słońca
jaśniej niż jest cieniem. w ciepłą

myśl wchodzi wzrok. ciebie tam odnajdując
bo przecież wciąż jesteś. najdotkliwiej

uczysz mnie w ten sposób swojej obecności
jak gdyby nie istniały kilometry do innych

miejsz które rozdzielają. nie sięgam dalej
w pożegnania. w nich samotność kroków

pisze osobne historie. fotografie w sztucznym świetle
zapełniają pudełka. segregując czekanie w lata

od zim pośrodku śniegu. tam w twój policzek
wsiąka słońce. i ja cała. w urojenia.



MARIA KRYŃSKA - SZOSTAK

WIANEK. PODRÓŻE. KOPERTA

*Życie składa się raczej z okruchów teraźniejszości,
które zapadają w pamięć,
i tak naprawdę tylko z tego
składa się nasz świat.*

A. Stasiuk, „Jadąc do Babadag”

Wianek

Duszno, powiedziała Margot, podnosząc głowę znad starej niemieckiej maszyny do szycia marki Singer. Zdjęła nogę ze stalowego pedału, wstała i niespiesznie podeszła do kredensu, by napełnić filiżankę herbatą z białego dzbanka, z wygiętym zgrabnie dziołkiem. Jakże mi się podobała wymalowana na opasłym brzuchu dzbanka pąsowa róża. Będzie burza. – oznajmia z nagłą refleksją - Póki co, biegnijcie jeszcze na podwórko i korzystajcie z pogody. Wybiegliśmy. Chciało nam się korzystać z pogody i życia. Byliśmy przepełnieni energią, naładowani jak woda sodowa z syfonu. Ku mojemu niezadowoleniu, okazało się, że na podwórku czekali na nas kumple Jacka. Ech, będziemy grać w wyścig pokoju, – pomyślałam – no, trudno.

Tadek wysypał z pudełka kapsle z wymalowanymi w ich wnętrzach flagami. Ja będę grać Szurkowskim – oznajmił. Ja, Szozda – rzucił Janek. No dobra, ja Siergiejem, a ty – podałam kapsel Jackowi – Olafem. Jak w starym kawale wszystko musiało się dziać między Polakiem, Ruskiem a Niemcem, z przewagą dla Polski. Wygrał Olaf, więc zabawa okazała się naprawdę do kitu i szybko zadeptaliśmy wijącą się na ziemi trasę wyścigu pokoju. To może Warszawiak, może Król Skoczków, a może będziemy rzucać nożami? – padały kolejno propozycje. Gorąco dzisiaj. Mam dość! - rzuciłam przez ramię. Po takiej zachęcie chłopcy zaczęli zwijać się z podwórka, krzycząc w złości: „Panna z kawalerem! Panna z kawalerem!”

Jacku, co tam jest? – spytałam zaciekawiona. Tam? – mój „kawaler” wskazał starą dre-

wnianą budowlę, ni to komórkę, ni to wieżę. Tam są tajemnice Jurka – zaśmiał się wesoło. Pokaż mi – podbiegłam zaciekawiona. Ale to tajemnica. – uprzedził mnie Jacek. No dobrze, nikomu nie powiem. – wzniosłam do góry oślinione palce na znak przysięgi.

Weszliśmy do ciemnego pomieszczenia z ustawioną pośrodku drabiną, wdrapaliśmy się na piętro, a tam odkryliśmy dość przytulne miejsce usłane sianem i przyozdobione stojącymi na deskach pod ścianą pudełkami po bombonierkach: widoczki z kotkami, kwiatkami i jakimś pejzażem z koniem. Jurek tu mieszka? – spytałam. No co ty? Przyprawia tu dziewczyny i wyjawia im swoje tajemnice. Jakie tajemnice może mieć Jurek? – zachodziłam w głowę. Chcesz wiedzieć? – zapytał towarzysz mojej mrocznej wyprawy - Powiem ci, ale pamiętaj - to tajemnica. Całuje je, a potem zdejmuję im majtki, i zostawia na ich brzuchach spermę. Spermę? A co to takiego? – pytałam zdziwiona. To taki płyn, który wypływa chłopakom z siusiaków jak dotykają ciała dziewczyn – wyjaśnił mi spokojnie, nieco podekscytowany. Chciałabyś tego spróbować? Ja? – zdziwiłam się. Nie, w żadnym razie. Nie chcę żeby na mnie sikał jakiś Jurek, ani inny głupek. - odpowiedziałam szybko, nieco zawstydzona. - Wiesz, myślę, że nasze tajemnice są lepsze. Wejdzmy tam wyżej. Zawsze chciałam zobaczyć gdzie śpią gołębie i co one tam z wysoka widzą.

Droga w krainę gołębi nie była już tak wygodna. Musieliśmy wspinać się wysoko po chwiejącej się pod naszym ciężarem drucianej siatce. Jednak przy dużej determinacji czy odpowiednim poziomie ciekawości udało nam się osiągnąć poziom gołębnika. Ładnie tu – wyznałam zachwycona. Podziwiałam widok na sad, całą Kolejową ulicę. Patrz, widać chyba naszą Kosówkę! – krzyczałam. No co ty! – zaprzeczał Jacek - Niemożliwe. - No mówię ci, tam, za domem Pawła! Jacku, a co jest tam dalej, za horyzontem?



 Mirosław Koczkodaj

Jacek tajemniczo uśmiechnął się do własnych myśli i zadumany ciągnął swoją opowieść: tam są góry i morze, jest zwariowana Warszawa, w której budują wysokie bloki, wiesz, takie domy na domach, z osiedłowymi trzepakami, dla osiedlowych dzieci, jest Rosja, Trzeci Świat, małpy i krokodyle, i Ameryka. Wiesz, wszystkich pielgrzymów płynących do Ameryki wita olbrzymia Statua Wolności. To marzenie wielu ludzi: jechać i zobaczyć Statuę i samą Amerykę. Kiedyś tam popłynę i ją zobaczę. To głupota – mówię. Płynąć tak daleko? Za kilka lat, jestem tego pewna, u nas również wybudują statuę wolności nad morzem i będziesz sobie mógł do niej jeździć, kiedy tylko zapragniesz. Nie płyn za ocean!

Nagle błysnęło, a niebo wydało pomruk jak oddech pełen ulgi. Jacek ożywił się szybko i tajemniczo zapytał: A wiesz, co dzisiaj jest? Dzisiaj jest Noc Świętojańska. Babcia mi mówiła, że tego dnia wszyscy zakonchani muszą iść nad rzekę. Dziewczyny rzucają do wody wianki, a chłopcy muszą je wyłowić, bo to wróży szczęście w miłości. - Tak? To musimy tak zrobić! - stwierdziłam stanowczo. Tylko jak? W nocy? Mama mi nie pozwoli. Po krótkim namy-

śle przygotowaliśmy jednak plan wyjścia przez okno i dokładnego działania.

O wyznaczonej porze, na dźwięk rechotania żaby, z wiankiem na głowie, uwitym z szalwii, dziewanny i rumianów z ogrodu, zeskoczyłam z okna na ustawione pod nim skrzynki po jabłkach. Złapaliśmy się z Jackiem za ręce i pędem pobiegliśmy przez sad. Nagle stanęliśmy jak wryci na widok snującego się po ulicy Kolejowej czarnego samochodu. To Czarna Wołga! – pisnęłam. Cicho! – syknął Jacek i pociągnął mnie za rękaw swetra w przydrożne krzaki. Samochód przetoczył się spacerowym tempem. Wyskoczyliśmy z krzaków i przebiegliśmy na drugą stronę ulicy, a potem biegliśmy już ścieżką wijącą się między domami, na łąkę, aż dobrnęliśmy do rzeki. Wbiegłam na pień przerzucony nad rzeką, rzuciłam wianek, niefortunnie, w sitowie. Nagle niebo przeszył błysk, a my po drugiej stronie rzeki ujrzeliśmy dwie ciemne postacie postawnych mężczyzn. Nie były to jednak miejscowe strzygi. Uciekamy! – krzyknął Jacek. Biegliśmy bardzo szybko. Tą samą trasą, po łące, między domami, przez drogę, sad, na skrzynkę, na okno. Nic się nie martw – krzyknął towarzysz mojej nocnej

podróży na pożegnanie – jutro pójdziemy i znajdziemy twój wianek.

Wskoczyłam mokra do łóżka. Zaczęło padać. Zapadłam w sen. W moim śnie wynurzyła się z wody złotowłosa Goplana, która wiążąc jaskółkom nóżki, jak ta od Słowackiego, śpiewała piosenkę o wianku czarnym jak hebany. Dwaj mężczyźni zerwali z jej głowy wianek i podali mi go wisząc „wianek za całe królestwo”.

Podróże

*Nic nie poradzę. Serce mojej Europy bije
w Sokolowie Podlaskim i w Huși.
Ni chu – chu nie bije ono w Wiedniu.
Kto myśli inaczej jest zwyczajnym dudkiem.*

A. Stasiuk, „Jadąc do Babadag”

Dostrzegłam nagle, że moje miasteczko, w którym mieszkalam niemal od urodzenia, przypominało ludzki organizm, jego serce stanowił plac o planie kwadratu, otoczony organami budynków. Do serca ciągnęła aorta w postaci głównej drogi, a system żył rozchodził się na wszystkie strony świata. Za budynkami wił się niezbyt sprawny układ limfatyczny Kosówki, z naroślami i guzami swojej walki o byt.

Miasteczko kurczyło się z roku na rok, garbiło się, pomimo zmian na lepsze, w postaci nowo otwartego kina, księgarni i sklepu monopolowego. Obserwowałam coraz częściej migrację ludzi, zamiast ptaków. Wyjechał Romek, ze swoim białym workiem po ojcu marynarzu. Ojciec pewnego dnia wypłynął i nie wrócił. Romek postanowił zostać marynarzem i powielić jego los. Tomka wciągnęło mroczne towarzystwo i inna, mocniejsza woda. Gdy przyszedł kryzys, pił z kumplami denaturat i wodę brzożową, w każdym bądź razie coś mu zaszkodziło na tyle, by nie obudzić się po kolejnej upojnej nocy. Adamowi z sąsiedniej ulicy zwyczajnie pękło serce, choć myślałam, że poszedł się utopić. Przesałdowały go przecież myśli samobójcze. Gośka z naprzeciwnika wyjechała do Warszawy, ty do Kanady.

Ja tkwiłam jeszcze przy rzece, moczyłam w niej nogi i obserwowałam, jak miejscowa

wariatka chodzi wzdłuż jej brzegu i czegoś szuka w trawie, krzakach, mącąc czasami kijem wodę. Pewnego dnia krzyknęła do przelatującego śmigłowca: „Leć, synu, leć! Nie zwracaj se głowy”. Odkryłam wtedy, że stara tęskni za swoim synem pilotem i sprawdza codziennie w trawie, czy z nieba nie spadły jego szczątki. Jesteśmy podobne – pomyślałam sobie – zbliża nas tęsknota i to magiczne miejsce. Może energia tej nadrzecznej łaki miała jakąś moc i przenosiła nasze myśli do tych, których kochałyśmy.

Miesiącami nie nadchodziły listy z Kanady, międzynarodowe rozmowy rwały się, a ja zwyczajnie cierpiałam na brak kontaktu. Przestałam jeść, potem pić i chciałam nawet umrzeć pod wpływem wysokiej temperatury ciała. Nie było to takie proste, choć osiągnęłam w moim umieraniu stadium „życia po życiu”, tzn. zobaczyłam jasny tunel. Strażnik przejścia powstrzymał mnie jednak stanowczym stwierdzeniem: „jeszcze nie pora”, więc znów zaczęłam pić, potem jeść, a może nawet zwyczajnie żyć.

Z monopolowego znikł wkrótce alkohol, potem stopniowo mięso, cukier i inne produkty ze spożywczego. Ze wsi przywożono nam ziemniaki, buraki i marchew. Mieszkańcy zamawiali też mleko, prosto od krowy, i stali w długich kolejkach po chleb z miejscowej piekarni, oglądając sklepowe półki zastawione octem – tego nie brakowało. Pamiętnego dnia przez samo serce miasteczka, główną jego aortą, przejechały czołgi. Ziemia zadrżała, a w oknach zaległa cisza, głęboka cisza. Coś zaburzyło spokojny sen mieszkańców oddychającego zwyczaj równym rytmem miasteczka. W tych okolicznościach nie zrobiła na mnie wrażenia wiadomość o twojej nagłej śmierci w samochodowym wypadku. Dawno straciłam cię z oczu i była to już strata pewna, oplakana, bez żadnej nadziei. „Leć, Jacku, leć! Nie zwracaj sobie głowy”.

Wkrótce i w mojej rodzinie zapadła decyzja o wyjeździe. Zapakowaliśmy przyczepę samochodu meblami: starym tapczanem, biblioteczką, meblościanką, ławą i fotelami, czarno-białym telewizorem, starym adapterem, winylowymi płytami mojej mamy, magnetofonem marki Grundig i

starą pralką „Franią”. Całym peerelowskim dobytkiem. W szoferce zabrakło miejsca dla ludzi, usadowiłam się więc w przyczepie, pomiędzy Franią a brodatym autostopowiczem.

Brodaty okazał się być misjonarzem w cywilu, który zmierzał do Siedlec, by załatwić sprawę z paszportem. Opowiadał o swojej służbie w odległej krainie ludożerców. Twierdził, że żyje dość prymitywnie, że papierosy, które wiezie z Polski to jedyny cywilizowany luksus, na który sobie tam pozwala, że nie boi się o swoje życie, bo ludożercy zjadają tylko mądrzejszych od siebie, a on według nich jest głupi i źle wygląda, po prostu jest trochę za błądy, że oni są zabawni, więc zgłębia ich kulturę, wdycha zapachy, żyje rytmem ich dnia, niby po to, by wzbudzić ich zaufanie, jednak sam już nie wie, kto kogo nawraca i do czego przekonuje. Opowiadał, że już nie tęskni za Polską, tylko za matką, którą tu ciągle zostawia, że on już nie wie, gdzie jego dom, bo on wie, że dom jest tam, gdzie serce, a serce to on zawsze przy sobie wozi. Gawędziliśmy sobie ciepło, a z naszych oczu znikwały pola, lasy, kurczyły się do swojsko brzmiących nazw, wreszcie do zwyczajnych punktów na mapie.

Rozkładałam ją czasami i sprawdzam, w którym

z tych miejsc, gdzie byłam, jestem, będę, ulokować swój dom, swoje serce. Ciągłe je wożę przy sobie.

Koperta

*Pamiętam tylko rzeczy i zdarzenia,
ale nie wiem, co je rozdziela albo łączy
poza moją przypadkową obecnością.*

A. Stasiuk, „Jadąc do Babadag”

Pamiętam doskonale. Wybiegłam zza szafy jak poparzona, posłubiona odpustowym pierścieniem z czerwonym oczkiem; na śmierć i życie, na słowo honoru. Wybiegłam przed dom i zaczęłam wdrapywać się na starą rozłożystą jabłoń, a ty za mną, z gałęzi na gałąź, aż dobrnęliśmy tam, gdzie zniknęła z oczu ulica, a spośród kwitnących gałęzi przezierało niebo. Patrzyliśmy w nie, ułożeni wygodnie w konarach. Kłębiaste chmury układały się w nieodgadnioną wróżbę; ciągle wyjeżdżaliśmy w niej z tego niedookreślonego miasteczka, migrowaliśmy w inne, ciepłe kraje, jak wolne ptaki. Kanada była twoim miejscem przeznaczenia. Moim Polska, brunatna jak koperta,



spadek po tobie, po mnie, po naszym dzieciństwie.

Ciotka Margot przywozła mi tę kopertę, po wielu latach, po tych wszystkich tragicznych zdarzeniach, które dopadły tam ciebie, w miejscu twojej ucieczki, za tą wodą, której nie przebrnęłam. Była to brunatna koperta z napisem: „rzeczy Marii”. Niesamowite, u Ciebie, w tej odległej Kanadzie, w domu polskiego imigranta, zdolnego ponoć fryzjera, miałam swoje rzeczy. W mojej Polsce, która z biegiem lat stroiła się w różne barwy, jak sroka, która chwyta każdą błyskotkę, każdą wstążkę zagranicznych, więc lepszych ideałów, czekał na ciebie odpustowy pierścionek i wszystkie ważne słowa: miłość, wierność, wolność, nadzieja.

Nie wylądował w miejscu na niepotrzebne pierścionki, bo nasza ulubiona rzeka, do której należało wrzucać wszystkie niespełnienia, zamieniła się nagle w zwyczajną, zanieczyszczoną ściekami strugę. Pamiętasz rzekę? Budowaliśmy w niej zapory, gubiłam w niej kwiaty, wstążki i cały arsenał dziewczęcych atrybutów. Pokonywaliśmy ją codziennie po zwalonym pniu. Krzyczałam wtedy wniebogłosy, że zaraz utonę. Uwielbiałam gdy zapewniałeś, że przecież mnie złapiesz. Rzekę nagle ktoś odczarował, zabił. Nie miałam serca wrzucać tam nawet tego, co już umarło. Dobrze to przewidziałeś. Zobacz – mówiłeś – ta mleczarnia uśmierci kiedyś naszą wodę. Nie wierz, Maryś, w rzeki miodem i winem płynące, nie wierz w to, co za lasem, górami. Uwierzyć tylko w tę pierwszą łakę i las, w nasz las, naszą łakę, nasz czas. Nasz czas?

Zawartość koperty jednak mnie zdumiała. Odnalazłam w niej starą pocztówkę z inicjałami J.M. dla M.K. Miała w sobie ciemną nutę Currary. Ha, pozdrowienia zza siedmiu gór i siedmiu rzek. Jednak w nie uwierzyłeś! I czyś ty zwariował? Czarnobiała klisza? Kto mi ją teraz wywoła, w czasach cyfrowej jakości – pomyślałam sobie -takie cacko sprzed lat może okazać się niezłym kłopotem.

Udało się jednak. Siedzę z zapalencem czarnobiałej fotografii w mini-labie. Popijamy starą Yerba Mate z blaszanych kubków - jak za starych dobrych czasów - zaczynamy kontemplować kilka niewyraźnych

plam na fotografii wylaniającej się w jednej z kuwet. Tory donikąd, a właściwie pozostałość po torach, którymi przejechała maszyna łamiąca, pod koniec drugiej wojny światowej. Faktycznie tkwiły w tym miejscu, w trawie, jak dowód rzeczowy, jakby w ukryciu przed pasażerami nowej kolejowej linii, przebłyskiwały wśród wagonów towarowych, ciągnących na wschód. Na drugiej fotografii centrum miasteczka, o pięknie brzmiącej nieużywanej łacińskiej nazwie Cosschovo. W miejscu zburzonych w czasie wojny żydowskich kamieniczek nieśmiertelny znak, symbol śmierci i wroga, o którym nie wolno było zapomnieć. Drogowskaz z napisem Treblinka Muzeum Walki i Męczeństwa. Groźny symbol, który kontrastować musiał z wiszącym na ścianie pobliskiej plebanii obrazem El Greco. Dwa znaki wyznaczające wartości graniczne. Czy to możliwe, by święty Franciszek przeżyć mógł tutaj swoją mistyczną ekstazę? Inna z fotografii przedstawiała stary handlowy pawilon z żalonym sloganem „Dorobek XXX-lecia PRL-u dobrem całego narodu”. Budynek prezentował się marnie. Ktoś złośliwy mógłby rzec, że znajdował się w stanie upadku i niezbyt dobrze reprezentował peerelowskie dorobki. Wierc to była ta nasza bajka? Sceneria naszej dożgonnej miłości? Te żalose atrybuty naszego istnienia? – pomyślałam z wyrzutem.

Ostatnia fotografia uwieczniła ciebie z indiańskim łukiem. Patrz dokładnie, obserwuj każdy cień, każdy rozbłysk światła wkradający się w przestrzeń zdjęcia - mówi fotograf-pasjonat, w którego domu suszę właśnie moje wspomnienia. Wyteżam wzrok. Napinam łuk, by poczuć twój oddech za sobą. Podtrzymujesz moje dłonie, mierzymy w daleki cel, jeden punkt, w którym światy przyszłe i przeszłe przenikają się. Wszystko w nich jest zaczęte i nieodgadnione. „Na śmierć i życie!” – wspominam słowa naszej dziecinnej przysięgi i wznoszę toast do chłopca ze starej fotografii.





ADAM ŚWIĄĆ

NA(O)DZIEWANIE

Jest czwarta nad ranem. Już kończy się grudzień.
 Znów w łeb wali budzik, co właśnie go budzi.
 W mieszkaniu jest zimno. Poza tym w porządku.
 Musi się ubrać. Z początku
 w skar prawą petkę, w skar lewą petkę,
 w kal jedną eson, w kal drugą eson,
 w pod tors koszulek, mmm! urwał etkę,
 spo-ko dnie szula aż trzeszczą.
 W obu stopy wie, ech! palto lichy,
 pod cza czachę pę, w rę dłoń kawicę.
 Bierze śniadanie, wychodzi cicho.
 Trza być na szóstą w fabryce.
 I w tram je waju, tak bez popitki,
 w auto śpi busie, śni o Afryce.
 Za oknem grudzień zimny i brzydki.
 Trza być na szóstą w fabryce.

POMARAŃCZE

Jesienny wieczór trzydzieści lat temu.
 "Dziennik" donosi, że w ramach eksportu
 Śląsk wysłał Moskwie węgiel, dzięki czemu
 okręt z Hawany zbliża się do portu.

Na nim cytrusy. Za dwie, trzy dekady
 dotrą i tutaj. Rząd o nas pamięta.
 W kolejce postać trzeba - nie ma rady -
 kupić, powąchać i schować na święta.

Często bywało, że się zapomniało
 gdzie się schowało pomarańcze one.
 Po Nowym Roku się je znajdowało

pokryte pleśnią albo pomarszczone.
 Wtedy od płaczu aż mi drżała broda.
 Choć już dorosłem - do dziś mi ich szkoda.

1978

Gierek rządził, kłós dojrzewał,
 słońce grzało, Gerczak śpiewał
 "Zabrałaś mi lato".
 Znakomite były czasy,
 zakładowe były wczasy.
 Nic nie chcieli za to.
 Nic nie chcieli. Ścisłej - prawie...
 Powiedzieli na odprawie:
 "Rusza akcja *LATO*.
 Chwast tak zwanej opozycji
 sprawą rezerw jest milicji.
 Co koledzy na to?"
 W ORMO jest się i na wczasach,
 więc śledziłem ją po lasach.
 Zabrała mi lato...
 Pokochałem ją, mój Boże,
 chociaż może była w KOR-ze...

To se już ne vrati...



JOANNA ZAKRZEWSKA

MAŁA MARILYN MONROE

– Suko...? Tu żona Rafała.

– ...

– Jesteś tam jeszcze, ty suko?

Twarz Agaty zaciska się, zamyka od środka.

Dziewczyna wyłącza telefon i odkłada go na szklaną ławę. Po chwili aparat znów buczy jak zdenerwowany trzmiel i kręci się wokół siebie na niewidzialnych nóżkach.

Oczy Agaty śledzą wibrujący telefon. Jest taka śliczna. Trójkątna buzia niemal ginie w falujących włosach. Mały kocurek. Mała Marilyn Monroe. Mała czarodziejka.

Bo Agata czaruje w swoim mieszkaniu. Dwa krzesła, dwie róże w wazonie, dwa identyczne obrazki. Nawet szlafroki są dwa – białe i różowe. Ten biały wciąż czeka; Agata nie pozwala mu wkładać się na przypadkowe ciała. A takich pełno przy Agacie. Klęczą przed nią, łaszczą się... A potem ubierają się prędko i wracają do żon, kochanek

i narzeczonych, by za jakiś czas znów stanąć w progu mieszkania Agaty i żebrać.

Pozwala im być z sobą. Daje swoje ciało, bo chce być kochana. Oni są z nią pospiesznie, wieczorami, popołudniami. Nigdy w nocy. W nocy Agata jest sama. Często budzi się w ciemności i dotyka zimnego prześcieradła po drugiej stronie łóżka.

– To już zawsze tak...? – myśli wtedy.

Telefon znów brzęczy. Wstrętny, obrzydliwy trzmiel. Buuu! Buuu! Agata nie odbiera.

Patrzy na mnie i mówi:

– Przecież ja tylko chcę kochać... Czy to taki straszny grzech?

Moja Agata... Mała Marilyn Monroe...





IRENA NAUMOWICZ

Postęp

bo wiszący jest przeklęty przez Boga
Pwt 21,23

a wiatr nim kiwa w tył i w przód
jak wahadło zegara
jak serce dzwonu
jego serce nie bije
jego czas się skończył
tylko wciąż trwa ruch

a wiatr nim kiwa w tył i w przód
a on się nawet nie złości
nie podnosi głowy na wrony
i nie otwiera gniewnych oczu
tylko wciąż trwa ruch

a wiatr gwiżdże i wyje
a powietrze nie gra w płucach
dźwięk w gardle otulonym pętlą
tylko wciąż trwa ruch

ciało wisielca.
wystawione na widok publiczny-
- ku przestrodze
- padł ofiarą wiecznego ruchu



MAURYCY WITKOWIAK

NOTATKI ULICZNE

Spaceruję ulicą. Zamieniam się teraz cały tylko w patrzeć, wyłącznie we własny wzrok. Nie docierają do mnie żadne odgłosy. Jestem poza nimi. Obserwuję. Jestem tylko moimi oczyma. Niczym więcej. Tylko oczyma.

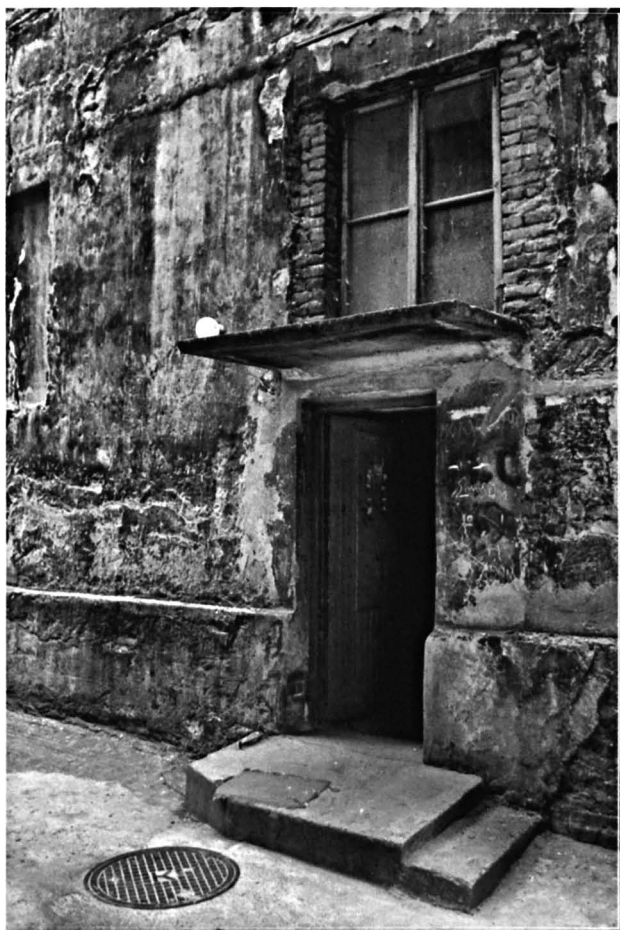
Jedna z głównych ulic miasta. Mijam slalomem wykrzywione w obłąkańczym grymasie twarze ulotkarzy w niebieskich i czerwonych kostiumikach. Przechodnie biorą ulotki, poczym wyrzucają je do najbliższego kosza. To taka niepisana umowa. Obluda.

Idę dalej. Z luksusowych salonów i siedzib banków bije oslepiające światło. O tak, miasto kocha mnie, o ile mój portfel jest pełen. Wtedy panie w idealnie odprasowanych kostiumikach otworzą przede mną drzwi, będą się krzątać, uwijać wokół mnie, uśmiechać... Będę mógł mieć pewność, że zostanę potraktowany poważnie.

Z pustym portfelem jestem śmieciem, taką ulotką wyrzuconą do kosza, anachoretą. Wtedy miasto mnie nie kocha, nawet nie zauważa mojego istnienia, przecież mnie już nie ma, istnieją tylko sumy, karty kredytowe, bankomaty, kody PIN, czeki... Całkiem sporo rzeczy. Można nimi przykryć wszystko, nawet własną mierność...

Schodzę z deptaku, przybliżyłam się do bramy i zapalam papierosa. Uspokajam się. Bądź co bądź, mogę ciągle jeszcze patrzeć na to wszystko z boku, jak widz zasiadający w teatrze. Sam mogę zdecydować kiedy przyjdzie mi wejść w to bagienko. Niestety, nie mam bogatego wujka, po którym odziedziczyłbym spadek, tak jak to przytrafiło się jednemu z moich przyjaciół. Jestem sam. Sam.

Patrzę dalej. Ulicą przelewa się samotny tłum. Każdy zakochany w sobie. Nagle spada deszcz. Trzaskają otwierane



Grzegorz Pawlak

parasole niczym monstrualne kwiaty, tłum rozpięzcha się na wszystkie strony. Czy zauważyliście, że ludzie coraz bardziej boją się deszczu? Czyżby natura stawał się im coraz bardziej obca? A może nie chcą już wcale jej odczuwać, bo po prostu nie jest im do niczego potrzebna?

Jeszcze jedno spojrzenie. Odchodzę. Wyjeżdżam gdzieś za miasto. Do lasu. Wolę szelest liści niż banknotów.





JAKUB ANTOLAK

motyw klasyczny

zamiast mówić o sprawach wiecznych,
kryje się pod kołdrą i śmieje, mówiąc:
to przecież cała tajemnica istnienia –
chrapliwy śmiech, ruchy krtani, ust,
wypluły was, całą zieloną ziemię.
(bo dla nas najważniejsza jest zieleni, nasze bagienko).
ze śmiechu więc, ze śmiechu, z czego więcej?

czyja krtani, kto wypluł
i gdzie były/są jego nogi,
nie odpowiedział.

- kiedyś ludziom wystarczyło,
że ziemię podtrzymuje żółw,
lub inne zwierzę, a teraz –
jakże wam tu opowiadać bajki.

*

wszystko jest zapisane w zeszycie
to znaczy – inny świat każdemu przeznaczony,
może z przewagą dźwiękowej albo zapachowej
metaforyki: kto wie,
jeśli się pięść zaciśnie mocniej
na naszej ziemi, wzdłuż równika,
jakim językiem będziecie wtedy
mówili?

(strona po stronie kartkuje notes)

o tu, siedemset dwudziesta,
rok tysiąc dziewięćset ósmy,
Podkamienna Tunguzka,
mało brakowało. nie uwierzysz,
jadłem ciasto, rodzynka mi
wypadła.

gdybanie

gdybyśmy jeszcze umieli
nie tylko patrzeć w górę, ale i patrząc w dół
umiejętnie wertowali strony książek,
jakże uporządkowany byłby nasz prywatny
wszechświat. tkwiący między dwoma jabłkami
na brzegach stołu, spiętrzający się w środku
pofałdowanym obrusem. przez te niskie góry
można by było wędrować, wśród spokojnych
chmur i osadzonych na stromiźnie drzew,
punktów kontrolnych w drodze na przeciwny
biegun. rzeki tkwiące we wgłębieniach,
jeziora w koronkowych oczkach, pchli cyrk
w naparstku, co wygląda jak fabryka.

i dosyć horyzontu, przekłetej linii granicznej,
nic, nawet pozornie, nie może ograniczać przestrzeni.
wszystko musi ją w sobie zawierać.



KRZYSZTOF KWOCZKO

TYGRYS I PIELGRZYM

Pewien stary pielgrzym, wielce utrudzony w drodze do świętego miejsca, przysiadł pod drzewem i zasnął. Kiedy już zasnął bardzo głęboko, przyśniło mu się, że pewien bogobojny mąż wielce utrudzony drogą do świętego miejsca położył się pod drzewem i zasnął, a kiedy już zapadł w najgłębszy sen przyszedł do niego tygrys.

Tygrys usiadł obok pielgrzyma. Przyjrzał mu się dokładnie. Mężczyzna miał na sobie tylko jedną suknię, którą zakrywał swe wychudłe ciało przed wzrokiem bliźnich i żarem południowego słońca. Nie wydawało się tygrysowi, by kiedykolwiek ten sprany łach był przyzwoitym ubraniem. Obok śpiącego człowieka leżało jego zdjęte teraz obuwie, para lichych, rozpadających się już sandałów. Nie tylko strój wędrowca wyglądał nie najlepiej. Cała jego postać robiła wrażenie ogólnego wycieńczenia. Wychudłe członki i zapadnięty tułów nie radziły już sobie z wędrówką.

Dziwne – pomyślał tygrys. – Los pchnął tego starego w pielgrzymkę, pchnął i pewnie jakieś łaski szczególne mu za to przyobiegał. Człowiek poszedł, bo ma taką naturę, że podąża za swym losem i jednocześnie stale zabiega o jego łaski – myślał dalej. – A teraz los wydał go w moje szpony. Moja natura jest taka, że jak mogę zjeść to jem i tego starego też nie oszczędzę.

– Biedny ten człowiek, głupi jego los i bezwzględna moja natura – powiedział do siebie tygrys i pochylił się nad pielgrzymem żeby odgryźć pożywny kęs jego ciała. – A co z łaskami, które mu los przyobiegał, a których dać mu nie chce?

A może by tak – myśli tygrysa pobiegły zupełnie innym torem – postąpić wbrew własnej naturze i nie pożreć starego... Za tydzień, może za kilkanaście dni dojdzie do celu i los będzie musiał mu dać łaski, które mu nie były pisane. Zaprzeczę sobie, ale zakpię z losu.

Myśl ta strasznie rozbawiła tygrysa. – Zabawić się kosztem losu, no no – powiedział do siebie, popatrzył jeszcze raz na śpiącego



Miroslaw Koczkodaj

mężczyznę i oddalił się w stronę, z której przyszedł.

Idąc, tygrys natknął się na młodego jelenia, który schowany na skraju lasu przyglądał się całej tej scenie.

– Głupiś – powiedział jeleni. – Mogłeś zjeść tego człowieka.

– To ty jesteś głupi – odparł tygrys. – Wczoraj jadłem wieśniaka, dziś mam ochotę na jelenia!

– Głupi tygrys – pomyślał bogobojny mąż wybudzając się ze swego dziwnego snu. – Postąpił wbrew swej naturze i zrezygnował z tak łatwego kąska – i obudził się ponownie...





ŁUKASZ JAWORSKI

Komunał

Całkiem darmo gratis i non - profit
krytyczne elogium
kojące jak o pięknym głosie
klechy dotyk

rok po Czarnobylu
a dwa przed trawestacją Berlina
w Jerycho
pępowina jak smycz
go owija

ledwie słów parę znałem
najczęściej UPADEK
gdzieś tam coś i ciągle, ciągle, wszędzie
tylko UPADEK

nauczyłem się chodzić i ja nie upadałem. Ani mi się śniło
ale coś ciągle, wszędzie, że wtedy ten długopis jak bydlak nagryzdał
nie miałem pojęcia co, aż zacząłem podróżować z Moskwy do Pietuszek i z Pietuszek do
na wargach co wieczór ubabrany komsomołki łą

i uzmysłowiłem sobie fuks urodzenia rok po Czarnobylu
dwa przed trawestacją w Jerycho

i wiem, że
jednak zamiast modlić się o kartki
na wódkę
lepiej modlić się o słowa
na kartki

zapewne to komunał ale:
Dziękuję



AGNIESZKA ŻUCHOWSKA-ARENT

PAPIER

Wtedy jeszcze Bronowice drżały rezonansem zamaszystych podskoków i echem zbyt głośno śpiewanych pieśni weselnych z zeszłego wieku. Złotorożne liście wokół osiedla kołysały się twierdząco, jakby chciały przypomnieć że: *trza być w butach na weselu!*

I pan, który wychodził zza bloku alejką buty miał, i to nie byle jakie: lśniące, ciemnobrązowe o połysku szlachetnego mahoni i zgrabnych noskach lekko spoglądających ku górze; wypolerowanych, rzekłbyś, królewskim aksamitem, bo ich blask z błaskiem oczu zakochanej kobiety można było jedynie porównać.

Powyżej srożyły się bezwzględne ostrza kantów prążkowanych spodki i majaczyła wypielegnowana dłoń dzierżąca oprócz bambusowej złotogłowej laski, również parę eleganckich rękawiczek z miękkiej brązowej skórki. Tuż pod sztywno wykrochmalonym kołnierzykiem od lewej kie-

szonki kamizelki wiódł szlak złotego łańcuszka, na którego końcu znajdował się zapewne mały kształtny czasomierz. Dyskretne szkła w drucianej oprawie wzmacniały zmęczony już bardzo, ale wyraźnie szlachetny, wzrok.

Wzrok ten poprowadził swego właściciela wprost do jednego z małych osiedlowych sklepików, co to oferują swym klientom wszystko to, co zaspokojeniu najdoraźniejszych potrzeb jest niezbędne. Kimże jest ów niezwykle dystyngowany pan. Dzisiaj już praktycznie nie spotyka się na ulicach tak eleganckich panów.

Niewątpliwie jest gruntownie wykształconym miłośnikiem nauki i sztuki, całą moc swych bystrych niegdyś, oczu niewątpliwie spotrzebował na długie, nieraz całonocne zgłębianie ksiąg i kontemplację dzieł sztuki. Nie jest to raczej myśliciel, filozof ani żaden inny naukowiec, ci zbyt są roztargnieni by pamiętać o codziennej



uważnej pielęgnacji obuwia czy regularnym przystrzyżeniu bródki, która w tym przypadku była prawdziwą ozdobą twarzy, urzekającą geometryczną precyzją. Nie są to też ręce rzeźbiarza ani malarza - ciągnęły kontakt z gliną, farbami, impregnatami, werniksem, nie pozwoliłyby pozostać paznokciom różowymi i lśniącymi, a skórze dłoni - gładką. Może raczej jest to rysownik lub kompozytor, albo człowiek teatru lub opery, aktor, śpiewak albo reżyser. Te przyciemniane z lekka okulary i długi biały szal otulający wrażliwe gardło aktora, reżysera lub śpiewaka operowego. Zdecydowany uścisk laski tuż pod jej złościstą główką zdradza że z autorytetem tego człowieka nie ma dyskusji. Właściwie w ten sposób mógłby też trzymać swoje narzędzie pracy ostropióry krytyk literacki, albo nawet - literat. Tak! Przenikliwe spojrzenie wchodzące jednocześnie w głąb rzeczywistości, jak też z dystansu dochodzące jej sedna. Poprzeczne prążki na szlachetnym wysokim czole świadczą o perfekcyjnym opanowaniu sztuki umiejętności manipulacji słowem tak, aby każdy

odcień myśli znalazł swe odbicie w barwie głosu. Poeta, prozaik, eseista... w każdym razie musi to być wielki literat: światły, utalentowany, precyzyjny...

Wszedł on tymczasem do wnętrza sklepika i zażyczył sobie powidła śliwkowe, chrupkie pieczywo żytnie i papier. Cóż za sublimacja! Jaki minimalizm!

- Papier... toaletowy? - upewniła się dziewczyna za ladą.

- A jakież inny może być papier do jasnej Anielki?! - oburzył się wysublimowany klient. - Co, może panienka myśli że listowy, że będę może listami komuś głowę zawracał? Albo może jakiś papier do wypisywania bzdur jakichś różnistych, co? Literatura psia ich mać! Tego bym do ręki nie wziął! Ja proszę pani jestem człowiek poważny i wiem dobrze do jakiego jedynego celu się papier może nadawać! Niechże to sobie panienka zapamięta na całe życie! I niechże się panienka pośpieszy bo zaraz będzie łać na polu!



FELIKS DZIERŻYŃSKI

Czy marsza mi macie grać wieczne kajdany

Czy marsza mi macie grać wieczne kajdany?
 I pytam się słońca i pytam się ziemi,
 Gdzie droga do życia, gdzie prawo do woli?
 A wokół mnie ludzie, to głusi, to niemi,
 I tylko to dla mnie, co smuci i boli.
 Kochałem poezję, nie cierpię prostoty,
 Marzenia zadały mi ciosy i rany,
 Katusze więzienne przerwały sen złoty.
 Czy marsza mi macie grać wieczne kajdany?

Feliks Dzierżyński (1877) - najsłynniejszy w Rosji poeta polski tworzący pod mecenatem władców Kremla. Zmarł w 1926 r.



URSZULA GRONOWSKA

WIADOMOŚĆ. DYWAGACJE Z PORTRETEM W TLE

Wiadomość

Trzyma w dłoniach zaklejoną kopertę i boi się zajrzeć do środka. To nie może być dobra wiadomość. Patrzy na jesienne liście spadające w ciszy na mokrą aleję, wirują lekko w swoim ostatnim tańcu, podrzucane podmuchem wiatru, nim zalegną grubą warstwą na mokrym asfalcie. Obserwuje uważnie ich lot. Wilgoć rysuje głęboką czernią konary drzew, pomiędzy którymi uwijają się gawrony i sroki. Okrywa się płaszczem, bo zimno jest przenikliwe. Koperta nic nie waży. Lekka jak jesienny liść.

Cichy jęk obcej szuflady pod jej palcami. Skrzyp otwieranego okna. Pozorność czynności. Normalność tych kilku dni, a może niezwykłość. Tyle pięknych miejsc, spacerów i wrażeń. Mimo to dojmująca niepewność. Ciężkie myśli. Bezsenne noce. Szelest przerzucanych kartek. Książki, jej jedyni przyjaciele. Znowu zerka na kopertę. Jest z nią wszędzie; na spacerach, podczas posiłków, cały czas czuje jej chropowaty papier w kieszeni spódnicy i prawie odgaduje kształt liter opuszkami palców.

Pensjonat jest piękny. Lśniące posadzki, szerokie korytarze, egzotyczne kwiaty, pokój z widokiem na jezioro, choć ono takie ołowiane i szare. Wielkie okno pozwala snuć marzenia, co by było gdyby... Chyba oszalała wydając całe oszczędności na pobyt w tym miejscu. Zobaczyła jego reklamę w jakimś czasopiśmie i od tamtej pory marzyła tylko o jednym, odwiedzić je chociaż raz.

Odkłada kopertę na ławkę i patrzy na swoje dłonie, na smukłe palce, linie papilarne i jasny kolor skóry. Poprawia srebrny pierścionek, który zsuwa się bez przerwy, bo ostatnio trochę zeszczipiała. Myśli o tylu rzeczach, aż ją boli głowa. Przypomina sobie pewne opowiadanie sprzed laty, którego bohater był w podobnej sytuacji jak ona. I nagle wpada jej do głowy pewna myśl. Może to jakaś wskazówka dla niej samej. Może powinna spróbować nadgonić



Henri de Toulouse-Lautrec

czas, nadrobić zaległości, spróbować przeżyć wszystko, czego nie mogła do tej pory, w krótkim czasie, który jej pozostał. Jakie szczęście, że przypomniła sobie tamto opowiadanie. Układa dokładny scenariusz na każdy dzień. Wraca do domu z mocnym postanowieniem, ale koperty nie otwiera. Tego jednego nie robi. Czyta w kółko adres nadawcy na podłużnej pieczęcie. Dotyka dłonią białego papieru, próbując odgadnąć, co kryje. Nie potrafi. Ale z każdym nowym dniem drętwieje ze strachu coraz bardziej i serce podchodzi aż do gardła.

Nigdy nie była tak zorganizowana jak teraz. To się jej nawet podoba, bo po raz pierwszy wie, czego chce. Muzea, kina, staromiejskie kawiarnie, spacer po całym mieście, parku, chociaż wieczorem pada ze zmęczenia. Wszystko zapisuje w swoim notesie. Szczegółowo i dokładnie. Musi

zdażyć. Jeszcze to i tamto. Pisanie to dobra terapia. Zamknięta koperta nadal leży na nocnym stoliku. Widzi jej biel nawet podczas bezsennych nocy. Kładzie się, ale nie śpi. Słyszy tylko zegar w przedpokoju, który bezdusznie odmierza czas. Serce próbuje doścignąć jego rytm. Nie da się zasnąć z myślą, że w tej kopercie może zawierać się jej cała przyszłość. Wiosną byłoby łatwiej, tak nie lubi zimy. Wstaje, zapala światło i staje przed lustrem. Po raz kolejny bada dłońmi swoje ciało. Czuje małe zgrubienie pod cienką skórą tamtego miejsca. Mały ból pod naciskiem palców i w jednej chwili ogromnieje centymetr strachu. Pamięta dobrze długą igłę podczas biopsji i kropelki krwi. Moment przerażenia. Zaciskała zęby, kiedy prawie cała zagłębiła się w jej ciele. Bolało. Ostatnim razem lekarz był bardzo poważny. Zdjął okulary, długo oglądał wyniki, zawiesił głos i patrzył na nią stroskany. Wreszcie powiedział, że trzeba powtórzyć badania. Przed oczami jak w kalejdoskopie sceny z ostatnich dni: wczorajszy spacer po jesiennym lesie, piękne słońce wiszące czerwoną kulą nad dziwnie nieruchomym jeziorem, niesamowita cisza, strwożony krzyk jakiegoś ptaka, aż przeszył ją strach. Drżącą ręką rozrywa kopertę.

„Informujemy, że w związku z pomyłką systemu komputerowego Pani dane - tu nazwisko i imię - zostały mylnie odczytane. Wynik badania negatywny. Fibroadenoma mammae benigna (M-9010)”.

Mroccki przed oczami i przyspieszony puls. Czuje jak wielki ciężar odpływa z jej napiętego ciała. Jest lekka jak jesienny liść.

Dywagacje z portretem w tle

Oglądając portrety warto dostrzegać nie tylko fizyczny aspekt modelu, ale również to, czego na pierwszy rzut oka nie widać, a czego można się tylko domyslać. Chodzi o jego wnętrze. To jak zagadka do odszyfrowania, nasuwająca wiele domysłów i skojarzeń.

W galeriach malarstwa można spędzić wiele czasu, dając się ponieść tego rodzaju emo-

cjom. Próbowалаm tego nie raz. O czym mogły myśleć osoby portretowane podczas długiego, nużącego aktu pozowania? Gdzie błądziły ich myśli i marzenia i co w danym momencie zajmowało ich uwagę? Podczas takich dociekań każdy oglądany portret ożywa i mam świadomość, jakby zapraszał mnie do głębszej i uważniejszej analizy, jak gdyby dawał mi szansę swojej opowieści, której mogę być świadkiem. Jeśli jest to postać osadzona w ścisłych realiach historycznych, sprawa jest jasna, trudniej, gdy portretowany jest anonimowy. To szansa dla mojej bujnej wyobraźni, kiedy portrety mogą ożywać w niesamowity sposób, a ja wręcz czuję się zaproszona do rozmowy z nimi i do zmierzenia się z czymś osobistym. Czy między modelem a malarzem wywiązywała się jakaś rozmowa, a jeśli tak, to na jaki temat? Na ile modelom starczało cierpliwości, ile czasu wytrzymywali w swoich nieruchomych pozach i czy w końcu byli zadowoleni z efektu końcowego? Co decyduje o tym, że jedne portrety nie wzbudzają we mnie takiego zainteresowania, podczas gdy inne, każą się wręcz zatrzymać? Niektóre postaci z portretów hipnotyzują mnie swoim spojrzeniem, jakby się o coś pytały lub chciały mi coś powiedzieć. Lubię prowadzić grę spojrzeń, wtedy zawsze mam wrażenie, że portrety mimo swej statyczności są żywe. Szczegółowe analizowanie modeli jest wejściem w ich życie i problemy - błysk w oku, ciepło spojrzenia, pytanie w kąciu ust, drgnienie powieki, niewidzialny gest, gra emocji. To prawie jak obcowanie z żywymi, może przemówią do mnie własnym głosem.

Odnoszę wrażenie, że postaci z portretów patrzą na mnie z każdego punktu wystawowej sali, czuję ich spojrzenia, jakby i one mierzyły mnie od stóp do głów. Moja percepcja, gdy chcę wejść w obraz jest bombardowana tyloma faktami. To dobrze, to znaczy, że obraz - portret jest właśnie prawdziwy. Portret wtedy przemawia, kiedy niesie całą gamę pytań i ewentualnych odpowiedzi. Szczególna nić porozumienia pomiędzy mną a oglądanym rodzi się właśnie na linii wzroku, która jest dla mnie łącznikiem pomiędzy przeszło-

ścią a terazniejszością. Patrząc więc na różne twarze, a na nich widać tyle emocji: spokój, powaga, dostojeństwo, pycha, radość, uciecha, cała paleta uczuć i przeżyć, od bólu i udręki, po zaskoczenie i strach. Czasem ledwo wyczuwalne napięcie i niepewność, czasem wstyd, a przez to delikatność, ulotność myśli, wręcz spłoszenie. Osoby portretowane są tak różne: niektóre nienaturalnie napuszone wywołują mój uśmiech, inne, współczucie. Jedni wręcz nie pasują do ram portretów ze swoimi twarzami, gestami czy atrybutami. Na przykład bohaterowie obrazów La Toura ze świecą w dłoniach, z blaskiem światła odbijają jakąś niewiadomą, tchną magią i ciszą, skrywając jakąś tajemnicę.

Wczucie się w obraz, w jego epokę, warunki i życie modela to tak, jakby odkurzyć historyczną warstewkę i zajrzeć świadomie w jej głąb. To jak wędrówka w przeszłość, w inny wymiar, „dotykanie” historii.

Portret jest wartościowszy, gdy malarz malował go z natury. Kopiowanie nie zawiera już tego całego ładunku emocjonalnego, który wywiązuje się pomiędzy mistrzem a jego modelem. Jedni wyglądają na odprężonych, inni ze zmarszczką na czole, marsową miną, kryją własne problemy. Niektórzy noszą na swoich twarzach cierpienie i zapowiedź bolesnej przyszłości, może przedwczesnej śmierci, tragicznych losów, a jeszcze inni, jakieś zamyślenie nad tym, co ich czeka, chwilową radość młodości. Widać też żal przemijania, umykania życia, tego nieodwracalnego procesu, którego nie da się zatrzymać. Może dlatego są tak bliscy, choć zakłęci w sztywnych ramach obrazów, na wyblakłych płótnach milczące postaci sprzed lat. W tym geście znieruchomienia portretowani spoglądają na mnie trochę jak na intruza, wchodzącego po trosze w ich intymność. Uchwyczone w jednej pozycji ręką malarza, tylko bystremu obserwatorowi dają przyzwolenie na wejście do ich wnętrza. Postaci ze spojrzeniem skierowanym lekko w bok (np. u Piombo czy Tytjana) należą do trudniejszych w odbiorze, a wizerunki portretowanych, którzy kierują swój wzrok gdzieś w dal, nie dają się jednoznacznie zakwalifikować. U Lorenzo



■ Henri de Toulouse-Lautrec

Lotto portretowani mają głębokie i przenikliwe spojrzenie, prawie świdrujące, co wzmacnia uczucie napięcia modela, umieszczonego na ciemnym, niespokojnym tle. Inaczej ma się sprawa z jasnością, wręcz dotyknością portretowanych, oddaną na płótnach J. Ingresa. U Holbeina rysy twarzy są przedstawione tak drobiazgowo, że aż bliskie brzydocie. Nieatrakcyjność twarzy, wzbogacona kolorem widoczna jest na portretach hiszpańskiego dworu królewskiego Goyi, który nie wysiłał się wcale, by je upiększyć. Nadęci infanci w całym swym władczyim przepychu, niezbyt urodziwi i bezkrytyczni wobec siebie, powodują, że mogę o nich snuć całkiem inne opowieści.

Istotną rolę w przekazywaniu uczuć z portretów odgrywa kolor. Rzecz nie tylko w kolorystyce postaci, twarzy i ubiorów, ale tła, drugiego planu, tej głębi, która podkreśla w większym lub mniejszym stopniu psychikę modeli.

To przenikanie się terazniejszości z przeszłością z portretów jest niezwykle emocjonujące i nie kryje, wibruje we mnie z ogromną siłą.





Z. MAREK PIECHOCKI

Oni

Oni
zaraz wrócą

Zaraz wrócą
tylko zapomną
jak stawia się
kroki zdrady

Na pewno wrócą
i postawią nas
z „Boże coś Polskę”
na ustach
odwieczni dyrygenci
Ojczyzny
z polakierowanymi
na nowo
czołami

Rozrachunki

Nanizuję dni na sznur niespełnień

Minuty godziny zaprzestanych rozmów
niedomówione słowa nierozmyślnie postęпки
tkwią ościeniem w rozwartych oskrzelach
sumienia

Rozgrzeszenie
albo
czerwone pigułki na amnezję

Wyrywanie języka prawdy

Nieudane



BENEDYKT OLSZEWSKI

DZIWNA DZIEWCZYŃKA

To była dziwna dziewczyna. Dziwna od początku do końca. Nawet jej imię miało dziwną historię, bo wybrał je dla niej proboszcz. Przed chrztem rodzice powiedzieli, że jest im obojętne jak ona się będzie nazywać, a tak właściwie, to mogłaby w ogóle nie istnieć. Nie ma więc sensu wspominać jej imienia. Skoro nikogo ono nie obchodziło wtedy, to i teraz nie będzie.

Wkrótce okazało się, że dziecko istotnie było dziwne. Dziwne były listy do świętego Mikołaja: „Proszę cię, żeby mamusia i tatuś przestali się kłócić”. Dziwnie się modliła: „Panie Boże, pomóż mi być lepszą, żebym nie denerwowała mamusi, bo ona wtedy musi na mnie krzyczeć”. Dzieci w jej wieku proszą o lalki, misie i ciasteczka, więc dlaczego ona nie mogła? Każdy by się tego po niej spodziewał, jednak trudno było ją oduczyć zajmowania się głupotami. Jakby tego było mało, prawie nie sypiała, zawsze niepewna, czy lada moment nie wybuchnie jakaś kłótnia, a wybuchwały one



Joanna Bukowska

często. I cóż z tego? Powinna przywyknąć, a nie starać się zmieniać zwyczajnego świata.

W końcu zdecydowała się zmienić swój los, a raczej go uciąć. W młodym wieku zwinęła się w kłębek i po raz pierwszy w życiu smacznie zasnęła.



TOMASZ SMOGÓR

Czekam

Widzę czarnego ptaka, który leci (do mnie)
by się ze mną przywitać.
Cieszę się jak na długo oczekiwanego gościa,
który w końcu przychodzi.
Na razie to mała kropka na horyzoncie.
Czekam w wielkim oknie
z białą emaliowanymi ramami.
Później idę na boisko.
Mam dwanaście lat.

Niedzielnny spacer

Wyregulowana przestrzeń: elementy się scalily
Słońce zapieka niedogodne resztki jak lut
Teraz wprowadza nas w niedzielne południe
Siedzimy na promenadzie
Nie wyrywam się jak część nie-stąd: pozostaję

Jestem częstką tej bożej miłości



ROBERT RUSIK

Skutki nadużywania alkoholu można ogólnie podzielić na dwie grupy. Te, które powodują straszliwy ból głowy, suchość w gardle, światłowstręt i mniejsze lub większe drżenie rąk, czyli tak zwanego kaca, mijają zazwyczaj na drugi dzień. Znacznie gorsza jest druga grupa – tego, co można nawywić podczas pijackiego szału, tak łatwo odkręcić się nie da.

I co ja teraz mam z tym zrobić? Nie dość, że w głowie huczy, że za cholerę nie mogę się skupić na niczym, to jeszcze to... A tyle razy sobie obiecywałem, że już tego nie powtórzę. Raz mi się przydarzyło – z bólem serca musiałem potem wszystko odkręcać. I jeszcze potem te krzywe uśmiešky, ukradkowe spojrzenia kolegów... "To ten partacz" – szeptali za plecami. Obiecałem sobie, że przed egzaminem już nigdy nie będę się bawił w taki sposób.

Ciekawość badacza... Kiedy na ćwiczeniach obserwowaliśmy próbki wyhodowane przez profesora, nie mogliśmy wyjść z zachwyty. Wszystko poukładane: bezproblemowy rozwój populacji, odpowiednio wyselekcjonowane środowisko naturalne, prawidłowo zbudowany łańcuch pokarmowy, pozwalający na - w praktyce ograniczony tylko wielkością próbki - błyskawiczny rozwój.

Jak to się miało do próbek hodowanych przez nas? Z reguły błyskawicznie stawały się jałowe, hodowane przez nas żyjątka nadmiernie się rozmnażając momentalnie ginęły z głodu. W innych próbkach fatalnie dobrane łańcuchy pokarmowe powodowały szybkie wymieranie jednych stworzonek i przekształcanie innych w karykaturalne formy. Sztuką było zrobić preparat, w którym koegzystowało kilkanaście tysięcy osobników. U profesora było ich setki milionów!

Czy nasze głupie zabawy brały się z zazdrości wobec osiągnięć profesora? Zapewne. Podkradaliśmy mu notatki, starając się zaplanować hodowlę choć w niewielkim stopniu przypominającą jego dokonania. Oczywiście również eksperymentowa-

DZIEŃ PO...



Bogumiła Jarecka

liśmy trochę na tych stworzonkach, zawsze jednak pamiętaliśmy, że są granice, których przekraczać nie wolno. Nawet tak marne żyjątka mają prawo do swobodnej egzystencji.

Ja jednak, po paru głębszych, postanowiłem złamać absolutny zakaz. Zrobiłem coś, czego na trzeźwo nigdy bym nie zrobił. Naruszyłem dwie zasady, za których nieprzestrzeganie obowiązywał bezwzględny nakaz usunięcia z Akademii.

Pierwsza – ukradłem profesorowi kompletną próbkę. Oczywiście w innych celach – chciałem ją dogłębnie przeanalizować, by zaskoczyć kolegów podczas ćwiczeń swoimi rozwiązaniami i uzyskać zaliczenie.

Druga – tak, wiem, że mieliśmy zakaz, absolutny zakaz obdarzania tych stworzeń inteligencją. Ale poniosło mnie. Podpuszczony przez kolegów, zdecydowałem się pójść na całość.

Obserwuję teraz, jak błyskawicznie rozmnażają się, egzystują i – co najgorsze – nieuchronnie dążą ku samozagładzie. Jak im wytłumaczyć, że to był tylko głupi dowcip? Nie mam śmiałości zwrócić się do nich i przeprosić. Widzę, jak kolejne pokolenia wyczekują mnie na tej...

Jak oni ją nazwali? Ziemia?





MAŁGORZATA POŁUDNIAK

piętno

Wędruję trwającym światem
w zapomnienie, płynę
beziemiennym oceanem donikąd.

Jest zimno, bliżej mi do
lodowca, białych gór
miejsz z których nie ma ucieczki.

Wśród własnych żywiołów
odbiję na dnie moje spojrzenie
lód który nigdy nie stopnieje.

moje stworzenie

W żebrze utknęłam,
w tym jednym zaplątana,
miałam być jednością.
Tlen mi się kończy

Epilog

prawie szczęśliwa
słów jeszcze pełna
żyję nadal
choć niespełniona

pięknie być mogło
godnie jesienią razem
schyłek nasz
bezwieżdny

odwrócenie
nie słyszymy siebie
iluzje kart wyblakły
bezkrytyczni egoiści



KATARZYNA REDMERSKA

SŁUCHAJĄC SERCA

Siedziała w pustej kuchni, zmierzchało już.

Serce jej przepełnione było ogromem różnych odczuć. Zasadniczo w chwili obecnej żałowała, że postanowiła się tu zatrzymać.

Joanna machinalnie dotknęła pulsujących skroni jakby w ten sposób można było zatrzymać galop myśli przesuwających się w jej głowie. Była dzisiaj zaproszona na wieczór autorski do biblioteki w Kłodzku, gdzie miała przedstawić swój najnowszy tomik poezji. Zamiast jechać prosto do Kłodzka, głupia, postanowiła przyjechać do Łomnicy i zatrzymać się na noc w domu po dziadkach.

- Po cholerę tu przyjechałam! – krzyknęła na głos. Minął rok od tego zdarzenia a ona każdego dnia żałowała tego, co się wtedy wydarzyło. Serce bolało na wspomnienie Michała.

Mieszkała we Wrocławiu, jednak każde wakacje spędzała u dziadków w Łomnicy. Kilka lat temu poznała tam Michała, weterynarza, który pracował naukowo, ale postanowił otworzyć praktykę w Łomnicy i tu się przenieść na stałe. Gdy się spotkali, po pierwszym spojrzeniu wiedzieli, że jest to miłość od pierwszego wejrzenia. Nigdy nie wierzyła, że może taka miłość ją spotkać a jednak. Wszystko było super do chwili feralnego dnia rok temu. W czasie rozmowy Michał wspomniął, że szykuje pokój na górze, aby miała swój własny gabinet, bo jak się pobiorą to chyba rzeczą oczywistą jest, że zrezygnuje z pracy w wydawnictwie i zajmie się tylko tłumaczeniami na zlecenie. Popatrzyła na niego tak, jakby zobaczyła go po raz pierwszy i jakby coś w nią wstąpiło. Wstała i z krzykiem powiedziała:

- Chyba zwariowałaś! – Krzyknęła. – Ty mówisz na serio? No dobrze, że powiedziałeś to teraz a nie po ślubie! Znaczący się, że chcesz kurę domową za żonę. O nie, mnie to nie interesuje mój miły! Myślałam, że to raczej Ty przestaniesz się bawić w doktora Judyma i wrócisz do miasta. Jak mogłeś w ogóle pomyśleć, że zechcę zostać na tym



Miroslaw Koczkodaj

pustkowiu! – Cały czas krzyczała i nerwowo chodziła po kuchni. Po chwili zdjęła pierścioneńkę zaręczynową i rzuciła go w kierunku mężczyzny. – Ślubu nie będzie, słyszysz? Nie będzie. – powiedziała histerycznie. – Gdy po chwili spojrzała na Michała zamarła. W jego oczach widziała wielkie rozczarowanie i niesmak. Po chwili, która dla niej trwała wieczność powiedział lodowatym tonem:

- Nie wiedziałem, że taka jesteś. Cieszę się, że poznałem twoje prawdziwe „ja” teraz.
- No i dobrze. – Fuknęła i trzasnąwszy drzwiami wybiegła.

Od tego czasu minął rok. Wiedziała teraz, że nie dała mu się wytłumaczyć. Michał od tego czasu nie odezwał się. Czy jednak po tym przedstawieniu, które mu urządziła mógł zrobić inaczej? Zachowała się nieodpowiedzialnie, jak niedojrzała osoba.

Znała dobrze Michała i wiedziała, że nie podciąłby jej skrzydeł. Jeżeli zaproponował takie rozwiązanie, to chyba była to tylko propozycja? Ona jednak od razu ryknęła na niego i wypadła z domu jak burza. Do dzisiaj na wspomnienie swojego zachowania palily ją policzki ze wstydu. Wycho-
dząc do samochodu, spotkała sąsiadkę, po przywitaniu, tamta powiedziała:

- Pan doktor nadal tu mieszka, sam. – Ostatnie słowo zdawać by się mogło wypowiedziane było z naciskiem. Joanna wiedziała, że sąsiadka wie o wszystkim, jak cała wieś z resztą. Udała, że nie słyszy, co tamta mówi. Szybko wsiadła do samochodu.

Jadąc do Kłodzka postanowiła, że jeszcze dzisiaj rozmówi się z Michałem. Nie może tego tak zostawić. Wszystko jest skończone, to pewne, ale nie w ten sposób. Winna mu jest przeprosiny za swoje zachowanie.

Podczas podpisywania tomików, spotkała się z bardzo miłym przyjęciem. Najbardziej podobał się wiersz *Sluchając serca*. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że napisała go dla

ukochanego. Biorąc kolejny tomik do podpisania zapytała, który wiersz najbardziej się podobał.

- Wiersz dla mnie. – Powiedział znajomy głos. – Serce jej zamarło. Spojrzała w górę.
- Michał? – Zabrzmiało to raczej jak pytanie niż stwierdzenie.
- Tak. – Mężczyzna uśmiechnął się do niej ciepło. – Pytam czy ten wiersz był dla mnie? – Spuściła głowę. Mężczyzna delikatnie ujął ją za podbródek. Nie patrzył, że kolejka za nim zamarła a wszyscy śledzą ten niecodzienny obrazek. – Pytam, dla mnie?
- Tak. – Odpowiedziała z mocą.
- Czy gdybym ci teraz powiedział, abyśmy powrócili do tamtego dnia i zaczęli jeszcze raz? Co byś mi odpowiedziała?
- Tak. Odpowiedziałabym, że tak.
- W takim razie jak skończysz przyjeżdż do mnie. Czekam.

Pani stojąca obok spytała:

- To był pani narzeczony?
- Myślę, że raczej przyszły mąż. – Powiedziała ze śmiechem.



ARTUR ROGALSKI

anonimowemu więźniowi GULAG-u

na początku
był rząd liter na białej karcie

potem reakcje organizmu
na ujemne czynniki
wewnętrzne i zewnętrzne

w końcu najgorsze ze wszystkiego
przyzwyczajenie
i ciągły koszmar niewiedzy

skradzione życie
wyrzucono poza granicę
wszystkich archipelagów
mały okruch
wieży Babel

to tu

to tam



WŁADYSŁAW RYŚ

Stryj Julian

pochylona sylwetka
czarne gęste włosy
uśmiech że radość kącikami

o śliwę oparł rower
co go srebrny kornet kosztował
i jak prezentuj broń
przez próg rodzinnego

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

długo i mocno obejmował
kulawych braci na ławie
uściskał bratową – gdzie Adam?
– pokładają z Jaśkiem ściernisko
biegnij Władus do uboczy
wołaj na obiad

obok ziemniaków nałożyła
chochlę ugotowanej kapusty
jak lewą rękę do prawej
gdy się wymawia amen

Wokół inauguracyjnej sesji Niezależnego Instytutu Harmonii i Dźwięku



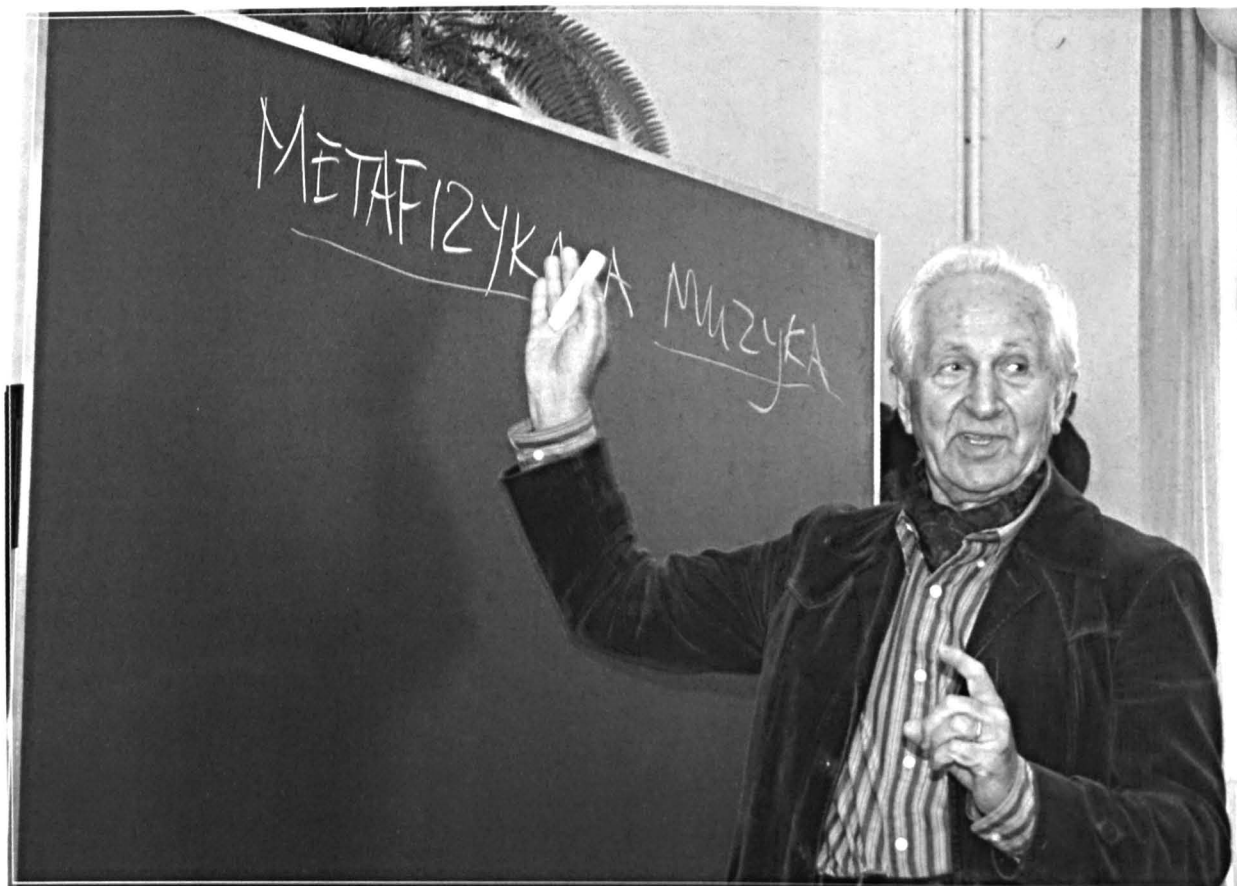
Z PROF. HENRYKIEM SKOLIMOWSKIM

o metafizyce, ekofilozofii i naukach u prof. Tadeusza Kotarbińskiego
rozmawia Mariusz Bober

Mariusz Bober: Jak Pan Profesor wspomina pobieranie nauk u Prof. Tadeusza Kotarbińskiego i co to znaczy być jego uczniem?

Henryk Skolimowski: W odczuciu tej małej grupki, która była wokół niego, było to jak los wygrany na loterii. To był przywilej. Czuliśmy się szczęściarzami i to się okazało również podczas seminariów. Ja tu mówię o małym seminarium Kotarbińskiego. Pamiętam te seminaria, było nas wtedy 7 czy 8 osób. Niekiedy on przynosił taki duży wolumin Arystotelesa w oryginale starożytnym i otworzył tę wielką księgę, *Organon* to był chyba. Odczytał nam paragraf dotyczący substancji czy jakiejś innej kwestii. Później przetłumaczył to na polski

i zaczęliśmy się zastanawiać, jakie to ma znaczenie, jakie konsekwencje: jak to wyglądało 2500 lat temu, jak to się zmieniało z biegiem historii. To były takie medytacje. Często Kotarbiński zamykał oczy, a my uczestniczyliśmy w takim wielkim spektaklu. Uderzała w nim ta skromność, głębia, ale i wymagania. Mieliliśmy takiego Mistrza, że każdy z nas chciał dać z siebie jak najwięcej i prześcigaliśmy się w pisaniu świetnych referatów, które byłby godne takiego Mistrza. Jeśli jest się uczniem kogoś takiego czuje się ogromną satysfakcję, ale i odpowiedzialność. Odpowiedzialność w tym sensie by dać z siebie wszystko, by się pokazać. Nie pokazać egoistycznie, ale że jesteśmy godni szkoły, z której wyszliśmy.



Dlatego też te seminaria były znakomite. To było jeszcze w czasach marksizmu i Ci, co pchali się do karier, działali w jakiś sposób z marksistami. Ci, którzy byli zauroczeni filozofią i Kotarbińskim, byli wokół niego. A to były czasy jeszcze przed '56 rokiem. Kiedy Kotarbiński był w cieniu, pozwolono mu prowadzić jego działalność, ale Ci, którzy mieli inne ambicje, sprzymierzali się z marksistami.

Prakseologia nie jest największą częścią spuścizny po Kotarbińskim. Co jest? To po pierwsze jego postawa etyczna. On był jeszcze przed drugą wojną światową moralnym sumieniem społeczeństwa. Miał wielką odwagę przeciwstawienia się marksizmowi, bez krytykowania marksizmu jako doktryny fałszywej. On bronił prawdy i zachowywał się pięknie. On był takim ideałem, człowiekiem, który w czasach kiedy inni byli tak pognębieni on okazywał, że można chodzić z podniesioną głową. Kiedy ja byłem jego uczniem, on był Prezesem Polskiej Akademii Nauk. Mimo, że pełnił wiele funkcji, to jednak miał czas dla swoich uczniów. W dodatku do prac akademickich i referatów już sami pisaliśmy małe rzeczy. On czytał je. Kiedy spytałem, czy przeczytał to, co napisałem na konkurs, powiedział że tak. I że postawił wszystkie brakujące przecinki. Co było żenujące. W swojej kamizelce miał mały ołówek, którym w czasie czytania stawiał te wszystkie przecinki. Mówił np. "Pan umie dobrze pisać, ale interpunkcji Pan nie zna". Ja się uśmiełem, że może znam, ale mam swoją. To się zaczęło od tego pierwszego artykułu. Wszystko co później pisałem po polsku i angielsku, on czytał. To było znakomite, przekazać swoje rzeczy takiemu Mistrzowi, który później mówił, co jest dobre, a co trzeba poprawić, włączając w to przecinki.

Później wyjechałem do Stanów. Ale przedtem w Anglii napisałem książkę *Polska filozofia analityczna* - fundament tradycji, która mnie wydała. Wszyscy filozofowie w Polsce byli z tego zadowoleni, bo ktoś wydał to po angielsku i pokazał jak ważna

jest filozofia polska. W 1974 roku opublikowałem książkę po polsku, ale w Londynie. *Zmierzch światopoglądu naukowego*. To była pierwsza krytyka cywilizacji naukowo-technicznej, co wielu ludziom się nie podobało, ponieważ była to krytyka fundamentalna. Ja oczywiście Kotarbińskiemu to przesłałem. Jemu wiele rzeczy się nie podobało, ale napisał z tego recenzję. A jednak mimo, że był to Kotarbiński, tej recenzji mu nie wydrukowano. Co mogło oznaczać, że jestem na ostrym indeksie. Do dzisiaj czuje jednak ducha Kotarbińskiego, zawdzięczam mu bardzo dużo, jak być człowiekiem, jak myśleć głęboko i po swojemu. To było najważniejsze, mimo, że była szkoła i pewne pryncypia były przestrzegane, pozwalał nam myśleć tak jak chcemy i po prostu być odważnym w życiu.

M. B.: Co spowodowało, że akurat zajął się profesor swoją tematyką?

H. S.: W największym skrócie, ciekawość świata a później obawa o ten świat. Wszyscy ro-dzą się z ciekawością świata. Gdy obserwujemy małe dzieci to widzimy, że wspaniale są ciekawe wszystkiego. A później ich rodzice i nauczyciele po prostu starają się ich ograniczyć by nie fantazjowali, by się nie zajmowali bajkami. Wtedy ta ciekawość naturalnie wędnie włożona do jakichś klatek. W moim przypadku zdarzyło się tak, że nie pozwoliłem się zamknąć do tych klatek. Tak więc, na początku ciekawość świata; a później obawa o niego. W zrujnowanej Warszawie, nie było lepszego zajęcia, jak zająć się czytaniem książek czy zatopić się w Platonie i myślach ludzi dawnych stuleci. Odkryłem świat filozofii właśnie przez Platona. On mnie skusił swoimi wizjami świata. I nigdy nie wiedziałem, czy ten opisywany świat jest wymyślony, czy stworzony przez człowieka. I chyba do tej pory nie wiem, czy filozofia jest opisem świata, czy jego konstrukcją. Gdy się znalazłem w Stanach, po zrobieniu doktoratu w Oxfordzie, stwierdziłem, że

ten jeden z najlepszych światów, Ameryka, nie jest taki wspaniały, jak sobie wyimaginowaliśmy czy założyliśmy. Amerykanie nie znali odpowiedzi na wiele pytań, kwi-
tując je odpowiedziami w stylu, "ok", "all right", etc. Gipsowy uśmiezek do sytuacji, które niekiedy były trudne. Mieszkalem wtedy w Los Angeles, w Kalifornii, gdzie miała się realizować wielka idea, American Dream, wielka utopia. A to co zobaczyłem, to wielki ruch na autostradach, wielki ruch w umysłach ludzkich. Ale to był ruch, który prowadził do niczego, który prowadził do patologii. Kiedy zacząłem wypytывать odpowiadano, że są problemy, ale zajmijmy się nimi później. I to zawsze było coś w rodzaju "odpowiemy Ci jutro". Postanowiłem więc, że skoro nikt nie umie odpowiedzieć, to muszę sam się wybrać na wycieczkę i sam szukać odpowiedzi. I z tego zaczęła się zupełnie inna refleksja: odrzucenie metafory świata jako maszyny i wyeksponowanie nowej metafory świata jako sanktuarium. To było w latach '70. Jak się to wypowie, że świat jest sanktuarium, to zmienia się optyka wszystkiego. Ty jesteś sanktuarium, ja jestem sanktuarium, każda osoba jest sanktuarium, środowisko jest sanktuarium. Z tego wynika nowy sposób traktowania życia i człowieka oraz natury. Rodzi się zupełnie inny stosunek do rzeczy materialnych i ekonomicznych. I tak się rodziła ekofilozofia, właśnie z ciekawości świata; jak również z obawy o świat: że postęp tak się rozszalał, że traktuje środowisko i godność człowieka jak i jego etykę. Podsumowując to, co stało się w Ameryce, stwierdziłem, że postęp pędzi a my oszaleliśmy i nie myślimy. Jak z tego wyjść? Poprzez nowe myślenie, nowe formy działania, nową etykę.

M. B.: A człowiek?

H. S.: Człowiek to istota nieznana i samo-kreująca się. Od naszej koncepcji człowieka, od naszego rozumienia czym człowiek jest zależy prawie wszystko. Jeden z teologów XX wieku powiedział, że „traktować czło-

wieka takim, jakim on jest, to go poniżać; traktować człowieka takim, jakim powinien być, to go uwznioślać”. To jest piękne podsumowanie naszych dylematów, dociekań kim człowiek jest. To nie wystarczy powiedzieć, kim człowiek jest, kiedy widzi się w nim objawy bestii. Ale kim powinien być i kim może być.

M. B.: Świat stanie się bardziej techniczny, czy jednak uduchowi się?

H. S.: Będzie takim, jaki człowiek go uczyni. Postęp techniczny zaślania i paraliżuje. Uważa się, że to co technika wymyśliła jest najlepsza i powinno nam służyć. A jest tak, że my jesteśmy niewolnikami postępu. Technika nie jest wyzwoleniem, ale kagańcem. W pytaniu czy świat stanie się techniczny już zakładamy, że jest techniczny i powinien się stać techniczny. A pytanie powinno być "jaki ma być": jaki ma być świat, by człowiek żył w nim z godnością i aby realizował swój potencjał duchowy. Nie zaczynamy od techniki, zaczynamy od człowieka. Zawsze od człowieka.

M. B.: Ekofilozofia. W tym podejściu dostrzegamy nierozzerwalny związek człowieka z naturą.

H. S.: Tak, ekofilozofia od samego początku była jednym z krytyków myślenia technicznego. Była jednym z krytyków zbawienia przez technikę. Bo to była nowa eschatologia zbawienia przez technologię i postęp. Jak już powiedziałem, technika i postęp stały się kagańcem, a my - pędząc za tym - staliśmy się katarynką, oszaleliśmy i nie myślimy. Spędziłem dość sporo czasu w alternatywnych społeczeństwach, stwierdziłem, że jest tyle sposobów bycia, życia i myślenia, i powiedzieć, że kapitalizm oparty na liberalizmie, technologii, nauce to jedyny system, to jest po prostu bajka. No i ta bajka nam się rozleciała w ciągu ostatnich tygodni. To co się uważało za najwyższą zorganizowaną formę życia społeczną, było wielkim mitem, który się

rozlatuje.

M. B.: *Są artyści, którzy potrafią wykonywać, a raczej przekazywać, coś w rodzaju „muzyki sfer”, pojawia się pytanie, czy są artystami, twórcami czy może już tylko narzędziem w rękach...*

H. S.: A ja po prostu odpowiem frontalnie, nie ma nic w niebie, czego by nie było w umyśle. O tym dyskutowaliśmy na naszej konferencji. Wszystkie największe wymysły, zarówno metafizyczne jak i artystyczne, które wydają się manną z nieba, one się przydarzyły tym wielkim umysłom, które same wewnątrz dokonały transcendencji. Transcendencja jest narzędziem, dzięki któremu pokonujemy wszelkie przeszkody i poprzez którą wspinamy się do góry,

jakbyśmy byli na niewidzialnej drabinie. To co wyklarujemy sobie w duszy, w myślach, w sercu i co staje się zintegrowane, dopiero otwiera nam nowe horyzonty. Te horyzonty my stwarzamy. To nie jest dar z nieba. Umysł jest wielkim darem z nieba. Umysł, który potrafi widzieć, transcendentować, przekraczać siebie i szukać doskonałości. Również szukać Boga w sobie i poza sobą. Przekazywanie tej wiedzy to piękna misja, jednak również trudna. Szukamy kompanów do tej wielkiej podróży transcendentalnej, która pozwoli przekroczyć nam wszystkie bariery obecnego świata z jego uzależnieniami i kagańcami.



📷 Marek Jeżowski

Henryk Skolimowski (ur. 1930 w Warszawie) - polski filozof. Ukończył studia techniczne, muzykologiczne i filozoficzne w Warszawie. Uczeń Tadeusza Kotarbińskiego i Kazimierza Ajdukiewicza. Specjalizował się w logice i filozofii języka. Doktorat uzyskał na Uniwersytecie Oksfordzkim, gdzie także wykładał, zanim zaczął nauczać na Uniwersytecie Południowej Kalifornii w Los Angeles, a następnie na Uniwersytecie Michigan w Ann Arbor, gdzie przez wiele lat był profesorem filozofii. Obecnie uważany jest za jednego z najwybitniejszych twórców ekofilozofii. Współautor wielu programów, których celem jest przezwyciężenie spustoszeń spowodowanych przez uproszczenia techniczne, XIX-wiecznego scjentyzmu i ich współczesnych odmian. Podczas lat spędzonych za granicą i licznych podróży poznał wiele kregów kulturowych: angielski, amerykański, meksykański, grecki, indyjski. Jest autorem 36 książek i kilkuset naukowych rozpraw. Żywo zajmuje go przyszłość współczesnej sztuki. Jest też poetą. Píše po angielsku, snując w swych wierszach liryczno-filozoficzne rozważania na temat misterium życia i ekofilozofii, korzystając przy tym z buddyjskich inspiracji. W latach 1992-1997 kierował katedrą ekofilozofii na Politechnice Łódzkiej, pierwszą tego typu na świecie.



BOŻENA BARDA

Horyzontalnie. Dzieciństwo

Mamie

Nie lubię obierać pomarańczy. Inna sprawa to zjadanie,
gdy podadzą na tacy. Kobieca część mózgu podpowiada.
Opowiada historie kociego śpiewu.

Chyba wiem jak się czujesz.

Trzeba oddychać. Wstać i otrząpać się, jakby się nic nie stało.
Czasem przypominają dobre złe czasy. Historie dzieciństwa
i zabawy nad rzeką. Kamień na kamieniu. Miały tworzyć tamę,
skrót na drugi brzeg.

Zamiast czekolady kakaowy kogel mogel. Wracanie
na koniec kolejki, dopóki półki nie opustoszeją.
W czapce, bez czapki, w kapturze.

Dziecko, czy ja cię już nie widziałam?

Małe chude dziewczynki nie wrastają w historię. Tworzą własną.
O bosych kamieniach i bieganiu po nich. Wystają z rzeki, składają
w bukiety polne kwiaty i szukają mrowisk pod kamieniami.
Później powroty do miasta. Wzrastanie. Wrastanie w codzienność.
Oranżeria. Wszystko się jej podporządkowuje.

Duże szczupłe dziewczyny doskonałą się
w swojej samotności. Wsłuchują w ciszę.

W drzewa.

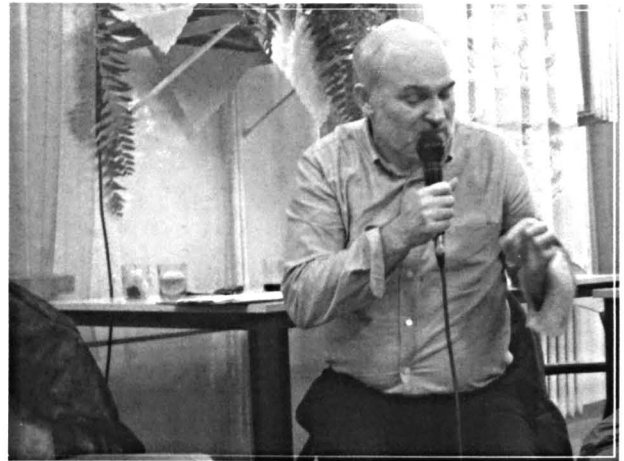
Z JANUSZEM KAPUSTĄ, TWÓRCĄ K-DRONU

o sztuce, filozofii i praktycznym zastosowaniu tego, co prawie abstrakcyjne, rozmawia Mariusz Bober

Mariusz Bober: Jest Pan twórcą słynnego K-Dronu, nowej, odkrytej w 1985 a opatentowanej w 1987 roku, jedenastościennej figury geometrycznej. Jak K-Dron zmienia świat?

Janusz Kapusta: K-dron był przeoczonym kształtem. Mogliśmy bez niego żyć. Ale my zawsze możemy żyć bez czegoś, o czym nie wiemy, że istnieje. Nie wiemy czego nie wiemy. Kiedy K-dron mi się przytrafił, od początku, po platońsku, miałem poczucie, że go odkryłem. Zajęło mi 8 lat, żeby znaleźć jego naturalne umiejscowienie w Kosmosie. Okazało się, że K-dron jest nową, dynamiczną strukturą związaną z symetriami sześciangu. Zajęło mi 13 lat zanim spotkałem matematyka (prof. Stanisław Kwapien), który odkrył, że powierzchnia K-dronu w czasoprzestrzeni modelu matematycznego jest rozwiązaniem równania drgającej struny. Znaczy to tyle, że K-dron jest wyjątkowym i jedynym kształtem - nie można go ulepszać, jak nie można ulepszać sześciangu. Animacje pokazujące właściwości K-dronu można zobaczyć na stronach dron.com (zobacz K-science).

Są cztery drogi wprowadzania K-dronu w świat: 1. naukowa - czyli jak K-dron istnieje, czym jest itp. Np. fakt, że powierzchnię K-dronu można łączyć zarówno z symetrią sześciangu, jak i równaniem opisującym drganie struny, jest głęboko znaczący i był powodem mojej prezentacji K-dronu na wielu konferencjach matematycznych w Stanach Zjednoczonych. Profesor matematyki z New Jersey Institute of Technology Jay Kappraff określił to jako nieznanne połączenie (link) między fizycznością struny a abstrakcją przestrzeni. 2. artystyczna - K-dron jako przedmiot sztuki. Marzeniem każdego artysty jest wzbogacenie świata o nową formę. W 1999 roku zaprezentowałem K-dron w Muzeum Sztuki w Łodzi (drugim najstarszym muzeum sztuki

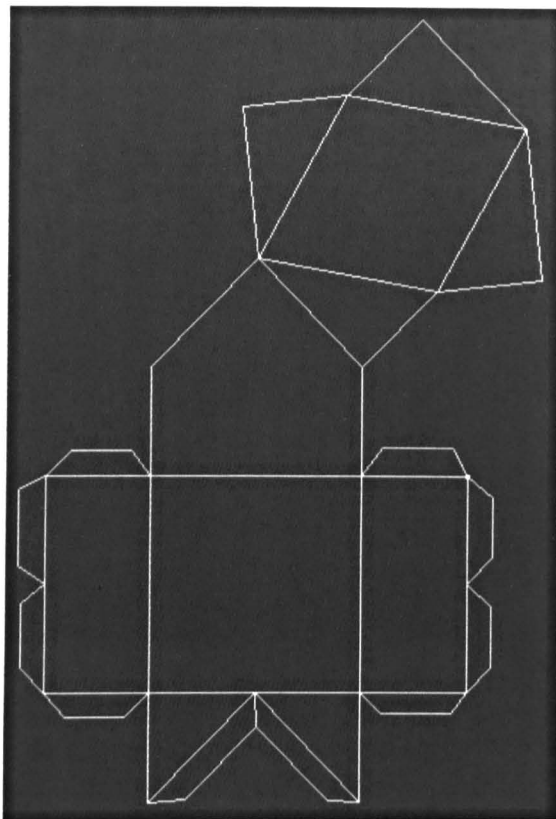


 Mariusz Bober

współczesnej na świecie po Museum of Modern Art w Nowym Jorku). Pokazuję K-dron w wielu miejscach na świecie. 3. użytkowa - to, do czego K-dron można zastosować. Sam wymyśliłem 168 różnych zastosowań K-dronu. W książce *K-dron, opatentowana nieskończoność*, wydanej w 1995 roku przez Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, pokazuję ok. 50 zastosowań. Do produkcji masowej udało mi się wprowadzić na razie cztery produkty: a) budownictwo - betonowe pustaki; b) zabawki - gra wykorzystująca 38 416 kombinacji; c) edukacja - nowe odwzorowanie Ziemi i Kosmosu; d) opakowania - butelka do kolorowych wódek sprowadzanych z Polski do Stanów Zjednoczonych; 4. symboliczna - znaczeniowa. K-Dron jest nowym modelem jednoczącym sprzeczności. Zawiera pozytyw i negatyw, wypukłość i wklęsłość, zewnątrz i wewnątrz, jest więc jakby trójwymiarowym odpowiednikiem znanego chińskiego znaku Yin i Yang, ukazującego opozycję w jednym obrazie.

Nic nie jest tak silne jak idea, której czas nadchodzi. Jestem pewien, że nadchodzi era K-dronu. Jeżeli K-dron wzbogaca choćby jednego człowieka, wzbogaca cały świat.

M. B.: Według Duńskiego Instytutu Technologi-



cznego wynalezienie czegoś zupełnie nowego to 1% z ogółu rozwiązań. Wymaga to ponadprzeciętnych zdolności lub innego sposobu wykorzystania swojego mózgu, który notabene również „jest przez nas używany” raptem w 10%... Zapewne słyszał Pan to pytanie wielokrotnie - czy mógłby Pan lapidarnie wyrazić jak doszło do tego odkrycia?

J. K.: Nie mam poczucia, że moja głowa nie pracuje. I nie martwię się tym, czego nie używam, zabiegam o to co jest mi dane i co mogę mądrze ulepszać. Od ponad 30 lat pracuję nad poszerzaniem swojej wyobraźni. Tak jak sportowiec ćwiczy pompki, tak i ja wymyślałem własne ćwiczenia na jej poszerzanie. K-dron mi się więc tylko przydarzył. Oczywiście nałożyło się na to wiele przypadków, ale wszystko zaczęło się w 1979, kiedy jechałem rowerem na zajęcia historii filozofii na Akademii Teologii Katolickiej i zadałem sobie pytanie, jak można by narysować nieskończoność. Powstały 2 rysunki, z których po latach, już w Nowym Jorku, wyłonił się nowy kształt, K-dron.

M. B.: *Nad czym Pan obecnie pracuje?*

J. K.: Pracuję nad sobą. W wieku 20 lat rozsypał mi się świat jaki wtedy nosiłem w głowie. Postanowiłem ćwiczyć wyobraźnię, żeby ten rozsypany świat kiedyś odtworzyć odpowiadając na pytania, na które nie znalazłem wtedy odpowiedzi. Od tamtego czasu żyję w przeświadczeniu, że chcę napisać książkę dla siebie, która odpowie mi na nurtujące mnie wtedy i zawieszane pytania. Odkryłem nowe, nieznane zasady dotyczące najważniejszej proporcji, czyli Złotego Podziału. To, obok K-dronu, drugi element, który przywiódł mnie do zajmowania się geometrią. Pracuję więc nad geometrią, wprowadzaniem K-dronu w życie i sztuką (zarówno czystą jak i użytkową).

M. B.: *Przeciętny człowiek nie wglębia się zbyt w istotę współczesnych prądów filozoficznych i artystycznych. Jaki jest, Pana zdaniem, cel uprawiania sztuk eksperymentalnych i co one wnoszą do życia przysłowiowego zjadacza chleba? A może niewiele?*

J. K.: Byłem „zjadaczem chleba”, teraz jem chleb. Uważam, że życie jest hierarchiczne i każdy zawsze jest sam na jakimś etapie swojego rozwoju. Nie męczmy się innymi. Dlaczego „przeciętny człowiek” miałby się wglębiać w istotę prądów filozoficznych. Niech robią to ci, co muszą to robić. Wydaje mi się nawet, że takie jest prawo natury. W sumie, to ze ścierań tylko paru osób rodzi się nowe. „Przeciętny człowiek” zainteresuje się filozofią, jeżeli ta opowie mu o świecie, który rozpozna jako swój, a nie będzie tylko opowiadała jakie są możliwości myślenia.

M. B.: *Można uznać, że tacy ludzie jak Pan stanowiąc intelektualno - artystyczną enklawę, eksperymentując wyznaczają nowe trendy. Czy świat w ogóle tego potrzebuje?*

J. K.: W ogóle mnie nie interesuje, co świat myśli. Poza tym, że chcę wiedzieć, co świat o sobie mówi, gdzie jest, dokąd zamierza.

Mam swoje zmartwienie z Kosmosem i je próbuję rozwikłać. Jeżeli w swojej samotności będę uczciwy, to to może się ewentualnie komuś przydać. Bo ja też jestem "świat" i już choćby dlatego świat tego potrzebuje. Nasze samotne przegrane nikogo nie męczą, nasze wygrane wzbogacają wszystkich.

M. B.: Jakie są Pańskie wrażenia z sesji Niezależnego Instytutu Harmonii i Dźwięku? Nie będę ukrywał, że dla wielu uczestników Pana obecność była bardzo pozytywnym zaskoczeniem.

J. K.: Bardzo było miło i ciekawie. Pozostał mi tylko pewien drobny niedosyt. Mądrość, ale pewnie i Harmonia, żądają trochę więcej czasu.

M. B.: Na koniec małe pytanie filozoficzne: na ile sposobów można stawiać kropkę nad „i”. Czy w czasach nam współczesnych jest to zabieg konieczny dla zamknięcia wielu spraw? Mówiąc inaczej - jak ważna jest dziś tak ceniona przez Pana precyzja myśli i jasność widzenia, w cza-

sach, jak wiemy, bardzo nie-jednolitych kulturowo i artystycznie. Czy poszukiwanie ukrytego porządku rzeczy stanowi dla nas szansę nie popadnięcia w kompletny poznawczy chaos?

J.K.: Prawda jest jedna, kłamstw nieskończenie wiele. Jeżeli zaczniemy kłamać, to po pewnym czasie zauważymy, że w ogóle nie jesteśmy w stanie nic sensownego powiedzieć. "Mały błąd poczyniony na początku urasta do bardzo dużego na końcu". Uważam, że tylko precyzyjne odkrycie znaczeń może uspokoić nasze pragnienie Harmonii i Sensu. Jeżeli wszystko jest połączone, to poznanie choćby jednego słowa lepiej musi usprawnić nasze rozumienie Wszystkiego. Wierzę, że któregoś dnia będę mógł zobaczyć jaśniej.

(Pomoc w realizacji wywiadu
dr Dominik Burakowski)



📷 Zosia Żeleska-Bobrowski

Janusz Kapusta (urodzony w 1951 w Zalesiu) - ukończył wydział architektury na Politechnice Warszawskiej. Uprawia rysunek i malarstwo. W Polsce publikowały go: "Literatura", "Szpilki", "Radar", "ItD.", "Rzeczpospolita", "Forum", oraz "Harakiri" we Francji i "Pardon" w Niemczech. W 1981 przyjechał do Nowego Jorku, gdzie mieszka do dziś. W Nowym Jorku publikowały jego rysunki najbardziej prestiżowe dzienniki i magazyny: "The New York Times" (ciągła współpraca), "Print", "Businessweek", "Harpers Mag.", "Psychology Today", "Washington Post", "Los Angeles Times", "Wall Street Journal", aby wymienić kilka. Prace jego znajdują się w kolekcjach IBM, Museum of Modern Art w Nowym Jorku, The Limited Edition Club. Jest autorem książki "Almost Everybody" (1984) wydanej przez wydawnictwo William Morrow & Co. w Ameryce, a potem we Francji. Ilustrował książkę Czesława Miłosza "Zniewolony umysł" dla niezwykle prestiżowego "The Limited Edition Club", z którym związane są największe nazwiska artystów tej miary co: Rosenquist, Motherwell, Sol le Wit, Rivers, a dawniej Picasso, Matisse. W 1987 opatentował jedenastościenną bryłę, której nadał nazwę K-Dron.



KATARZYNA RYRYCH

ŚMIERCI PROWINCJONALNE (FRAGMENT)

pijąc do Bursy

Miasteczko przycupnęło
niby kot
- w dolinie -
błyska oczyma
okien.
Więdną pelargonie.
I opar piwa
powstaje znad łąki.
O beton kopytami
wałą
ciężkie konie.

Senne dziewczyny,
pocztowe madonny
na każdą nową twarz
zarzucają sieci.
Bezpański pies
przed jatką
czeka na ofiarę.
W koronie
starej gruszy
zawisają dzieci.

Smutek
szarych kamienic.
Wyją blokowiska,
a koleiny znaczą
powroty nad ranem.
Prowincjonalne śmierci
z papierosem w ustach
zastygają w zadumie
przed
szklanym ekranem

(w takim miasteczku
Bursa
grzęznąć w szarym błocie
śpiewał ich tępy upór
i bezmyślne trwanie
i tuląc wiatr do siebie
w łatanym paltocie
rzucał gorzkie przekleństwa
na obłudy szaniec)

Z WOJCIECHEM KONIKIEWICZEM

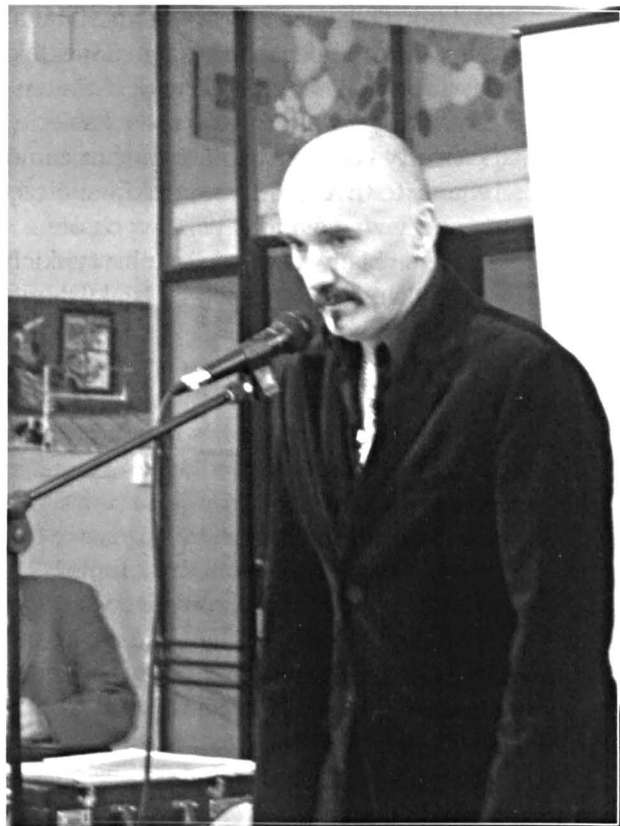
o sztuce, kulturze, muzyce i inauguracji Niezależnego Instytutu Harmonii i Dźwięku rozmawia Mariusz Bober

Mariusz Bober: Nie mogę się oprzeć, by naszą rozmowę rozpocząć od... kasety „Muzyka Nowej Przestrzeni”. Podarował mi ją kilka lat temu przyjaciel. Włączyłem i... totalna muzyczna abstrakcja. Po co się tworzy taką muzykę?

Wojciech Konikiewicz: Muzykę powinno się tworzyć z powodów... także czysto abstrakcyjnych, tj. z głębokiej potrzeby wewnętrznej. Tak zresztą powinno być – w przypadku idealnym – w każdej dziedzinie sztuki. Muzyka Nowej Przestrzeni to nagranie sprzed kilkunastu lat, które było jednym z pierwszych w skali świata, a w Polsce na pewno pierwszym, utrzymanym w stylu, który nieco później został określony jak dark ambient. Ten rodzaj muzyki w owym czasie był na tyle szokujący, że szefowie niektórych wytwórni płytowych podczas rozmów o ewentualności wydania jej na płycie twierdzili, że to jest coś, czego oni nie są w stanie sklasyfikować, w związku z czym wolą się wstrzymać z decyzjami. Moje małe zwycięstwo po latach polega na tym, że Muzyka Nowej Przestrzeni w najbliższych miesiącach ukaże się jako podwójny album na CD – właśnie zawarłem w tej sprawie umowę. Myślę, że to nagranie nie straciło na aktualności, czego dowodem było m.in. wiele głosów/maili od fanów przez lata wręcz domagających się jego edycji na kompaktach.

M. B.: Nie przypuszczałem, że po latach będę miał okazję robić z Tobą wywiad. Zaczynam snuć wniosek, że w życiu nie ma przypadków, a wspomniana kaseeta doprowadziła mnie do tego miejsca. A co Ciebie doprowadziło do „Muzyki Nowej Przestrzeni” i tego co dzisiaj?

W. K.: Najkrócej? Moja filozofia dźwięku, która niejako rozsadziła we mnie paradygmaty: jazzowy i rockowy, wymuszając



📷 Mariusz Bober

stworzenie nowego, osobnego. Przekonanie o wibracyjnych właściwościach muzyki, cała moja praca nad barwą, dźwiękiem i ogólnie kreatywnym wykorzystaniem technologii elektronicznej – syntezatorów etc. To wszystko zogniskowało się w formie właśnie tego nagrania, powstałego dokładnie w momencie przełomu. Jeśli chodzi o to, co doprowadziło mnie do dnia dzisiejszego, to jest spory przedział czasowy – kilkanaście lat, wypełnionych intensywną pracą artystyczną na wielu polach. Muzyka Nowej Przestrzeni wyszła w 1991 roku, a w okresie dzielącym nas od tego momentu ukazało się kilkadziesiąt moich płyt – w Polsce, Francji, USA i innych krajach. Pisałem i piszę jazz, muzykę współczesną, elektroniczną, ekspe-

rymentalną. Także ilustracyjną: w sumie do kilkudziesięciu filmów - fabularnych, dokumentalnych, eksperymentalnych, animowanych oraz spektakli teatralnych, baletu, czy pantomimy. Tu wspomnę światowej sławy reżysera i mima Stefana Niedziałkowskiego, do którego 5 spektakli stworzyłem ścieżki dźwiękowe. Czas ten wypełniły też podróże po całym świecie, koncerty i projekty realizowane na zamówienie festiwali, wystaw sztuki współczesnej, czy wydawnictw płytowych, ale także wykłady na uczelniach brytyjskich, amerykańskich, polskich i udział w konferencjach naukowych.

M. B.: Zapytam wprost. Co też Wam przyszło do artystycznych głów, by taką sesję robić właśnie tutaj. Nie lepiej w Nowym Yorku?

W. K.: W tym pytaniu zawiera się, nazwę to wprost, jakiś niezrozumiały kompleks. Uważam, że miejscem równie „światowym” jak Nowy York, jest Radzyń Podlaski, a może jeszcze bardziej, czy również, Czemierniki. Jeżeli chodzi o możliwość odbycia takiej sesji, wręcz odwrotnie: sytuacja stworzona tutaj była bliską optymalnej – zarówno w sensie możliwości skupienia, twórczego i swobodnego dialogu, jak i dokumentacji filmowej. Uważam, że było to znakomite i w pewnym sensie, symboliczne miejsce dla inauguracji Instytutu, nad którego ideą pracowałem 17 lat.

M. B.: Gdyby na tej sesji pojawił się zwykły śmiertelnik, prawdopodobnie po chwili by wyszedł. Do kogo chcesz dotrzeć i po co tworzysz Niezależny Instytut Harmonii i Dźwięku?

W. K.: Idea Instytutu jest przeze mnie precyzyjnie przemyślana. Dojście do jej realizacji zajęło mi kilkanaście lat. To nie jest struktura przeznaczona dla szerokich kręgów społeczeństwa. Działalność w obszarze estetycznym, naukowym, teoriopoznawczym, filozofii sztuki i kultury jest z założenia elitarna. W wymiarze duchowym i intelektualnym skierowana jest do

ludzi, którzy są w stanie ten krąg tematyczny w jakiś sposób ogarnąć, pojąć, przetrawić, skorzystać zeń, ewentualnie dorzucić coś od siebie i włączyć się do współpracy. Cel powstania Instytutu jest zawarty w jego nazwie. Zwracam uwagę, że hasło harmonia jest niezwykle wszechstronne i dotyczy najgłębszych pokładów egzystencji ludzkiej. Samo to pojęcie, np. w *Małej Encyklopedii Muzycznej*, zajmuje bodaj 4 czy 5 stron. Już na tej podstawie łatwo sobie wyobrazić, jak szeroko można je rozumieć i interpretować na wielu płaszczyznach: filozoficznej, muzycznej, estetycznej, duchowej itd. Pojęcie dźwięku w nazwie wskazuje na powiązanie z muzyką, ale nie tylko. Jest ono znacznie szersze i związane z całą fonosferą, to jest tym środowiskiem, w którym żyjemy. To zaznaczenie mojego rodowodu. Nie tylko tego czym się głównie zajmuję, czyli działalności kompozytorskiej i wykonawczej. Mam też za sobą studia z zakresu akustyki na Wydziale Elektroniki Politechniki Wrocławskiej w Instytucie Telekomunikacji i Akustyki - specjalizowałem się w dziedzinie psychoakustyki. Zatem, oprócz muzyki, w kręgu zainteresowania Instytutu jest jeszcze aspekt medyczny, psychofizyczny, wreszcie duchowy czy wibracyjny związany z dźwiękiem. I wreszcie ostatni człon nazwy, czyli Niezależny. Chcę tutaj podkreślić z całą mocą, że nie jest on przypadkowy – umieściłem go w sposób absolutnie świadomy. Uważam, że w dzisiejszych czasach jest szalenie istotne, żeby podobnie, jak to ma miejsce w dziedzinie sztuki, także w działalności interdyscyplinarnej, łączącej świat filozofii, kultury, nauki, sztuki, estetyki powstały rzeczy wychodzące z poziomu czystego dociekania prawdy i piękna, nieskażonego żadną ideologią ani wpływami zewnętrznymi. Niezależność jest dla mnie rodzajem fundamentu dla takiego rodzaju działalności. Trzeba sobie zdawać sprawę, z tego, że żyjemy w czasach, w których ma miejsce silnego oddziaływania na ludzi - na wielu poziomach: ideologicznym,

finansowym, sponsorskim itd. Ci, którzy zajmują się twórczością, czy intelektualną, czy artystyczną, stają przed wyborami: wolność, czy takie lub inne uzależnienia od czynników zewnętrznych. Uleganie tym ostatnim jest nie do przyjęcia, dlatego też podkreślam, że po to stworzyłem Niezależny Instytut Harmonii i Dźwięku, by był rzeczywiście i literalnie niezależny od wpływów zewnętrznych – obojętne, czy natury politycznej, finansowej, ideologicznej, czy jakiegokolwiek innej. Interesuje mnie swobodne dociekanie prawdy, dotyczącej określonych aspektów twórczości człowieka. Wręcz niezbędna do tego jest niezależna wymiana myśli między ludźmi o rozmaitych poglądach. Uważny słuchacz pierwszej sesji mógł zauważyć, że potwierdzenie słuszności takich założeń przyszło nieomal natychmiast. Już drugiego dnia mieliśmy do czynienia z ostrymi polemikami, z bardzo spolaryzowaną dyskusją. Nie chodziło mi o to, by założyć kolejne towarzystwo wzajemnej adoracji, a raczej kolegium o najwyższym poziomie: grono uczonych, filozofów, artystów, teoretyków kultury, dziennikarzy, którzy mogą wspólnie kreować jakiś, wspólny rodzaj myślenia na możliwie najwyższym, uniwersalnym poziomie - takim, który będzie wносił nową jakość, pozwalał lepiej zrozumieć to, co dzieje się w obszarach, o których wspomniałem wcześniej.

M. B.: Muzyka to przestrzeń. Często odnoszę wrażenie, że muzyka wisi w powietrzu i trzeba tylko umieć ją czytać. A później niech płynie przez instrumenty. Czy czucie muzyki ma jakiegokolwiek związek z wykształceniem muzycznym?

W. K.: Temat rzeka... Powiem krótko, że nie ma konieczności posiadania wykształcenia muzycznego, żeby głęboko odbierać muzykę. Dotyczy to zresztą wszystkich dziedzin sztuki. Kiedy mówimy tutaj o dziele sztuki, czyli o czymś, co według mojej definicji i mojego odczucia jest doskonale, pełne i transcendujące, to

oddziałuje ono na słuchacza na wielu poziomach, wspomnę tu dwa, chyba najważniejsze: intelektualno-estetyczny i emocjonalny. Dzieło sztuki ze swojej zasady nie musi być tłumaczone. Oczywiście, można je w jakiś sposób obudowywać tym czy innym komentarzem, wnikać w jego strukturę, ale ja twierdzę, że każdy, bez względu na wykształcenie, obcując z dziełem sztuki, w tym przypadku z utworem muzycznym, ma szansę z niego wydobyć coś dla siebie i dzięki temu kontaktowi stać się lepszym człowiekiem.

M. B.: Jak daleko można pójść z muzycznych odkryciach i czy obecnie eksperymenty artystyczne nie są waleniem głowy w mur. Zakładając, że niewiele wiemy o Wszechświecie i ukrytych potencjalach, to czy nie docieramy do jakiegoś kresu? Czy też może przywilejem artystycznej bohemy jest wyważanie kolejnych wrót i obdarowywanie ludzi absolutnie nowymi rzeczami?

W. K.: Jeśli chodzi o odkrycia i rozwój w dziedzinie sztuki to ostatnich sto kilkadziesiąt lat pokazało, że granice działalności artystycznej są bardzo umowną kwestią. Mieliśmy do czynienia i nadal mamy z nieustannym wirowaniem setek tysięcy twórców, którzy kreują rzeczy nowe, bardziej lub mniej wartościowe, w tym też takie, które w krótkim czasie dezaktualizują się, ale z pewnością nie można tutaj mówić o jakimś waleniu głowy w mur. Uprawianie twórczości nie polega na tym, że człowiek spekuluje, czy przypadkiem nie dojdzie do jakiegoś ograniczenia, muru albo ściany, nie zastanawia się czy osiągnie taki, czy inny efekt. Tworzy, ponieważ tak każe mu jego wewnętrzna wrażliwość, wewnętrzna ekspresja. Ma w sobie imperatyw, musi wydać z siebie na świat ten nowy byt. Tworzenie jest więc emanacją życia w tym sensie, że twórca jak to się kiedyś z pewną emfazą mawiało, płodzi swe dzieła, włączając się w swoisty cykl związany z odnawialnością gatunku ludzkiego i, podkreślimy to, jego ewolucją

w specyficznym zakresie (pisała o tym przejmująco pięknie i głęboko wielka poetka Marianna Bocian, jedna z kluczowych postaci inspirujących mnie w kierunku stworzenia Instytutu).

Trzeba się oczywiście liczyć z wszystkimi możliwymi konsekwencjami takiej sytuacji. Jedni tworzą rzeczy wielkie, inni nie. Niewątpliwie twórczość nie powinna być jednak ograniczana. Kiedy w jej ramach pojawiają się zjawiska ekstremalne, trzeba... zachować spokój. Czas najlepiej wymierza sprawiedliwość dziełu. Określanie granic wolności w sztuce i jej odbiorze było zawsze bardzo ryzykowne. Z definicji sztuka jest nieograniczona. Obcowanie z nią jest szansą i propozycją dla współczesnego człowieka - mającą czynić go lepszym, bardziej wrażliwym, na piękno i otaczający świat. Mówiąc krótko, kultura i sztuka stanowią dla człowieka rodzaj mikro-elementu pomagającego mu utrzymywać się w statusie homo sapiens.

M. B.: Jak oceniasz tę sesję i czy jest szansa, by urzeczywistnić pewne marzenie. Stworzyć w okolicach, Radzynie czy Czemiernikach, Festiwal, na który zechcą przyjeżdżać artyści z całego świata. Czy Twoim zdaniem jest możliwy taki cud, że scenerię radzyńskiego palacu wypełnią dźwięki i bohema artystyczna na światowym poziomie. I tak na koniec, czy jeśli tak się stanie, ile osób będzie gotowych do odbioru takiego rodzaju sztuki?

W. K.: Rezultaty intelektualne sesji i artystyczne przerosły moje oczekiwania. W najbliższych miesiącach materiały z niej zostaną opublikowane w formie książki, wzbogaconej o multimedia. Co ciekawe, będą one także zawierać bardzo interesujące publikacje niektórych osób, które nie dojechały, natomiast nadesłały znakomite teksty. Zainteresowanie ideą Instytutu jest zaskakująco duże, co widać choćby po ilości odwiedzin jego strony (www.myspace.com/nihid), nie wspominając o mailach, zapytaniach etc.

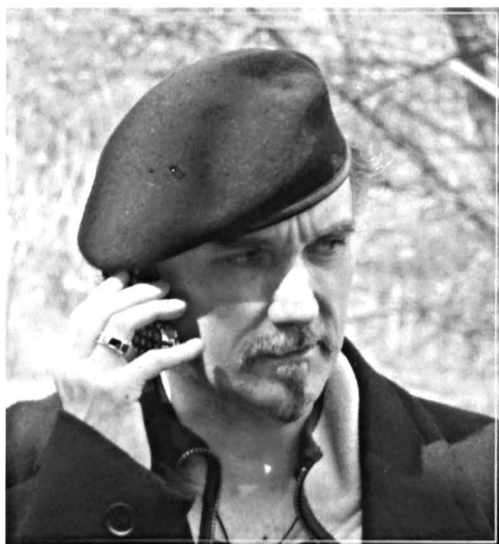
Już w tej chwili wynika z tego, że w nadcho-

dzącym 2009 roku będzie możliwe, a nawet w pewnym sensie konieczne, zorganizowanie dwóch kolejnych sesji. Jeśli chodzi o pojawienie się osób na światowym poziomie - myślę, że uważny obserwator znajdzie je wśród uczestników naszego spotkania. Wymienię tu kilka postaci: Hanna Kulenty, działająca w Holandii i Polsce laureatka prestiżowej nagrody Trybuny Kompozytorów UNESCO, przez wielu uznawana za najwybitniejszą obecnie kompozytorkę w skali naszego globu, profesor Henryk Skolimowski - absolutny światowy filozof, czy przybyły z Nowego Yorku znakomity artysta Janusz Kapusta. Jeśli chodzi o kwestię koncertów, festiwali itp. to teoretycznie nie ma przeszkód, by akurat w Radzynie Podlaskiej, czy jego okolicach miały miejsca wydarzenia przekraczające skalę lokalną, promieniującą na Polskę, Europę czy cały świat. Żeby do tego doszło, potrzebne jest harmonijne, przemyślane, poparte długofalową strategią współdziałanie wszystkich zainteresowanych stron, w tym władz lokalnych - zgodna współpraca na poziomie logistycznym, finansowym i organizacyjnym. Są też rzeczy niby banalne, ale istotne: np. musi być możliwa komunikacja, i to na kilku poziomach. Planując gdzieś dowolne wydarzenia, trzeba brać pod uwagę możliwość dotarcia do danego miejsca. Musi być więc n.p. dobre połączenie drogowe. Oprócz tego potrzeba też, żeby dane miejsce miało swoją identyfikację w Internecie, mediach, by komuś z czymś się kojarzyło. By, np. kliknąwszy na nazwę Radzyna Podlaskiego dowiedzieć się w kilku językach „w dwie sekundy” co to jest za miasto i okolica, jakie są jego zalety, co jest w nim ciekawego, fascynującego, dlaczego warto tu przejechać i co warto zobaczyć. I tu podam jako przykład, że kiedy próbowałem ściągnąć na swoją sesję jednego z moich przyjaciół z Londynu, wybitnego promotora sztuki i muzyki, współpracującego m.in. z Andrew Lloyd Weberem, chciałem mu w jakiś sposób

zarekomendować Radzyń Podlaski i okolice, by zachęcić go do przyjazdu. Jakież było moje zdziwienie, kiedy się okazało, że w Internecie nie istnieje żadna anglojęzyczna strona, nie mówiąc już o innych językach, która by dyskutowała to, czym można się pochwalić. Krótko mówiąc, kompletne zero. Jest to znaczne niedopatrzenie. Znam w Polsce miejsca mniejsze, czy uboższe, natomiast prowadzące świetną politykę informacyjno-promocyjną. To są te tzw. małe rzeczy, które niewielkim nakładem środków można zrobić i które mogą wybitnie zwiększyć prawdopodobieństwo sukcesu. Radzyń Podlaski i jego okolice mają olbrzymi potencjał. Jest tu wiele rzeczy, przez które można wypromować ten region w skali Polski - i nie tylko. Spójne i ukierunkowane działanie władz, organizacji i społeczności lokalnej może temu pomóc. To o tyle proste, że obszar kultury i sztuki jest na szczęście płaszczyzną, na której nie trzeba być istotą polityczną, występować z pozycji takich, czy innych przekonań. Kultura i sztuka to światy, które powinny bezkonfliktowo łączyć ludzi różnych poglądów i zapatrywań w jednej, wspólnej sprawie.

Ilość osób biorących udział w wydarzeniach kulturalnych czy artystycznych? Trudno

przewidywać, ale sądzę, że jest z tym lepiej, niż by się zdawało. Znane są w Polsce i na świecie przykłady nawet niszowych festiwali, na które z czasem zaczęły przybywać tłumy. Sam mam w tej mierze pozytywne doświadczenia nie tylko z naszego kraju, ale np. z Meksyku, czy ostatnio z Indii, gdzie na moje koncerty z nu jazzowym triem Transgroove przyszły tysiące ludzi. Pragnę na koniec powiedzieć, że po doświadczeniach sesji inauguracyjnej Instytutu rozważam możliwość jego fizycznej realizacji w postaci budynku i, z czasem, uruchomienie regularnej działalności. Będzie to oczywiście zależało od szeregu czynników. Wsparcie w tym kierunku uzyskałem z różnych stron, m.in. ze strony Janusza Kapusty światowej sławy artysty plastyka, twórcy K-Dronu, z którym rozmawiałem dość szczegółowo na ten temat podczas sesji. To był jeden z mniej spodziewanych owoców naszego spotkania. Przyszłość jest otwarta i podkreślę raz jeszcze, konstruktywne działanie ludzi dobrej woli, zjednoczonych w sprawie kultury i sztuki może zaowocować działaniami na bardzo wysokim poziomie. Radzyń i, szerzej, Podlasie mają w tym kierunku znaczny potencjał.



Wojciech Konikiewicz ur. w 1956 r., pianista, kompozytor, studiował we Wrocławiu. Artysta wszechstronnie uzdolniony, inżynier dźwięku, ale także teoretyk sztuki, filozof, animator wydarzeń i projektów muzycznych. Uprawia jazz, muzykę elektroniczną i etniczną, ilustracyjną do spektakli teatralnych i filmów. Jego dyskografia to ponad 20 tytułów wydanych w Polsce i za granicą.



TOMASZ STOLECKI*

Armia Czerwona

Armia Czerwona wyzwala zbiorowo
gwałci zbiorowo zbiorowo odbiera laury

po naszych miastach chodzą Armie Czerwone
rozlepiają ulotki zakrywają oczy marzycielom
to one wymyśliły paragraf *Farenhite 415*
spiskowały w sprawie Nobla dla *Herberta*

nie to jest już nawet straszne że rekwirują pióra
Armie Czerwone zdobywają zaufanie w myśl zasad *public relation*
proponują wysokie gaże pod nos podsuwają
kolorowe jak reklama proszku *lojalki* z rabatem

w rytmie marszu Armii Czerwonych brzmią współczesne natchnienia
zbiorowo uczą podstaw marketingu zbiorowo zakładają konta w banku
wykorzystują topos poezji dla słusznego wzrostu sprzedaży

wchłonęły mnie Armie Czerwone
zachwycam się musztrą spisuję numery armat jak angielskie pociągi
mam już swoje biurko i stopień kaprała
kufajka leży jak garnitur nowy samochód wywołuje we mnie
boskie natchnienie niczym zryw czerwonego morza po opuszczeniu ramion
zamiast karabinu dostałem naboje - wystarczy że będę biegł za kolegą

Armia Czerwona zaprasza na rauty wręczanie odznaczeń
w wiecznej walce popkultury z poezją
słucham piję wino wygłaszam przemówienia maluję plakaty
i dla niepoznaki wykreśliłem z kolumny dziennika
słowo *sabotaż*

kiedy Armie czerwone śpią podprogowo migając neonami
piłuję gwinty w lufach szczerbię miecze dziurawię pontony
gotowe do desantu

pochylony nad biurkiem ogłaszam godzinę *W*
dla miasta głowy

* - wyróżnienie w kategorii POEZJA w „Chichocie Chimery 2008”

Z DR-EM DOMINIKIEM BURAKOWSKIM

o projekcie Niezależnego Instytutu Harmonii i Dźwięku,
filozofii i oczywiście muzyce rozmawia Mariusz Bober

Mariusz Bober: Na początku października powołano do życia Niezależny Instytut Harmonii i Dźwięku. Wydarzenie bardzo intrygujące i elektryzujące światek naukowo-artystyczny. Szalenie ciekawi oddźwięk na zewnątrz. Jakie jest Twoje spojrzenie na całość tego projektu?

Dominik Burakowski: Mówiąc precyzyjniej decyzja o ostatecznym ukonstytuowaniu Niezależnego Instytutu Harmonii i Dźwięku została podjęta już w styczniu 2008. W tym czasie spotkałem się z Wojciechem i powiedziałem dość kategorycznie, że absolutnym priorytetem tego roku jest doprowadzenie do pierwszej sesji niniejszego przedsięwzięcia. Zaznaczmy, że sam pomysł tej idei powstał przynajmniej kilkanaście lat temu. Moje pojawienie się, by

tak rzec, spowodowało aktualizację zamyśłu Konikiewicza. Umówiliśmy się, że będę odpowiedzialny za organizację logistyczną. Obaj także w głębokiej kooperacji ustalaliśmy listę uczestników tego wydania. Efekty – jak widać – przerosły nasze oczekiwania. Per aspera ad astra. Mówiąc krótko – udało się, co stanowi dla nas dodatkowy asumpt do organizacji kolejnej edycji NIHiD, zapewniam, że w dużo szerszej formie. Moje spojrzenie na niniejszy projekt obrazuje stopień determinacji w jego przygotowywaniu. Zawsze byłem zwolennikiem takiego typu działania, które zmierza do wyrozumienia i próby uzasadnienia nie-przemijających intuicji – w tym wypadku – mocno zakorzenionych w myśli antycznej. W dobie postmoderni-



zmu mówienie o związkach filozofii i muzyki nie jest wcale oczywiste. Osobiście dla mnie jeden czynnik nie może istnieć bez drugiego. To założenie jest jednym z podstawowych momentów wynikających z profilu tematycznego Instytutu.

M. B.: Moja pierwsza reakcja na program sesji była bardzo pozytywna. Chociaż pojawiały się głosy, że tematy są zbyt odległe od prozy życia, ja osobiście byłem kontent, ponieważ podczas sesji pojawiło się tyle ciekawych wątków... i w końcu przestrzeń, w której swobodnie można wymienić się uwagami. Jakie były Twoje odczucia? Czy pojawiające się tematy to tylko filozoficzna ekwilibrystyka, uczta dla umysłu i ducha?

D. B.: Tematyka poszczególnych wystąpień mimo pozornej niedostępności spełnia jedną istotną funkcję. W dobie galopującej laicyzacji i spłykania wszelkich estetycznych treści stanowi próbę wskrzeszenia zupełnie innego typu myślenia, siłą rzeczy wymagającego od potencjalnego słuchacza większego zaangażowania. Myślenia opartego na pewnych niezbywalnych kanonach, zmierzającego do poszukiwania niejawniej harmonii zawartej w rzeczach nam dostępnych. Tak jak powiedziałem, w dobie chaosu i estetycznego nihilizmu takie podejście stanowi pewne novum, albowiem skłania nas do poszukiwania i odsłaniania jakiegoś porządku i zasad, które mimo tak widocznej zmienności naszych form poznania same w istocie nie ulegają zmianie. Gdy przypatrywałem się bliżej poszczególnym reakcjom towarzyszącym uczestnikom sesji nie miałem wrażenia, o którym wspominasz. Rzekoma odległość od tak zwanego nurtu życia treści głoszonych na konferencji jest złudzeniem. Zaobserwowałem coś zupełnie odmiennego. Dla wielu taki sposób postrzegania jedności filozofii i muzyki wydał się bardzo inspirujący, czego dowodem były liczne wypowiedzi zaproszonych gości. Tak zwane wypowiedzi „z sali”, wskazujące na rzeczywisty brak takiego rozumienia natury muzyki. Owa muzyka

jest w każdym z nas, zaś opis jej fenomenu wymaga odniesienia do świata filozofii. Przy okazji wspomnę, że krótko przed sesją brałem udział w audycji radiowej, którą zatytułowałem wymownie: „Czy filozofia jest w naszych czasach do czegoś potrzebna?”. I co się okazało? W trakcie jej trwania przyszło od słuchaczy kilkadziesiąt maili jednoznacznie opowiadających się z potrzebą „powrotu do filozofii”, zarówno w wymiarze edukacyjnym, jak i czysto egzystencjalnym. Profil Instytutu odpowiada, jak sądzę, temu zapotrzebowaniu.

M. B.: Na sesji pojawiły ważne postacie m.in. prof. Henryk Skolimowski czy Janusz Kapusta, Hanna Kulenty nie zapominając o wszystkich pozostałych. Czy rzeczywiście nie ma znaczenia miejsce takiego spotkania, tylko wspólna idea, która potrafi przyciągnąć artystów nawet z Nowego Yorku? Czy właśnie dla tych znaczących osobowości, istotniejsza jest unikalna idea a nie miejsce na mapie świata?

D. B.: Na tak postawione pytanie nie można odpowiedzieć inaczej niż w następujący sposób: cechą znamionującą autentycznych i idących własną drogą twórczą ludzi jest pewnego rodzaju gotowość podjęcia i przyłączenia się do inicjatywy o charakterze unikatowym i niepowtarzalnym. Miejsce nie gra tu specjalnej roli, aczkolwiek powiedzmy wprost – wybór Czemiernik w żadnej mierze nie był przypadkowy. Genus loci tego miejsca doskonale wpisał się w zawartość tematyczną sesji. Powiedziałeś o Januszu Kapuście, światowej sławy artyście – plastyku działającym w Nowym Jorku, nadto z wyraźnymi proveniencjami filozoficznymi. Jego pojawienie się w Czemiernikach uważam za niepomierne „wzmocnienie” tej idei. Pomyśl, że człowiek przyjechał do Polski raptem na półtora tygodnia akurat w czasie, gdy organizowaliśmy sesję. Strach użyć tego słowa, ale to jakaś forma „cudu”, bądź wyjątkowo sprzyjającego zbiegu okoliczności. Mając tę informację włączyłem się w działanie na

rzecz zaproszenia tej osoby

M. B.: *Całość sesji „kręciła się” wokół muzyki. Jaki jest Twój stosunek do muzyki i czego, spekulatywnie, możemy się spodziewać po Instytucie, który notabene w fizycznej postaci może pojawić się na naszym terenie? Czuje w kościach, że rodzi się muzyczna symfonia, której dźwięki mogą dotrzeć do dalekich zakątków świata. Czy to możliwe?*

D. B.: O moim stosunku do muzyki, powiem nieskromnie, napisałem wiele. Założenie, które przyjąłem dobre kilkanaście lat temu w zasadzie po dziś dzień nie uległo zmianie. Motto przyjęte na stronie internetowej niniejszego przedsięwzięcia stanowi bezpośrednie nawiązanie do platońskiego Fedona, w który padają znamienne słowa: „Filozofia jest największą muzyką”. W okresie młodzieńczej adolescencji zrozumiałem, że edukacja muzyczna bez filozofii nie ma najmniejszego sensu. Muzyka jest speculum idei filozoficznych. Dlatego też edukowałem się jednocześnie filozoficznie i muzycznie. Moje zamierzenie jest następujące: opisywać muzyczny świat w kontekście znacznie szerszym, niż czyni się to obecnie. Dalej – próbować rekonstruować antyczne pojmowanie jej niejawnej natury, ukazując jej specyfikę w kontekście metafizycznym i spekulatywnym, nie tylko zaś estetycznym i wyrazowym. Przyszłe działania Instytutu służą między innymi takiej właśnie formie ewokacji. Przez długie wieki muzyka była konkretną dziedziną naukową, a nie li tylko manualną sprawnością wykonawczą. Dziś zapomina się o tym, dlatego też mamy kolejny przykład

potwierdzający zasadność powstania tej idei.

M. B.: *Można powiedzieć, że takie sesje i ludzie, którzy na nich się pojawiają są swego rodzaju twórcami nowych paradygmatów naukowo-artystycznych. W końcu ktoś bierze odpowiedzialność za wytyczanie nowych szlaków. Wytyczamy je bo nam się nudzi? Czy też kieruje nami „niewyraźalne” i po prostu taka jest kolej rzeczy? Podążanie dalej? Filozoficzne podsumowanie imprezy dr. Dominika Burakowskiego jest następujące...*

D. B.: W moim rozumieniu podsumowanie stanowić winno początek drogi, na którą weszliśmy. Pierwsza sesja Niezależnego Instytutu Harmonii i Dźwięku przynosi nam zupełnie inne spojrzenie na materię muzyczną. Wystąpienia poszczególnych uczestników o wyraźnej proveniencji humanistycznej – zarówno muzyków, muzykologów, kompozytorów filozofów i teatrologów wskazują na potrzebę ujmowania koincydencji świata dźwięków z dogłębną refleksją filozoficzną. To wydarzenie, będące w istocie swoistym przeglądem różnych stanowisk, pokazało cechę łączącą wszystkich poważnych twórców – dążenie do prawdziwości aktów tworzenia, zakorzenionych w przedmiocie dociekań, a nie tylko w własnej strukturze ego. Kończąc paradoksalnie – wypowiadając rzekomo „niepokorne” poglądy uczymy się właśnie... pokory. Względem siebie i otaczającego świata.



Dominik Burakowski (ur. w Gdańsku). Filozof, teoretyk muzyki i animator kultury. Zajmuje się filozofią pitagorską, filozofią muzyki i antropologią współczesną. Inną płaszczyzną jego działań jest animacja społeczno-kulturowa. Autor licznych artykułów naukowych publikowanych w czołowych pismach w Polsce, a także recenzji (głównie płyt jazzowych). Jako muzyk koncertował w wielu miastach europejskich (m.in. w Brukseli, Liège, Padwie, Florencji i Wiedniu). Gość wielu audycji radiowych i inspirował inicjatyw kulturowych.



KARL HEINRICH MARX

Le Menestrel

Wyziwy piekielne pochodzą od mego mózgu
I napęniają go aż staje się szalony.
Aż moje serce staje się zupełnie zmienione.
Patrz na tę szpadę,
Książę ciemności sprzedał mi ją

W rozpaczliwej modlitwie

Tak więc Bóg wydarł mi moje wszystko,
w nieszczęściach, ciosach losu.
Te wszystkie jego światy
rozwiąły się bez nadziei powrotu.
I nie zostaje mi nic od tej pory, jak tylko zemsta.
Chcę sobie zbudować tron na wysokościach.
Jego szczyt będzie lodowaty i gigantyczny.
Jego wałem ochronnym będzie obłąkańczy strach,
jako szczyt najczarniejszej agonii.
A kto podniesie na ów tron swój zdrowy wzrok,
odwróci się od niego blady i milczący jak śmierć.
Wpadnie w pazury ślepej, dreszczem przejmującej
śmiertelności, aby jego szczęście znalazło grób.

Oulanem* (fragment)

On uderza pałeczką i daje mi znak
a ja, z coraz większą pewnością
tańczę taniec śmierci.
I oto są także Oulanem! Oulanem!
To słowo rozbrzmiewa jak śmierć,
po czym przedłuża się aż do wygaśnięcia.
Zatrzymaj się! Ja go trzymam!
I oto wznosi się wtedy z mego umysłu,
Jasne, jak powietrze, spojone, jak moje kości.
Lecz ja mam siłę gnieść was moimi ramionami
i miażdżyć was (ludzkość),
z siłą huraganu, podczas gdy nam wspólnie
otwiera się przepaść rozwarta w ciemnościach.
Zatoniecie aż do głębin,
A ja pójdę z wami śmiejąc się.

Karl Heinrich Marx (1818) - dziewiętnastowieczny poeta satanistyczny, bardziej znany z utworów prozatorskich, takich jak np. Manifest komunistyczny (1848) oraz Kapitał (1867).

*Oulanem - anagram słowa „Emanuel” („Bóg z nami”), biblijnego imienia Jezusa. „Oulanem” to kluczowe słowo czarnych mszy satanistycznych, w których cała liturgia i symbolika jest dokładnym odwróceniem liturgii i symboliki chrześcijaństwa.

POWIEŚĆ





ANDRZEJ WIELECKI

PRZECIWKO WSZYSTKIM (6)

VII

Minęły trzy dni, odkąd młody władca złożył pierwszą nocną wizytę wojewodzinie trockiej. Odtąd składał jej owe wizyty przez kolejne noce. Chociaż nie dawał tego po sobie poznać, to pod jej wpływem August zaczął się zmieniać. Jak nigdy dotąd istniała dla niego tylko jedna kobieta, tylko i wyłącznie Barbara. Ona zaś w jakiś niepojęty dla wszystkich sposób, potrafiła przywiązać do siebie tego młodego i dumnego władcę.

Zaloty wielkiego księcia do wojewodziny z ciekawością obserwowali jego zaufani dworzanie, a przede wszystkim Lasota, który pełnił funkcję zaufanego sekretarza Augusta i był jego ulubieńcem. Łaskami następcy tronu cieszyli się też dwaj nowi dworzanie, Dowojno i Kieżgajło, bawiący się przy kniaziu na całego.

- Teraz wy, panie – rzekł Lasota i ustąpił miejsca. Wielki książę i jego dworzanie trzymali w rękach łuki i strzelali na dziedzińcu zamkowym do dwóch kukieł wypchanych słomą. Drugą serię strzałów, podobnie jak i pierwszą, rozpoczynał August. Za pierwszym razem nie poszło mu najlepiej, stąd też przez dłuższą chwilę przymierzał się do oddania strzału. Ale i teraz trafił zaledwie w rękę.
- Wasza książęca mość coś ostatnio trafić nie może.
- Pokaż no Dowojno, co ty potrafisz. – I z zazdrością patrzył na tego wybornego strzelca, którego strzała trafiła z taką siłą w brzuch kukły, że przebiła się na wylot.
- Zachodzę w głowę coś się to mogło stać, że wam, panie, strzała tak źle poleciała – zastanawiał się z przekorą w głosie Kieżgajło
- Ja myślę, że to przez panią wojewodzinę – odezwał się znów Dowojno, który ustępował teraz pole Kieżgajle. Ten zaś, przymierzając się do strzału, zapytał jeszcze.
- A gdzież pani wojewodzina z siostrą, radzi-

śmy ich towarzystwa, bo by nam wesele było.

- W kaplicy zamkowej, modlitwie się oddają – oznajmił Lasota i patrzył na wyczyn Kieżgajły. On jednak nie miał powodów do zadowolenia, gdyż trafił zaledwie w okolicę biodra, za to pozostali wybuchnęli gromkim śmiechem.
- A tobie co przeszkadza w dobrym strzelaniu? – zażartował teraz August. Ale Kieżgajło zły na siebie, odparł kpiąco.
- Ja to niedawno upadł z konia, ale wy panie całymi nocami uczycie strzelać z łuku panią wojewodzinę i tak wam marnie idzie. Na te słowa zmieszani nieco dworzanie zamilkli, tylko Kieżgajło głupio się uśmiechał. Zaś August zmarszczył nieco brwi, ale nic nie odpowiedział.
- Przyznam się – zaczął Lasota – żem was dawniej takim nie widział. Odmieniliście się panie.
- Pewnie to miłowanie – wtrącił Dowojno. – Bo pani wojewodzina co dzień strojna, a nasz wielki kniaź z każdym dniem bardziej niewyspany.
- Prawisz tak Dowojno, bo cię zawiść ogarnęła i wierz mi, że masz czego żałować. Teraz strzelił Jurgirlis i to tak silnie i trafnie, że strzała niemalże rozerwała głowę kukły.
- Toż jest dopiero strzał! – podziwiał Lasota. – Jeszcze takich rzeczy nie widział, drugi raz w sam środek łba.
- No Lasota, poczynaj! – pospieszał go Kieżgajło, który znów zwrócił się do kniazia, ale już innym tonem. – To jeno chcę wam panie przypomnieć, że wojewodzina ulega waszej książęcej mości jeno dlatego, że jest tu w Gieranojnach sama. Ale lada dzień mają tu powrócić jej bracia, Czarny i Rudy. A wtedy wojewodzina zacznie wam panie odmawiać wizyt w swojej sypialni.
- W błędzie jesteś Kieżgajło – oznajmił mu wesoło August.
- Radziwiłłowice chcą wydać swoją siostrę za wojewodę Ościkiewicza i nie dozwolą wam panie być w nocy odwiedzali wojewodzinę. A i ona sama, któreś nocy

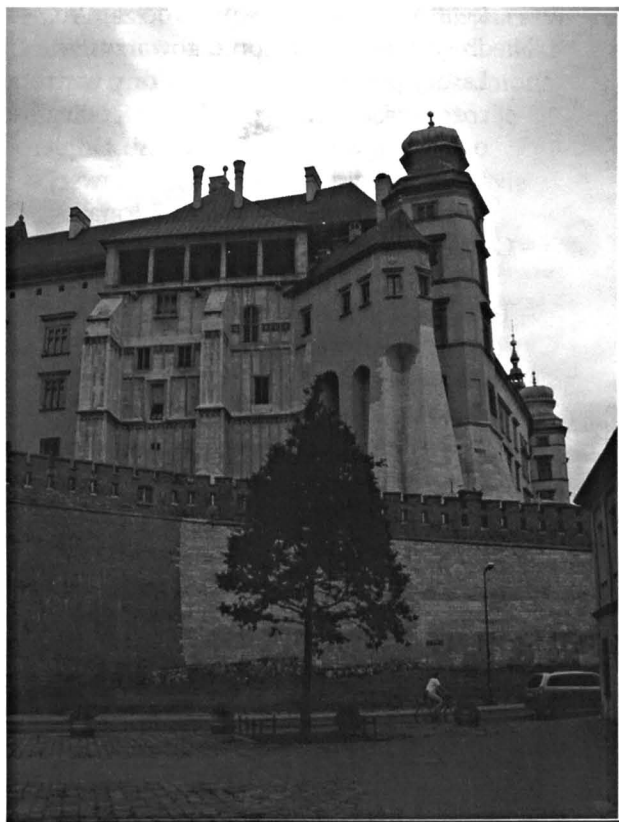
może wam panie nie otworzyć drzwi.
 – Nie frasuj się Kieżgajło, bo cała ta majętność do mnie jako do wielkiego kniazia należy. A pani wojewodzina jako nasza poddanka nie będzie mi odmawiać i spełni każde moje życzenie, albowiem może utracić swoje Gieranojny. – I jak gdyby nigdy nic rzekł do Lasoty. – Strzelaj i idziemy coś przekąsić, bo już głodny być zaczynam. Strzał jednak i tym razem się Lasocie nie udał, więc całe towarzystwo żartując sobie z niego szło powoli do zamku.

Po obiedzie, młody władca spacerował w towarzystwie Barbary po zamkowym ogrodzie. Wojewodzina trocka była jednak milcząca i wyraźnie czymś zasmucona.

– Coś wam pani dolega? Żle się macie? – dopytywał się August.
 – Dobrze się mam, wasza książęca mość.
 – Markotni jacyś jesteście, pani, a przy obiedzie nie rzekliście ani słowa. – Barbara milczała.
 – A i to widziałem, że niewieleście też zjedli.
 – Zawszy tyle jem w czwartek – odparła krótko.

Augusta rozbawiła ta odpowiedź i uśmiechnął się do Barbary. Zaraz też zapytał.

– Pozwolicie pani, że i dziś was odwiedzę? –
 Lecz odpowiedź jaką mu dała Barbara, szybko odebrała mu dobry humor w jakim był od rana.
 – Cała ta majętność do was panie należy, a ja jako poddanka waszej książęcej mości spełnię każde wasze życzenie – i skłoniła się. August zaś aż drgnął ze złości.
 – A więc wszystko słyszeliście?
 – Tak panie.
 – Jak śmiecie nas podsłuchiwać?
 – Nie podsłuchiwałam, jeno przez dolne okno patrzyłam jak strzelacie panie i wasi dworzanie. Byłam wielce ciekawa, a nie chciałam przeszkadzać... – i spojrzała smutno na kniazia. – Ale dzięki temu wiem, co naprawdę wasza książęca mość zamysła wobec mnie.
 – Przyznaję, że nieopatrznie to powiedziałem, ale to potem, że mnie tak za język ciągnęli.
 – To dobrze panie, bo przynajmniej prawda na



 Piotr Kaczorowski

jaw wyszła. – Teraz August wybuchnął gniewem.

– A co żeście wy sobie obiecywali, że co?!
 – Nie pojmuję panie o czym mówicie – rzekła trochę przestraszona.
 – Czegoż chcecie pani do diaska?! Przecież samiście chcieli, abym do was przychodził!
 – Bom myślała...
 – Skończcie pani, coście poczęli mówić!
 – Myślałam, że te perły, te trofea myśliwskie, ta komnata pełna kwiatów... – zaczęła, ale wzburzony August nie dał jej dokończyć.
 – A cóż wy myślicie, że kim jesteście? – po chwili zaś wyniośle dodał – Wiecie, że mogę wam to wszystko co tu macie zabrać!
 – Jużeście mi panie zabrali całą moją cześć, tedy zabierzcie i całe Gieranojny – odparła zrezygnowana.
 – Gniew tu nic nie pomoże. Pozwolicie pani, że was dziś wieczorem odwiedzę.
 – Wszystko tu panie wasze, a jam jest poddanką waszej książęcej mości – i pokłoniwszy się odeszła. August zaś z

kwaśną miną szedł wprost do zamku. Niedługo potem Jagiellon w towarzystwie Lasoty pędził konno jak szalony w stronę rozciągającego się w niewielkiej odległości od zamku w Gieranojnach lasu. Dopiero tam zatrzymał konia i zaczerpnąwszy głęboko powietrza, nieco ochłonął.

– Co wam się stało panie, żeście w taki gniew popadli?

– To przez nią, przez wojewodzinę... Ona wszystko słyszała.

– To dlatego boczyła się przy obiedzie – zauważył Lasota.

– Tak Lasota i teraz udaje wielce zagniewaną – rzekł z ironią książę.

– Wasza książęca mość się temu dziwi?

– Mów dalej, wielcem ciekaw co masz na języku.

Lasota chwilę się wahał, w końcu jednak zaczął mówić.

– Zdobywaliście ją panie przez wiele dni podarkami, a dzisiaj sztydziście z niej tak, jakby była zwykłą nierządnicą. Po to jeno, aby rozbawić innych.

– Ejże Lasota, kimże ty jesteś, że śmiesz mnie pouczać? – rzekł surowo August.

– Kazaliście mi panie, tom powiedział co o tym myślę.

– To ja tu jestem od myślenia – i zamilkł. Dopiero po dłuższym namysle dodał. – Chybam źle uczynił...

– I mnie się tak wydaje – przyznał niepewnie Lasota. – Potraktowaliście ją panie niegodziwie. Najpierw zostawiliście jej przez swoją hojność Gieranojny, a potem każecie sobie płacić w ten sposób – dodał z wyrzutem dworzanin.

– Przeciem niczego jej nie odebrał.

– Przyznam się panie, że i ja byłem pod urokiem tego, coście czynili dla wojewodziny. A i ona zapewne, tak jako i ja, odczuła to, że się wam panie podoba i stąd te wszystkie łaski.

– Żebyś wiedział Lasota, że mi się wielce podoba.

– Trzeba też przyznać, że wojewodzina stroi się bardzo i to dla was panie. Jako i spełnia wasze wszystkie zachcianki – wyliczał.



- Masz rację – odparł zmartwiony August i słuchał dalej.
- Pamiętacie panie, że jakeście wrócili ranni z polowania, to nikt jeno ona, opatrywała wam ranę.
- Już dosyć Lasota, bo jak cię słucham to jakbym swoje sumienie słyszał. Wiem teraz, żeś wielce źle uczynił. Ale co czynić, ażeby ją przebłagać?
- To panie niezwykła niewiasta.
- O tym dobrze wiem, bo nie jest głupia i nudzić się z nią niepodobna. – W tym momencie twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu. – Wiem, podaruję jej złoty łańcuch, tym ją zapewne odmienię. I co ty na to Lasota?
- Rzecz to niepewna, bo to przecie niewiasta. Ale to jeno wiem, że coraz gorzej u nas pieniędzmi.

- Wieczorem wielki książę Litwy radośnie wchodził do komnaty Barbary, która na jego widok szybko powstała z krzesła.
- Wybaczenie pani – zaczął od razu książę – żem się tak niegodziwie dziś zachował. – Po czym położył na stole dużą drewnianą szkatułę. – Zechciejcie to przyjąć pani jako przeproszenie. – Barbara jednak nawet nie spojrzała na prezent. – Nawet nie jesteście ciekawi co tam jest? – Tu otworzywszy szkatułę wyjął z niej pięknie wykonany złoty łańcuch. – Podoba się wam pani?
 - Piękna to rzecz, ale nie przyjmę tego, bo nie mogę przyjmować tak drogich podarków od was panie – rzekła chłodno, a August od razu trochę się zezłościł.
 - A czemuż to nie możecie?
 - Bo i bez tego jestem do waszych usług panie – i ukłoniła się nieco.
 - Myślicie, że po to chcę wam ofiarować ten łańcuch?
 - Tak myślę... – po czym westchnęła ciężko i mówiła dalej. – Sądziłam, że coś dla was panie znacze... ale jeszcze nikt mnie tak nie upokorzył jako wy dzisiaj. – I dwie wielkie łzy spłynęły jej po policzkach.
 - Na miły Bóg! Nie płaczcie, jeno nie płaczcie... – powiedział miękko. Barbara zaś otarła oczy i uspokoiła się nieco. Wówczas

- August zbliżył się do niej i zapiął jej na szyi złoty łańcuch. – Pięknie wam pani! – rzekł wzruszony i pochwytywszy ją za ramiona zaczął żarliwie całować jej szyję. Ona jednak stała drętwa.
- Cóż wam jest? – przerwał na chwilę. – Nie chcecie już tego? – zapytał ze złością.
 - Nie panie.
 - Ale ja chcę, słyszycie? Ja chcę! – i znów mocno ją objął.
 - Jestem poddaną waszej książęcej mości i uczynię wszystko co zechcecie – odparła zduszonym głosem Barbara.
 - Nie rozdrażniajcie mnie pani! – wrzasnął głośno. – Bo mnie przywódcie do wściekłości! – Zaraz jednak uspokoił się nieco i puścił jej ramiona. Patrzył na nią chwilę, po czym twardo dodał. – Wcale nie muszę do was pani przychodzić.
 - I ja też tak myślę. Zabierzcie panie co chcecie, bo zgodnie z litewskim prawem wszystko się wam należy – rzekła zdławionym głosem. – I pozwólcie mi w spokoju czekać na wojewodę nowogródzkiego, aby mnie zaślubił, jako mu to obiecano.
 - A myślicie, że czemu wojewoda Ościkiewicz pojechał w poselstwo? – i z szyderczym uśmiechem dokończył. – Bom was zapragnął mieć!
- Teraz Barbara zwątpiła do reszty. Spojrzała gniewnie na Augusta i z żalnością oznajmiła mu, co o nim myśli.
- Myślałam panie, że jesteście inni, ale w wielkim byłam błędzie sądząc, że to co ludzie o was powiadają to jedynie oszczerstwa. Teraz wiem już, że to prawda. Bo wy panie – ciągnęła – postrzegacie wszystkie niewiasty jako nierządnicę i nie omieszkacie wykorzystać najmniejszej okazji, aby jeno posiąść to, co wam się spodoba...
 - Wcale tak nie jest, jako mówicie pani – zaprzeczył August. – I zabraniam wam tak mówić! – dodał podniesionym głosem. Po chwili usiadł na krześle i spuściwszy głowę oznajmił. – To wam jeno powiem, żeście mnie wielce zawiedli...
 - Wybaczenie panie – mówiła łkając Barbara. – ale nie wiecie nawet, jakoście wy... mnie zawiedli...
 - Teraz to kolokwium niewiele pomoże, przyjdę do was pani jutro – i zrobił parę

kroków w stronę drzwi. – Mniemam, że będziecie w lepszym nastroju – i wyszedł z komnaty. Barbara zaś zdjęła z szyi złoty łańcuch i rozplakała się na dobre. Okazało się, że złoto, to nie wszystko.

VIII

W ciągu kolejnych kilku dni August zrozumiał, że nie wszystkie kobiety są takie jak jego dotychczasowe nałożnice, pokorne i uległe. Barbara z Radziwiłłów Gasztołdowa taką bynajmniej nie była i fakt ten wprawiał młodego władcę w jeszcze większą wściekłość i złe usposobienie. Zauważył, że to ona, jego poddanka, tak naprawdę nim rządzi i nie da się tak łatwo przebłagać. Wprawdzie była posłuszna jego woli, ale nic nie chciała przyjąć od niego i zachowywała się nad wyraz obojętnie.

W tym czasie przybyli do Gieranojnów jej bracia Radziwiłłowie, rodzony Mikołaj Rudy i stryjeczny, Mikołaj Czarny. Pora akurat była obiadowa więc przyłączyli się do spożywających posiłek, Augusta, Barbary oraz jej matki i siostry. Obiad upłynął w milczeniu, ale tuż po odejściu wielkiego kniazia od stołu, Mikołaj Czarny ozwał się z pretensjami do wojewodziny.

- Ani mnie, ani waszemu bratu Rudemu nie podoba się to, jako odnosicie się do kniazia!
- Mówcie bracie stryjeczny za siebie, nie za mego rodzonego brata – i smutno spojrzała na Rudego.
- Siostrzo czemuż to jesteście tacy zimni wobec naszego kniazia, który okazał taką wielkoduszność i zostawił cały zamek z majątkiem, a przecie mógł zabrać wszystko? – zapytał z łagodnym wyrzutem w głosie Rudy.
- Skarby i kosztowności pozabierał, a za Gieranojny... wierzcie mi bracie, że kazał sobie zapłacić.
- Cóż za głupoty pleciecie! – wrzasnął Czarny. – Potrzeba wam chłopca z kijem, żeby wam rozumu do głowy napędził! – Tu popatrzył ze złością na Rudego i mówił dalej. – Żebyście byli moją rodzoną siostrą, to ja

bym was szybko wszystkiego nauczył. Bo jakbyście byli dwa razy dziennie bici i jeno raz na dzień jedli, to by wam te fochy przeszły.

- Panie bracie! – stanął w obronie Barbary Rudy. – Widzisz przecie, że błada i jakaś do niczego.
 - Gdybym ją tak strzelił w łeb, to by jej od razu rumieńców przybyło! – I groźnie uniósł do góry rękę.
 - Kiedyś mogliście mnie zbić, ale nie dzisiaj! – odezwała się Barbara.
 - Pamiętajcie, że z Rudym zastępujemy wam ojca!
 - Uchowaj Boże przed taką opieką! – i gniewnie dodała – Nie zapominajcie, że Gieranojny są moją własnością, a wy jesteście tu jeno gościem.
 - Wojewoda Ościkiewicz zapewne poradzi sobie z wami, zapewne! – I szybko wyszedł z sali.
 - Cóż ci jest siostrzo? – zapytał troskliwie Rudy i przygarnął Barbarę do siebie.
 - Nie pytajcie bracie, bo było i minęło.
 - Książ cię może ukrzywdził? – i oczy zapłonęły mu gniewem.
 - Nie... jeno strasznie mnie zawiodł, bardziej niżeli ktokolwiek dotąd.
 - Nie zamartwiaj się siostrzo, bo przecie podarków ci książ nie poskąpił i Gieranojny zostawił, a to przecie najważniejsze – pocieszał Rudy. Barbara jednak wyrwała się z jego objęć i żałośnie rozplakała.
 - Macie rację bracie... – łkała, ocierając płynące po twarzy łzy.
 - Tacy są króle i książęta, że smutek pozostawią i pojadą dalej, aby się tam znowu zabawiać i okazywać swoją pychę.
 - Bracie miły – teraz Barbara przytuliła się do Rudego. On zaś sponad jej głowy spojrzał w okno i wesoło zawołał.
 - O zobacz! Śnieg padać poczyna, a ty siostrzo tak bardzo lubisz zimę i śnieg. Poczekaj, pójde i każe ci go trochę przynieść – i pospiesznie wyszedł. Barbara zaś podeszła do okna i patrzyła zamyślona na szary świat, który pokrywał się białą powłoką.
- W tym samym czasie w pobliskiej komnacie August w towarzystwie swoich dworzan grał w szachy.
- Panie, wasz ruch – przypomniał Lasota.

- Przecież nie jest ślepy – odparł nerwowo August.
- Miłościwy panie śnieg pada! – zawołał wesoło Dowojno.
- Panie, a może by tak śniegu nazbierać, to i uśmiech pani wojewodzinie może by powrócił. – Zażartował od razu Kieżgajło, lecz w tym momencie August uderzył pięścią w szachownicę z taką siłą, że prawie wszystkie figury rozleciały się po sali. Wesołkowi zaś od razu przestało być do śmiechu.
- Kieżgajło, cierpliwie słuchał wszystkiego, ale teraz przebrała się miarka. Pamiętaj, że mówisz do wielkiego księcia i króla! – Dworzanin od razu klęknął na kolana i nisko spuścił głowę.
- Wasza książęca mość, przecie on nie z was żartował, jeno z wojewodziny – wstawił się za nim Dowojno.
- Możesz błaznować z siebie, albo z niego, ale o wojewodzinie zabraniam wam mówić! – wrzasnął na końcu.
- Tak panie – przytaknęli niemal jednocześnie i pokłonili się nisko.
- Już przez waszą głupotę zbyt wiele straciłem. – Niespodziewanie twarz rozjaśniła mu się uśmiechem, przyszedł mu bowiem do głowy niezwykły pomysł. Popatrzył uważnie na obu i rzekł. – Skoroście chcieli iść zbierać śnieg, tedy idźcie. Jeno, że dopóki mi czterech pełnych beczek nie nazbieracie, to nie ważcie mi się pokazywać na oczy!
- Panie, ale śnieg ledwie co pada – dopraszał się łaski Dowojno.
- Powiedziałem, jeno że prosicie, tedy powtórzę. Sześć pełnych beczek! – i tamci już bez słowa sprzeciwu kłaniając się w pas, wychodzili tyłem do drzwi.
- Przyznam wam panie, żeście dobrze uczynili, bo chociaż to krewni Radziwiłłów, to sobie za dużo pozwalali. – Odezwał się teraz Lasota, który przez cały ten czas zbierał porozrzucane figury szachowe.
- Będziemy Lasota wracać do Grodna.
- Chyba nawet wiem dlaczego.
- Zawszy rzucałem jedną, aby potem brać drugą i bynajmniej na żadnej mi nie zależało. A tu masz ci los... – i westchnął ciężko.
- Bo wojewodzina trocka jest insza od większości niewiast. – Wyjaśnił mu Lasota,



 Mirosław Koczkodaj

- ale kniaź zamyślił się i przez dłuższą chwilę nic nie mówił. W końcu zaczął wyliczać, niczym grzechy na spowiedzi.
- Od pięciu dni niczego nie chce przyjąć, jeno powtarza, że jest moją poddanką. Innego słowa nie rzeknie i cały czas zasmucona... – Lasota tymczasem szukał dwóch brakujących figur i nie słuchał z należytą uwagą kniazia. – Ejże! Ty mnie słuchasz, bo pójdziesz tak jak tamci śnieg zbierać! – zdenerwował się August.
- Słucham was panie i zbieram figury, któreście rozrzucili.
- Złotego łańcucha nie przyjęła, pereł za piętnaście czerwonych też nie wzięła. Ani też pierścienia, a i wczoraj brylantów też odmawiała przyjąć.
- Może i nie przyjęła, jeno że wasza książęca mość wszystkie te kosztowności zostawił w jej komnacie. A za wszystko zapłacić

- trzeba – podsumował jak zawsze skrupulatny Lasota.
- No tom je miał z powrotem zabrać? Co ja Żydem jestem? – Oburzył się książę.
 - Macie panie rację.
 - Nie odjadę stąd Lasota, jeśli przynajmniej jeszcze raz nie będzie moja – rzekł z uporem.
 - Mówiliście przecie, że się wam wojewodzina nie opiera.
 - To tak Lasota, jakby do zabitej zwierzyny strzelać. – Nagle powstał z miejsca i z melancholią oświadczył. – Wielce mi się spodobała i radbym jeszcze trochę z nią pożyć. Bom przez nią zapomniał prawie o całym świecie
 - A wasza panie małżonka, królowa Elżbieta, nie zapomniała. – Oznajmił wesoło Lasota, rozglądając się za białą figurą królowej.
 - Na miły Bóg! Nie wspominaj mi jeszcze i o tym! – i powtórnie uderzył w szachownicę.
 - Panie jeszcze tamtych figur nie poznajdował. Pohamujcie się nieco! – Zawołał Lasota, podnosząc szachownicę do góry.
 - Nasza małżonka powinna święte księgi przepisywać, skoro się tak lubuje w pisaniu. Napiszesz jej tam coś Lasota.
 - Ależ panie! Już doprawdy nie wiem o czym mam pisać waszej małżonce – bronił się dworzanin.
 - Napisz, że drogi mocno śniegiem zasypało... – po czym z ironicznym uśmiechem dodał. – I to, że śnieg dla niej zbieramy.
 - Łatwo wam panie żartować – obruszył się Lasota.
 - Lasota, dostaniesz dziesięć czerwonych, jeno rzeknij, co czynić, aby było tak jako dawniej.
 - Nie wiem już panie, wierzcie mi, że nie wiem.
 - Dam ci dwadzieścia czerwonych.
 - Panie, nawet i trzydzieści nie pomoże, bo nie wiem. Wojewodzina to uparta niewiasta. Takie to się co sto lat rodzą!
 - Toś mnie pocieszył – rzekł książę i załamany usiadł na krześle chowając twarz w dłoniach.
 - Są panie dwa sposoby. – Tu August od razu się ożywił. – Albo siłą przymusić do posłuszeństwa...
 - To przecie wojewodzina, a ja niewiast nie biję, co najwyżej głupie sługi.

- No to pozostaje jedno wyjście – rzekł z przekonaniem Lasota.
- Jakież? – niecierpliwiał się August. Lasota jednak zamiast odpowiedzi klęknął przed nim.
- Mam klękać? – zapytał wyniośle. – Przecie królem i księżciem jestem!
- Jako rzekłem panie. Albo przymusić do posłuszeństwa, albo się ukorzyć. – Tu August roześmiał się w głos.
- Jeszcze przed nikim nie klękał! Aż tak bardzo to mi na wojewodzinie nie zależy. – I teraz jego wzrok padł na wiszący przed nim, znacznej wielkości krzyż pański.
- Co wam panie? – zapytał zaniepokojony zboliałym wyrazem twarzy księcia.
- Nic to, jeno myślę, że pan nasz Jezus Chrystus synem Boga był, a dał się ludziom przybić do krzyża. – I długo dumał nad tym wszystkim.

- Jakiś czas później wielki książę zaprosił Barbarę na spacer po zamkowym ogrodzie. Zrobiło się nieco cieplej i słońce, które ukazało się na niebie, topiło teraz cienką warstwę pierwszego śniegu.
- Widziałam jak dworzanie waszej księżęj mości śnieg zbierali do beczek. – Zagadnęła Barbara, a widząc chmurne oblicze księcia zażartowała. – Sądziacie panie, że nie będzie zimy?
 - Nie, jeno ukarałem ich w taki sposób, aby już nie odważyli się ani razu zażartować z was pani. A niedawno im zapowiedział, że następnym razem każę im ujeżdżać niedźwiedzia.
 - Dzięki wam panie, że bronicie mego imienia – i skłoniła się nieco.
 - Tak sobie pomyślałem, że skoro niemiłe jest wam pani nasze towarzystwo, tedy myślimy was pani pożegnać i wracać do Grodna. – Barbara spojrzała na niego pytająco i ze smutkiem w oczach cicho rzekła.
 - Ostańcie panie jeszcze, chociaż te parę dni.
 - Nie pojmuję, chcecie pani, abym tu pozostał, a gniewacie się na mnie.
 - Nie gniewam się już panie na was i jeśli chcecie, to przyjdźcie dziś wieczorem do mnie... jeno jeszcze nie odjeżdżajcie. – Tu August dostrzegł na jej policzkach łzy.

- Nie płaczcie pani, na miły Bóg! Czemuż znowu płaczecie?
- Nie widzicie panie, że ja... że was miłuję – wyznała szlochając.
- Coście rzekli? – niedowierzał.
- Miłuję was panie, nie wiecie nawet jak bardzo! – Rzekła żarliwie, a wielki książ nie spodziewanie ukląkł przed nią na kolana i objął rękami, przyciskając głowę do jej ciała.
- Wybaczcie mi tamto pani – rzekł wzruszony.
- Wstańcie panie, wstańcie, jakże to tak. – Zareagowała żywo Barbara, zmieszana jego zachowaniem.
- A wybaczyć?
- Tak panie, jeno wstańcie. – Wtedy August powstał.
- Żałuję wielce tego com powiedział i obiecuję wam, że to się nie powtórzy. – Po czym ocierając sobie kolana dodał. – Aleście mi pani zawrócili w głowie, jako nikt przedtem.
- Ale nie wyjedziecie panie? – zapytała niewinnie.
- Wyjeżdżam do pobliskiej Olity... ale z wami, jeśli jeno zechcecie. – Odpowiedzi jednak

nie usłyszał, bo uszczęśliwiona Barbara wręcz rzuciła mu się na szyję i zaczęła całować.

Całe to wydarzenie obserwowali z zamkowego okna obaj bracia Radziwiłłowie.

– Oczom nie dowierzam – zaczął Czarny – ale przecie nic dzisiaj nie piłem.

– Jeszczem takich rzeczy nie oglądał. Wielki książ klęka przed naszą siostrą!

– I to na mokrej ziemi – dziwił się dalej Czarny.

– Znak to, że musi wielce zależeć na niej kniaziowi.

– Wielki to dla nas dziś dzień – powiedział uroczyście Rudy. Zaraz jednak z wahaniem dodał. – To i nam jeszcze chyba przyjdzie przed chłopami klękać!

– Bredzisz panie bracie. To się nigdy nie stanie!

– A widziałeś kiedy, aby pierwszy śnieg zbierać do beczek? – Na to Czarny już nic nie odpowiedział i wraz ze swoim stryjecznym bratem spoglądali na obejmujących się pośród drzew ogrodu w Gieranojnach kochanków.

cdn.





JOANNA MAŁEK

Co słońko widzi w nowiu

Nasz śpiew przypominał tętent
podeptanych ścieżek,
o purpurowych godach,
gdy o zmierzchu ponad moją głowę
noc zaczęła swój trupi lot sowi.

Czego nie graliśmy w naszym skromnym niebie.

Jest tyle starych taktów,
nut układających się w pomieszczenia,
dym i huk drżących pieców i głośnych gitar,
obejmowanych całymi garściami.

Jest tyle miejsc, które opisać słowami
nie raczy nawet sam czas
i jego wszechwiedzące oczy zwane losem,
okrutnym na potęgę.

Dlaczego przeszłość liczę
w klatkach białego czarnego filmu
z zasłoniętą migawką,
przecież nie było źle - było pięknie.

Potem zostanie mi czytać dzieciom na dobranoc
i pytać, czemu tak szybko mineliśmy.
Napiszę na śniegu drewnianą laską -
rozstałem się z sobą. I podałem rękę księżycowi.

ZALANE MIESZKANIE

Ten rysunek trafił w moje ręce w dość nietypowych okolicznościach. U pana Jerzego Skarżyńskiego bywałam bardzo rzadko. Dziwne okoliczności sprawiły, że znalazłam się w jego mieszkaniu. Oto jak było. Dostałam telefon z Wydziału Szkód i Strat Urzędu Ubezpieczeń Społecznych, abym przyjęła zlecenie na wycenę strat poniesionych wskutek zalania mieszkania wielkiego artysty malarza Jerzego Skarżyńskiego. Znałam ten dom i jego właścicieli, panią Lidię Minticz Skarżyńską i jej męża.

Mieszkanie, należy rozumieć – pracownia artystyczna, mieściła się przy ulicy J. Lea w Krakowie na ostatnim piętrze. Mieszkanie tonęło w bibelotach wśród mebli i dzieł artystów, które znalazły miejsce na podłodze lub stały oparte na ściany.

Przez cały dzień spisywaliśmy z panem Jerzym

zniszczenia spowodowane zalaniem. Pod wieczór, zmęczeni usiedliśmy przy lampce wina. Pan Jerzy z czułością opowiadał o żonie Lidii. Łzy szły mu z oczu – żał za bliską mu osobą udzielił się i mnie. Kiedy wychodziłam, powiedział do mnie: „Może zechce pani wybrać sobie coś na pamiątkę «tej powodzi»”.

Na stole leżał mały szkic na okładkę przyszłej książki. Dziś już nie pomnę tytułu ani autora książki. Zapamiętałam dobrze jak stojąc przy drzwiach rozpoczęliśmy rozmowę na temat roli grafiki w oparciu o ten właśnie rysunek.

Lidia Żukowska



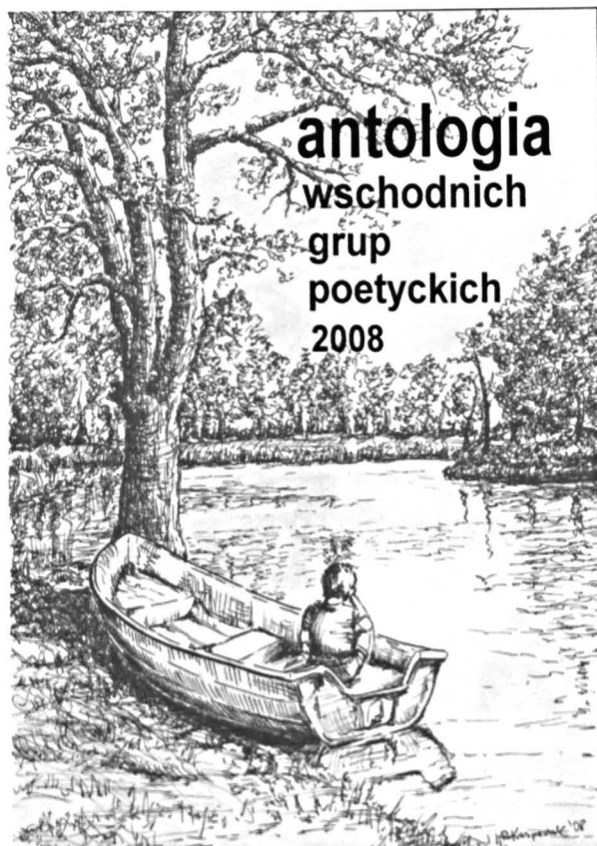
10. listki z agrominą dy angaria

Jerzy Skarżyński
31.X.94

Staraniem dwóch podlaskich poetów: Pawła Czyżewskiego i Tomasza Rolko ukazała się „Antologia Wschodnich Grup Poetyckich” będąca przekrojem przez twórczość pięciu wybranych grup poetyckich Podlasia i Lubelszczyzny z lat 2005-2008. Znajdziemy tam reprezentatywne wiersze „Black Angel” z Włodawy, „The Mur” z Lublina, radzyńskiej „Konfraterni Kozirynek”, bialskiego „Skafandra” i wielce obiecującej „Huvavy” (która pisze to tu, to tam) jak również informacje o działaniu tych grup, ich założenia i idee. O tym że antologia jest wartościową pozycją świadczy choćby obecność świetnych a mało znanych talentów: Mariusza Bobera, Andrzeja Jahołkowskiego, Barbary Borek czy Janka Rusina. Przekonać się do niej będzie można na którejś z jesiennych promocji bądź kupując samemu informacje pod adresami:
www.skafander2003.republika.pl
www.blackangel.go.pl

Zapraszamy!

Patronat nad wydawnictwem objęło Radio Biper, kwartalnik kulturalny „Kozirynek” i serwis literacki knowacz.pl.





NADESŁANE:

książki

- Tadeusz Chabarovski, *Mnisi czyli nierymowane strofy o cnotach*, Norbertinum, Lublin 2008.
- Aldon Dzieciół, *Lubelska limerykowa kręciola z dziupli dzięciola*, Włodawa 2008.
- Marek Jagliński, *Psychoatlantyda II*, Oficyna Wydawnicza „Radostowa”, Starachowice 2008.
- Adam Jarosiński, *Szkice z nadbużańskiego Podlasia*, Siedleckie Towarzystwo Naukowe, Siedlce 2008.
- Ewa Klajman-Gomolińska, *Eloi*, Norbertinum, Lublin 2008.
- Danuta Noszczyńska, *Mogło być gorzej*, Wyd. Philip Wilson, Warszawa 2008.
- Pádraig Pearse, *Opowiadania*, Norbertinum, Lublin 2008.
- Grzegorz Przepiórka, *Aneks*, Siedleckie Towarzystwo Naukowe, Siedlce 2009.
- Ewa Pytlak, „Szukać tam, gdzie liści szum...”, Klub Literacki „Ogród”, Siedlce 2008.
- Joanna Rawik, *Świat jest muzyką*, Wyd. Novum, Płock 2008.
- Wioletta Sobieraj, *Latawce*, Wyd. Philip Wilson, Warszawa 2008.
- Dariusz Włodarczyk, *Na progu świata*, Norbertinum, Lublin 2008.

czasopisma

- „Pegaz Lubuski”, nr 4 (33), 5 (34), 6 (35), Gorzów Wielkopolski 2008.
- „Przegląd Filozoficzno-Literacki”, nr 4 (21), Warszawa 2008.
- „Rzeczpospolita Kulturalna”, Rok I, nr 10, Londyn 2008.
- „Siedlecki Nieregularnik Literacki”, nr 3 (11), Siedlce 2008.

ZACZEŁO SIĘ

W Nigerii pod zarzutem napadu z bronią w ręku i próby dokonania kradzieży zatrzymano kozę. Rzecznik policji w mieście Ilorin, Tunde Mohammed, relacjonuje, że grupa ludzi zaczęła ścigać kilku opryszków, którzy usiłowali ukraść samochód, „jednak jednemu udało się uciec, a drugi zamienił się w kozę”.

Biało-czarną kozę przyprowadzono więc na posterunek policji, twierdząc, że jest to złodziej, który za pomocą czarnej magii za-

mienił się w kozę. W ten sposób oskarżyli zwierzę o próbę kradzieży Mazdy 323.

Zwierzę w areszcie jest od piątku.

„Nie możemy potwierdzić tej historii, ale koza jest w naszym areszcie. Nie możemy opierać naszych informacji na czymś mistycznym; to, że człowiek może się zamienić w kozę musi zostać potwierdzone naukowo - mówił stanowczo Mohammed.

Źródło: portal Onet.pl

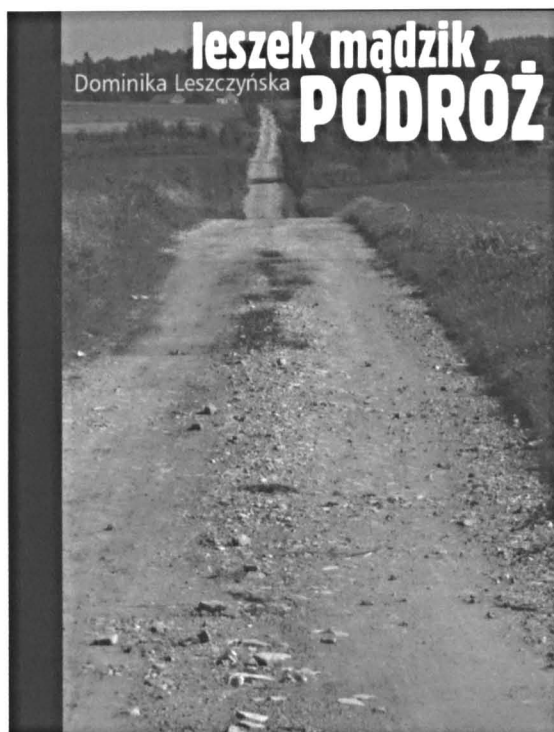
LESZEK MAZLIK PODRÓŻ

Autor - Dominika Leszczyńska
Wydawnictwo - CREO Jolanta Janson

Pewnego dnia świat dostrzega artystę, wybitnego twórcę, kreatora. Wielu rozpoznaje jego twarz, dzieła, charakterystyczne gesty i wypowiedzi. Jeszcze inni analizują, krytykują, sądzą, recenzują, opisują, poszukują dla niego miejsca we współczesnej kulturze. Specjaliści, miłośnicy, studenci i krytycy stawiają tysiące pytań o genezę, źródła, inspiracje, fascynację, przełomy, załamania i wzloty... Powstają prace, albumy, reportaże, wywiady, toczą się rozmowy o mistrzu i jego sztuce.

Reportaż biograficzny, którego autorką jest Dominika Leszczyńska, powstał, aby pewnego dnia ludzie dostrzegli Leszka Mazlika, portrety Jego Rodziny, życie świętokrzyskie, kieleckie, lubelskie, dziecięce, młodzińcze i dorosłe. Rodzina, przyjaciele, współpracownicy znaczą swoimi wypowiedziami ślady Jego wędrówki. Autorka stworzyła opowieść splatając ze sobą Rozmówców, którzy posługują się na kartach książki własnym językiem, raz dosadnym i emocjonalnym, a kiedy indziej wykwinłym i precyzyjnym. Dzięki tej świadomie obranej koncepcji podróżujemy z Leszkiem po krainie Jego dziecięcych fascynacji, lęków i przedziwnych spotkań. Odwiedzamy niesamowitych ludzi, poznajemy bliskie Mu miejsca i jesteśmy świadkami zarówno pięknych jak i tragicznych wydarzeń.

Strona po stronie wylania się Człowiek z prze-



złością jak każdy z nas, z rodziną w tle jak każdy z nas, z dramatycznymi przeżyciami jak każdy z nas, z historią miłosną jak każdy z nas.

A jednak inny i bardzo wyjątkowy. Przecież nie jak każdy z nas?





* Cena numeru upamiętnia rok 1111, w którym cesarz niemiecki Henryk V uwięził papieża Paschalisa II chcąc zmusić go do akceptacji wpływu tronu na obsadę stolic biskupich. Wraz z Ojcem Świętym aresztowani zostali również wierni kardynałowie. Część purpuratów opowiedziała się jednak za Henrykiem. Aby nie dopuścić do schizmy, papież uległ. Głosy najstarszych cor Kościoła - Francji i Italii - potępiły słabość Paschalisa, który pod ich naciskiem uznał swoje postępowanie za niesłuszne i potwierdził wcześniejsze decyzje papieża przeciwko inwestyturze świeckiej. I nigdy już ich nie odwołał - pomimo cierpień doznawanych ze strony cesarza. Od tego czasu wiele rządów próbowało narzucić inwestyturę świecką Kościołowi. Wiele próbuje zrealizować to również i dzisiaj...